



PIOTR PATYKIEWICZ

Otchłań

PIOTR PATYKIEWICZ

Otchłań

 GENIUS
CREATIONS

Spis treści

1
2
3
4
5
6

1

Białe mury klasztoru, wzniesione na podłużnym grzbiecie wyniosłej skały, która niczym cypel doczepiony do podnóży gór sterczała ponad doliną – takie było najwcześniejsze wspomnienie Najdka. Liczył sobie wtedy zapewne około pięciu lat, przynajmniej na tyle ocenili go pielgrzymi, którzy znaleźli zagubionego na leśnym dukcie chłopca, półżywego z głodu i zimna. Miał szczęście, że trafił na dobrych ludzi, którzy nakarmili go, odziali i zabrali ze sobą w dalszą drogę. Żałował potem, że nie zapamiętał ich twarzy ani głosów; zresztą wszystko, co wydarzyło się wcześniej, zasnuwała mgła.

Kiedy podrósł nieco, zrozumiał, że tak jest lepiej. Nie musiał przynajmniej tęsknić za tym, co utracił.

Dotarli na miejsce w przeddzień święta Jutrznia. W podklasztornej wsi tłoczyli się miejscowi i przybysze, ujadły psy, skrzypiały koła wozów. Na szerokich łąkach u stóp skały układano już stosy drewna na ogniska, wytaczano beczki z piwem, ćwiartowano mięsiwo. W tę najkrótszą w roku noc nikt nie kładł się spać. Chłopak stracił w tłumie z oczu swoich wybawicieli. Usiadł wprost na trawie. Ktoś wetknął mu w rękę kawałek podpłomyka, ktoś inny zapytał o imię, ale Najdek nie wiedział, co odpowiedzieć. Po zmierzchu rozpoczęła się gwarna biesiada pod gwiazdzistym niebem, która szybko zamieniła się w pijatykę, pełną ochrypłych wrzasków i pisków kobiet. Bał się poruszyć, bardziej przerażony niż w lesie; ogniska trzaskały, ziemia dudniła pod stopami tańczących, ich cienie łopotały niczym czarne sztandary. A o północy nagle powietrze przeszył wysoki gwizd i gdzieś wysoko z hukiem zaczęły wybuchać fajerwerki, niczym wielobarwne, płomienne kwiaty, aby potem opaść na rzekę deszczem dogasających iskier.

Niedługo przed świtem ucichły śpiewy, ogień przygasł, zrobiło się chłodniej. Niebo zszarzało, wszyscy patrzyli w stronę wschodu. Gdy ponad wzgórzami wykwitły liliowe światła brzasku, nad łąkami przetoczył się głos klasztornej dzwony. Nad światem rozlewała się z wolna słoneczna Łaska,

żeby pokrzepić wszystko, co żywe, a ludzie – dobrzy i źli, mądrzy i głupi, pracowici i gnuśni – pokornie oddawali jej cześć. Najdek, choć nikt mu tego nie wytłumaczył, całym sobą odczuł wyjątkowość tego poranka. Razem z innymi patrzył prosto w Słońce, aż oczy wypełniły się łzami.

Do południa łąki opustoszały. Chłopak nie ruszył się z miejsca. Usnął na parę godzin, a kiedy się obudził, poszukał w trawie napęczniałych od rosy okruchów podpłomyka. Pielgrzymi nie pojawili się więcej, lecz gdy zaczęło się zmierzchać, pochyliła się nad nim jakaś siwa kobieta o dobrych, uśmiechniętych oczach. Mówiła coś, ale nic nie zrozumiał, osłabiony głodem i strachem. Wzięła go za rękę i poprowadziła aż do podnóża skały, potem w górę nieskończenie długich, bardzo stromych schodów, wykutych wprost w zboczu, a dalej wąziutkim skalnym przesmykiem, który łączył stok góry zwanej Rogaczem z okutą klasztorną bramą, ponad którą lśniło wielkie, miedziane wyobrażenie Słońca. Po obu stronach ścieżki ziała przepaść. Uchyliła się ze skrzypieniem mała furtka osadzona w skrzydle bramy. Najdek zobaczył duży dziedziniec ze stojącą pośrodku przysadzistą, zwężającą się ku górze wieżą, która wówczas wydała mu się niebosięźna, choć miała zaledwie cztery piętra; ostatnie promienie słońca rozpałały barwy w witrażach wąskich okien. Obok wznosiło się rusztowanie dzwonnicy, kamienny pręgierz i wielka żelazna misa ofiarna na trójnogu.

Jakiś człowiek rozhuśtał dzwon, szarpiąc za długi sznur. Czerwone odbłaski zachodzącego słońca zapalały się i gasły na spiżu. W grubych klasztornych murach czerniały otwory cel; uroczyste dźwięki wywabiły na dziedziniec odzianych w białe szaty mnichów pieśniarzy. Było ich dwunastu, bosonogich, wyniszczonych postami, bladych i podobnych do siebie niczym rodzeni bracia. Ustawili się wokół misy, w której już zarzyły się węgielki. Każdy rzucił do środka szczyptę drogocennego kadzidła, wyrabianego z rajskiego bursztynu. Gdy kłęby wonnego dymu wzbily się ponad ich głowy, zaczęli śpiewać.

Zachwyty, który wówczas ogarnął Najdka, pozostał w nim także na następne lata, choć przecież słuchał tych samych hymnów o każdym brzasku i zmierzchu. Pieśń była tak piękna, głosy mnichów współbrzmiały tak czysto, a ostatnie promienie słońca tak cudownie prześwietlały ofiarne dymy, że łatwo zapominał o sobie, o własnym strachu i opuszczeniu. Woń

kadzidła upajała. Doznał dziwnego wrażenia, jakby gdzieś wewnątrz utworzyły się tajemne oczy duszy. Widział wokół siebie twarze ludzi, te same, ale jakby odmienione, wypiękniałe i rozświecone; żadna z nich nie wydawała mu się teraz obca. Rozpierało go przecucie jakiejś radosnej niespodzianki, policzki mu pały, dreptał w miejscu z podniecenia. Śpiew mnichów nabierał anielskiej harmonii, ogarniał stopniowo wszystkie zmysły. Dźwięki zmieniały się w barwy, prześwietlając kłęby dymu tęczowymi lśnieniami. Najdek pojął przyczynę, dla której pielgrzymi zadawali sobie trud dalekiej wędrówki; te pieśni oczyszczały duszę, uwalniały od brzemienia win, a tym, którzy zasłuchali się w nie z pokorą, pozwalały nawet zajrzeć na chwilę do Niebios. Był pewien, że lada chwila rozstąpi się sklepienie niebieskie, odsłaniając cuda tamtego lepszego świata.

Jednak nic takiego się nie stało. Śpiew przebrzmiał równo z zachodem słońca, dymy rozwiały się, pozostawiając wspomnienie zachwyty, któremu zabrakło spełnienia. Najdek rozplakał się, gdy tylko zrozumiał, że nie zdoła zatrzymać w sobie tego świętego uniesienia. Rozpostarło się nad nim zwyczajne, nocne niebo, pod stopami znowu poczuł bruk dziedzińca. Nikt nie dziwił się jego łzom.

Był jeszcze zupełnie oszołomiony, gdy po skończonej ceremonii wieczornej do grupy pielgrzymów podszedł sam Mistrz – wysoki, wyprostowany sztywno starzec o wygolonej czaszce i długiej białej brodzie. Sięgająca kostek szata z szerokimi rękawami, przepasana sznurem, odbijała się jaskrawą żółcią – świętą słoneczną barwą – od surowego otoczenia. Wszyscy kolejno ucałowali jego kościstą dłoń, potem stara kobieta chwyciła Najdka za ramię i wypchnęła naprzód.

Mistrz pochylił się nad nim. Chłopak zobaczył z bliska jego szorstkie, zapadnięte policzki, garbaty nos i uważne, nieco zaczerwienione od zbyt długiego czytania oczy.

– Nie bój się, dziecko – powiedział łagodnie, gdy zauważył, że mały drży.
– Tutaj nie spotka cię nic złego. Jesteś w domu.

Dali mu wełniany koc, drewnianą miskę z łyżką, olejny kaganek, wskazali jakąś szopę, ciemną i duszną, gdzie zwinął się natychmiast w kącie jak szczenię i spał bez przerwy przez dwie doby. Gdy wreszcie się obudził, wykąпали go w balii z bardzo gorącą wodą, ogolili głowę do gołej skóry,

odziali w znoszone łachy – zbyt duże, musiał podwinąć nogawki i rękawy – a potem przydzielili codzienne obowiązki.

Taki był początek tego nowego życia, z dnia na dzień odmierzanego przez uderzenia dzwonu. O świcie, gdy mnisi śpiewali i palili kadzidła, kłaniał się razem z innymi posługaczami, strażnikami i uczniami budzącemu się Słońcu, najdoskonalszemu wcieleniu Łaski. Po skromnym śniadaniu biegł do pracy: czerpał wodę z podziemnej cysterny, pomagał w kuchni, zamiatał dziedziniec, czasem posyłano go w różnych sprawach do przycupniętej pod klasztorną skałą wioski. Chociaż chętnie spędzał czas za murami, gdzie było tyle ciekawych rzeczy, a górale często rzucali mu ze śmiechem jakiś przysmak, nigdy nie spóźniał się na obiad. Zjadał szybko kaszę ze skwarkami, pierogi z serem albo zupę rybną, a jeśli kucharz był w dobrym nastroju, mógł liczyć na dokładkę. Przed wieczorem, jeśli nie było do zrobienia nic pilnego, miał trochę czasu dla siebie. Wdrapywał się po wysokiej drabinie na szczyt muru, siadał z nogami opuszczonymi nad przepaścią i patrzył na skaliste wierchy, czasem rozświetlone, częściej zasłane chmurami. Marzył – choć gdyby ktoś zapytał go w takiej chwili, o czym właściwie rozmyśla, nie potrafiłby odpowiedzieć. Oczarowywała go zmienna barwa nieba, onieśmiał ogrom gór, pociągał bezkres. Czuł się trochę jak pisklę w gnieździe, które niecierpliwie czeka na swój pierwszy lot.



Najważniejszy był Mistrz. Od niego zależało wszystko, co działo się w klasztorze. Wierzono, że jego władza pochodziła bezpośrednio z Niebios. To właśnie jemu udało się najszybciej spośród innych mędrców ubiegających się o ten zaszczyt rozpalić za pomocą szkiełka i słonecznych promieni ogień w ofiarnym palenisku – znak dla wszystkich, że wskazała go Łaska.

Na ogół trudno było go spotkać; jeśli nie nauczał albo nie przewodniczył ceremonii ofiarnej przy kadzielnicy, przesiadywał zwykle w swojej izbie u samego szczytu wieży, rozmyślając nad sprawami, które ogarnąć mogła tylko jego wyjątkowa mądrość. Szeptano o nim, że potrafi czytać z gwiazd, ale wielu w to powątpiewało, bo przecież wielokrotnie zakazywał wstępu do wsi wędrownym wróżbiarzom, nazywając ich sługami demonów. Bywał surowy, ale sprawiedliwy, rzadko się uśmiechał i nigdy nie podnosił głosu.

Gorliwie czcił Słońce i z całej duszy kochał wiedzę zapisaną w zwojach, których ogromny zbiór gromadzono w wieży przez wieki. Chociaż podgórski klasztor wcale nie był większy od innych ani sławniejszy, to właśnie tutaj każdego roku przybywały tłumy chłopców i młodzieńców chcących się uczyć. Mistrz nie mógł przyjąć wszystkich, a gdyby nawet to było możliwe, i tak wybrałby spośród nich tylko dwóch czy trzech najzdolniejszych, bez względu na zamożność ich rodzin czy rekomendacje różnych wysoko postawionych osobistości ze stolicy – Przymorza. Uważał, że prawdziwa mądrość jest skarbem, którego nie należy trwonić na byle kogo, bo nie każdy potrafi docenić go i uszanować. Przy całej swojej powściągliwości miał jedno niezmienne pragnienie – aby klasztorna szkoła zasłynęła wychowankami aż po najdalsze krańce świata.

Codzienny nadzór nad życiem klasztoru – osądzanie występków, wynagradzanie zasług i roztrząsanie sporów – należał do małego, zasuszonego człowieczka o bardzo pomarszczonej twarzy, któremu przysługiwał tytuł Dzwonnika. Był ruchliwy, czujny, roztropny i zapobiegliwy. Wiedział wszystko o każdym z mnichów, strażników, uczniów i posługaczy. Nie był lubiany z powodu oschłości i braku wyrozumiałości dla zwykłych ludzkich przywar. Miał prawo nałożyć na każdego karny post, zamknąć w ciemnicy, a cięższe przewinienia skazać na chłostę pod pręgierzem. Kiedy wpadał w gniew, mówił szczególnie cicho i powoli, mrużąc bystre oczy, w których nieustannie czał się chłodny namysł. Ilekroć to uważne spojrzenie skupiało się na Najdku, chłopak odczuwał niepokój, nawet wówczas, gdy Dzwonnik uśmiechał się i kładł dłoń na jego schylonej pokornie głowie.

Ale musiał być posłuszny, ilekroć mnich wzywał go do pomocy w różnych swoich tajemniczych zajęciach, a z czasem nawet zaczęło go to ciekawić.

Najwięcej emocji przeżywał, zawsze gdy Dzwonnik zabierał go do nieczynnego kamieniołomu kawałek drogi za wsią, aby tam, pośród ogni, dymów i wybuchów, wypróbować działanie różnych łatwopalnych mikstur. Mówiono, że to wszystko po to, aby uświetniać klasztorne uroczystości coraz wspanialszymi fajerwerkami, ale Najdek wiedział, że to nie jest cała prawda. Widział proch, którym można było rozsadzać skały, widział dymiące race, które wzbijały się ze świstem wysoko w powietrze,

widział jakieś czarodziejskie pręty, które, podpalone, żarzyły się bardzo długo, świecąc jaśniej niż łuczywo. Nie śmiał jednak o nic pytać, wracał wieczorem do klasztoru na wpół ogłuszony, z osmaloną twarzą i palcami poparzonymi od ciągłego podpalania lontów, ale i pełen podziwu dla groźnej wiedzy mędrca.

Częściej jednak niż w kamieniołomie bywał w drewnianej nadbudówce dzwonnicy, gdzie stary mnich miał swoją pracownię.

Tutaj było spokojnie. W drucianych klatkach pod dachem gruchały gołębie, dzięki którym Dzwonnik utrzymywał łączność z innymi, nawet bardzo odległymi klasztorami. Wydawało się, że dla ptaków miał więcej ciepłych uczuć niż dla ludzi. Karmił je z ręki, pozwalał siadać sobie na ramionach i głowie. Całymi dniami wyczekiwał w otwartym oknie na powrót każdego z nich. Jeśli zdarzyło się, że któryś zaginął, spalał przy porannej ceremonii podwójną ilość kadzidła, jak to czyniono zwykle dla zażegnania groźby powodzi, zarazy albo nieurodzaju.

To jeszcze Najdek potrafił zrozumieć, ale inne zwyczaje Dzwonnika wydawały mu się całkiem niedorzeczne. Prawie każdego wieczora mnich wypuszczał z okna pracowni papierowe lampiony o otwartej podstawie, z ognikiem w środku, które unosiły się wysoko pod granatowe niebo albo odlatywały szybko, porwane przez wiatr. Śledził je zawsze uważnym spojrzeniem, dopóki nie zniknęły z oczu, a potem notował swoje spostrzeżenia. Ludzie psioczyli na to jego dziwactwo, bo czasem zdarzało się, że od spadających lampionów płonęły stogi siana albo nawet stodoły, ale czasem i korzystali na tym. Każdy wieśniak, który przyniósł do klasztoru choćby nadpalony strzępek i powiedział dokładnie, gdzie go znalazł i kiedy, mógł spodziewać się w nagrodę miedziaka.

Niżej, na drewnianym pomoście pod dzwonem, mędrzec porozstawiał swoje lunety i mapy nieboskłonu. Tutaj Najdek nie mógł zaglądać – niebiańskie tajemnice wolno było zgłębiać jedynie najstarszym uczniom – ale zawsze gdy mijał pomost, wspinając się po wąskich schodkach do pracowni, z ciekawością zerkał na te zakazane dla prostaczków przyrządy.

Któregoś wieczora, gdy czyścił gołębnik, Dzwonnika wezwano w jakiejś pilnej sprawie do Mistrza i chłopak został sam. Opierał się pokusie tylko tak długo, póki słyszał na bruku dziedzińca kroki mędrca; kiedy tylko ucichły,

zbiegł szybko na pomost i zasapany z przejścia przyłożył oko do szkiełka wycelowanej ukosem w niebo lunety, uważając, aby jej przypadkiem nie poruszyć.

Zobaczył tuż przed nosem ogromną, sinozieloną, ospowatą tarczę Księżyca, do połowy zaciągniętą cieniem.

Wiedział jak wszyscy, że niedobrze jest przyglądać się zwodniczemu światłu, które nie daje ciepła ani życia. Księżyc powstał z pychy demonów, nie służył niczemu; istniał tylko po to, żeby przedrzeć Słońce i zaciemniać gwiazdy. Kto się na niego zapatrzył, miewał potem złe sny, nie potrafił skupić się na żadnej robocie, a w czasie pełni takie zagapienie mogło skończyć się nawet oczopląsem i krwotokiem z nosa.

Wiedział to wszystko, a jednak nie potrafił oderwać spojrzenia, choć truchlał z grozy. Poczł się tak, jakby został przyłapany na podglądaniu przez dziurkę od klucza Otchłani; jakby z drugiej strony niespodziewanie przyłożył swoje złośliwe ślepie demon. Zimna poświata wydobywała na jaw wszystkie jego najskrzętniej skrywane lęki. Zagubił się pośród nich, zatracił. Nie potrafił rozerwać niewidzialnej pajęczyny, która omotała mu duszę.

Nie wiadomo, jak by to się dla niego skończyło, gdyby nie Dzwonnik, który, wróciwszy po jakimś czasie, odepchnął go od lunety.

Chłopak upadł na deski pomostu, ogłupiał i roztrzęsiony. Głos mędrca ledwie przebijał się poprzez szum w uszach:

– Wygląda na to, że jesteś nie tylko nieposłuszny, ale i głupi. Nawet ja muszę pościć przez trzy dni, zanim odważę się spojrzeć na księżyc w takim zbliżeniu, a i to tylko na chwilę. Precz!

Potem przez kilka miesięcy Najdek krzyczał przez sen i sikał pod siebie. Z czasem to minęło, ale od tamtej pory wystrzegał się podnoszenia wzroku w bezchmurne księżycowe noce.



Niewielki oddział zbrojnych trzymano w klasztorze bardziej ze względu na tradycję niż prawdziwą potrzebę. Dawniej, kiedy doliny nie były jeszcze tak ludne, w okolicy kręciło się sporo podejrzanych włóczęgów, zbiegłych skazańców, dezertów z książęcego wojska albo pospolitych zbirów, którzy skrzykiwali się czasem w większe kupy, żeby rabować podróżnych i nękać

wsie, zbrojny oddział był potrzebny. Parę razy zdarzyło się nawet, że rabusie próbowali oblegać klasztorne mury. Tamte czasy minęły, podgórze było teraz spokojne, ale garstka strażników pozostała. Rzadko już przywdziewali krótkie płaszcze do kolan, zakładali skórzane hełmy i przypasowywali miecze – chyba tylko dla uświetnienia ważniejszych uroczystości. Przydawali się niekiedy do uśmierzania pijackich burd w karczmie, słychać było ich gwizdki w czasie jarmarków i większych świąt, gdy w dolinę przybywało wielu kupców i pielgrzymów. W mroźne zimowe noce strzegli traktu przed wilczymi watahami – jednak najczęściej siedzieli beczynnienie. Dowódca Gurgul, ponury, ospowaty olbrzym, który dawniej podobno służył w stolicy przy księciu i został zesłany na prowincję z powodu zbyt wielu miłostek i pojedynków, nie narzucał podwładnym przesadnej dyscypliny, cenił sobie święty spokój i chętnie rozpamiętywał przy dzbanie podłego wina szumną przeszłość, jeśli tylko znalazł kogoś, kto zechciał tego wysłuchiwać.

Mnichów można było zobaczyć na dziedzińcu tylko o świcie i o zmierzchu. Cały pozostały czas spędzali w swych celach, nie przychodzili nawet do wspólnej jadalni, w samotności przeżuając jedyny skąpy posiłek w ciągu dnia. Nie rozmawiali z nikim, ich wargi musiały pozostać czyste, ofiarowali swoje głosy tylko Słońcu. Byli wybrańcami; ich jedynym zadaniem było zbliżyć się w śpiewie najbardziej jak to możliwe do ideału anielskiego chóru. Każdy z nich musiał pomyślnie przecisnąć się przez sito surowego przesłuchania. Tylko ci, których głosy Mistrz ocenił jako szlachetne i czyste, rozpoczynali pięcioletni nowicjat, doskonaląc się w pokorze, wyrzekając się własnych ambicji i pragnień, aby w ich chóralnym śpiewie nie zabrzmiał żaden fałsz. Najwytrwalszych dopuszczano do ślubowania, ale to jeszcze nie oznaczało, że mogli już odśpiewać na dziedzińcu swój pierwszy uroczysty hymn – musieli jeszcze czekać, nieraz długie lata, aż zwolni się miejsce w chórze z powodu sędziwego wieku, ciężkiej choroby albo śmierci jednego z Dwunastu.

Pomimo tej długiej, pełnej umartwień drogi, którą musieli przebyć, Najdek wiedział, że byli szczęśliwi. Gdy śpiewali, ich oczy rozświeślały się, a wątle policzki występowały rumieńce. Cieszyli się wielkim szacunkiem. W starych zwojach zapisano, że gdyby któregoś dnia umilkły hymny i

zaprzestano by palenia kadzideł, Słońce mogłoby zgasnąć, a przecież bez jego Łaski, która przybierała postać światła i ciepła, nie było życia.

Najdek podziwiał mnichów, bał się ich trochę, ale nie zazdrościł im. W duchu był rad, że jego własny śpiew przypominał meczenie kozy, wykluczając go z tego trudnego powołania.



Z uczniami była inna sprawa. Mieszkali wszyscy razem w dolnej, najobszerniejszej izbie wieży, która była zarazem jadalnią i salą szkolną. Pracowali wprawdzie ciężko, niedosypiali często, aby opanować na pamięć treść zadanego przez Mistrza zwoju, bardzo rzadko dostawali zgodę na wyjście poza mury, ale za to corocznie paru z nich opuszczało klasztor na zawsze, przywdziawszy uroczyście złotą szatę mędrca i opasawszy się sznurem. Najdek patrzył z murów, jak oddalają się skalnym przesmykiem, postukując okutymi kijami podróżnymi. Wiedział, że mogą iść, dokąd zechcą, i nikt nie ma już prawa niczego im nakazywać. Wyobrażał sobie, że niezmiernie trudno jest dźwigać takie ciężkie od wiedzy głowy, dlatego podziwiał ich swobodną postawę i pewny krok. To musiało być wspaniałe uczucie – po dziesięciu latach pochylania się nad wpółzatartymi literami starych zwojów wreszcie mogli rozprostować karki i pełnymi garściami zbierać owoce swego trudu. Otwierał się przed nimi cały świat; zostawali lekarzami, prawnikami, nauczycielami w zamożnych domach, zajmowali ważne stanowiska w Przymorzu i w najważniejszych miastach. Wyróżniali się w tłumie, ustępowano im z drogi i zabiegano o ich względy.

Chociaż pośród uczniów było paru jego rówieśników, nie zaprzyjaźnił się z żadnym z nich. Nie starał się nawet zapamiętać ich imion. Nawet gdy odnosili się do niego uprzejmie – a nie zawsze tak bywało – nie zapominał ani na chwilę, jak bardzo się od nich różni.

Najbliższe stosunki łączyły go z odźwiernym. Sypiali w tej samej szopie, spędzali ze sobą dużo czasu również za dnia. Zawdzięczał Cabajowi wiele, nawet imię – to właśnie on pierwszy zaczął nazywać małego znajdę Najdkiem. Miewał ciężką rękę i niekiedy wysługiwał się chłopcem ponad miarę, ale kiedy był w dobrym nastroju, pozwalał mu łyknąć nieco słodkiego, czerwonego wina lub częstował pestkami słonecznika, które lubił

skubać, kiedy nie kurzył swojej glinianej fajki. Nie był góralem, w przeciwieństwie do prawie wszystkich strażników i posługaczy. Widział kawałek świata. W młodości na kupieckich kryptach wyprawiał się bardzo daleko, nawet do Wysp Zewnętrznych po rajski bursztyn, ale jakoś nie dorobił się majątku. Zabrakło mu szczęścia, a pewnie i koniecznej w takim fachu bezwzględności. Wpadł podobno w jakieś kłopoty, chociaż nikt nic pewnego nie wiedział, bo wspominał o tym dość mętnie. Gdy po kilkunastu latach na morzu, gdzie stracił prawą nogę, zszedł wreszcie na ląd, nie miał gdzie się podziąć i co żyć. Przytulił się na koniec w górskim klasztorze, daleko od morza, i ogół cenił sobie święty spokój, którego doczekał na stare lata. Codzienne obowiązki odźwiernego nie wymagały wiele ruchu, dorobił się więc szybko pokaźnego brzucha, który obnosił przed sobą dostojnie, kuśtykając przez dziedziniec. Mógłby codziennie opowiedzieć inną niesamowitą przygodę, która przydarzyła mu się w czasie burzliwego żywota, lecz niechętnie mówił o sobie. Czasem tylko, kiedy wypił za dużo, rozgadywał się nieco. Chociaż niewiele z tego było godne powtarzania, zwłaszcza w obecności Dzwonnika, Najdek i tak słuchał chciwie – w klasztorze trudno było o inne rozrywki.

Od początku Cabaj traktował chłopca z szorstką nieco przychylnością, ułatwiając mu przetrwanie pierwszych, najtrudniejszych miesięcy. Czasem, gdy dokuczył mu za bardzo górski wiatr, odgrażał się pod nosem, że rzuci służbę i znowu ruszy na morze. Najdek z początku przejmował się tymi zapowiedziami, bo nie chciał się z nim rozstawać – do czasu gdy zrozumiał, że na swoim kulasie Cabaj nie doczłapałby nawet do sąsiedniej doliny.



Ilekcroć bywał we wsi, nigdy nie zapominał skręcić z drogi w dół, gdzie w zakolu rzeki rozłożył się przysiółek drwali – kilkanaście małych chatek na kamienistym brzegu, bez ogródków i sadów. Nad samą wodą wznosiły się stosy pni, podparte wbitymi w ziemię drągami. Miejscowi spychali je na wodę, wiązali w wielkie tratwy i każdej wiosny, kiedy rzeka przybierała, spławiali w głąb kraju, aż do samego morza. Na nizinach dawno już wytrzebiono większość lasów pod uprawne pola, a w tych, które pozostały,

rzadko spotykano tak dorodne drzewa jak w górach – dlatego wyrąb trwał przez cały rok.

Powyżej zakola rzeki, gdzie stromy stok Rogacza schodził niemal do samej wody, ze skalistego urwiska wytryskiwała spieniona struga; spadając z hukiem w toń ze sporej wysokości – pięciu chłopa, albo i lepiej – wydrążyła w rzeczonym dnie rozległe zagłębienie. Najdek lubił kąpać się tutaj, choć lekko rdzawa woda podziemnego strumienia była bardzo zimna. Mógł za to nurkować głębiej niż gdzie indziej, chwytać gołymi rękami raki albo podpływać pod sam wodospad, gdzie siekły go po plecach lodowate biczyska. Chłopcy ze wsi bali się tutaj przychodzić – opowiadano, że wypływający z wnętrza góry strumień jest zatruty, a i sami drwale niechętnie przyglądali się tym jego harcom – ale Najdka nigdy nie spotkało nic złego. Kładł się potem na rozgrzanych w słońcu kamieniach, wchłaniał ciepło i usypiał powoli, słuchając brzęczenia owadów.

Na płyciźnie w zakolu taplały się zaprzęgowe foki. Jako malec bał się ich trochę, choć spozierały na niego łagodnie czarnymi ślepiami. Gdy zobaczył je po raz pierwszy, wylegujące się w mule, wydały mu się tak ogromne i nieruchawe, że nie potrafił w ogóle wyobrazić sobie, jak uda im się doczołgać na głębię. Naliczył ich przy brzegu więcej jak trzy tuziny – grube, obłe, pokryte szarym futrem cielska o pofałdowanych karkach i płetwiastych kończynach. Słuchał ich głębokich, przejmująco żalosnych głosów; zdawały się skarżyć Niebiosom, wysoko zadzierając wąsate pyski. Nie wierzył, że są oswojone, dopóki nie zobaczył, jak jeden z drwali śmiało wszedł między nie, za pomocą długiej, zaostrej żerdzi odgonił dwie z nich od stada, a potem sprawnie zaprzął do ciężkiej tratwy. W głębokiej wodzie nie wydawały się już tak nieporadne. Wystarczył jeden okrzyk drwala, by obróciły tratwę i pociągnęły ją w stronę głównego nurtu.

Czasem Najdkowi udawało się wyprosić u rzeźnika pozostałe po świniobiciu krwawe resztki – dzięki temu szybko wkupił się w łaski fok. Mógł klepać je pieszczotliwie po tłustych podgardlach i wybierać pasożytujące w fałdach skóry ślimaki. Pluskał się między nimi bez strachu, choć każdy nieostrożny ruch ciężkiego cielska mógł pogruchotać mu kości. Czasami brał kilka najmłodszych, skorych jeszcze do zabawy, na głębię, aż pod wodospad, gdzie baraszkowali razem, hałasując i nurkując aż do

piaszczystego dna. Żaden z drwali nie bronił mu tych zabaw. Śmiali się, choć narzekali żartobliwie, że zwierzęta robią się od tego narowiste i nierówno płyną w zaprzęgu.

Najpiękniej w przysiółku bywało wieczorami, kiedy mieszkańcy rozpalali na brzegu ogniska, które odbijały się w czarnej wodzie, wieczerali wspólnie, śpiewali i tańczyli. Gospodarze ze wsi patrzyli na nich nieco krzywo, bo drwale zwykle trzymali się razem, na uboczu i nie bardzo lubili dopuszczać obcych do swoich spraw. Może uprawiający ziemię górale obawiali się też trochę tych nieokrzesanych siłaczy, którym często wypadało nocować w górach, a to, jak wiadomo, nikomu nie mogło wyjść na dobre. Drwale nosili długie, związane na plecach włosy, dłonie mieli stwardniałe od siekier, twarze spalone słońcem, a głosy ochryple od nawoływania się w głuszy. Do pasa przytracali noże o szerokim ostrzu i rogi, w które dęli jedynie w razie wielkiego niebezpieczeństwa – ten, kto usłyszał takie wezwanie, bez względu na wszystko natychmiast ruszał na pomoc. Każdy nosił także przy sobie małe zwierciadełko, aby w pogodne dni przesyłać w dolinę sygnały świetlne. W górach mogli polegać tylko na sobie nawzajem. Nawet zwalone pnie sami ciągnęli ze zboczy nad rzekę, bo konie i woły bały się lasu, często płoszyły się i trudno było je okiełznać. Bardzo niewiele było w przysiółku kobiet. Drwale woleli zostawiać żony gdzieś w przybrzeżnych wioskach w dole rzeki i odwiedzać je co parę tygodni w czasie spływu niż oglądać każdego ranka niepokój w ich oczach, kiedy wychodzili na wyrąb.

Ale Najdek nie unikał ich, a i oni z czasem zaczęli traktować go niemal jak swego; pozwalali mu siadać przy ogniu i słuchać swoich dziwnych opowieści, w których tak trudno było odróżnić zmyślenie od prawdy.

To właśnie jednego z takich zaczarowanych letnich wieczorów postanowił, że gdy dorośnie, przystanie do drwali. Był przekonany, że tylko oni naprawdę żyją pełną piersią – radośnie, beztrąsko i barwnie. Parę razy przymierzył się nawet do wielkiego toporzyska, ale choć nie zdołał go udźwignąć, nie ostudziło to jego zapału. Przypuszczał, że kiedy zmężnieje i nabierze krzepy, będzie równie łatwo wymachiwać tym ciężkim narzędziem, jak teraz miotłą.

Kiedyś zwierzył się z tych zamiarów Wzdredze, siwowłosemu olbrzymowi o grubych, żyłastych ramionach i brodzie zaplecionej w warkoczyki, którego

szanowano powszechnie z racji wieku i doświadczenia. W odróżnieniu od reszty drwali ten był milczącym ponurakiem, lecz mimo to potrafił okazać chłopcu jakiś rodzaj życzliwości, a może nawet przywiązania. Podarował mu nawet swój stary nabijany ćwiekami pas i chętnie gościł go w swej lichej budzie, którą nazywał domem.

Gdy usłyszał, co małemu chodzi po głowie, splunął tylko przez zęby i skrzywił się, jakby usłyszał coś wyjątkowo głupiego.

– Siedź, gdzie ci dobrze – wymruczał niczym zagniewany niedźwiedź.

– W klasztorze wcale nie jest dobrze! – zawołał Najdek, niemile dotknięty tym brakiem zrozumienia.

– Masz lekką robotę, dach nad głową i zawsze pełną michę. Może kiedyś wysłużysz sobie nawet, że Mistrz przyjmie cię do szkoły.

– To nie dla mnie. W bibliotece zaraz kicham, tyle tam kurzu. Chcę chodzić po górach, śpiewać przy ognisku i pływać rzeką do morza, jak wy...

– Nie nawykłeś do takiej pracy, zmarniałbyś w parę tygodni.

– Nieprawda! – Najdek gotów był choćby zaraz rzucić się do ścinania stuletnich dębów. – Jestem silniejszy, niż wyglądam, z czasem nabiorę ciała. Przecież ty też nie urodziłeś się do razu takim mocarzem.

Wzdrenga wyprostował się i rozejrzał po zakolu rzeki, rozświetlonym blaskiem kilkunastu ognisk. Wydawało się, że szuka kogoś wzrokiem i nie może znaleźć. Otrząsnął się po chwili z zamyślenia, podniósł płaski kamyk i puścił kaczkę na pomarszczoną wodę.

– Znasz Kiteę? – zapytał raptem.

Najdek przypomniał sobie postać niewysokiego, zadziornego drwala, który dokuczał mu czasem, że kiedy w klasztorze nauczą go czytać, dostanie wytrzeszczu i przez to nigdy nie znajdzie żony.

– Znam – potwierdził niechętnie.

– A Mischzuka?

– Też.

– Zgardę?

– Tak.

– Mielnika?

– Jasne – zniecierpliwził się. – O co właściwie chodzi?

– O to, że nie ma ich tutaj.

Najdek spojrział w stronę sąsiedniego ogniska. W drżącym światłocieniu nie był w stanie rozróżnić twarzy.

– Rzeczywiście, chyba nie widziałem ich od jakiegoś czasu – wzruszył ramionami. – Co z nimi? Nie wrócili z ostatniego spływu?

– Zostali w górach.

– Jak to w górach? Przecież... – Nagle zrozumiał; urwał w pół słowa.

Wzdreğa spokojnie skinął głową, puścił kolejną kaczkę.

– Kiteę przygniotło drzewo. Zaplątał się w krzaki i nie zdążył w porę uciec. Miszczuk zniknął, pewnie zwodnice poprowadziły go w pułapkę. Zgardę rozszarpała niedźwiedzica. A Mielnik... – zamilkł na chwilę, rozpamiętując coś ze zmarszczonym czołem. – Nie dopilnował w nocy ognia i wykończyły go pijawce. Wyssały z niego całą krew.

– Nie wiedziałem. – Chłopak poczuł w gardle wielką gulę, której nie potrafił przełknąć. – To dziwne, że ani razu nie widziałem stosu pogrzebowego...

– Dla takich jak my nikt nie ułoży stosu i nie rzuci w ogień szczypty kadzidła. Naszych prochów nikt nie powierzy rzece – przerwał Wzdreğa sucho. – W górach nie ma miłosierdzia. Kto jest za słaby, żeby żyć, ten na zawsze zostaje w górach. Każdego roku ubywa kilkunastu drwali. Na ich miejsce przychodzą inni, najczęściej młodzi, którym za ciasno w rodzinnych chatach. Tacy zwykle nie przeżywają pierwszego roku. – Powiódł ręką dokoła. – Teraz tańczą i śpiewają, ale nikt z nich nie wie, czy to nie ostatnia taka noc. Opowiadają różne bajki, bo sami chcą wierzyć, że żyją piękniej niż inni. Przy ogniskach nie rozmawia się o znoju i strachu.

Najdek patrzył na góry, które teraz przypominały czarne cienie, rzucone na granatowe niebo. Tylko w klasztornej wieży, wysoko na skale, pełgało słabe światelko.

– Ze mną tak nie będzie! – Zacisnął pięści. – Dam sobie radę. Nauczyłeś mnie już rozróżniać gatunki drzew, budować szałas, nawet migotać zwierciadełkiem...

– To tylko zabawa.

– Ty sam chodzisz w góry całe życie i nie spotkało cię nic złego.

– Miałem szczęście. Są takie niebezpieczeństwa, przed którymi nie ustrzeże ani przezorność, ani doświadczenie, ani odwaga. Takie, o których

nie układa się piosenek. – Ostatnia kaczka nie udała się, kamień zatonął z pluskiem. – Nie, chłopcze. Dopóki ja mam tutaj coś do powiedzenia, nie zostaniesz drwalem, choćbyś miał z tego powodu znienawidzić mnie na resztę życia.

Tej nocy Najdek zakołatał w bramę później niż zwykle i odźwierny zbeształ go ostro. Zasypiając, słyszał szum lasu, ale nie z zewnątrz, tylko w sobie. Nie bał się; tęsknił jeszcze bardziej.

Mimo wszystko pewnie w końcu byłby się zniechęcił i pozwolił zblaknąć niedościgłym marzeniom, gdyby nie Kłys.

Drwale nigdy nie chadzali w góry samotnie, najchętniej pracowali w dużej gromadzie, a jeśli wypadło im rozproszyć się w lesie, trzymali się dwójkami. Kłys przy robocie był nieodłącznym towarzyszem Wzdreği. Wspólnie powalali drzewa, razem stawali do zwózki, jadali z jednej miski, a jeśli musieli przenocować w lesie, jeden spał, a drugi czuwał, strzegąc ognia. Choć nie rozmawiali dużo, rozumieli się świetnie – w górach zwykle wystarczała im wymiana spojrzeń, drgnienie brwi, nieznaczny gest dłoni.

Wielu dziwiło się, że właśnie ci dwaj tak łatwo dobrali się ze sobą, bo Kłys niemal we wszystkim różnił się od Wzdreği. Niski, przysadzisty, żwawy, po robocie hałaśliwy i chętny do zabawy, był dużo młodszy od siwego olbrzyma. W przysiółku właściwie nie mieli żadnych wspólnych spraw, rozchodzili się każdy w swoją stronę.

Wesoły drwal zaczepił kiedyś Najdka, kiedy ten wracał znad rzeki do klasztoru. Klepnął go w plecy, stwardniałą dłonią zmierzwił jego włosy.

– No, co tam? – mrugnął okiem. – Ten ponury drab znowu cię straszyl?

W pytaniu Kłysa chłopak wyczuł kpinę. Uchylił się spod ręki drwala i spojrzał wyzywająco.

– Niczego się nie boję!

– Czyżby? A mnie się zdaje, że chyba trochę trzęsą ci się łydki...

– Nieprawda! Dobrze wiem, że Wzdreğa opowiada to wszystko, bo nie chce, żebym przystał do was. Na pewno zmyślił połowę.

Kłys spoważniał. Chwycił chłopca za ramię i ścisnął mocno.

– Bardzo się mylisz. Gdyby opowiedział ci wszystko, co widział, pewnie popuściłbyś w gacie. – Przyglądał się Najdkowi uważnie, jakby chciał odgadnąć jego skryte myśli. – Ale nawet on nie zawsze ma rację. Nie

rozumie, że cokolwiek zrobi i powie, ty i tak pójdziesz w góry. Wiem to, bo sam kiedyś byłem taki jak ty.

Puścił go, odetchnął głębiej i chwili przekorny uśmiech znów rozjaśnił jego twarz.

– Podobasz mi się, może i będą z ciebie ludzie. Zapamiętaj tylko, że tacy, którzy nie boją się niczego, w górach zwykle giną pierwsi. A tchórze zaraz po nich. Trzeba szybko się uczyć i słuchać dobrych rad. – Rozgarnął koszulę pod szyją i wyciągnął jakiś wisiołek na rzemieniu. – Wiesz, co to jest?

Przed oczyma Najdka zakołysała się para ostrych, chyba wilczych kłów. Nie zdziwił się, widywał podobne ozdoby u wielu drwali – zęby niedźwiedzi, szpony orła, czaszkę żmii – chociaż nie wszyscy je nosili.

– To musiało być naprawdę duże zwierzę – przyznał z szacunkiem. – Sam go zabiłeś?

– Pewnie.

Najdek wyciągnął rękę, aby dotknąć wisiora, jednak zaraz cofnął dłoń.

– Mistrz gniewa się o takie przesady... Mówi, że tylko opieka aniołów nigdy nie zawodzi.

– I dobrze mówi, od tego jest przecież Mistrzem. Bardzo możliwe, że anioły nigdy nie spuszczają z oczu klasztornej dziedziny, gdzie co dzień pachną im kadzidła, ale przez to rzadziej zerkają na góry. Mistrz nie może o tym wiedzieć, bo sam prawie nie wystawia nosa ze swojej wieży. Komu to szkodzi, że duch wilka chroni mnie w lesie? Ostrzega przed niebezpieczeństwami, wzmaga siły, daje wytrwałość. Nawet w bezksiężycowe noce śpię spokojnie, kiedy ona wyłazi ze swojej nory.

– Kto taki?

Kłys wpuścił wilcze kły za koszulę z taką miną, jakby żałował, że je w ogóle pokazał.

– Nie musisz wszystkiego od razu wiedzieć.

Odszedł, pogwizdując beztrudnie, a Najdek pozostał sam na ścieżce, z mocno bijącym sercem i płonącymi policzkami. Nie oburzał się na Kłysa, choć może powinien. Żałował, że nie wypytał go dokładnie, jak poluje się na wilka.



Wioska obywatła się bez studni. Kobiety nosiły wodę z rzeki; stękając pod ciężarem nosidła, wspinały się po stromym skłonie nadrzecznej skarpy, w słotę, w mróz i w upał, obszczekiwane przez na wpół zdziczałe psy i zaczepiane przez drwali. Przez długie lata nikomu nie przychodziło do głowy, że mogłoby być inaczej, lecz w miarę jak rosła sława klasztoru i przybywało coraz więcej pielgrzymów, doroczne jarmarki przyciągały tłumy, powiększał się przychówek w oborach, a sama wieś i przysiółek drwali rozrosły się znacznie – te ciągłe wędrówki z cebrami stały się zbyt uciążliwie. Największy kłopot miał karczmarz Dybiec – grubas o czerwonym, pofałdowanym karku i owłosionych dłoniach, które wycierał w zatłuszczony fartuch. Przez jakiś czas opłacał paru nosiwodów, ale że żał mu było na takich oberwańców każdego miedziaka, skrzyknął w końcu najznacniejszych we wsi gospodarzy i przekonał ich, że czas sprowadzić studniarza.

Co prawda nie przyszło to łatwo. Wieśniacy na ogół nie lubili zmian, spodziewali się po nich więcej złego niż dobrego. Żyli w cieniu gór, gdzie wszystko zależało od kruchej równowagi pomiędzy mrokiem Otchłani i światłością Niebios. Woleli poprzestawać na małym niż sięgać po zbyt wiele, poczucie umiaru mieli we krwi. Mistrz poparł wprawdzie całe przedsięwzięcie, ale jednocześnie nazwał ich obawy przed dziurawieniem ziemi zabobonem i ciemnotą, co przyjęli urażonym milczeniem. Nie przekonało ich także to, że Dybiec obiecał wziąć na siebie większą część kosztów – to przecież właśnie on miał na studni najczęściej skorzystać. Sprawę przesądził dopiero upór kobiet, które – choć nikt nie pytał ich o zdanie – zgodnie odmówiły dalszego biegania po wodę do rzeki. Gospodarze roztrząsali jeszcze dla pozorów pomysł karczmarza aż do późnej nocy, popijając darmowe piwo, drapiąc się po głowach i skubiąc wąsiska, ale rzecz była już właściwie postanowiona.

Karczmarz zaprzął wóz i paru dniach przywiózł studniarza. Nie wypadało przyglądać się komuś takiemu zbyt otwarcie, więc ludzie popatrywali zza płotów i uchylonych drzwi. Był niewysoki, chudy, kędzierzawy i tak ponury, jakby miał za złe Słońcu, że świeci. Nikt go, rzecz prosta, nie powitał ani nie zaprosił pod swój dach. Człowiek tego fachu nie miał prawa mieszkać między ludźmi, podobnie jak grabarz i kat.

Zeskoczył z wozu, obrzucił wioskowy majdan pogardliwym spojrzeniem. Rumiana z przejścia karczmarzowa wyniosła mu miskę przed próg, aby nie przyszło mu do głowy wieczerać w izbie. Musiał być przyzwyczajony do takiego traktowania, bo bez słowa przysiadł na dyszlu. Zjadł bez pośpiechu, popił piwem, kości cisnął psom, potem podniósł swój nędzny tobołek, zarzucił na ramię szpadel i odszedł za wieś, na kamieniste nieużytki. Ściął nożem kilka prętów leszczyny, sklecił byle jaki szałas, przyrzucił ściany rozłożystymi gałęziami jedliny, wczołgał się do środka – i tego dnia nie pokazał się więcej.

Nikt nie przeszkadzał mu w odpoczynku, nawet psy niuchały z daleka, wyciągając szyje, jakby wyczuwały w tym łachmaniarzu jakieś zagrożenie, z którym nie spotkały się nigdy wcześniej.

Rankiem, równo z pierwszymi uderzeniami dzwonu, już był przy robocie. Obszedł zakurzony majdan raz i drugi, skręcił na środek, przykucnął i wydobyl z za pazuchy wielką guzowatą ropuchę. Pogładził ją pieszczotliwie po szerokim grzbiecie, szepnął coś, a potem ostrożnie popychając palcem, spędził z dłoni na ziemię. Gdy odkicała parę susów, poszedł za nią; znów uciekła kawałek dalej. Przechadzali się tak przez dłuższy czas po pustym placu – nikt nie wychylił się z za płotu, żaden głos nie przerwał ciszy – aż wreszcie ropucha zatrzymała się w zarośniętym pokrzywami narożniku, rozdęła pęcherze i nie ruszyła już dalej, choć studniarz dla pewności uderzył piętą w twardą, ubitą ziemię.

– Tutaj.

Powiedział to niegłośnie, jakby tylko do siebie, ale Dybiec natychmiast wybiegł z za węgła karczmy.

– Jesteś pewien? – Zmarkotniały pokręcił głową. – Myślałem, że to wypadnie jakoś bardziej na środku.

– Może być na środku, ty płacisz. Ale tam nie dokopujemy się do wody.

– Dobra, tylko pytałem. – Karczmarz rozłożył ręce. – Skoro twierdzisz, że ta gadzina zna się na tym...

– Zna się, tak jak ty znasz się na rozcieńczaniu wina.

– Wystarczy! – przerwał mu Dybiec szybko. – Rób swoje. Czego ci potrzeba?

– Niczego. – Studniarz zdjął szpadel z ramienia, skierował ostrą krawędzią w dół i niespodziewanie opuścił wprost na ropuchę. Krew obryzgała mu stopy i postrzępione nogawki. Po raz pierwszy uśmiechnął się do pobladłego karczmarza. – To na szczęście.



Ludzie omijali z daleka ten zakątek majdanu, starali się nie spoglądać nawet na rosnący dzień po dniu kopiec wybranej z wykopu ziemi. Im dłużej to trwało, im głębiej sięgała studnia, tym ciszej przemykali wzdłuż płotów, a nocami w ogóle nie wychodzili z chat. Niektórzy żalowali poniewczasie, że zgodzili się na ten szalony wybryk, i już po tygodniu zaczęli namawiać innych, żeby zakopać dziurę, póki nie wydarzyło się nieszczęście. Karczmarz uspokajał, jak mógł; opowiadał, że odległych wsiach widywał studnie głębokie nawet na czterdzieści łokci, ale widać było po nim, że sam stracił wiele na pewności siebie. Wiedział dobrze, że co powiodło się gdzieś tam na świecie, wcale nie musi skończyć się dobrze tutaj, w podgórskiej dolinie, nad którą ledwie od trzech pokoleń unosiły się dymy kadzideł.

Najdek, choć udzieliły mu się obawy wieśniaków, kiedy tylko mógł podpatrywał studniarza przy pracy, przykucnąwszy za dziurawym płotem. Za każdym razem, gdy tamten spuszczał się po linie w głąb wykopu, chłopak zastanawiał się, czy go jeszcze zobaczy. Podziwiał jego odwagę. Tam, na dole, musiało być ciasno, ciemno i cicho, zupełnie jak w grobie. Niecierpliwiał się, gdy kędzierzawa głowa zbyt długo nie ukazywała się z powrotem ponad oszalowaniem z desek, nasłuchiwał, wychylony zza płotu, parę razy chciał już nawet biec do karczmy po pomoc – jednak zawsze w końcu skrzypiała lina i półnagi studniarz wyłaniał się spod ziemi, spocony i brudny, dźwigając na plecach wypełniony kamienistą ziemią kosz. Odpoczywał przez chwilę, pociągał piwa prosto z dzbana, przegryzał plackiem i wracał do strasznej czeluści, zabierając ze sobą kilka desek dla umocnienia ścian wykopu. Jeśli bał się choć trochę, jeśli miewał wątpliwości – wody wciąż nie było, ropucha mogła przecież pomylić się tym razem – nie okazywał ich. Harował z zaciętym, ponurym uporem, z każdym dniem wgryzał się coraz głębiej w ziemię, a jego złe spojrzenie wydawało się mrocznieć jeszcze bardziej.

Któregoś razu przepadł na tak długo, że Najdek całkiem stracił głowę. Był pewien, że stało cię coś bardzo złego. Chciał uciekać do klasztoru, ukryć się w szopie pod sianem, ale nie mógł tak zostawić studniarza. Może jeszcze nie było za późno, żeby go uratować. Przelazł przez płot na miękkich z przerażenia nogach, podbiegł do wykopu. Zawahał się, nim zajrzał w głąb, ale jednocześnie czuł, że jeśli tego nie zrobi, będzie się bał coraz bardziej i bardziej.

Pochylił się nad wykopem. Zanim zdołał dostrzec cokolwiek, coś chwyciło go mocno za nogawkę. Zachwiał się, wydał zduszony okrzyk – i w tej samej chwili usłyszał nieprzyjemny, syczący śmiech.

– Popuściłeś w gacie, co? Przyznaj się! – Studniarz podciągnął się i usiadł na desce, z nogami opuszczonymi do wykopu. Chłopcu zakręciło się w głowie, przysiadł na piętach.

– Myślałeś, że to demon złapał cię za nogę i ciągnie w Otchłań, prawda? – Tamten znowu zakaszlał chichotem, ale w jego ciemnych oczach nie zaiskrzyła się ani odrobina wesołości. – Wszyscy tu smrodzicie ze strachu, że w końcu przekopię się na drugą stronę.

Chłopak milczał, czekając, aż serce przestanie dudnić i rozwieje się szara mgła przed oczami.

– A ty czemu mnie podglądasz? Myślisz, że nie słyszę, jak sapiasz tam za płotem? – Studniarz strzyknął śliną w mroczną dziurę, przyjrzał się Najdkowi jakby z nowym zaciekawieniem. – Nie spodziewałem się, że podejdziesz.

– Chciałem zobaczyć, czy nic ci się nie stało...

– Wiesz, co zrobiliby wieśniacy, gdybym na przykład skręcił nogę i nie mógł wyjść? Zasypaliby mnie żywcem i jeszcze udeptali plac. – Zgarnął dłonią z deski grudki ziemi, które po chwili zaszeleściły na dnie wykopu. – Idź lepiej do domu, bo ojciec obje cię za to, że ze mną rozmawiasz.

– Nie mam ojca. Służę w klasztorze.

– Taak? – przeciągnął, mrużąc oczy. – Więc co tutaj robisz? Znudziły ci się Niebiosy i chciałeś dla odmiany zajrzeć w Otchłań?

– Słyszałem, jak Mistrz mówił uczniom, że nikt nie może przebić się do Otchłani...

– Chyba nie bardzo w to wierzysz, skoroś taki blady.

Najdek zmieszał się; właściwie sam już nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Czuł się winny, że rozmawia z tym dziwnym człowiekiem – on jeden z całej doliny, nie licząc karczmarza – ale jednocześnie uszy aż piekły go z ciekawości.

– A ty... przebiłeś się kiedyś?

Studniarz pokiwał głową w posępnym zamyśleniu, a potem nieoczekiwanie uśmiechnął się prawie przyjaźnie.

– Nigdy. Twój Mistrz ma rację. Zresztą mnisi zwykle nie kłamią, często za to nie mówią całej prawdy. – Wskazał kciukiem kopiec. – Nawet gdybym usypał tutaj drugiego Rogacza, dziura jeszcze nie byłaby dość głęboka, żeby sięgnąć Otchłani.

Najdka powinna zadowolić taka odpowiedź, a jednak odczuł jakby cień zawodu.

– Ludzie różnie o tym mówią... – bąknął nieśmiało.

– Ludzie są głupi, a tacy jak ja żyją z ich głupoty. Dla mnie dobrze, kiedy się boją, inaczej wykopaliby sobie tę studnię sami.

– A ropucha?

– Takie tam małe przedstawienie... Wieśniacy lubią wiedzieć, że zatrudnili fachowca. Gardzą mną, brzydzą się, ale i tak zapłacą, ile zażadam. Tak naprawdę nie mam pojęcia, czy właśnie w tym miejscu znajdę wodę. Jeśli nie, powiem, że ktoś nieżyczliwy rzucił na studnię zły urok i zacznę kopać w innym miejscu.

– Oszukujesz ich!

– Sami się oszukują. Ja tylko robię to, czego się po mnie spodziewają.

Najdek wstydził się teraz każdej godziny spędzonej za płotem na wyczekiwaniu wielkiej, przemilczanej przez wszystkich tajemnicy.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał zniechęcony.

– Bo jesteś inny od nich. Obchodzi cię los studniarza.

Chłopiec wstał, otrzepał spodnie. Nie zajął do wykopu.

– Pójdę już – mruknął.

– Zaczekaj! Szkoda cię do klasztoru, tam szybko zrobi się dla ciebie za ciasno. Kiedy skończę tę robotę, zabiorę cię ze sobą i nauczę fachu. Chcesz?

Najdek potrząsnął smutno głową.

– Teraz już nie.



Z początku nie chciał mówić Cabajowi o tym, co zaszło – bał się, że odźwierny nakrzyczy na niego, albo, co gorsza, wyśmiej. Do zachodu słońca snuł się bez celu po klasztorным dziedzińcu, jednak po wieczornej ceremonii, gdy usiedli jak zwykle obok siebie przy zamkniętej bramie, nie wytrzymał i wygadał wszystko, byle tylko podzielić się z kimś tym swoim wielkim, niezrozumiałym rozczarowaniem.

Wbrew obawom Cabaj wysłuchał opowieści spokojnie, a kiedy chłopak skończył, ziewnął nawet, jakby lekko znudzony.

– Więc o co właściwie chodzi? Żal ci, że ten szubrawiec nie dokopał się do Otchłani?

– Nie! Ale... Dziwnie jakoś. Skoro studnie bez dna nie istnieją, chociaż tylu ludzi w nie wierzy, to skąd można wiedzieć, co jest prawdą, a co nie? Może anioły też nie istnieją. Może Niebiosa są puste!

– Słuszna uwaga. – Cabaj rozgryzł pestkę słonecznika. – Na szczęście nikt o zdrowych zmysłach nie twierdzi, że studnie bez dna nie istnieją.

– Jak to? – Najdek wyprostował się.

– Człowiek nie przekopie się na tamtą stronę, ale demony czasem drążą przejścia z Otchłani aż do naszego świata. Szczególnie te, które niedawno upadły i bardzo tęsknią do światła.

– Jesteś pewien? Gdzie można znaleźć taką studnię?

– Na pewno nie na wioskowym placu. I lepiej w ogóle jej nie szukać.

– Dlaczego? Czy to niebezpieczne?

Odźwierny bez ostrzeżenia wymierzył Najdkowi karcące kłaśnięcie w kark.

– Niebezpieczny to będzie Dzwonnik, kiedy dowie się, jakie sprawy cię zajmują.



W okresach świątecznych pustawa na ogół gospoda wypełniała się gwarnym tłumem przybyszów, choć trudno byłoby wypatrzeć tutaj szary pielgrzymi kaptur. Pobożni ludzie, których przywiodła w tę dolinę sława mnichów pieśniarzy, woleli sypiać w gościnnych szopach za klasztorным murem. Ławy za długimi stołami karczmy obsiadali ci, którym częściej

szumiało w głowach od wina niż od kadzidła: kuglarze, wróżbici, sprzedawcy fałszywych relikwii, żebracy o zdumiewająco pełnych trzosach, wesole pannice w pstrokatych kieckach i wszelkiego rodzaju włóczędzy, którzy nie potrafili przespać dwóch nocy w tym samym miejscu. Czasem wpadał tu dla postrachu wysłany przez Mistrza Gurgul z paroma strażnikami, jednak zwykle kończyło się na tym, że upijał się z tą hałastrą zamiast rozpędzić ją na cztery wiatry. Zresztą kiedy przemijały świąteczne dni, gorszyciele sami wynosili się ze wsi, aby szukać zarobku gdzie indziej.

Najdek korzystał z każdej sposobności, żeby przyjrzeć im się z bliska, słuchać, o czym mówią, odgadywać z gestów i spojrzeń tę inność, która wywierała na nim tak wielkie wrażenie. Nawet brud za ich paznokciami pochodził przecież z kurzu dalekich, tajemniczych dróg. Lubił myśleć, że on sam także różni się w jakiś sposób od wieśniaków, dla których już wyprawa do sąsiedniej doliny była wielkim wydarzeniem. On także przywędrował przecież niegdyś stamtąd, zza pofałdowanego łagodnymi wzgórzami widnokrzęgu.

Dybiec zadziwiająco zwawo uwijał się wśród gości, roznosząc pękate ęsiory i kubki. Najdek starał się nie wchodzić mu w drogę, bo karczmarz miał zwyczaj wypędzać kopniakami za próg każdego, na kim nie mógł zarobić, ale czasem chłopcu udawało się wcisnąć niepostrzeżenie w kąt izby za piecem, żeby stamtąd przypatrywać się ludziom, którzy żartowali, kłócili się i najwymyślniej przeklinali. Otwarcie chwalono się tutaj sprytnym oszustwem albo zuchwałą kradzieżą, bezwstydnie wspomniano uwiedzione panny i mężatki, pokazywano blizny po nożach i czerwone piętna na ramionach, które kat wypalił niegdyś gorącym żelazem. Występek obnoszono jak cnotę, drwiono z wszelkich świętości, czasem nawet poprzez czarny od dymu strop wygrażano pięściami Niebiosom.

Najdek wiedział, że nie powinien tego słuchać – gdyby Dzwonnik dowiedział się o tym, ukarałby go trzydniowym postem o chlebie i wodzie – a jednak chciwie chłonał każde słowo, bo spoza tych wszystkich bezceństw i bluźnierstw od czasu do czasu przezierał kawałek prawdziwego szerokiego świata, jakiego nie mógłby dostrzec nawet ze szczytu klasztornej wieży.

Czasem widywał w gospodzie małą posługaczkę, chudą piegowatą dziewczynkę, młodszą chyba od niego o rok czy dwa. Wiedział, że jest

sierotą jak on sam, ale nie próbował dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Spotykał ją tylko zimą, od wiosny do jesieni miała pewnie jakieś inne zajęcia. Współczuł jej, bo Dybiec tłukł ją bez opamiętania za każde uchybienie w robocie, prawdziwe czy urojone, nie zważając nawet na gości. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek krzyczała albo płakała, po każdym biciu zaciskała tylko mocno wargi i bez słowa wracała do szorowania podłogi popiołem albo noszenia kubłów z wodą.

Nigdy nie zamienił z nią ani słowa. Parę razy tylko pochwycił jej krótkie, jakby przypadkowe spojrzenie, ale to było za mało, żeby się do niej choćby uśmiechnąć. W gruncie rzeczy mało obchodził go jej los; skoro nie skarżyła się, widocznie nie było jej aż tak źle.



W najkrótszą ze wszystkich nocy, poprzedzającą święto Jutrznii, pod klasztorną skałą rozpalano setki ognisk, wytaczano beczki z piwem, a miejscowi mieszały się z przyjezdnymi w rozpasanej zabawie. Starsi górale jedli, pili i tańczyli, nawet poważni gospodarze dokazywali niczym wyrostki. Drwale skakali przez płomienie, młodzieńcy obściskiwali dziewczyny w skalnych rozpadlinach. Od mrocznych zboczy Rogacza odbijały się rubaszne przyśpiewki, podniecone psy biegały luzem, walcząc między sobą o dymiące kęsy mięsiwa, a północy, kiedy sporo beczek leżało już pustych, bójki i tumulty wybuchały także między ludźmi.

Tylko w klasztorze panowała cisza. Mistrz z mnichami i uczniami czuwali w dolnej izbie wieży, w poście i milczeniu szukając skupienia, aby czystymi sercami powitać Jutrznię. Zgodnie z dawnym obyczajem brama pozostawała otwarta aż do świtu jako oznaka gotowości na przyjęcie światła Łaski, ale odzwierny i tak pozostawał na swoim miejscu, na wypadek gdyby któryś z pijanych swawolników zabłąkał się aż tutaj, na szczyt skały. Towarzyszył mu zwykle Najdek; wołał to od bezsennego przewracania się z boku na bok i nasłuchiwania odgłosów świętowania – jako najmłodszy z posługaczy nie miał zgody Dzwonnika na spędzenie nocy poza murami. Kiedy był młodszy, nie przeszkadzało mu to – wierzył słowom Mistrza, który mawiał, że gdyby górale chcieli uczcić demony z Otchłani, robiliby to zupełnie tak samo – ale z czasem i jemu zachciało się skosztować tych zakazanych

przyjemności, o których inni posługacze opowiadali sobie z chichotem na ucho.

Dziesiąta Jutrznia, licząc od dnia, kiedy przyprowadzono go do klasztoru, okazała się inna od wszystkich poprzednich. Gdy po zmroku dziedziniec opustoszał, Najdek próbował porozmawiać o swoich troskach z odźwiernym, ale ten zbył go krótko:

– Jeszcze masz czas.

– Wszyscy świętują, tylko mnie nie wolno! – poskarżył się gorzko.

– A co? Wolałbyś wyłopać bukłaczek wina i złapać po ciemku za cycki jakąś góralkę?

– Nie o to chodzi! – Mimo woli zaczerwienił się. – Chciałbym czekać na świt razem z innymi.

– Wielu z nich nie zobaczy Jutrzni, zwałą się wcześniej gdzieś do śmierzącego szczynami rowu.

– Mówisz tak, bo sam nie mógłbyś już skakać przez ognisko jak oni! Zazdrościsz im.

– Straciłem nogę w potyczce z morskimi zbójami. Takie kalectwo to powód do dumy. – Cabaj ubił komara na szyi. – A ty uważaj. Może i nie podskoczę wysoko na moim kulasie, ale zawsze mogę kopnąć cię w... – urwał w pół słowa, odwrócił się w stronę rozwartej szeroko bramy.

U stóp schodów wybuchł nagły tumult.

– Co się stało? – Zaciekawiony chłopak na chwilę zapomniał o własnych żalach.

– Wcześniej się w tym roku schlali. – Odźwierny omiół spojrzeniem szczyty murów. – Został tam jakiś strażnik?

– Chyba nie, wszyscy pilnują porządku na dole...

– Już ja wiem, jak pilnują. – Cabaj splunął, podniósł się ciężko. – Trudno, będziemy musieli użerać się sami.

Gwar podnieconych głosów zbliżał się wyraźnie, ale nie było już słycać wśród nich śmiechów i śpiewów, tylko okrzyki gniewu, a może i groźby. Niebawem z drugiej strony przesmyku ukazały się światła pochodni, na skałach ogromniały zniekształcone cienie ludzi, którzy tłoczyli się i przepychali, cudem tylko nie strącając się nawzajem w przepaść. W

chwiejnym świetle Najdek nie mógł rozpoznać żadnej twarzy – to chyba byli jacyś obcy górale, mieszkańcy którejś z sąsiednich dolin.

Odźwierny zastąpił im drogę w otwartej bramie, wspierając się pod boki dla dodania sobie powagi.

– Stójcie! – zawołał. – Co za demon was przygnał? Tu nie miejsce na pijatykę.

Zatrzymali się; tylko idący na przedzie góral – niemłody już, przygięty w krzyżu wieloletnią ciężką pracą, ale krzepko trzymający się na nogach, jakby tej nocy nie rozpoczął jeszcze świętowania – postąpił parę kroków naprzód.

– Każdy ma prawo oglądać Jutrznę z dziedzińca klasztoru. – Uniósł wyżej pochodnię, chcąc się przekonać, z kim ma do czynienia.

– Do świtu jeszcze daleko.

– Nie szkodzi. Poczekamy.

– Co wam tak pilno? Na dole jest weselej.

– Nie przyszliśmy tu dla zabawy. – Zbliżył się jeszcze, szurając podeszwami w nagle zapadłej ciszy. – Mamy czarownicę.

Skinął dłonią. Z gromady za jego plecami wysunęło się dwóch ludzi, którzy prowadzili między sobą pod ręce słaniającą się kobietę o podrapanej twarzy, rozbitej wardze i półprzytomnym, zagubionym spojrzeniu. Była brudna, rozczochrana, w podartych łąkach, powłóczyła prawą nogą, zakutą w żelazną obręcz z łańcuchem.

Cabaj ledwie rzucił na nią okiem, sarknął drwiąco.

– Nie żartuj ze mnie, człowieku, nie urodziłem się wczoraj. Taka z niej czarownica, jak ze mnie mnich.

– Złapaliśmy ją miesiąc temu, w lesie.

– Każdemu wolno chodzić do lasu.

– To było już po zachodzie słońca. Nie chce powiedzieć, co tam robiła. Nikt od nas jej nie zna.

Odźwierny wyszedł przez bramę, mijając górala, wyjął z jego ręki pochodnię i oświetlił z bliska twarz kobiety. Patrzyła przestraszona w ogień, bełkocąc coś niezrozumiale pod nosem.

– Sam już nie wiem, kto jest bardziej pomyłony, ona czy wy! – zawołał rozzłoszczony. – Przecież od razu widać, że to jakaś biedna przybłęda, na dodatek chyba niemowa. Trzymaliście ją pewnie przez ten miesiąc w

ciemnicy, to i do reszty pomieszało się jej w głowie. Może teraz sama wierzy, że jest czarownicą.

Gromada górali zakołysała się, zaszemrała, twarze sposepniały jeszcze bardziej. Ten, który im przewodził, zaświecił w półmroku łzawymi oczyma.

– Nie ty będziesz o tym rozstrzygał – wycedził ponuro. – Przepuść nas, żądamy dla niej próby Słońca. Nawet sam Mistrz nie może nam tego odmówić.

– Róbcie, co chcecie, skoroście się z owcami na rozumy pozamieniali. – Cisnął pochodnię w przepaść, okręcił się na drewnianej nodze i odszedł w głąb dziedzińca, przysiadając na stosie drew obok szopy.

– Co to wszystko znaczy? – Przejęty Najdek pobiegł za nim. – Czego oni chcą?

– Widowiska. – Cabaj patrzył ponuro spod oka na wchodzących przez bramę górali, teraz jakby onieśmielonych pustką dziedzińca, na którym rozlegał się tylko szurgot kroków. – Chcą zobaczyć, jak o świcie demony porwą czarownicę do Otchłani.

– Przecież mówiłeś, że ona nie jest...

– Oczywiście, że nie jest – przerwał chłopcu podrażniony kuternoga. – Czarownicy nie można złapać ot tak sobie, jak królika. Zresztą zostało ich już bardzo niewiele i pewno nie włóczą się w pobliżu wiosek. Dawniej co roku na Jutrznę demony zabierały ich z klasztornego dziedzińca nawet po kilka naraz, ale te czasy minęły. Teraz przyprowadzają tylko takie jak ta. – Podbródkiem wskazał nieszczęśnicę, którą przytroczono na łańcuchu do kamiennego pręgierza pośrodku dziedzińca i pozostawiono samą sobie. – Niektóre z nich całymi miesiącami trzymają w lochu, żeby przed Jutrzną nie zobaczyły Słońca.

– Dlaczego?

– Bo żadna prawdziwa czarownica nie zniesie słonecznego światła. Taka wyłazi ze swojej kryjówki tylko nocą. Jeśli nie zdąży wrócić przed świtem, wzywa pomocy z Otchłani.

– Więc czemu nie zrobili tej próby od razu, tam, gdzie ją złapali?

– Bali się. Wierzą, że tylko w dzień Jutrzni, na okadzonej ziemi klasztoru, demony nic im nie zrobią.

Kobieta leżała skulona na bruku, drżąc i pojękując cicho. Górale rozsiedli się wokół niej szerokim kołem, wprost na ziemi.

– To straszne, że się tak nad nią znęcają! Mistrz powinien tego zabronić.

– Wtedy pewnie zatłukliby ją po prostu kamieniami. A tak wypuszczą ją wreszcie, sponiewieraną, ale żywą. Coś takiego zdarzyło się tutaj parę razy, jeszcze zanim pielgrzymi przyprowadzili cię do klasztoru.

Wszystko odbyło się spokojniej, niż można było przypuszczać. Gdy Mistrz z mnichami i uczniami wyszli z wieży na poranną ceremonię, szczególnie uroczystą tego świątecznego dnia, kobieta zaczęła wprawdzie szarpać się na łańcuchu, wyć i wrywać sobie włosy, a o pierwszym brzasku zeszywniała dziwnie, wygięta do tyłu w kabłąk, z pianą na wargach – ale demon nie przyszedł, upajający zapach kadzidła i pieśń mnichów także zrobiły swoje. Z wolna rozluźniła się, zwinęła na ziemi, obejmując kolana ramionami, i rozplakała się cicho. Wtedy górale rozkuli ją i rozeszli się w milczeniu, przeświadczeni o dobrze spełnionym obowiązku, ale i lekko rozczarowani.

Najdek odczuł zarazem ulgę i niesmak. Uroczystość odbyła się jak należy, ale świąteczny nastrój prysł bezpowrotnie. Idąc do szopy, potknął się o porzucony łańcuch, który walał się na opustoszałym dziedzińcu. Właśnie w tej chwili uświadomił sobie wyraźnie, że znowu jest o rok starszy. Dziesiąty rok spędzony w klasztorze; niby taki sam jak wszystkie poprzednie, a jednak jakiś inny.

Tego dnia zrozumiał, że jego dzieciństwo właśnie przeminęło.



Nigdy nie opuścił żadnej ofiary, porannej ani wieczornej, i to wcale nie ze strachu przed różgą Dzwonnika. Bywało, że nocą budził się i potniał z niecierpliwości, żeby zanurzyć się znowu w dymy kadzideł. Ta najcudowniejsza z ziemskich woni stała się jego codzienną potrzebą, pilniejszą niż jedzenie i sen. Dziwił się nawet, że górale zaglądają do klasztoru tak rzadko, niektórzy tylko w największe święta – Jutrzni, zimowego Przesilenia i obu Równonocy – a drwale prawie nigdy. Przypuszczał, że celowo nie chcą rozbudzać w sobie zbyt wielkiej tęsknoty do Niebios, aby nie ucierpiały na tym ich codzienne zajęcia. On sam nie

obawiał się tego. Marzenia nie przeszkadzały mu w niczym, bez nich nie wiedziałby chyba, po co żyje.

Oczywiście – nigdy już nie było tak samo jak wtedy, przy pierwszej ceremonii ofiarnej, choć starał się całą pierśią wdychać kadzidlany dym i poddawać falowaniu pieśni. Wiele razy wznosił się duchem gdzieś bardzo wysoko, odczuwał przedsmak anielskich bezkresów, ale wiedział już, że wyżej nie wzleci, choćby pozwolono mu stać przy samej kadzielnicy. Aby wdrzeć się choćby do Pierwszego Nieba, potrzeba było czegoś więcej niż tylko chwilowego uwolnienia zmysłów dzięki spaleni paru szczypt cudownego proszku. Wyobrażał sobie, że musi istnieć jakiś inny, pewniejszy sposób, ale kiedy spytał o to odźwiernego, ten skrzywił się w niedobrym uśmiechu.

– Jest tylko jedna droga, którą można uciec z tego świata. Każdy prędzej czy później w nią wyruszy, choćby wcale nie miał na to ochoty.

– Naprawdę? – zapalił się Najdek. – Czy to długa podróż?

– Nie bardzo. Tyle, co do stosu pogrzebowego nad rzeką. Nawet się nie zmęczysz, bo cię tam poniosą.

– Zawsze tylko ze mnie drwisz!

– Wcale nie. Chcę tylko cię ostrzec, że kto zbyt długo patrzy w górę, temu może zakręcić się w głowie, a wtedy łatwo o upadek. Lepiej stać mocno na ziemi.

Najdek spochmurniał na jakiś czas, ale nie potrafił długo gniewać się na Cabaja. Zresztą już myślał o czymś innym.

– Byłeś wodniakiem, pływałeś po bursztyn do Wysp Zewnętrznych. – Zręcznie nadał rozmowie nowy kierunek. – Czy to bardzo daleko?

– Tak daleko, że dalej już być nie może.

– Musiałeś mieć porządną kryptę...

– Pierwsza większa fala przewróciłaby kryptę do góry dnem. Żeby pływać po otwartym morzu, trzeba mieć prawdziwą łódź, taką z mostkiem, nadbudówką na rufie i ładownią.

– A fokci dają radę?

– Głupi jesteście. W taką podróż zaprzęga się płetwala. Tylko silny, zadbane płetwal dopłynie do Wysp. Ale trzeba bardzo uważać, żeby Martwy Pływ nie poniósł łodzi dalej, poza Wyspy. Stamtąd się nie wraca.

– Dlaczego?

– Bo tam jest Krawędź Świata. Miejsce, gdzie nieboskłon styka się z ziemią. Tam kończy się ocean, a woda płynie do góry.

– To przecież niemożliwe!

– Zapytaj o to Dzwonnika, jak się nie boisz. Wielkie rzeki pną się po wierzchniej stronie sklepienia nieba, a kiedy otwierają się upusty, spadają nam deszczem na głowy.

Najdek znał na pamięć tę żeglarską legendę, ale i tak słuchał chciwie, z otwartymi ustami.

– I człowiek też płynie do góry?

– Nie, mały. Człowiek nie. O człowieka musi powalczyć z demonami jego anioł stróż. Im bardziej ma biedak zapaskudzone sumienie, tym aniołowi trudniej go wyszarpać z Otchłani, bo tam każdy grzech ma wagę ołowiu. A marynarze to nie mnisi, wiadomo, więc w Pierwszym Niebie raczej tłoku nie ma.

– W Pierwszym? Myślałem, że po śmierci dusza trafia do Siódmego Nieba.

– I dobrześ myślał. Pierwsze Niebo jest dla tych, którzy nie umarli, ale i żyć dalej nie mogą na świecie, między ludźmi, bo musnęła ich Otchłań. Tam dusza nie oddziela się od ciała. Człowiek już na zawsze pozostanie taki, jaki był, kiedy tam dotarł.

– Nie zestarzeje się?

– Nie. Ale i nie odmłodnieje.

– A jak tam jest, w tym Pierwszym Niebie?

– Podobno pięknie. Piękniej niż gdziekolwiek.

– Więc po co właściwie starać się o Siódme Niebo? Mnie wystarczyłoby to najniższe. Wcale nie chcę umierać.

– Boś głupi. Człowiek w Pierwszym Niebie ma wszystko, o czym tylko mógłby zamarzyć, ale nigdy nie będzie szczęśliwy.

– Dlaczego?

– Bo widzi odblask czystej Światłości, która przenika przez wszystkie Niebiosa, ale nie może wznieść się do niej. Dusza wrywa się, schnie z tęsknoty, chciałaby spłonąć w tym ogniu, oślepnąć w tej jasności, ale musi tkwić w ciele jak motyl, który nie potrafi wydostać się z poczwarki.

- Skoro nikt stamtąd nie wrócił, skąd to wszystko wiadomo?
- Wydaje ci się, że taki wielki z ciebie spryciarz, co? – Cabaj spojrział koso spod namarszczonej brwi. – Są takie sprawy, o których może opowiedzieć tylko anioł. Albo demon.
- Rozmawiałeś z aniołem? – zawołał chłopak.
- Ciszej! Dzwonnik znowu powie, że mącą ci w głowie. – Pochylił się nieco ku niemu, dokończył szeptem: – Oczywiście, że nie rozmawiałem z aniołem. Nie jestem wystarczająco świątobliwy. Ale byli tacy, którym się to udało, i to właśnie od nich pochodzą wszystkie najciekawsze opowieści.
- A demony? Kto rozmawia z demonami?
- Wystarczy! – syknął odźwierny, rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę wieży. – Jesteś jeszcze za mały na takie rzeczy.
- Najdek nie naciskał. Wcześniej zdarzało się już, że Cabaj nieopatrznie poruszał ten temat, jednak nigdy nie posunął się choćby o krok dalej – istniało za to niebezpieczeństwo, że nabzdyczy się i nie powie już tego dnia nic ciekawego.
- Nie musimy o tym mówić, jeśli nie chcesz – zgodził się chłopak gładko i natychmiast pchnął sprawy dalej: – Opowiedz lepiej o tym, co sam widziałeś. Jak tam jest, na tych Wyspach? Czy pięknie?
- Obyś nigdy nie musiał ich oglądać. To najpodlejsze miejsce na całym świecie. Z daleka wygląda jak kupa czarnego, dymiącego żużlu. Gdyby nie bursztyn, w którym świeci Łaska, nikt by tam w ogóle nie pływał.
- Dłaczego znajduje się go tylko tam?
- Różnie o tym gadają. Podobno Wyspy to ostatni skrawek dawnego Raju, który zalały wody potopu, kiedy ludzie przez swoją głupotę zaczęli kumać się z demonami. Potem wszystko tam zwyrodniało w cieniu Otchłani, rozpleniły się różne bestie, na wzgórzach można nawet zobaczyć skamieniałe ślady dawnych smoków. Ale ocean do dziś wyrzuca na brzeg bursztyn, który powstał z żywicy rajskich lasów.
- To cudowne!
- Wcale nie takie cudowne, jak ci się zdaje – parsknął odźwierny, zły na siebie za to niepotrzebne gadulstwo. – Dla każdej szczypty kadzidła, którą mnisi rzucają na misę, jakiś zbieracz musi położyć na szalę swój zawieszony łeb.

Odwrócił się i zaczął tak zawzięcie skubać słonecznik, że łupinki leciały na wszystkie strony.



Dowódca straży gardził klasztornymi posługaczami i góralami z wioski, lekcewał mnichów i nie szanował chyba nawet samego Mistrza, choć musiał okazywać mu posłuszeństwo. Dobrze urodzony, bywały w świecie, obeznany z dworskimi wspaniałościami, przywykły do wydawania rozkazów pośród bitewnego huków – uważał się za kogoś ulepionego z lepszej gliny, któremu wyrządzono niesprawiedliwość, zsyłając go na tę głuchą, nudną prowincję. Nikt nie wiedział dokładnie, za co spadł na niego książęcy gniew. Szeptano, że uwiódł córkę jakiegoś dygnitarza czy też narobił długów i sprzeniewierzył pieniądze przeznaczone na żołd dla wojska. On sam nie wspominał o tym nigdy, choć w karczmie lubił opowiadać o starych, dobrych czasach. Towarzystwa dotrzymywali mu zazwyczaj strażnicy – bardziej z wyrachowania niż z ochoty – albo przygodni kompani, różni beztroscy włóczykije, którzy w świąteczne dni trafiali pod skałę z tłumami pobożnych pielgrzymów, niczym brudna piana na fali.

Gurgul pił dużo, ryczał ochryple żeglarskie przyśpiewki, zaczepiał młode wieśniaczki, wygrażał bełkotliwie komu popadło, a wreszcie nad ranem wracał do klasztoru, odprowadzany przez któregoś ze strażników, aby nie stoczył się z wąskiego przesmyku w przepaść. Walił się na legowisko i spał do południa.

Mistrz musiał słyszeć w swojej izdebce na wieży te wrzaski. Czasem przychodzili górale ze skargami, a wtedy upominał Gurgula, kazał płacić za wyrządzone szkody, ale nigdy nie wymierzył mu surowszej kary. Rozumiał dobrze, że zesłanie byłego książęcego korsarza kiedyś musi dobiec końca, a gdyby ten wrócił do Przymorza z nienawiścią w sercu, z pomocą możnych krewnych mógłby zaszkodzić klasztorowi.

Najdek starał się zawsze omijać Gurgula z daleka. Kiedy dowódca pojawiał się na dziedzińcu, wymięty i posępny, mrużąc w blasku słońca zapuchnięte powieki, dla podwładnych miał tylko przekleństwa, a dla posługaczy kopniaki. Krążył tam i z powrotem chwiejnym jeszcze po opilstwie krokiem, jakby za ciasno mu było wśród murów, złorzeczył pod wąsem,

spoglądał bykiem na gromadzących się przy kadzielnicy pielgrzymów. Wszystko go drażniło, nie mógł znaleźć sobie miejsca, krzywił się nawet na zapach kadzideł. Chwilami dłonie drżały mu tak mocno – z tłumionego gniewu albo z przepicia – że musiał wsuwać je za szeroki pas.

Łagodniał tylko od czasu do czasu w pogodne wieczory, gdy na niebo wysypywały się gwiazdy. Potrafił zapatrzeć się na nie, przystanąwszy pośrodku dziedzińca z zadartą głową, wyciszony i zadumany.

– Co on tam widzi? – zagadnął kiedyś Najdek szeptem odźwiernego, popatrując na samotną postać dowódcy, który został na opustoszałym po wieczornej ceremonii dziedzińcu.

Cabaj, który podrzemywał na ławie z wyciągniętą drewnianą nogą, odburknął coś niezrozumiale, a gdy Najdek powtórzył pytanie, mlasnął zniecierpliwiony.

– Wolisz, kiedy szuka zaczepki?

– Nie, ale to dziwne, tak stać i tylko się gapić...

Cabaj poruszył się, przetarł dłonią twarz.

– Wcale nie takie dziwne. Marynarz, który zbłądził na morzu, zawsze pyta o drogę gwiazd. Bez nich łatwo mógłby skierować kryptę w złą stronę, gdzie Martwy Pływ porwałby go prosto w Otchłań.

– Nie jesteśmy na morzu, a on nie jest już marynarzem.

– Marynarzem pozostaje się do końca życia, nawet jeśli całymi latami nie czuje się zapachu słonej wody – odpowiedział kuternoga ostro. – Nic o tym nie wiesz, nigdy nie miałeś pokładu pod stopami, więc się nie wymądrzaj.

Najdek długo dobierał słowa, nim odezwał się znowu. Wiedział z doświadczenia, że ilekroć Cabaj zaczynał mówić w ten sposób, porzucając gburowatą obojętność, można było dowiedzieć się od niego wielu ważnych rzeczy, ale też łatwo było go urazić i rozżłościć.

– Ty też przecież pływałeś, a nie wpatrujesz się nocami w niebo... – podsunął ostrożnie.

– Ja to co innego. Jestem stary i wiem, że nie wrócę już na morze. Nie tęsknię aż tak bardzo.

Najdek przeniósł spojrzenie na dowódcę straży, jakby chciał dostrzec w jego nieruchomej sylwetce oświetlonej przez wchodzący księżyc coś nowego, czego przedtem nie zauważał.

– A więc on tęskni... Dlatego tak trudno mu tutaj żyć. – W zamyśleniu pokiwał głową. – Teraz go rozumiem.

– Tylko nie mów mu o tym, bo podziękuje ci za współczucie pięścią. – Odźwierny powrócił do swego zwykłego, gderliwego tonu. – To sukinsyn i pijak, którego w Przymorzu mieli już dosyć.

Chłopak przekonał się już dawno, że ludzie na ogół noszą w sobie więcej myśli i uczuć, niż chcą okazać, ale nie przypuszczał nawet, że może to dotyczyć także Gurgula. To odkrycie sprawiło mu przyjemność; podobnie czuł się wówczas, gdy po raz pierwszy zrozumiał, że świat jest daleko większy od podgórskiej doliny, którą w całości mógł objąć spojrzeniem ze szczytu klasztornego muru.

– Opowiedz mi o nich... – poprosił, w rozmarzeniu odchylając do tyłu głowę.

– O czym?

– O gwiazdach. Słyszałem, że rozpalają je anioły najniższego chóru, każdy własną.

– Za dużo podsłuchujesz, co tam uczniowie mamrocą nad swoimi zwojami – zganił go Cabaj sucho. – Zwykli ludzie, jak ty i ja, nie muszą wiedzieć takich rzeczy. To nie przydaje się przy zamiętaniu dziedzińca ani przy czerpaniu wody z cysterny.

– Nigdy nie byłeś ciekaw, jak one wyglądają z bliska? Dlaczego świecą? I co się z nimi dzieje, kiedy spadają?

– Dosyć! – Cabaj uderzył kulasem w ziemię, aż zsunął się narzucony na ramiona kozuch. – Inni chłopcy w twoim wieku kradną śliwki po sadach i oglądają się za dziewczuchami, tylko ty tracisz czas na takie głupie rozmyślenia. To pewnie od tego przesiadywania na murach i gapienia się na góry. Jak tak dalej pójdzie, poproszę Dzwonnika, żeby trzymał cię krócej.

Najdek przygryzł wargę. Po raz pierwszy przyszło mu głowy, że porównywanie Cabaja z Gurgulem nie zawsze musi wypadać na korzyść tego pierwszego. Omiótł wzrokiem dziedzińiec, ale nie było tam już nikogo. Może dowódcę spłoszyły podniesione głosy, a może chmury, które napływały od zachodniego krańca nieba, gasząc stopniowo rojowisko gwiazd.



Późną jesienią, wraz z jedną z ostatnich tegorocznych pielgrzymek, przywędrował do klasztoru jakiś dziwny człowiek. Mimo słoty był bosy, odziany w brudne łachy, ze skudloną brodą i długimi, rozczochranymi włosami, poprzetykanymi już tu i ówdzie kosmykami siwizny. Wyglądał na podejrzanego włóczęgę albo żebraka. Odźwierny nie chciał puścić go za bramę, lecz pielgrzymi wstawili się za nim. Mówili, że przyłączył się do nich w drodze i choć z początku nie wzbudzał niczyjego zaufania, szybko zjednał wszystkich pokorą, wstrzemięźliwością i pogodą ducha.

Cabaj ustąpił niechętnie.

– Niech stanie daleko od kadzielnicy, pod murem, żeby nikt nie musiał go oglądać – zarządził, kręcąc z niezadowoleniem głową. – Ubóstwo to wprawdzie nie występki, ale każdy powinien znać swoje miejsce.

Po wieczornej ceremonii ofiarnej, gdy poprzez dymy zamrugały pierwsze gwiazdy, a drżący jeszcze od śpiewu mnisi cicho rozeszli się do swoich cel, nędzary znowu zjawił się przy bramie, narzucając na głowę postrzępiony kaptur, jakby szykował się do drogi.

– Pchły cię gryzą, że nie możesz usiedzieć na miejscu? – sarknął Cabaj. – Nikt cię przecież nie wygania. Każdy pielgrzym ma prawo do noclegu i posiłku na koszt klasztoru, nawet taki, który nie złożył żadnej ofiary.

Bosonogi wędrowiec zatrzymał się na chwilę, z uszanowaniem zgiął kark.

– Dziękuję za dobre słowo, bracie, ale muszę iść. Ten, który mnie wezwał, nie może czekać.

– Nie jestem twoim bratem ani żadnym krewnym. – Odźwierny wzruszył ramionami. – Idź, skoro chcesz, ale nie spodziewaj się, że górale we wsi będą bardziej gościnni. Karczmarz też nie puści cię za próg, bo ten chciwiec z daleka potrafi usłyszeć, komu brzęczy co w mieszku, a komu nie.

– Nie wrócę do wsi, pójdę dalej.

– Dalej? Nie ma żadnego dalej! – Cabaj gniewnie potrząsnął kluczami. – Zabłądziłeś albo ktoś zadrwił z ciebie i wskazał ci złą drogę.

Nędzary powoli rozprostował kark. Spod kaptura w blasku płonącego przy bramie łuczywa błysnęły oczy.

– Ten, który wskazał mi drogę, z nikogo nie drwi – odpowiedział spokojnie, ale stanowczo. – On przygotowuje dla mnie miejsce na nocleg,

nakarmi mnie i napoi.

Wyszedł za mury, pomimo ciemności pewnym krokiem pokonał skalny przesmyk i niebawem zniknął wśród gmatwaniny cieni na zboczu Rogacza.

Najdek, który przysłuchiwał się tej rozmowie z boku, zaniepokojony szarpnął odźwiernego za rękaw.

– Idzie w góry! Trzeba go zawrócić...

Cabaj patrzył przez jakiś czas w milczeniu w gęstniejący za klasztornym murem mrok, potem, stękając, podniósł się z ławy i zamknął wrota.

– Widywałem już takich jak on – mruknął, zasuważąc ciężką sztabę. – Nikt go nie zawróci, chyba siłą. To pustelnik. Powinienem był wcześniej się tego domyślić. Odkąd siedzę przy bramie, przez klasztor przewinęło się kilkunastu podobnych. Wierchy przywabiają ich z daleka.

– Czego tu szukają?

– Cóż... Niektórzy z nich mają pewnie nieczyste sumienie i jakiś czas muszą zejść ludziom z oczu, ale bywają i tacy, którzy chcą na zawsze usunąć się od świata. Mają nadzieję, że w górach będą mogli żyć sam na sam ze Słońcem.

Najdek przymknął oczy. Słowa Cabaja, choć obojętne, a nawet z lekka wzgardliwe, dziwnie rozkołysały jego wyobraźnię.

– To musi być piękne życie... – szepnął.

– Tylko ci się tak wydaje. – Cabaj rozzłościł się niespodziewanie. – Pustelnik też ma żołądek i musi z czegoś żyć. Jeśli jest rozsądny, buduje sobie chatkę w pobliżu traktu, gdzie każdy może go znaleźć i złożyć jałmużnę w zamian za błogosławieństwo albo dobrą radę. A kto pójdzie w góry szukać szaleńca? Chyba tylko drugi taki sam.

– Więc co z nim będzie?

– Prawie wszyscy, których pamiętam, wrócili do klasztoru po kilku dniach, a tych, którzy nie wrócili, nikt więcej nie zobaczył. Trzeba być głupcem, żeby w ogóle na coś takiego się porwać. Nawet drwale, chociaż znają góry najlepiej ze wszystkich, nie zostają tam na noc, jeśli nie muszą. – Machnął ręką w stronę zawartej bramy. – Szukać szczęścia w takim miejscu to jak wypatrywać światła w Otchłani.

Miał rację; pustelnik przepadł bez wieści. Najdek pamiętał o nim może ze wszystkich najdłużej, wypatrywał go nawet przez wiele dni na zalesionych

zboczach góry, ale wreszcie i on zrozumiał, że dziwny włóczęga nie pokaże się więcej. Pewnie nie spotkał tego, kto miał go nakarmić i napoić. A może ktoś taki w ogóle nie istniał?

2

Niedługo po zapadnięciu wczesnego zimowego zmroku, gdy w klasztorze wszyscy zasiedli już do wieczerzy, gdzieś we wsi zaczął wyc pies. Po chwili przyłączył się następny, i jeszcze jeden; niebawem psie zawodzenie rozbrzmiewało już we wszystkich obejściach. Przestraszone gołębie tłukły w klatkach skrzydłami.

W dolnej izbie wieży z wolna ucichł szmer przyciszonych rozmów, nie było słycać stukania łyżek ani skrzypienia ław. Nawet Mistrz, który zazwyczaj mało zważał na to, co działo się z tamtej strony murów, przestał jeść i nasłuchiwał ze zmarszczonym czołem. Wreszcie, gdy milczenie stało się zbyt ciężkie, a do tego któryś z młodszych uczniów zaczął pochlipywać ze strachu, mędrzec pochylił się do siedzącego opodal dowódcy straży, aby wydać mu jakieś polecenia.

Nie zdążył. Narastający świst, podobny do odgłosu górskiego wichru, lecz o wiele potężniejszy, przemknął gdzieś wysoko w ciemnościach i zakończył się raptem ogłuszającym grzmotem, który zdawał się przygniatać całą dolinę. Grube klasztorne mury zadrżały wyraźnie, podłoga sali zachwiała się lekko, zadzwoniły kolorowe szybki witraży. Długo jeszcze pomrukiwały coraz odleglejsze echa. Od wychodzących na góry okien na długie stoły i ławy padły smugi blasku, jakby Słońce odwróciło swój bieg.

– Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach – zarządził Mistrz spokojnym, nieco tylko zachrypniętym głosem. Skinął dłonią na Gurgula, obaj w pośpiechu opuścili jadalnię.

Po chwili rozległ się dźwięk gwizdków, na schodach zadudniły kroki wbiegających na mury strażników. Gdy znowu zapadła cisza, mimo zakazu chłopcy stłoczyli się u okien, szurając i rozpychając się łokciami.

Wyniosły szczyt Rogacza jarzył się mocnym niebieskawym światłem, na lodowcach pełgały odblaski, drżąca łuna zaćmiewała gwiazdy. Noc zrobiła się tak jasna, że można było dostrzec uciekające pod osłonę lasów kozice. Pojedyncze drzewa rzucały w dół zboczy długie cienie.

– To chyba koniec świata – wyjąkał bojaźliwie któryś z uczniów.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zastukała drewniana noga odźwiernego.

– Nie patrzcie, bo wypali wam ślepią! – huknął tak stanowczo, że chłopcy natychmiast odskoczyli od parapetów, mrugając załzawionymi oczami. Niektórzy widzieli jak przez szarą mgłę; potrącając się nawzajem, po omacku szukali ław, brody drżały im ze strachu.

– Nie podchodzić do okien. – Oszroniony kozuch Cabaja parował w ciepłe, na guzowatej czaszce napęczniały żyły. – Widziałem już kiedyś coś takiego, dawno temu, daleko stąd.

Najdek roztarł piętami swędzące powieki. Patrzył na rozświecony wierzch tylko przez chwilę, zza pleców innych, więc nie ucierpiał tak bardzo. Przycupnął na brzegu ławy, zatrwożony i oczarowany jednocześnie tym, co zobaczył. Tak dobrze znana sylwetka Rogacza, zwieńczona niesamowitą aurą, wyglądała całkiem inaczej, dostojnie i tajemniczo, jakby tego wieczora urosła jeszcze, sięgając skalistym wierzchołkiem innego świata, gdzie zwykli śmiertelnicy nie mają dostępu.

Wzdrygnął się, gdy smugi światła na podłodze zaczęły gasnąć jedna po drugiej. To odźwierny zatrząskiwiał kolejne okiennice.

Czekali czas jakiś przy świecach, oszołomieni tym, co zaszło. Na murach wykrzykiwano komendy, od wsi zbliżał się wielogłosowy gwar, niczym przy dorocznym jarmarku. Rozległy się czyste, głębokie uderzenia dzwonu. Wreszcie w progu jadalni ukazał się zasapany Gurgul. Płomyki świec odbijały się w blachach jego paradnej zbroi, którą zakładał tylko na wyjątkowe okazje.

– Wszyscy na dziedziniec – rozkazał krótko.

Następując sobie na pięty, zeszedli krętymi schodami w mroźną noc. Zbili się w ciasną gromadę przy zaokrąglonej ścianie wieży, szukając w ten sposób ciepła i otuchy. Plac był odśnieżony, ale pomiędzy wyslizganymi kostkami brukowymi zalegał lód, który pośniewał w blasku. Mogło się wydawać, że ktoś rozpostarł na dziedzińcu błyszczącą sieć.

Strażnicy stali w równych jak nigdy szeregach, wszyscy pod bronią. Kilku przechadzało się na murach; ostrza włóczy na przemian rozpały się i gasły w cieniu wieży. Przez otwartą szeroko bramę napływały grupki wieśniaków i drwali, na dziedzińcu szybko gęstniał niespokojny tłum.

Dzwon uderzył po raz ostatni, stopniowo umilkły rozmowy i szepty. W oknie pierwszego piętra wieży ukazała się wyprostowana postać Mistrza z dwoma mnichami po obu stronach. Jeden z nich pomimo jasnej nocy trzymał płonące łuczywo.

– Przed nami trudny czas, dzieci – zaczął bez wstępów Mistrz. – W górach upadł anioł.

Doświadczeni starcy ze wsi domyślili się tego już wcześniej, dlatego górale zdążyli oswoić się z nieprawdopodobną wieścią. Strażników uprzedził dowódca, a ocytani w starych kronikach mnisi sami wiedzieli, co o tym sądzić. Tylko dla uczniów i posługaczy słowa Mistrza były zaskoczeniem; struchleli w takim napięciu, że nie czuli nawet zimna.

– Nie trzeba się bać. Jeśli będziecie rozważni, nic wam nie grozi. Pamiętajcie, żeby unikać patrzenia prosto w światło, zwłaszcza nocą. Nikomu nie wolno chodzić w góry. Zachowajcie spokój, za trzy dni powinno być już po wszystkim.

– Podźwignie się? – zapytał ktoś z cizby górali.

Mistrz pochylił się w stronę głosu, jakby chciał dostrzec w tłumie twarz śmiałka.

– Tego nie wiem – odpowiedział po chwili. – Przez cały czas będziemy palić kadzidła, aby Słońce wskazało mu drogę do Niebios, ale nie możemy pomóc mu w żaden inny sposób. Cokolwiek się stanie, przyjmujemy to w pokorze.

Z gromady wysunął się postawny siwowłosy człowiek. Inni rozstąpili się przed nim z szacunkiem, tak drwale, jak i wieśniacy.

– Upadł bardzo blisko – odezwał się z wolna, jak przystało na kogoś, kto przywykł, aby liczono się z jego słowem. – Jeśli się nie podźwignie, żaden z drwali nie pójdzie więcej w góry, a gospodarze ze wsi będą musieli porzucić domy i odejść stąd na zawsze, bo ziemia przez długie lata nic nie urodzi.

Mistrz wyjął z ręki mnicha łuczywo i wyciągnął rękę, oświetlając lepiej pozostający w cieniu kawałek placu pod oknem; wtedy Najdek rozpoznał Wzdreęgę.

– Nie musisz mnie pouczać, synu – powiedział mędrzec ciszej. – Znam się na aniołach co najmniej tak samo dobrze jak ty.

Drwal skinął głową, ale nie cofnął się, czując za plecami milczące poparcie tłumu.

– Jesteś bardzo uczony, panie, gdzie nam do ciebie. Wiesz dużo, zaglądasz do starych zwojów i podobno czytasz nawet w gwiazdach. Ale i my mamy przecież swoją mądrość, której nikt nigdzie nie zapisał. Ta mądrość z ojca przechodzi na syna, od najdawniejszych dziadów. – Głos mu stwardniał, hardo zadarł głowę. – Wszyscy wiemy, że kiedy anioł upada blisko ludzkich siedzib, niedobrze jest czekać, aż się podźwignie, bo to nie każdemu się udaje. Lepiej przepłoszyć go od razu, póki słaby. Niech siada gdzieś dalej, gdzie nie ma ludzi i nikomu nie zaszkodzi.

Mistrz wychylił się z okna tak bardzo, że zaniepokojony mnich ujął go pod łokieć. Mówił teraz jeszcze ciszej, ale ponieważ nikt nie zakasłał i nie poruszył się nawet, słyhać go było dobrze na całym placu.

– Nie powinienes wspominać w tym świętym miejscu o waszych dawnych, dzikich obyczajach. Spłoszony anioł umknie, ale straci resztkę sił i nie zdoła już się podźwignąć. Upadnie znowu, tym razem ostatecznie, bez nadziei na powrót do Niebios. Stoczy się prosto w Otchłań. Czy chciałbyś wziąć to na swoje sumienie?

– Ciężej mi będzie na sumieniu, kiedy ci wszyscy dobrzy drwale i gospodarze, ich żony, dzieci i starcy, i nawet bydło, będą musieli o mrozie iść na poniewierkę. Ilu z nich przeżyje, panie? Czy potrafisz znaleźć odpowiedź w gwiazdach albo zwojach? – Wzdreęga przemawiał coraz zapalczywiej, prawie krzyczał. – Każdy wie, że upadają tylko te anioły, które na to zasłużyły. Ten tutaj też na pewno nie jest bez winy. Możesz się nad nim litować, ale nie każ nam płacić za jego grzechy.

Cienie górali zakołysały się, przez ciżbę przeszedł nieprzyjazny pomruk. Mistrz patrzył na nich z góry jeszcze przez chwilę, ale nie wybuchnął gniewem. Rzucił łuczywo w pryzmę śniegu; gdy płomień zgasł, nad dziedzińcem znowu wisiła tylko sina poświata.

– Przez trzy kolejne noce każdej ścieżki w góry będzie pilnować straż. – Wyprostował się i dokończył mocnym głosem, aż zabrzmiało echo: – Kto spróbuje się przekraść, zapłaci gardłem.



Najdek nie mógł zobaczyć, co dzieje się we wsi, bo przeganiano go z murów. Słyszał wrzawę. Nad rzeką drwale gromadnie dęli w rogi. Najtrudniejsze do zniesienia były nocne godziny, nie tylko z powodu hałasu. Sina poświata ogarnęła pół nieboskłonu, budząc trwogę u ludzi i zwierząt. Nie chroniły przed nią zatrzaśnięte okiennice i grube mury – trwała nawet pod zamkniętymi powiekami, przenikała do snów.

W narożnikach dziedzińca płonęły ognie, z ołtarza podnosiły się kłęby wonnego dymu. Mnisi całymi garściami sypali na rozżarzone węgle grudki kadzidła, wyśpiewując niskimi głosami błagalne modły. Pozbawieni opieki i zajęcia uczniowie snuli się osowiali, popatrując z obawą na rozpromieniony szczyt albo na najwyższe okienko wieży, gdzie niezmiennie pełgało słabe światółko kaganka. Mistrz widocznie czuwał także, choć nie pokazywał się wśród ludzi.

Po pełnej napięcia nocy wstał blady, smutny dzień. Ogromna luna ustąpiła przed słonecznym blaskiem, ale szczyt Rogacza wciąż świecił tak mocno, że trudno było na niego patrzeć nawet przez zmrużone powieki. Na murach skrzypiały kroki strażników, mnisi nie przerwali służby przy kadzielnicy, jedynie wyczerpani ostatnimi przeżyciami chłopcy, drżący z zimna i wyczerpania, pochowali się w wieży.

Najdek zauważył, że okutany w kozuch odzwierny drzemie na siedząco przy wygasłym ogniu. Powolutku zbliżył się do bramy. Chciał zerknąć na przesmyk i zbocze, ale gdy sięgnął ręką do klamki, Cabaj podniósł głowę.

– Zostaw! – warknął.

– Chciałem tylko zobaczyć, czy nikt tam się nie kręci... – Chłopak zaciął się, speszony.

– Nie twoja sprawa.

Odzwierny rozgrzebał okutą końcówką drewnianej nogi popiół, dorzucił parę trzasek i rozdmuchał ogień. Parsknął ze złością. Jemu także minioną noc dała się we znaki.

– Przekłęci drwale, kury przestaną się nieść od tego dęcia w rogi!

Najdek przykucnął przy ogniu, wyciągając i ogrzewając ręce.

– Dlaczego to robią?

– Zawzięli się, że spłoszą anioła mimo zakazu, ale to na nic. Przed wiekami, kiedy nie było jeszcze tylu klasztorów, a w wielu okolicach nawet

nie widziano mnicha, ludzie radzili sobie w takich wypadkach inaczej. Przewiązywali oczy szmatą i podchodzili wszyscy bardzo blisko z puszczakami i kołatkami.

– I anioł przestraszyłby się takiej nagonki? – Najdek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Anioł nie boi się niczego, mały. Kiedy upada, zaczyna śpiewać przebłagalną pieśń, żeby odzyskać Łaskę, i w tym właśnie mogą mu przeszkodzić ludzkie hałasy. Wystarczy, żeby rozproszył się na chwilę, a pieśń zabrzmie fałszywie i wtedy anioł nie wzniesie się z powrotem do Niebios.

– Czy może spróbować jeszcze raz, w innym miejscu?

– Może, ale po upadku jest bardzo słaby, a ucieczka przed nagonką wyczerpuje go do reszty. Nie udaje mu się zaśpiewać ponownie pełnym głosem.

Najdek zamyslił się na chwilę, opierając brodę na pięściach. Rogi drwali brzmiały teraz jakoś groźnie i wyzywająco.

– To okrutne! – westchnął. – Jak można odbierać aniołowi jedyną nadzieję na powrót do Niebios?

Cabaj sarknął pod oszronionym wąsem.

– Nie sądź innych, jesteś na to za młody. Ludzie po prostu chcą chronić siebie i swoje rodziny.

– Przed czym?

– Nie wszystkie anioły wracają do Niebios. Te, które przez trzy dni i trzy noce nie zdołają poderwać się do lotu, trafiają do Otchłani i zmieniają się w demony, a miejsce na ziemi, gdzie dokonał się ich ostateczny upadek, pozostaje na zawsze przeklęte. Wiesz, co to oznacza? – Surowo zmarszczył brwi. – Wszędzie dookoła ziemia wyjałowuje, woda w strumieniach i studniach stanie się trująca, a niebo zasnują cuchnące wyziewy. Nic nie przeżyje w takiej okolicy, nawet robaki pod kamieniami. Wielu ludzi umrze od razu, inni zachorują ciężko, a cała reszta będzie musiała wynieść się daleko stąd.

Najdek poczuł zimny wiatr na plecach. Zdawało mu się, że głucho zawodzenie rogów współgra z biciem jego serca.

– Jak to się dzieje, że one spadają z nieba? – zapytał prawie szeptem.

- Zwyczajnie. Przez otwarte upusty, jak deszcz i śnieg.
- Ale dlaczego?
- Niektórzy opowiadają, że to z zazdrości o ludzi robią się ociężałe i nieostrożne.
- Czego miałyby nam zazdrościć?
- Dusza człowieka spalonego na stosie pogrzebowym z odrobiną kadzidła idzie prosto do Siódmego Nieba, a pozostałe anioły nigdy nie wydostaną się z Pierwszego. Ale naprawdę nikt tego nie wie, nawet sam Mistrz. Pewne jest tylko to, że po upadku anioły bardzo tęsknią.

Chłopak wrócił do swojej szopy, położył się, lecz długo jeszcze nie mógł zasnąć. Myślał o tym, jak wielka musi być samotność anioła, który utracił wieczną harmonię chóru i ugrzązł nagle w przerażającej ciszy. Ilekroć próbował to sobie wyobrazić, widział małego, bezradnego chłopca, zagubionego w ciemnej puszczy.

Drugiej nocy, gdy po zmierzchu luna jeszcze szerzej rozlała się na niebie, ponad uporczywe buczenie rogów znowu wzniósł się psi skowyt. Niektóre zwierzęta gospodarze musieli zakłuć widłami, bo zachowywały się jak wściekłe – gryzły łańcuchy, rzucały się na swoich, z pysków kapała im piana. Z kurników dobiegało przestraszone gdakanie, szczury opuszczały swoje kryjówki i biegały środkiem jasnej ulicy, dobrze widoczne na śniegu. Nad puste pola wzbily się ogromne stada wron, napełniając ten niesamowity wieczór ochrypłym krakaniem.

Także i ludzie coraz gorzej znosili bezczynne oczekiwanie. Mieszkańcy klasztoru stali się drażliwi, o byle co wybuchały kłótnie. Coraz częściej w szmer modlitw wplatały się przekleństwa, strażnicy na murach strzelali z łuków do każdego cienia, który poruszył się na zboczu.

Najdek nie mógł znaleźć sobie miejsca. O spaniu nie było mowy; bolała go głowa, piekły oczy, na koniec z nosa puściła się krew. Przyłożył do twarzy garść śniegu i powłókł się do bramy, rozglądając się z obawą, czy w pobliżu nie ma Gurgula. Dowódca straży pił ostatnio jeszcze więcej niż zwykle, z każdym szukał zaczepki, a w posługaczy rzucał kamieniami.

Odzwierny siedział oparty plecami o mur, z zadartą głową patrzył na spłoszone ptaki.

– Znowu tu jesteś? – Przelotnie zerknął na chłopca. – Nawet nie próbuj wyglądać przez otwór, bo z tamtej strony stoi strażnik, gotów dziabnąć cię nożem w oko. Wszyscy źli jak szerszenie.

– Chyba jestem chory. – Najdek opadł ciężko na ławę.

Cabaj przyjrzał mu się uważniej, skubiąc wąsa.

– Anioł śpiewa coraz głośniej – stwierdził po chwili.

Chłopak odrzucił pociemniałą od krwi grudkę śniegu, przez jakiś czas nasłuchiwał z przymkniętymi powiekami.

– Nic nie słyszę – mruknął zniechęcony.

– Taka pieśń nie trafia do uszu, przenika od razu całe ciało. Odczuwa ją wszystko, co żywe, nawet najpodlejsze bydłę, ale na ludzi działa silniej, bo człowiek ze wszystkiego stworzenia jest najbliższy aniołom. Ma duszę. Tej nocy u każdego odezwą się wszelkie utajone choroby, otworzą się dawno zabliznione rany. Starcy osłabną do szczytu, urodzą się martwe dzieci. W ludziach pokaże się wszystko, co najgorsze. Kto ma zadrę w sercu, pójdzie się obwiesić. Kto gniewa się na sąsiada, podpali mu dom. Kto wcześniej potrafił oprzeć się złej pokusie, teraz ulegnie... – Przerwał na chwilę, oddychając głośno. – Tak, mały. Każdy upadek anioła narusza ład ustanowiony od początku, dlatego musi być straszny.

Najdek dostał zawrotów głowy i dreszczy.

– Myślałem, że anielska pieśń jest piękna...

– Jest, ale tylko wówczas, kiedy współbrzmi z innymi w chórze. Na ziemi anioł jest jak skazaniec rzucony do wilgotnego lochu. W jego śpiewie nie ma radości, tylko cierpienie i tęsknota.

Przytłoczony skargą anioła świat wydawał się odpychająco brzydki, nawet śnieg był szary, jakby przybrudzony. Twarze ludzi sprawiały wrażenie dużo starszych i chorobliwie bladych, kadzidlane wonie pobudzały mdłości, a nienaturalna poświata odbierała znajomym rzeczom właściwe kształty i barwy. Kto musiał przejść kilkanaście kroków po dziedzińcu, robił to chwiejnie i powoli; każdy ruch wymagał wzmożonego trudu. Ciężko było mówić, myśleć, oddychać. Odgłos rogów rwał się coraz częściej, a w końcu ucichł zupełnie; tylko psy skamlały jeszcze bezładnie ostatkiem sił.

Nagle szatami mnichów przy kadzielnicy poruszył mocniejszy wiatr, spychając kłęby ofiarnego dymu na bruk. Najdek przemógł apatię, otworzył

oczy i spojrzął na góry.

Nad rozświetlonym szczytem zawisł cień czarnej chmury, która obracała się z wolna. Chłopak od razu pojął, że dzieje się coś bardzo złego. Stada wron pierzchły, psy umilkły, strwożone bydłota łomotały kopytami w zagrodach. Poczucił się tak, jakby na gardle zaciskała mu się nieustępliwie zimna obręcz.

– Co to jest? – Wstał zbyt szybko, pomroczyło mu w oczach.

– To już chyba koniec. Anioł stracił nadzieję i zaczął złorzeczyć. – Odźwierny szarpnął go za ramię. – Szybko, do piwnicy!

Niemal przemocą powłókł ślaniającego się chłopca w stronę wieży. Ze wszystkich stron dziedzińca nadciągali inni, gnąc się pod coraz mocniejszym wichrem. Porwane grudki kadzidła śmigwały w powietrzu niczym roje świetlików.

Najdek zdążył rzucić za siebie jeszcze jedno spojrzenie, nim Cabaj pchnął go na strome schodki, prowadzące w zapleśniały piwniczny mrok. Smolista chmura kręciła się coraz szybciej, podobna do ogromnego podniebnego wiru, opadając równocześnie niżej i przyćmiewając sine światło. Po zboczach raz po raz przemykały smugi cieni.

Ten widok budził strach. Była w nim niszczycielska moc ślepego gniewu.



Do rana wszyscy mieszkańcy klasztoru przesiedzieli stłoczeni w ciasnym loszku, a potem tkwili tam jeszcze cały dzień, który niewiele różnił się od nocy. Przez jedyne okienko pod stropem wpadała tylko odrobina mętnego światła, nie widzieli nawet nawzajem swoich twarzy. Burza, która rozpętała się na zewnątrz, nie słabła ani na chwilę. Wicher ryczał wściekle, ciskając w kamienne ściany gałęziami, bryłami lodu, deskami wyrwanymi z drewnianych przybudówek i szop. Czasem uderzenia wiatru były tak potężne, że wieża drżała aż do fundamentów; chwilami zdawało się, że runie, grzebiąc ludzi pod gruzami.

Mieli tylko beczułkę zatechłej wody i nic do jedzenia. Skazani na bezczynność, niepewni, jak długo to potrwa, trwali w zalekzionym milczeniu. Niektórzy trzęśli się i jęczeli w gorączce. Mnisi kilkakrotnie podejmowali próbę wspólnej modlitwy, ale za każdym razem cichli szybko,

jakby tracili wiarę, że ich błagania mogą przebić się do Niebios poprzez rozszalały żywioł.

Nikt nie miał wątpliwości, że nad górami i doliną rozsrożył się niepohamowany anielski gniew.

Zupełnie potracili rachubę czasu, gdy nareszcie wiatr zelżał nieco, zawył jeszcze parę razy głośniej, a potem umilkł nagle. Jeszcze przez długi czas siedzieli nieporuszeni, jakby onieśmieleni ciszą. W końcu ktoś zrzucił żelazne sztaby i uchylił drzwi – ale z zewnątrz nie przeniknęła do piwnicy najbledsza choćby smuzka światła.

Wychodzili kolejno, podtrzymując najsłabszych i wynosząc omdlałych. Po piwnicznym zaduchu oddychanie świeżym, mroźnym powietrzem sprawiało rozkosz. Wszystko wokół spowijał całkowity mrok, w uszach dzwoniła głucha cisza.

Najdek wy dostał się na dziedziniec jako jeden z pierwszych. Potknął się w ciemnościach o szczątki połamanej ławy, kawałek dalej ugrzązł w śnieżnej zaspie. Spojrzał w górę, lecz nie zobaczył szczytu Rogacza ani gwiazd.

Ktoś przytomny zebrał na kupę trochę gałęzi i desek, po chwili zapłonął ogień. Chwiejny blask oświetlił dużą część dziedzińca, odsłaniając ogrom zniszczeń.

Wszędzie wały się potrzaskane sprzęty i połamane gałęzie, które wiatr przyniósł z lasu i przerzucił nad murami. W wieży ocalało tylko piwniczne okienko, zapewne dzięki głębokiej wnęcie – wszystkie pozostałe czerniały pustką. Kolorowe szkiełka z potrzaskanych witraży pstrzyły się dokoła, brakowało całych płatów blachy z dachu. Śniegu miejscami nawiało po pas.

Runęły drewniane schody prowadzące na mury, ale Najdek wypatrzył drabinę, wbitą w zaspę. Wydobył ją z trudem i przystawił do kamiennej ściany. Brakowało kilku szczebli, ale tak bardzo pragnął znaleźć się wreszcie na górze, na swoim ulubionym miejscu, że mimo osłabienia zaryzykował wspinaczkę.

Gdy ogarnął spojrzeniem świat za klasztornymi murami, zrozumiał, że trudził się na próżno – aż po widnokrąg nic nie rozpraszało nocnych ciemności. Nie było żadnych odcieni czerni na ziemi i niebie, tylko jednolity mrok, tak nieprzenikniony, że pod chłopcem ze strachu zadrżały kolana i musiał przykucnąć, aby nie stoczyć się w dół.

Skrzypnęła drabina, usłyszał za sobą sapanie odźwiernego.

– Uważaj, w tej przeklętej zaćmie łatwo skręcić kark. – Cabaj wspiał się z trudem, ostrożnie stawiając drewnianą nogę na śliskich szczeblach. Usiadł obok chłopca i odpoczywał przez chwilę.

– Chciałbym, żeby już wzeszło Słońce...

– Nie zobaczysz go. Kiedy anioł się smuci, niebo zakrywają bardzo gęste chmury, czarne jak dym.

– Ale to chyba dobrze, że przestał się złościć?

– Mylisz się. Smutek oznacza, że stracił nadzieję. Niedługo stoczy się w Otchłań.

– Więc to już pewne? Nie ma ratunku?

– Skoro on sam już w to nie wierzy... – Cabaj machnął ręką w stronę, gdzie wznosiła się niewidzialna góra. – Pamiętam taką ciszę.

– Gdzie to było?

– Na morzu, w drodze na Wyspy Zewnętrzne. Anioł upadł daleko od nas, widzieliśmy tylko smugę ognia na niebie i błysk ponad widnokregiem, ale nie zdążyliśmy uciec przed burzą. Wiatr mało nam łbów nie poutrał, nigdy wcześniej ani później nie widziałem takich wielkich fal. Zaprzęgowce zerwały się i przepadły. Tamtej nocy zaginęło wiele kryp, myśmy jakimś cudem przetrwali, chociaż paru ludzi zmyło z pokładu. Kiedy wreszcie morze uspokoiło się, myśleliśmy, że najgorsze już za nami... – Umilkł na chwilę, zapatrzony w odległe wspomnienie. – Nie wzeszło wtedy Słońce, tak samo jak dzisiaj. Niebo było czarne, bez gwiazd, nie wiedzieliśmy, w którą stronę wiosłować. Ktoś powiesił na dziobie latarnię, wtedy zobaczyliśmy na wodzie jasne brzuchy ryb, dużych i małych, wszędzie wokół krypy, jakby wymarło całe morze, aż do dna. Ciągłe wypływały nowe, słyszeliśmy tylko ciche pluski, więcej nic. Zrobiło się bardzo duszno, latarnia zaczęła migotać, coraz trudniej było oddychać. – Znowu przerwał, pochrząkując niespokojnie. – Marzliśmy, chociaż był środek lata. Zerwane liny powłóki szron, oddechy parowały. Wychyliłem się za burtę. Morze krzepło w oczach, a przecież te wody nie zamarzały nigdy, nawet w najcięższe mrozy. Gdy lód zrobił się gruby, krypa zaczęła trzeszczeć. Wiedziałem, co to znaczy. Powiedziałem innym, że powinniśmy uciekać, ale nie chcieli mnie słuchać, bo byłem najmłodszy. Na krypie była słodka

woda, jedzenie, ogień, a dookoła tylko lodowa pustynia. Nie potrafiłem ich przekonać, strach zamieszał im w głowach. Sam zszedłem na lód, nie zabrałem ze sobą niczego. Pobiegłem prosto przed siebie, nie wybierałem kierunku. I tak w pobliżu nie było żadnego brzegu, do którego mógłbym dotrzeć. Nie wiem, jak bardzo się oddaliłem, ale dobiegł mnie jeszcze chrzęst pękającego kadłuba. Obejrzałem się tylko raz. Zobaczyłem małe światełko latarni, które chwiała się jeszcze przez chwilę, a potem nagle zgasło. Nie usłyszałem żadnych krzyków, lód nie zaskrzypiał, nie rozległy się żadne kroki. Nic już nie przerwało tej przekłętej ciszy. Znowu pobiegłem najszybciej, jak mogłem, jakby mnie ktoś gonił. Nie wiedziałem jeszcze wtedy zbyt dużo o aniołach, ale tyle rozumiałem, że ten, który upadł i nie podźwignął się, musi spłynąć do Otchłani. Łudziłem się, że zdążę uciec, zanim pociągnie mnie za sobą, jednak na piechotę, w ciemnościach, wyczerpany po walce z burzą, nie miałem żadnych szans. Niedługo później wokół mnie zaczął pękać lód, przez szczeliny tryskała woda. Nie było już nic do zrobienia, mogłem tylko usiąść i czekać na koniec. Znalazłem się pośrodku większej kry, którą razem z innymi porwał wzmagający się prąd. Słyszałem, jak wielkie bryły lodu obijają się o siebie, woda bryzgała mi w twarz. Czułem, że płynę coraz szybciej, wiatr świstał mi w uszach. Nie miałem już wątpliwości, że porwał mnie Martwy Pływ. To dziwne, ale uspokoiłem się wtedy. Pamiętam dobrze, że patrzyłem w niebo i zastanawiałem się, czy zobaczę jeszcze choć jedną gwiazdę, zanim pochłonie mnie Otchłań.

Najdek słuchał, wstrzymując oddech, a gdy odźwierny przez dłuższy czas nie podejmował opowieści, przysunął się bliżej.

– Jak ocalałeś? – zapytał niecierpliwie.

– Przez przypadek. Zwykle Martwy Pływ zaczyna się daleko na zachodzie za Wyspami Zewnętrznymi, gdzie nikt nie zagląda, ale tym razem, po upadku anioła, woda poruszyła się nawet na znanych morzach po wschodniej stronie. Miałem szczęście, że pomiędzy mną a Krawędzią był jeszcze kawałek lądu. Fala wyrzuciła mnie właśnie tam, w jedyne miejsce, gdzie mogłem przetrwać. Nawet nie wiem, jak to się stało, po prostu ocknąłem się na kamienistym brzegu, pod zachmurzonym, ale już dziennym niebem, a szum Martwego Pływu cichł gdzieś daleko na

zachodzie. Byłem mocno poobijany, skostniały, ledwie żywy z głodu i pragnienia, ale wciąż żyłem.

– I co dalej?

– Wyspy Zewnętrzne to najgorsze miejsce na świecie. Minęły trzy miesiące, zanim zbieracze bursztynu znowu odważyli się zapuścić w tamte strony. To był straszny czas, zwłaszcza noc... Wiele razy żałowałem, że fale nie roztrzaskały mnie na skałach. Zwłaszcza wtedy, kiedy odmroziłem nogę i musiałem urznąć ją tępym nożem.

– Mówiłeś, że to piraci...

– Zarzucasz mi łgarstwo?

– Nie, nie! Opowiadaj!

Ale Cabaj nadał się i nie chciał mówić nic więcej, mimo nalegań chłopca.

Tymczasem w dolinie górale rozpalili ognisko, w pobliżu pojawiały się następne, rzucając na śnieg czerwone błyski. Wokół nich powoli skupiały się cienie ludzi. Najdek dostrzegł teraz pozostałości rozniesionych przez burzę drewnianych chat i zagród.

– Jak udało im się to wszystko przetrwać? – zdumiał się.

– Pochowali się, gdzie kto mógł. To twardzi ludzie, mogą wiele znieść. Poradziliby sobie i z aniołem, gdyby tylko Mistrz na to pozwolił. – Kuternoga spostrzegł, że powiedział za dużo, gniewnie wzruszył ramionami. – Teraz zresztą jest już na to za późno. Stracili cały dobytek. Powinni uciekać, bo niedługo będzie jeszcze gorzej.

– A my?

Zamiast odpowiedzi odźwierny wskazał na wieżę.

W oknie ukazał się Mistrz. Dopiero teraz Najdek uświadomił sobie, że mędrzec nie zszedł ze wszystkimi do piwnicy. Szata wisiała na nim w strzępach, na twarzy zakrzepły strużki krwi – może poraniły go kawałki szkła z rozbitego witraża – lecz trzymał się prosto jak zawsze. Rozejrzał się z góry po dziedzińcu, klasnął w dłonie, żeby skupić na sobie uwagę ludzi, a potem przemówił swoim zwykłym, mocnym głosem:

– Jeszcze trochę wytrwałości, bracia. To już nie potrwa długo. Chorych i rannych zanieście do sali jadalnej, rozścielcie na podłodze kozuchy. Uprzątnijcie dziedziniec jak się da, żebyśmy mogli wznowić ofiary. Niech

mrok nie gasi waszej odwagi. Przetrywamy tę próbę, bracia, i wyjdziemy z niej silniejsi.

Odpowiedziała mu cisza, jakby ludzie czekali na coś jeszcze, ale Mistrz wycofał się w głąb wyziębionego, spustoszonego przez wichurę pomieszczenia. Dopiero wtedy pospuszczali głowy i zaczęli krzątać się powoli, bez ochoty i ładu.

Odźwierny zszedł po drabinie, posapując jeszcze głośniej, ale Najdek wołał pozostać na murach. Nie miał pojęcia, jaka jest pora nocy, lecz tak mocno tęsknił za Słońcem, że chciał doczekać tu brzasku. Wierzył, że chociaż jeden promień światła przedrze się przez zasłonę chmur.

Był lichy ubrany, głodny i bardzo znużony, więc szybko skostniał z zimna. Miał dziwne wrażenie, że jego własny smutek jest tylko odpryskiem niezgłębnego, anielskiego żalu, który spowijał okolicę niczym wszechobecna, lepka mgła. Był tak przygnębiony, jakby naprawdę szczyła już wszelka nadzieja, a jutro nigdy nie miało nadejść. Może powinien płakać, ale nie mógł; zdawało mu się, że dryfuje w zimnej pustce, zapomniany przez wszystkich. Coraz lepiej rozumiał, że istnieje specjalny rodzaj bezmiernej rozpaczy, skrojony na miarę wieczności.

Naraz drgnął. Poczł coś, co nie powinno się zdarzyć, jakby leciutkie łaskotanie na opuszczonych powiekach. Spojrzał przed siebie. Daleko, daleko na wschodzie ukazała się tuż nad widnokręgiem maleńka jak zadrapanie paznokciem rysa, spoza której płomiennym wachlarzem tryskało słoneczne światło. To było najpiękniejsze zjawisko, jakie zdarzyło mu się w życiu zobaczyć. Dopiero teraz, gdy zaczynał tajać z wielogodzinnego odrętwienia, po policzkach popłynęły mu łzy.

Usłyszał gwar podnieconych głosów na dziedzińcu, uniósł wzrok na góry. Wokół szczytu Rogacza utworzył się krąg tęczowego blasku; wyżej szybko rozstępowały się chmury, choć nie było wiatru.

Potężny rozbłysk nad wierchem na chwilę oślepił go, a gdy otarł łzy i spojrział znowu, zobaczył już tylko błękit czystego nieba.



Reszta zimy upłynęła spokojnie.

Kobiety i dzieci ze wsi znalazły tymczasowe schronienie w sąsiednich dolinach, gdzie burza nie wyrządziła tak wielkich szkód, tylko mężczyźni pozostali na miejscu. Sypiali na ławach i stołach w dolnej sali klasztoru, a dnie spędzali na odbudowywaniu chat. Mimo klęski, jaka na nich spadła, rozłąki z rodzinami i ciężkich warunków życia, nie narzekali. Po szczęśliwym podźwignięciu się anioła autorytet Mistrza wzrósł niepomiarnie; uważano powszechnie, że to on uchronił dolinę przed najgorszym. Tylko jego cnotliwa stanowczość sprawiła, że drwale nie dopuścili się spłoszenia anioła, a wytrwale śpiewane hymny ułatwiły powrót upadłego do Łaski. Ostatecznie – nikt nie zginął, ziemia i woda nie zostały skażone, a utrata dobytku wydawała się niezbyt dotkliwą karą za uparte trwanie przy dawnych zabobonach.

Tylko Cabaj, jak zwykle, miał własne zdanie, chociaż ostrożnie się nim dzielił. Jedynie wobec Najdka pozwalał sobie niekiedy na wieloznaczne pomruki i wzruszenia ramionami.

– W tym musi być coś jeszcze... – Nieznacznym ruchem głowy wskazywał szczyt Rogacza, chytrze przymrużając oko. – Ja tam swoje wiem. Anioł był o krok od Otchłani, wbił się w ostatniej chwili.

Chłopak z początku słuchał ciekawie, ale ponieważ nigdy nie doczekał się żadnych bliższych wyjaśnień, przestał na to zważać, po dawnemu zajęty pracą i marzeniami.

Inni niechętnie rozmawiali o tamtych wydarzeniach, jakby chcieli o nich jak najszybciej zapomnieć. I rzeczywiście, gdy życie wróciło w swoje stare tryby, mogło się wydawać, że zapomnieli.

Dnie wydłużały się po trochu, na polach stopniały śniegi, wezbrała rzeka. Odbudowa wioski postępowała zwawiej; co bardziej niecierpliwi górale spędzali już noce pod gołym niebem we własnych obejściach, choć po zmroku chwycił jeszcze mocny mróz. Nieszczęsna zima miała się ku końcowi, a razem z nią odchodziła w przeszłość trwoga owego dnia, kiedy nie wzeszło Słońce. Wreszcie doliny pozieleniały, Słońce grzało coraz dłużej i mocniej – lecz na wysokich zboczach wciąż jeszcze leżał głęboki, zaskorupiały z wierzchu śnieg. Tam wiosna docierała późno i niechętnie, jakby odstraszały ją nagie, oblodzone turnie, wysmagane wiatrami stoki i zamglone przepaście.

Jednego z chłodnych, wietrznych poranków Najdek dostrzegł z wysokości muru kilkunastu ludzi wspinających się na zbocze Rogacza błotnistym szlakiem, przetartym przy zwózce pni. Zdziwił się, bo zauważył wśród nich kobiety, a i reszta nie wyglądała na drwali. Gdy opowiedział o tym Cabajowi, ten lekceważąco machnął ręką.

– Wybrali się za wcześnie, utkną w zaspach. Nie dotrą na szczyt, będą musieli zawrócić. Za parę dni spróbują znowu.

– Po co mieliby tam chodzić?

– Żeby dotknąć śladów anioła. Wierzą, że to im zapewni pomyślność na cały rok. – Zaśmiał się cicho. – Kiedy Mistrz się o tym dowie, nie będzie zadowolony. Pewnie sądzi, że raz na zawsze wyplenił stąd wszelką ciemnotę.

Od tej chwili Najdek baczniej przyglądał się powoli obsychającym ścieżkom. Z zazdrością myślał o góralach, którzy podejmowali te niebezpieczne wyprawy. Obiecywał sobie, że któregoś ranka przyłączy się do nich, chociaż nie wierzył, że po tak długim czasie mogłyby zachować się na szczycie jakieś ślady. Dla niego liczyła się sama wspinaczka i pokusa wielkich, otwartych przestrzeni.

Był pogodny, jasny wieczór, gdy ktoś nagląco załomotał w bramę. Odźwierny uchylił kłapkę i krótkiej rozmowie wpuścił na dziedziniec barczystego drwała w zabłoconych butach, który słaniał się ze zmęczenia.

– Prowadź do Mistrza! – zażądał przybysz.

– Nie tak szybko, przyjacielu. – Cabaj obrzucił go niechętnym spojrzeniem. – Mistrz nie przyjmuje o tej porze. Przyjdź rano.

Tamtén zatoczył się na ławę. Przez chwilę z trudem łapał oddech, potem łyknął z bukłaka, który podsunął mu odźwierny, i odezwał się już spokojniej:

– Na Rogaczu znalazłem człowieka. Spędził tam zimę.

– To niemożliwe! – sarknął Cabaj – Nawet kozice przy pierwszych śniegach schodzą niżej, do lasów.

– Wiem, że to niemożliwe, ale tak było. Rozmawiałem z nim. To pustelnik. Widziałem go tej jesieni w klasztorze. Poznałem go, chociaż bardzo się zmienił.

Wokół z wolna zaczęli gromadzić się strażnicy i uczniowie. Odźwierny spąsował z gniewu; gdyby tamten był mniejszej postury, siłą wyrzuciłby go

za bramę.

– Zastanów się, człowieku, co za brednie wygadujesz! Gdzie ten cudak miałby mieszkać przez tyle czasu? I co jeść?

Drwał nie odpowiedział od razu, jakby te oczywiste wątpliwości dopiero teraz dały mu do myślenia. Rozejrzał się po twarzach ludzi – kpiących albo oburzonych – a potem uderzył pięścią w udo i wstał.

– Od małego chodziłem z ojcem po górach. Widziałem wiele dziwnych rzeczy, o jakich wam się nawet nie śniło. Trudno mnie przestraszyć, a przecież na widok tamtego człowieka rzuciłem wszystko i chciałem uciekać, tyle że nogi miałem jak kołki.

Ucichły chichoty i słuchacze skupili się ciaśniej, chociaż rozzłoszczony Cabaj parsknął, sapał i starał się rozepchnąć ich swoim wielkim brzuchem. Drwał opowiadał dalej, przymknąwszy oczy, jakby chciał ożywić w wyobraźni każdy szczegół wspomnienia.

– Wyszedł do mnie z pieczary prawie nagi, tylko w przepasce na biodrach, z brodą do pasa, taki wychudzony, że mógłbym policzyć wszystkie jego zębra. Nie wiem, jak w ogóle utrzymywał się na nogach. Miał opuszczone powieki, zdawało mi się, że jest ślepy. Jego prawa ręka była uschnięta, zwisała bezwładnie. Pomyślałem, że trzeba mu pomóc, sprowadzić na dół... – przerwał na chwilę, głębiej zaczerpnął oddechu. – Wtedy przywołał mnie po imieniu.

– Mówiłeś, że był ślepy – wtrącił zgryźliwie odźwierny. – Skąd wiedział, kim jesteś?

– Nie widział mnie, nigdy przedtem z nim nie rozmawiałem, a jednak poznał mnie. Chciałem dać mu trochę jedzenia, chociaż sam niewiele miałem, ale odmówił. Powiedział, że niczego nie potrzebuje, bo żyje dzięki Łasce.

– Błuznierstwo! – ryknął jeden ze strażników.

Nagle uczniowie pierzchli, a krąg strażników rozstał się przed Mistrzem, który podszedł niezauważony. Musiał słyszeć ostatnie słowa drwala, bo zapytał cicho:

– I co jeszcze powiedział ci ten człowiek, synu?

Przestraszony mężczyzna szerzej otworzył oczy, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę

bramy, lecz już było za późno na odwrót.

– Może nie wszystko dobrze zrozumiałem... – wybąkał drżącym głosem, a potem wyprostował się naraz, jakby chciał mieć to szybciej za sobą. – Pustelnik twierdzi, że to on pomógł aniołowi podźwignąć się z upadku.



Niebywała nowina z gwałtownością pożaru obiegła wioskę i wszystkie przysiółki, a już następnego dnia huczało od plotek także w sąsiednich dolinach. Wielu było takich, którzy nie chcieli w to wierzyć. Podejrzewali jakieś oszustwo, próbę wyłudzenia od naiwnych pielgrzymów hojnych datków, lecz z biegiem czasu pojawiali się coraz bardziej wiarygodni świadkowie, którzy potwierdzili, że na szczycie Rogacza żyje dziwny pustelnik. Opisywano go na ogół jednakowo – miał długie, skudłone włosy, siwą brodę sięgającą pępka, był ślepy, a każdym razie nigdy nie otwierał oczu. Podobno przez powieki przeświecał mu od wewnątrz blask Łaski, a niektórzy twierdzili, że nocami także wokół jego głowy widać cudowną światłość. Tak bardzo wychudł przez zimę, że mało przypominał żywego człowieka. Mimo zimna chodził prawie nagi. Żył w pieczarze, pozbawiony najniezbędniejszych rzeczy, nie rozpałał nawet ognia. Nie odpędzał ciekawskich, nikomu nie bronił przystępu do anielskich śladów. Trudno było się z nim porozumieć, bo na pytania odpowiadał bez związku albo wcale. Noce spędzał na najwyższej skale, patrząc w niebo, a we dnie najchętniej zaszywał się w głębi swojej nory.

Ludzie zgodnie osądzili, że zbyt bliskie spotkanie z aniołem przyprawiło go nie tylko o utratę wzroku, ale i pomieszenie zmysłów. Właściwie nie należało się temu dziwić; nie bez powodu Niebiosy i ziemia od początku świata były rozdzielone.

Niebawem gruchnęła kolejna wieść, wzbudzając w dolinie jeszcze większe emocje. Jeden ze śmiałków, który spędził na Rogaczu kilka dni, twierdził, że pustelnik chowa w pieczarze pióro z anielskiego skrzydła. Przysięgał, że widział je z bliska. Było przepiękne, wielobarwne jak tęcza i zwiewne jak mgiełka.

To już była daleko poważniejsza sprawa. W całym księstwie tylko kilka klasztorów posiadało równie cenne relikwie i powątpiewano, czy wszystkie

były prawdziwe – nawet przechowywany w stolicy anielski włos niedowiarkowie uważali za zwyczajną złotą nitkę. Jednak nikt rozsądny nie zaprzeczał, że upadłe anioły, podrywając się do lotu, gubiły czasem to i owo – coś podobnego mogło więc zdarzyć się i tutaj. Gdyby to była prawda, cieknący od pokoleń dość leniwie strumyczek pielgrzymów wezbrałby gwałtownie, na czym niechybnie skorzystaliby wszyscy, w klasztorze i jego murami. Nic dziwnego, że wśród górali zapanowało wielkie podniecenie. Co bardziej niecierpliwi jeszcze tego samego dnia wyruszyli w góry, żeby na własne oczy ujrzeć ten skarb – lecz powściągliwsi spoglądali na klasztorną wieżę. Tylko Mistrz mógł rozstrzygnąć ostatecznie, czy pióro jest relikwią, czy tylko szalbierstwem chytrego pustelnika.

Ku zdumieniu wszystkich, a może i zgorszeniu niektórych, mędrzec nie zabierał w tej sprawie głosu. Ustalony od wieków tryb klasztornego życia nie zmienił się ani odrobinę. O wschodzie i zachodzie słońca unosiły się w niebo gęste dymy kadzideł, rozbrzmiewały hymny, cicho szeleściły zwoje na pulpitych uczniów.

Wiele mówiąca wstrzeźliwość przełożonego klasztoru nie ostudziła jednak emocji. W ślad za śmiałkami, którzy jako pierwsi dotarli na szczyt Rogacza, zaczęli wyprawiać się także inni, z wioski, z sąsiednich dolin, a wreszcie i z dalszych stron. Chociaż droga była długa i ciężka, na kamienistej perci można było spotkać nie tylko zaprawionych do takich wędrówek drwali, pasterzy i pospolitych włóczędów, ale także kobiety z małymi dziećmi w chustach na plecach, starców, kaleki, a nawet ciężko chorych, których trzeba było dźwigać na noszach. Wszyscy chcieli dotknąć skały, na której siedział anioł, ucałować odcisnięte w kamieniu ślady jego stóp, ogarnąć spojrzeniem szeroki krajobraz, na który i on patrzył, odetchnąć tym samym powietrzem. A nade wszystko – każdy chciał zobaczyć na własne oczy pióro z anielskiego skrzydła, ogrzać się w jego blasku, który był przedsmakiem Niebios.



Najdek, do którego docierały tylko plotki i zniekształcone echa tych doniosłych wydarzeń, nie mógł usiedzieć na miejscu. Wyobrażał sobie, że na szczycie Rogacza dzieje się coś, co dla przyszłych pokoleń przejdzie do

legandy. Wierzył mocno, że teraz wszystko musi zmienić się na lepsze, także i dla niego samego. Liczył na to, że fala pielgrzymów, kupców, złodziei, mnichów, wydrwigroszy i wszystkich innych, których na pewno przyciągnie sława tak wspaniałej relikwii, porwie go ze sobą i utoruje mu drogę w szeroki świat.

Jak wszyscy, przeżył bardzo bolesne rozczarowanie z powodu powściągliwości Mistrza. Nie mógł tego zrozumieć. Podpytywał drwali, zagadywał kucharza, próbował nawet podsłuchiwać, o czym szeptają między sobą uczniowie – lecz wszędzie spotykał się ze wzruszeniem ramion albo z jawną niechęcią. Wrzenie w dolinie uspokoiło się, opustoszały ścieżki prowadzące na szczyt. Nadzieja na przyszłość rozviała się jak piękne złudzenie.

Po dwóch dniach takiej niepewności zmartwiony Najdek poczłapał do odźwiernego. Nie rozmawiali ze sobą wiele w ostatnim czasie, bo chłopak chodził z głową w chmurach, a Cabaj przeciwnie, kuśtykał po staremu od swojego wyrka w szopie do bramy i z powrotem, ani trochę nie ulegając powszechnemu roznamiętnieniu.

Także i teraz Najdek nie oczekiwał od niego żadnych wyjaśnień. Chciał po prostu posiedzieć chwilę przy kimś, kto nie odwróci się plecami na pierwszą wzmiankę o pustelniku.

– Miałeś rację – westchnął, opadając na ławę. – Ten biedak musi być pomyłony.

Drzemiący Cabaj uchylił jedną powiekę, dmuchnął przez wąsy.

– Pewnie. Każdy rozsądny człowiek wie dobrze, że górskie jaskinie należy omijać z daleka.

– Dlaczego?

– Za młody jeszcze jesteś, żeby o tym rozmawiać.

– Nie chcesz, to nie mów, zapytam drwali – odburknął chłopak w roztargnieniu; już nurtowała go inna myśl. – Skąd on właściwie wziął to pióro, o którym tak głośno? Oskubał jakąś gęś?

– Może to szaleniec, ale nie oszust. Anielskie pióro jest prawdziwe.

– Jak to? Przecież Mistrz nie ogłosił, że mamy nową relikwię...

– Bo jej nie mamy. Pustelnik na pewno nie zgodzi się, żeby oddać pióro do klasztoru, i szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię. Nawet pomyleńcy

umieją dbać o własny interes, a dla niego jest ważne, żeby pielgrzymi nie zatrzymywali się w dolinie, ale docierali na sam szczyt.

– Naprawdę myślisz, że chodzi mu tylko o datki? – Mimo starań Najdek nie potrafił wyobrazić sobie takiego wyrachowania.

– Tego nie powiedziałem. Każdy ma inne pokusy. Może chce po prostu zaspokoić własną próżność? Marzy o tym, żeby mędrcy i dostojnicy przychodzili do niego i pokornie prosili o błogosławieństwo. Ale przeliczy się, z klasztorem nikt jeszcze nie wygrał.

– Mistrz może zakazać pielgrzymek?

– Na razie nie musi tego robić. Wystarczy, że będzie milczał. – Odźwierny zerknął nieznacznie w stronę najwyższego okienka wieży. – Ludzie usłyszą nawet to, co nie zostało wypowiedziane. Skoro nie ogłosił ceremonii dziękczynnej, to znaczy, że najrozsądniej będzie zapomnieć o wszystkim.

– Nie rozumiem! Czy nie można po prostu odebrać pustelnikowi pióra i przynieść do klasztoru?

– A pewnie, pewnie... Gurgul byłby bardzo zadowolony, że w końcu trafiło mu się jakieś ważne zadanie. – Uśmiechnął się złośliwie. – Jeśli Mistrz nie wydał takiego polecenia, to znaczy, że w tym wypadku wcale nie chodzi o pióro.

– A o co? – Najdek otworzył szerzej oczy.

Cabaj rozejrzał się uważnie; dopiero gdy upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo, odpowiedział z cicha:

– O Łaskę. Kiedy tylko znaleźli w górach tego golca, bez ognia, bez jedzenia, od razu wiedziałem, co o tym myśleć. Był tak blisko anioła, że przejął cząstkę najczystszej Łaski, która opromienia całe Niebiosa. Tylko dzięki niej mógł przeżyć zimę. – Zamknął oczy i znowu rozparł się wygodnie. – Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie. Nawet sam Mistrz chyba tego nie wie, dlatego jest taki ostrożny.

– Przecież Łaska jest dobra! Dlaczego mielibyśmy się jej obawiać?

– To pokarm aniołów, mały, a my jesteśmy ludźmi. Do nas dociera Łaska rozproszona w świetle Słońca i tak jest dobrze. Kto wyciąga rękę po więcej, łatwo może się sparzyć.

Na dziedzińcu wokół kadzielnicy powoli zbierali się milczący mnisi, aby rozpocząć wieczorną ofiarę.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi, że Kuźmiuk, wiecznie obdarty i rozczochrany parobek, który wynajmował się u gospodarzy do różnych dorywczych robót, zniknął. Od urodzenia był niemową i z tego powodu uważano go za przygłupka, choć pracował rzetelnie i jak nikt potrafił przygrywać na piszczałce. Bito go często, bo nigdy się nie skarżył, posądzano chętnie o wszelkie drobne kradzieże, jakie zdarzały się we wsi, i wszelki wypadek zamykano w ciemnicy – jednak zawsze wypuszczano go po tygodniu czy dwóch, gdy tylko ktoś potrzebował do pomocy jego silnych rąk.

Także i tym razem zauważono jego nieobecność dopiero po paru dniach. Nie było o tym wiele gadania – tacy jak on przychodzili zwykle nie wiadomo skąd i tak samo przepadali, kiedy sprzykrzyła im się ciężka praca albo dogryźli ludzie. A jednak Kuźmiuk odnalazł się w końcu pod klasztorną bramą, wygłodzony, z gorączkowo lśniącymi oczyma. Odźwierny nie chciał wpuścić obdartusa, żeby nie żebrał na dziedzińcu, lecz zbliżał się świt i zadzwoniono na ceremonię, a uczestnictwa w porannej ofierze nikt mu przecież nie mógł zabronić. Niemowa wszedł więc w obręb murów z grupką pielgrzymów i z kilkoma pobożnymi góralami. Wydawał się bardzo podniecony, jakby rozpieęła go radość, której nie potrafił dać wyrazu. Ustawił się razem z innymi w pobliżu kadzielnicy, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę przyglądał się rozpalaniu ognia i przygotowywaniu na złotej tacy grudek drogiego kadzidła.

Mistrz uniósł ręce w stronę wschodu i chwilę zapadła całkowita cisza. Potem mnisi rozpoczęli pieśń.

Kuźmiuk zamknął oczy. Zdawał się słuchać w skupieniu, kilka razy poruszył wargami, ostrożnie dotknął krtani – i nagle przyłączył się do chóralnego śpiewu mocnym, pewnym, czystym głosem.

Któryś ze strażników powinien natychmiast zamknąć mu dłońią usta i wyprowadzić go, lecz wrażenie było tak wielkie, że nikt się nie ruszył. Parobek świętokradczo odśpiewał cały hymn, nie myśląc się ani razu i nie fałszując nawet w najtrudniejszych miejscach.

Kiedy ostatnie smugi kadzidlanoego dymu wsiąknęły w jaśniejące niebo i długi hymn dobiegł końca, wszystkie spojrzenia skupiły się na Kuźmiuku. Nie otwierał jeszcze oczu, drżał cały, jakby wciąż jeszcze wsłuchany w

samego siebie. Blady z gniewu Dzwonnik podszedł, roztrącając pielgrzymów, mocno szarpnął parobka za ramię.

– Ciężko zawiniłeś, czcząc anioły tym samym głosem, którym wczoraj pewnie wykrzykiwałeś w karczmie jakieś sprośności... – Urwał naraz; twarz mu stężała, gdy uświadomił sobie, że aż do dziś Kuźmiuk mógł wydać z siebie jedynie odrażający, gardłowy bełkot.

Parobek rozglądał się wokół, mrugając w zdumieniu powiekami, jakby nie rozumiał, co mu się przytrafiło. Przestraszył się nagle, wciągnął głowę w szerokie ramiona i brudnym paluchem wskazał na widoczny ponad murem szczyt Rogacza.

– Ja... poszedłem tam... – z widocznym trudem dobierał słowa, ale mówił wyraźnie. – Pustelnik rozwiązał mój język. Powiedział, żebym w podzięcie zaśpiewał Słońcu.

Zawstydził się, spuścił oczy i uciekł w stronę otwartej bramy. Nikt go nie zatrzymywał.

Do wieczora w całej dolinie nie było nikogo, kto nie wiedziałby o cudownym uzdrowieniu parobka. Tym razem zabrakło szyderców i niedowiarków. Wszyscy dobrze znali Kuźmiuka i każdy sam mógł przekonać się, że nie ma w tym żadnego oszustwa. Kto chciał, stawiał w karczmie przed dawnym niemową kubek wina, a ten po raz kolejny opowiadał tę samą historię, coraz swobodniej, coraz płynniej, rozkoszując się brzmieniem swojego głosu i niesłabnącym zainteresowaniem słuchaczy.

– Poszedłem, jak inni, z ciekawości, no i to, żeby ucałować ślady anioła. Nie prosiłem pustelnika o nic. Jak mógłbym prosić, jeśli nie umiałem mówić? – Roześmiał się szeroko, pijany winem i szczęściem. – Skinął na mnie, poślinił palec i dotknął mojego gardła, o tutaj... Zapiękło, zaswędziało, ale nie bardzo. Potem dał mi jeść, z tego, co mu naznosili ludzie, i kazał wracać do wsi. Idź, powiada, między ludzi, i staraj się, żeby twoje słowa nigdy nikomu nie wyszły na złe. I poszedłem. Z początku nawet nie uwierzyłem, że naprawdę mogę mówić. Dopiero w drodze, kiedy to dziwne swędzenie w gardle już mi nie dawało spokoju, usiadłem sobie na pniaczku, zebrałem się na odwagę i zacząłem śpiewać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej i głośniej, aż echo grało. Popłakałem trochę, pośmiałem się. Od tej radości to całkiem zakotłowało mi się w głowie,

przez kilka dni chodziłem po lesie i gadałem do zwierząt, do drzew, nawet do kamieni. W końcu opamiętałem się trochę. Pomyślałem, że może to wszystko tylko mi się wydaje, że trzeba by zagadać do kogoś rozumnego, kto taki cud pojmie i wytłumaczy mi. Ale najpierw chciałem zaśpiewać Słońcu. Czułem, że potrafię. Ja też przecież przez całe życie milczałem, jak mnisi, moje wargi były czyste, więc czemu nie miałbym zaśpiewać? – Rozejrzał się wyzywająco po karczmie, jednym łykiem dopił wino. – Teraz już nie mógłbym, bo gadam i gadam. Im więcej gadam, tym mniej czuję na języku tamten smak Łaski... – Podparł głowę rękami, westchnął z pijackim żalem. – Taak... Ale jakże nie gadać, skoro człowiek przez tyle lat siedział cicho?

Z czasem, kiedy ludzie przekonali się, że Kuźmiuk nie może już dodać nic nowego do swej opowieści, przestali kupować mu wino, a on musiał wytrzeźwieć i wrócić do roboty. Gospodarze sarkali, bo targował się teraz zawzięcie o każdą dniówkę, zaczepiał panny, a w razie potrzeby i zakląć potrafił. Chętnie nucił sobie przy pracy, ale nigdy już nie zaśpiewał tak pięknie i czysto jak wtedy, o brzasku, na klasztornym dziedzińcu.

Rychło zresztą zapomniano o nim, bo w wiosce zaczęli pojawiać się kolejni ozdrowieńcy. Mistrz wciąż milczał, zamknięty w wieży, i nikt nie miał wątpliwości, jak należy tę ciszę rozumieć, ale pokusa cudu była zbyt silna. W góry wyruszali chorzy i zdrowi, młodzi i starzy, pojedynczo i w grupach. Kto był zbyt słaby na wspinaczkę, opłacał tragarzy i kazał się nieść. Pustelnik nie odmawiał pomocy nikomu; każdego dotykał swymi długimi, chudymi palcami, lecząc wszelkie dolegliwości ciała i ducha, prawdziwe albo urojone. Wielu zostawało na nocleg w jaskini, niektórzy zatrzymywali się na dłużej, nawet na parę dni. Dzielił się tym, co miał – a zapasów i tak wciąż przybywało, bo zamożniejsi goście nie żalowali hojnej jałmużny.

Piątego dnia po przywróceniu mowy Kuźmiukowi, pod wieczór, gdy na zboczach przy pieczarze tłoczyła się rozkrzyczana ciżba, pustelnik nagle osunął się na kolana, a potem upadł na twarz. Ludzie próbowali go cucić, polewali wodą, klepali po policzkach – nadaremnie. Leżał siny, z zamierającym tętnem, charcząc. Wydawało się, że kona. Wielu wówczas uciekło, a ci, którzy zostali, lamentowali głośno, ale bardziej chyba nad sobą niż nad nim.

Tuż po zmierzchu na szczyt przybyli strażnicy z pochodniami, którzy rozpędzili zbiegowisko, spychając pielgrzymów w dolinę, pośród krzyków, przekleństw i płaczów. Po drodze mijali płonące na polanach ognie.

Następnego ranka Dzwonnik powtórnie ogłosił na majdanie, że bez zezwolenia Mistrza nikomu poza drwałami nie wolno chodzić w góry. Jeszcze tego samego dnia strażnicy ujęli w lesie dwóch nieszczęśników, którzy nie posłuchali zakazu. Oćwiczono ich przykładowo różgami w obecności całej wsi.

W dolinie zapanował spokój.



W przysiółku drwali życie na pozór toczyło się jak dawniej. Trwała wycinka i spalanie drzew, wieczorami płonęły ogniska, a wesołe przyśpiewki niosły się daleko po wodzie. Na brzeg częściej niż dawniej zachodzili strażnicy – było ich teraz w klasztorze znacznie więcej. Na polecenie Mistrza Gurgul porobił nowe zaciągi, i to w odległych wioskach, wśród obcych. Ci nowi nie bratali się już tak ochoczo w karczmie z miejscowymi, ale i nie sprawiali większych kłopotów. Patrzyli, kto rankami wychodzi w góry i kto wieczorami wraca, zaglądali do sakw, słuchali, o czym się rozmawia. Sam dowódca zjawiał się kilkakrotnie w przysiółku; przypominał, że poza robotą nikt nie ma prawa kręcić się po górach, a każdego, kto zlekceważy ten zakaz, czeka surowa kara. Ponieważ drwale nie zapraszali go do ogniska, odchodził w stronę wsi opustoszałą ścieżką nosiwodów, udając, że nie zauważa drwiących uśmiechów.

Jednak Najdek nie pozwolił zwieść się tak łatwo. Zbyt dobrze znał drwali, by nie zauważyć, że najgłośniej śpiewają w obecności strażników, lecz gdy tylko pozostają sami, pryska złudzenie beztroskiej zabawy. Pili dużo mniej niż zwykle, naradzali się szeptem, głowa przy głowie, i milkli natychmiast, kiedy zbliżał się ktoś obcy. Ze smutkiem przekonał się, że także jego samego nie obdarzali już takim zaufaniem jak niegdyś. Nikt wprawdzie nie przegonił go ani nie powiedział złego słowa, ale mimo to chłopak czuł wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, że nie jest jednym z nich.

Wzdrega, przed którym wyzalił się wreszcie, nie zaprzeczył, ale też niewiele wyjaśnił.

– Mamy trudny czas. Trzeba uważać, co się mówi i do kogo. Ludzie cię znają, ale... – Machnął wielką dłonią. – Sam wiesz. Jesteś z klasztoru.

– I co z tego? Przecież nie chcę wam zaszkodzić.

– Dlatego lepiej, żebyś nie wiedział o nas zbyt wiele.

– Myślałem, że mi ufasz...

– Bo tak jest. Chcę ci tylko zaoszczędzić na przyszłość trudnych wyborów.

Chłopak odchodził rozzalony, w poczuciu krzywdy. Przecież mieszkał w klasztorze, bo to był jego jedyny dom, innego nie miał. Zaglądał do karczmy, jednak w gwarnej zwykle izbie ostatnio bywało pusto. Krążyła plotka, że przy drodze do wsi siedzą strażnicy i zawracają wszystkich podróżnych z wyjątkiem pielgrzymów, i to tylko takich, którzy sprawiali wrażenie zdrowych na ciele i umyśle. Chromych odganiaли bez litości, niczym roznościciele zarazy, a opornych płażowali nawet mieczami.

Najdkowi trudno było uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się za zgodą Mistrza. Przypuszczał raczej, że stary mnich o niczym nie wie, a Gurgulowi nie chce się wyłapywać po lasach przybłądów i ułatwia sobie w ten sposób robotę. To było tym bardziej prawdopodobne, że mędrzec zamknął się w swojej izdebce na szczycie wieży i od wielu dni nikt poza Dzwonnikiem go nie widywał. Nie schodził nawet na Ofiary. Ludzie nie wiedzieli, co właściwie o tym myśleć, ale zgadzano się powszechnie, że to nie jest dobry znak. Coś jeszcze musiało się wydarzyć. Taki stan niepewności – bez jarmarków, bez uroczystych pielgrzymek, bez pijatyk w karczmie – nie mógł przecież trwać wiecznie. Wieśniacy oczekiwali jakiegoś wstrząsu, który wyzwoliłby ich z tego grzęzawiska domysłów i złych przeczuć, lecz jednocześnie obawiali się go. Żyli z dnia na dzień, niemrawi przy robocie i coraz bardziej swarliwi, zerkając z niepokojem na górę, która tak dziwnie zaciążyła na ich życiu.

Zawiódłszy się na drwalach, Najdek nie znalazł pociechy także u Cabaja, bo ten, drażliwy i chmurny, w ogóle nie chciał słuchać o jego troskach.

– Nie chcą cię, i dobrze. Może w końcu przestaniesz do nich łązić.

– Ale ja nie zrobiłem im nic złego!

– Ani oni tobie. Nie muszą tłumaczyć się przed dzieciakiem ze swoich spraw.

A jednak Najdek dowiedział się co nieco o tych sprawach, i to u samego źródła.

Kłys zaczepił go, gdy brodząc po kolana na płyciźnie między ospałymi fokami, usiłował zachęcić którąś do zabawy. Drwał podszedł niepostrzeżenie, cisnął kamieniem w sam środek stada. Spłoszone zwierzęta uciekły na głębię, bijąc płetwami w wodę; przemoczony chłopak pozostał na brzegu sam.

– Musisz uważać, mogły cię stratować! – zachichotał Kłys, przykucając na kamienistej łasze. – Są wielkie, ale bardzo strachliwie.

Najdek wiedział, że jeśli okaże gniew, sprawi żartownisiowi tym większą radość. Ściągnął koszulę przez grzbiet, wyżał mocno.

– Nic mi nie zrobią – prychnął. – Lubią mnie.

– Jasne. Nikt tak ich nie rozpieszcza, ale trzeba przyznać, że masz do nich rękę – pochwalił łaskawie. – Może przydałbyś się na spływie.

– Tak myślisz? – Chłopak natychmiast zapomniał o urazie, mokre jeszcze policzki zarumieniły się. – Zabrałbyś mnie ze sobą?

– Kto wie, kto wie... Panowanie nad zaprzęgiem nie jest takie łatwe, jak ci się wydaje.

– Nauczę się!

– Zanurz głowę, to cię trochę schłodzi. – Drwał roześmiał się znowu. – Może i wziąłbym cię, ale to nie zależy tylko ode mnie.

– Wiem, Wzdreğa. – Najdek oklapł tak szybko, jak się zapalił. – On nigdy się na to nie zgodzi.

Kłys zamyslił się nad czymś, dłubiąc palcem w uchu i przypatrując się chłopcu jakoś inaczej, jakby szacował go na nowo.

– Naprawdę tak bardzo chcesz być drwalem? – zapytał wreszcie, wstając.

– Najbardziej na świecie!

– A więc będziesz nim. Obiecuję ci to.

– Ale Wzdreğa...

– Nie będzie miał nic do gadania, musisz tylko trochę podrosnąć. Są wśród nas nawet złodzieje i zabójcy, nie pytamy nikogo o przeszłość. Wciąż są potrzebni nowi ludzie, żeby zastąpić tych, którzy zostali w górach. – Uderzeniem pięści w otwartą dłoń przypieczętował wagę swoich słów. – Brakuje ci jeszcze paru lat. Bądź cierpliwy.

Zniechęcony chłopak patrzył posepnie na powracające z wolna foki; teraz to on miał ochotę rzucić kamieniem.

– Do tego czasu pewnie będę już stary i gruby, jak Cabaj – mruknął.

– Bzdura. Nikt zresztą nie każe ci czekać bezczynnie przy bramie i smrodzić w ławę. Już dzisiaj możesz zacząć przygotowania. Im więcej nauczysz się teraz, tym dłużej pożyjesz w lesie.

Najdek uniósł głowę, choć jeszcze bez przekonania.

– Przygotowania? Co miałbym robić?

Kłys trącił go pięścią w bark.

– Na początek sprawdzimy, czy można na tobie polegać. Przyjdź wieczorem. – Zanim odszedł, jeszcze raz spojrzął na chłopca przeciągle spod zmrużonych powiek. – I ani słowa Wzdredze, pamiętaj.



Martwił się, jak przekonać Cabaja, żeby wypuścił go cichaczem na noc za bramę, ale gdy po wieczornej ofierze, jękając się, wyłuszczył swoją prośbę, wbrew obawom odźwierny uśmiechnął się spod spłowiałego wąsa.

– Bałem się już, że coś z tobą nie tak. Ja w twoim wieku miałem już trzy narzeczone, każdą w innej przystani.

Najdek natychmiast podchwycił ten wątek, aby wyzyskać dla własnych celów tak rzadki u kuternogi dobry nastrój.

– A z którą się ożeniłeś? – zapytał w ciemno i zaraz pożałował, bo Cabaj zmarkotniał wyraźnie.

– Nie bądź taki dociekliwy.

– Jasne, to nie moja sprawa – zgodził się skwapliwie chłopak. Miał wrażenie, że ziemia parzy go w podeszwy. – Więc... jak będzie?

– Mam nadzieję, że to jakaś rozsądna dziewczucha i nie oczekuje od ciebie zbyt wiele. – Rzucił krótkie spojrzenie na szczyt murów, gdzie paru znudzonych strażników grało w kości. – Jeśli Dzwonnik cię przyłapie, obaj będziemy mieli kłopoty.

– Nikt się nie dowie, przyrzekam!

– Pewnie robię błąd, ale może dzięki temu przestaniesz wreszcie nabijać sobie głowę głupotami. – Uchylił lekko furtę. – Zmykaj.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy zbiegał po długich schodach, a potem boczną ścieżką wśród skał w stronę nadbrzeżnej skarpy. Kiedy zziębnięty dotarł na miejsce, było już niemal zupełnie ciemno. Odbicia gwiazd drżały w ciemnej toni.

– Jednak jesteś. – Kłys wyłonił się cicho zza krzaka. – Już myślałem, że stchórzyłeś.

– Nie boję się!

– Dobrze już, dobrze. Zobaczymy, jak sobie poradzisz. Po pierwsze, każdy drwal umie naśladować głosy wszystkich zwierząt. Umiesz pohukiwać jak puszczyk?

– To łatwe.

– Położysz się tutaj w zaroślach, na grzbiecie skarpy. Stąd dobrze widać obie ścieżki, od klasztoru i od wsi. Gdyby ktoś nadchodził, zahukasz trzy razy.

– Tylko tyle? – upewnił się nieco zawiedziony Najdek. – Mam zostać na czatach?

– Wydaje ci się, że to mało ważne? Od twojej czujności zależy bardzo wiele. Nie wolno ci zasnąć aż do świtu. Jeśli nie zawiedziesz, z czasem pomyślimy o czymś więcej.

– I pójdę do lasu?

Kłys uśmiechnął się tylko, bezszelestnie zniknął w krzakach.

– Trzy razy, pamiętaj! – rzucił jeszcze z ciemności.

Chłopak położył się na brzuchu w miękkiej trawie i podsunął pod brodę złożone dłonie. Uczucie rozczarowania ustępowało powoli; ta noc nie zapowiadała się wprawdzie aż tak ciekawie, jak to sobie wymarzył, ale mimo wszystko postawił przecież nareszcie pierwszy krok na drodze do celu, jakim były góry. Musiał teraz udowodnić drwalom, że wart jest, aby zostać jednym z nich, a wówczas ani Wzdrenga, ani Cabaj, ani nawet sam Mistrz nie stanie mu na przeszkodzie.

Ogniska na brzegu płonęły jak zwykle, ale niewielu było chętnych do picia i śpiewów. Nikt nie tańczył i nie skakał nad płomieniami. Po jakimś czasie na ścieżce zaszurały kroki dwóch strażników. Najdek przyłożył do ust stulone dłonie i ostrzegł drwali umówionym sygnałem. Nie był pewien, czy go usłyszano, na dole nikt nie odwrócił się w stronę skarpy. Strażnicy zeszedli

na brzeg, pokręcili się trochę tu i tam, ale gdy któryś z drwali chciał podać im bukłak, odmówili poczęstunku. Odeszli rychło tą samą drogą, którą przyszli, obwarkiwani z mroku przez psy.

Niebawem ogniska zaczęły przygasać, ludzie kolejno znikali w chatach. Najdek rozpoznał barczystą postać Wzdreği; chciał zawołać na niego, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Zmienił pozycję, wyprostował zdrętwiałe ręce. Zrobiło się chłodniej, w zaroślach zaszumiał wiatr, rozdmuchując iskry z blednących popielisk. Ktoś na dole ziewnął głośno, ktoś inny trzasnął drzwiami.

Zanim chłopak zdążył przygotować się na to, w przysiółku nagle zrobiło się ciemno i cicho.

Dopiero teraz poczuł się nieswojo. Dobrze znana okolica, po której mógłby biegać z zamkniętymi oczami, z lekka tylko oprószona poświatą chudego księżyca, wydawała się odmieniona, prawie obca. Zaniepokoił go bezruch u podnóża skarpy. Przecież Kłys nie zostawił go tutaj po to, by czuwał nad spokojnym snem drwali. Przyszło mu do głowy, że tamten zakpił sobie z niego jak wiele razy przedtem; zjawi się rankiem, wyspany i rześki, parskanie śmiechem, mrugnie okiem, zarzuci na ramię siekiere i razem z innymi pójdzie w góry. Najdek chciał nawet od razu uciec do klasztoru, byle uniknąć takiego upokorzenia. Zrobiłby to, gdyby nie obawa, że natknie się po drodze na strażników.

Prócz zwątpienia i złości zaczął odczuwać także strach. Nigdy wcześniej nie był nocą poza murami klasztoru, nigdy nie był zdany tak całkowicie na samego siebie. Nasłuchiwał z bijącym sercem tupotów jeży, brzęczenia komarów i plusków od strony rzeki; wpatrywał się w głębokie księżycowe cienie. Wierzył, że pod klasztorną skałą nie może spotkać go nic złego, a jednak co rusz wstrzymywał oddech. Najcięższą próbę musiał znieść wówczas, gdy we wsi zadzwonił studzienny łańcuch. Wtulił twarz w trawę, aby nie krzyknąć z przerażenia. Powtarzał sobie w duchu, że to na pewno tylko wiatr, ale rozkiełznana wyobraźnia zaczęła podsuwać mu coraz to straszliwsze przypuszczenia. Przez chwilę był bliski haniebnej ucieczki, która musiałaby się zakończyć klęską marzeń, wielkim wstydem, a pewnie i pręgierzem.

Na szczęście ogarnął jeszcze raz zatrwożonym spojrzeniem przysiółek, bezwiednie szukając tam wsparcia. W zakolu rzeki dostrzegł kilkadziesiąt podwójnych świetlistych punkcików – ślepią rozbudzonych fok lśniły w ciemnościach. Zwierzęta nie uciekały, nie wydawały się nawet zaniepokojone, a przecież gdyby wyczuły demona, płycizna musiałaby zakiepieć od uderzeń płetw. Najwidoczniej działo się coś, do czego przywykły od dłuższego czasu.

Najdek rozluźnił się z wolna, śmieiej uniósł głowę. Po chwili wypatrzył jaśniejszą smugę piany pośrodku rzeki; coś płynęło cicho i szybko pod prąd. Przyłożył dłonie do ust, żeby zahukać, ale w porę przypomniał sobie, że Kłys kazał mu wypatrywać intruzów jedynie od strony lądu. Wyteżył wzrok, gdy sunący po wodzie cień przeciął drżący pas księżycowej poświaty. Zdołał dostrzec błyszczące nad powierzchnią chrapy foki, która ciągnęła niewielką łódź z kilkoma ludźmi. Zaprzęg nie skręcił w stronę pomostu, minął przysiółek i niebawem smuga piany zniknęła za zakolem rzeki, skąd dobiegał jednostajny szum wodospadu. Ślepią zwierząt na płyciznie przygasły.

Wszystko przebiegło tak cicho i szybko, że łatwo mógłby przeoczyć tych nocnych przybyszów. Choć wpatrywał się pilnie w ciemny nurt, nie zobaczył już nic nadzwyczajnego. Domyślił się, że to właśnie tę niepozorną łódeczkę miał ustrzec przed wzrokiem niepożądanych świadków. Nie mógł pojąć, dlaczego ktoś miałby płynąć po kryjomu w górę rzeki, gdzie nie było przecież żadnej osady ani w ogóle nic godnego uwagi. Nie roztrząsał tego zresztą zbyt długo, coraz bardziej znużony i senny. Odwrócił się na plecy, żeby dać ulgę napiętym barkom. Spojrzał w gwiazdy, ziewnął i chwilę przymknął załzawione od długotrwałego wypatrywania oczy.

Obudził go kopniak w zębra. Poderwał się w popłochu, mrużąc powieki przed ukośnymi promieniami wczesnego słońca. Nie od razu zdał sobie sprawę, gdzie jest i dlaczego koszulę ma mokrą od rosy; otrzeźwił go dopiero szyderczy śmiech Kłysa.

– Kiepsko zaczynasz. Gdybyś zasnął na straży w lesie, mógłbyś się już więcej nie obudzić.

– Wcale nie spałem! – Roztarł palcami swędzące powieki.

– Chrapałeś, aż niosło się po łęgach. Nie zauważyłbyś, nawet gdyby pies cię oszczał.

– Nieprawda! W nocy widziałem dwóch strażników, potem zaprzęg na rzece...

– Taak? – Kłys spoważniał, zaplótł ramiona na piersi. – To bardzo dziwne. Nikt nie pływa w nocy. Chyba jednak przyśniło ci się to wszystko.

– Przysięgam!...

– Dostyc. – Drwał wysunął naprzód szyję, ściszył głos. – Nic nie widziałeś, jasne? A jeśli nawet widziałeś, to właśnie zapomniałeś o tym.

Speszony Najdek przyglądał rozczochrane włosy, po chwili milczenia skinął głową.

– Jasne.

– To dobrze. Może jeszcze wyjdiesz na człowieka. – Drwał wydłubał z kieszeni mały srebrny pieniążek, rzucił chłopcu. – Masz.

Zdumiony Najdek położył monetę na dłoni, przyglądając się jej z otwartymi ustami – coś takiego widywał dotąd tylko z daleka, na kramach bogatych kupców.

– To dla mnie? – zapytał szeptem, nagle przestraszony.

– Zapracowałeś. Zahukałeś, kiedy było trzeba. Nad ranem zasnąłeś, ale następnym razem postarasz się bardziej.

– Następnym razem?...

– A co? Już nie chcesz zostać drwalem? – Kłys kpiąco wyduł wargi. – Jednak wygodniej spać w szopie na sianku?

Najdek zacisnął dłoń z pieniążkiem w pięść, z gniewu wystąpiły mu na policzkach czerwone plamy.

– Będę.



Cabaj przy bramie zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Gdzieś się poniewierał, chłopcze? Cały jesteś uświniony.

Najdek najchętniej minąłby go bez słowa, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Potrzebował życzliwości odźwiernego także na kolejne noce.

– W krzakach – odburknął.

– Chyba za długo już żyję. – Zgorszony Cabaj splunął przez ramię. – Za moich czasów dziewuchy nie godziły się na takie rzeczy.

Najdek wymijająco wzruszył ramionami. Zdarzało mu się od czasu do czasu ołgać kuternogę w różnych drobnych sprawach, czego zawsze potem żałował, ale nigdy wcześniej nie czuł się z tym aż tak podle. Chciał uciec do swoich zajęć, udając pośpiech – było już grubo po porannych hymnach – ale Cabaj złapał go mocno za kark.

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Jesteśmy w klasztorze, tutaj nikt inny nie zna się na takich sprawach, więc musisz polegać na moim doświadczeniu. – Puścił chłopca, pozostawiając na jego skórze piekący odcisk palców. – Ona nigdy nie będzie cię szanować, skoro nie szanuje samej siebie.

To był bardzo długi, męczący dzień. Najdek zamierzał ukryć się w komórce na narzędzia i przedrzemać choć do południa, ale Dzwonnik wciąż wynajdywał mu nową robotę, a przed samym obiadem złapał go jeszcze za opieszłość. Dopiero pod wieczór chłopak mógł nieco odsapnąć, a i to nie za bardzo, bo bał się, że zaśpi.

O zachodzie słońca, wymizerowany i blady, pociągnął Cabaja za rękaw, gdy ten zabierał się już do zamykania bramy.

– Co, znowu? – zachnął się kuternoga. – Rozumiem, młodość ma swoje prawa, ale tak długo nie pociągniesz.

– Wcale nie jestem zmęczony.

– Ledwo patrzysz na oczy – westchnął niechętnie, uchylił furtę. – Jeżeli nie zaczniesz się oszczędzać, nie będzie miała z ciebie pożytku ani ta, ani żadna inna.

Noc minęła bez przygód, była tylko nieco bardziej zachmurzona od poprzedniej i Najdek z trudem wypatrzył prześlizgujący się po rzece zaprzęg. Nie bał się już prawie wcale, nie przestraszyło go nawet podzwanianie studziennego łańcucha. Właściwie nie miał nic do roboty, bo strażnicy nie pokazali się ani razu. Tym trudniej było zachować czujność do samego świtu – ale wytrwał, byle tylko nie narazić się znowu na docinki Kłysa.

Jak wczoraj na odchodnym dostał od drwala pieniądze. Tym razem przyjął go bez wahania. Gdy wracał do klasztoru, każdy jego krok pobrzękiwał

cichutko. Bardzo szybko polubił ten dźwięk.

Trwała właśnie ceremonia, więc przekradł się chyłkiem za plecami odźwiernego, zagrzebał w szopie pod sianem i natychmiast zasnął twardo.

Cabaj obudził go bardzo późno; widoczna przez otwarte drzwi słoneczna tarcza do połowy zsunęła się już za klasztorny mur.

– Co ty sobie wyobrażasz, cwaniaku? – Nastroszone szczoteczki brwi kuternogi nie wróżyły niczego dobrego. – Powiedziałem Dzwonnikowi, że jesteś chory i nie nadajesz się dzisiaj do niczego. Masz szczęście, że był zajęty ważniejszymi sprawami i nie chciało mu się tego sprawdzać.

– Dziękuję... – bąknął chłopak, rozcierając dłonią obrzękniętą od snu twarz.

– Nie dziękuj, bo to był ostatni raz. Nie będę cię dłużej kryć.

– Ale ja muszę...

– Powiedziałem! Koniec z tym. – Cabaj usiadł ciężko na zydlu, ciągnął dalej nieco spokojniej: – Słuchaj, a może ona ci czegoś zadała? Niektóre tak robią. Biorą od czarownicy miłosny wywar, dolewają do piwa, a kiedy człowiek się napije, nigdy już nie obejrzy się za inną.

– Nie o to chodzi.

– Więc o co?

Najdek zrozumiał, że utwierdzając nadal odźwiernego w błędnych domysłach, nic już więcej nie zyska. Nieoczekiwanie poczuł ulgę, że wreszcie może powiedzieć prawdę i żałował, że nie zrobił tego na samym początku.

– Nie ma żadnej dziewczyny – wyznał, mimo wszystko mocno zawstydzony.

– Nie ma? – Cabaj aż stęknął ze zdumienia. – To co robisz po całych nocach?

– Pracuję.

– Przecież masz robotę w klasztorze.

– Tutaj wysługują się mną tylko, tamto to coś o wiele ważniejszego. – Trochę żal mu było sięgać do kieszeni, ale uznał, że tak będzie najlepiej. – Popatrz.

Na widok pieniążka Cabaj poderwał się i natychmiast kopniakiem zatrzaskał drzwi. W szopie zapadła ciemność.

- Skąd to masz? – zapytał zmienionym głosem.
- Zarobiłem.
- Tyle nie da się zarobić uczciwie nawet w tydzień. W coś ty się wplątał, mały? Gadaj zaraz!
- Nie zrobiłem nic złego! Zresztą ty też możesz zarobić. Weź go, jest twój.
- Tak? – Zabrzęczała odpinana sprzączka od pasa. – Może najpierw ja ci wypłacę, ile się należy.

Cabaj zasłaniał własnym ciałem drzwi, ale w mroku to zwinniejszy chłopak miał przewagę. Zanurkował nisko, szarpnął oburącz za drewnianą nogę, a gdy odźwierny zwałił się z hukiem na klepisko, wybiegł ze stodoły i pognął wprost ku bramie.

Wieczora doczekał ukryty w zdziczałym sadzie na obrzeżu wsi. Obawiał się, że Cabaj będzie szukał go u drwali, dlatego wspiał się na nadrzeczną skarpe dopiero po zmroku. Nie zastanawiał się nad tym, co będzie jutro. Liczył na to, że odźwierny mimo wszystko nie wyda go przed Dzwonnikami, do rana ochłonie z gniewu i będzie można rozmówić się z nim rozsądniej. A jeśli nie? Cóż... Wkupienie się w łaski drwali warte było nawet siniaków od pasa na tyłku.

Tej nocy – chmurnej, dżdżystej – ognie na brzegu pogasły szybciej niż zwykle; ludzi przepłoszył krótki, ale rześisty deszcz. Potem długo było spokojnie, nawet psy nie szczekały, od rzeki ciągnął wilgotny chłód. Foki drzemały na płyciźnie, od czasu do czasu słychać było pojedyncze parsknięcie czy chlupot. Najdek nie widział zaprzęgu – było zbyt ciemno – ale nie zaniepokoił się tym; dla tamtych w łódce mrok był przecież sprzymierzeńcem.

I nagle w tej głębokiej ciszy zabrzmiał przeciągle gwizdek strażnika, a chwili oba brzegi rzeki rozplómiły się dziesiątkami pochodni. Najjaśniej zrobiło się wyżej, za zakrętem; gdzieś w okolicach wodospadu wybuchło zamieszanie, jakieś krzyki, bieganina – potem znów odgłos gwizdka, wszystkie pochodnie z sykiem zatonęły w rzece i powrócił spokój.

Najdek leżał w błocie, przemoczony i nieszczęśliwy. Wiedział, że nikt w przysiółku nie śpi, lecz to czyniło jego osamotnienie jeszcze bardziej dotkliwym. Zahukał kilkakroć, jednak szybko zdał sobie sprawę, że to ostrzeżenie nikomu już się nie przyda. Jakoś dotrwał do pierwszego

brzasku, łudząc się jeszcze, że z mgły wyłoni się w końcu Kłys i wyśmieje jego obawy – lecz cud się nie wydarzył.

Nie mógł wrócić do klasztoru niepostrzeżenie, bo na drodze i schodach kręciło się wielu strażników, ale na szczęście nikt go nie zaczepił. Znali go wszyscy, choćby z widzenia, i wiedzieli, że często bywa poza murami. Przy bramie Cabaj przez otwór furty tłumaczył podniesionym głosem kilkunastu zmokniętym pielgrzymom, że dziś ceremonia odbędzie się przy zamkniętej bramie, bez żadnych śpiewów. Najdek przepchnął się przez rozszemraną gromadę i wślizgnął za furte, którą odzwierny uchylił tylko na chwilę.

Nie zdążył o nic zapytać, zresztą nie musiał; od razu dostrzegł siedzącego pośrodku dziedzińca Kłysa, a obok niego dwóch innych mieszkańców przysiółka i trójkę obcych ludzi, z których jeden leżał na skleconych z gałęzi noszach. Wydawało mu się, że drwał z wilczym amuletem na szyi pochwycił jego spojrzenie, lecz zaraz odwrócił głowę.

Chciał przemknąć chyłkiem do szopy, ale ciężka ręka Cabaja spadła mu niespodziewanie na kark.

– Nie, bracie, tak łatwo się z tego nie wywiniesz. – Odzwierny pchnął go pod mur. – Dowiesz się, jaka kara spotyka tych, którzy przemycają pielgrzymów na Rogacza. Obejrzyj sobie teraz wszystko, od początku do końca.

Ceremonia odbyła się w całkowitej ciszy, bez pieśni. Słysząc było tylko skwierczenie grudek kadzidła w żarze. Gdy mnisi wrócili do cel, Dzwonnik skinął głową, a wtedy dwóch strażników podniosło pod ramiona jednego z drwali. Powlekli go do pręgierza, przykuli za ręce i zdarli z jego pleców koszulę. Zbliżył się Gurgul, rozebrany do pasa, z długim biczyskiem w dłoni. Stanął w rozkroku, wziął szeroki zamach i uderzył z wprawą, aż bluznęła krew.

– Patrz! – Cabaj szarpnął chłopca za włosy, zmuszając go do uniesienia głowy. – Gurgul zna się na tej robocie, lubi ją. Po trzecim uderzeniu ten człowiek zacznie wyc, a dziesiątym straci przytomność. Po dwudziestym, jeśli przeżyje, odwiążą go, zwloką po schodach za nogi i rzucają na majdan, żeby wszyscy mogli się przekonać, gdzie są granice pobłażliwości Mistrza.

Było mniej więcej tak, jak zapowiedział. Bicz świstał, po każdym uderzeniu drwał prężył się i tłukł czołem w słup, wreszcie osunął się

bezwładnie w więzach. Strażnicy zabrali go, przywiązali następnego. Spocony i zziębły Gurgul oddał bicz zwalitemu podwładnemu o ponurym spojrzeniu, ale gdy przyszła kolej na Kłysa, znów zabrał się do bicia osobiście. Ten wytrzymał najdłużej, całe dwanaście razy; nie krzyczał, wbił zęby we własne przedramię i tylko stękał jakoś dziwnie, z samych trzewi.

Kiedy strażnicy podźwignęli pierwszego z obcych – wychudzonego przez chorobę i trudy podróży starca – Dzwonnik uderzeniem w dłoń powstrzymał rozgrzanego Gurgula.

– Wystarczy. Ci nie zawinili z chciwości, tylko z rozpaczy, dlatego Mistrz kazał ich oszczędzić.

Wściekły Gurgul cisnął bicz na ziemię i odszedł, ślizgając się na skrwawionym bruku. Dwa srebrne pieniądze w kieszeni Najdka nagle zrobiły się jakby cięższe. Postanowił mocno, że przy pierwszej sposobności wrzuci je do cysterny. Ta myśl podniosła go nieco na duchu – gdy naraz poczuł na sobie uważne spojrzenie zmrużonych oczu Dzwonnika. Chciał ukryć się za szerokimi plecami Cabaja, ale ten odepchnął go szorstko.

– Idź. Kazał cię przysłać, jak tylko się pojawisz.



Stary mnich nie odezwał się ani słowem, skinął tylko na chłopca ręką, aby szedł za nim. Najdek wiedział, że jest niedobrze; gdyby chodziło jedynie o zaniedbywanie obowiązków, skończyłoby się pewnie na surowej naganie i kilkudniowym poście – jednak takie milczenie zapowiadało coś znacznie gorszego. Ktoś mógł wykryć jego nocne wypadki, może wydał go Kłys albo nawet Cabaj. Przed karą chłosty chronił go wprawdzie młody wiek, ale nie wątpił, że Dzwonnik znajdzie sposób, aby dać mu dotkliwą nauczkę.

Weszli do wieży. W dolnej sali przed śniadaniem krzątało się paru posługaczy. Na widok Dzwonnika natychmiast urwały się ożywione rozmowy. Najdek spodziewał się, że mnich poprowadzi go w dół, do ciemnicy, jednak ten niespodziewanie zaczął wspinać się po wąskich schodkach, przytulonych do ściany. Na piętrze przy pulpitych siedzieli uczniowie, garbiąc się nad zwojami albo skrzypiąc kawałkami kredy na małych tabliczkach. Chociaż żaden z nich nie podniósł głowy, Najdek był

pewien, że jeszcze przed chwilą tłoczyli się przy oknach, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu krwawego widowiska.

W ciszy znów rozległ się stukot kroków na drewnianych stopniach. Najdek musiał mocno trzymać się poręczy, aby nie upaść. W zwykłych okolicznościach wstęp na wyższe piętra był dla niego całkowicie zakazany. Nawet uczniowie zaglądali do biblioteki bardzo rzadko, zawsze w obecności Mistrza albo Dzwonnika. To niespodziewane wyróżnienie nie ucieszyło go wcale; wszystko, co się wokół niego działo, coraz mniej było zrozumiałe.

Potyając się na progu, wszedł za mnichem do ciemnego, pozbawionego okien pomieszczenia. Duszne, pełne kurzu powietrze drapało w gardle. Zrobiło mu się słabo. Po omacku wyciągał ręce, żeby oprzeć się o ścianę, ale Dzwonnik syknął mu nagle nad uchem:

– Uważaj! Nie zostaw tu śladów swoich brudnych paluchów.

W mroku zakołysał się mdły płomyk olejnego kaganka. Najdek dostrzegł, że wszystkie ściany od podłogi po strop obwieszane były półkami, na których piętrzyły się setki, tysiące zwojów.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie. – Dzwonnik uniósł kaganek, z ciemności wyłoniła się jego pomarszczona twarz. – Zanim Mistrz cię przygarnął, kwiliłeś w głuszy jak ślepe kocię. Dał ci nowe życie, a ty zdradziłeś go w najpodlejszy sposób, za pieniądze. Zasłużyłeś na karę stokroć bardziej niż tamci. Dla nich klasztor jest tylko budowlą na skale, a dla ciebie był domem. Część winy może spada na mnie, bo za bardzo pobłażałem ci przez te wszystkie lata. Niech pokutą będzie dla mnie zawód, jaki mi sprawiłeś. – Zakaszłał, pyłki kurzu wirowały w słabym świetle.

Nagle pośrodku stropu ze skrzypieniem zawiasów uniosła się duża kłapa, odsłaniając otwór, z którego powoli wysunęła się drabina. Dzwonnik chwycił ją jedną ręką, oparł na podłodze, ruchem głowy przywołał chłopca bliżej.

– Na górę – rozkazał sucho. – Jeśli rozmowa z Mistrzem cię nie odmieni, nic już z ciebie nie będzie. Staniesz się igraszką demonów.

Kiedy przerażony Najdek postawił stopę na pierwszym szczeblu, mnich zdmuchnął kaganek; teraz jaśniał tylko kwadrat otworu w stropie.

Izba na poddaszu, choć obszerna, urządzona była na wzór mniszej celi – wygnieciony siennik pod ścianą, trójnogi stół, ceber z wodą, na zbitym z

nieheblowanych desek stole na wpół wypalona świeca i kilka zwojów – lecz było tu o wiele jaśniej, bo światło wpadało z czterech stron. Mistrz stał przy jednym z okien, odwrócony tyłem. Najdek przystanął obok otworu w podłodze. Nie śmiał bez pozwolenia ruszyć się choćby o krok.

– Wciągnij drabinę, zamknij klapę i podejdź tutaj – polecił wreszcie mędrzec cicho, po długim milczeniu, nie spoglądając za siebie.

Choć Najdek starał się nie narobić hałasu, ciężka kłapa wyslizgnęła mu się ze spoconych palców i zadudniła, aż z desek podłogi podniósł się kurz. Twarz mu płonęła; szurając niezdarnie, przedreptał parę kroków.

– Bliżej. – Z szerokiego żółtego rękawa wysunęła się szczupła dłoń.

Gdy stanął obok Mistrza, na chwilę zapomniał o strachu. Okno wychodziło wprost na góry; nigdy wcześniej nie miał przed sobą tak szerokiego widoku. Po niebie przesuwaly się skłębione obłoki, stwarzając złudzenie, że to sama wieża płynie niczym ogromna łódź w stronę rozszumianych, lesistych zboczy.

– Są piękne, prawda? – Odezwał się mędrzec łagodnie. – Ten widok nie powszednie przez całe życie.

Najdek skłonił głowę w pokornym milczeniu.

– Nie bój się, nie będę cię łajac. Wiem, jak często patrzysz z murów na góry. Dzwonnik pewnie nazwałby to nieróbstwem, ale on nie rozumie, że czas spędzony na marzeniach nigdy nie jest stracony.

Chłopak czuł, że takie słowa mogły paść tylko tu i teraz, nie powtórzą się nigdy więcej. Nie spodziewał się, że ktoś w klasztorze potrafi go zrozumieć, a już na pewno nie Mistrz, który tak rzadko podnosił wzrok znad zakurzonych zwojów. Ogarnęła go skrucha. Chciał ucałować dłoń starca, ale ten cofnął rękę i pogłaskał go po głowie.

– Zbłądziłeś, to się zdarza. Zrobiło ci się ciasno w klasztorze, wiem, jednak wybrałeś złą drogę. Najważniejsze, że tego żałujesz.

– Wybacz, Mistrzu...

– Każdy kiedyś marzył, najgoręcej za młodu, chociaż nie wszyscy chcą o tym pamiętać. – Mędrzec uśmiechnął się dobrotliwie, a potem w zamyśleniu zmarszczył czoło. – Jesteś tu z nami już dość długo, wyrosłeś na dorodnego chłopca. Czas zdecydować, co dalej. Nie możesz przecież przez całe życie zamiatać dziedzińca.

Najdek drżał lekko. Wiedział, że właśnie teraz rozstrzyga się jego przyszłość na najbliższe lata. Nie mógł stracić tej szansy, kolejna mogła nie pojawić się nigdy.

– Mistrzu... – głos uwiązał mu w gardle, musiał odchrząknąć. – Ja... ja chciałbym do drwali. Poradzę sobie, podpatrywałem ich, znam robotę...

Urwał, zrobiło mu się gorąco i zaraz potem bardzo zimno. Serce mu kołatało. Uwierzył, że teraz wszystko jest możliwe, każdy sen może się ziścić.

– Nie.

Zdał sobie sprawę, że słońce zaszło tymczasem, zrobiło się ciemno. Od gór dmuchnął wilgotny, zimny wiatr.

– Nie, chłopcze – powtórzył stary mnich. – To nie są twoje prawdziwe marzenia. Oczarowały cię wierchy, ale to wcale nie znaczy, że musisz ścinać drzewa jak byle osiłek. Znam cię lepiej, niż ci się wydaje. Jesteś zdolny i wrażliwy, tego nie wolno zaprzepaścić.

Zawód był tak dotkliwy, że Najdek przez chwilę chciał uciec stąd i schować się w jakimś mrocznym kącie przed tym okrutnym mędrcom, który zakpił z jego ufności – jednak pozostał na miejscu, oszołomiony i nieszczęśliwy. Kolejne słowa Mistrza docierały do niego z trudem, ale gdy pojął ich sens, cały jego świat znowu obrócił się na opak.

– Pójdiesz w góry, chłopcze, bo gdybyś tego nie zrobił, nigdy nie przestałbyś tęsknić. Ale nie zabierzesz ze sobą siekiery. Wejdiesz na Rogacza i zamieszkas u pustelnika.

Najdek powoli oparł się o parapet. Słońce było już na tyle wysoko, że ukryte w jarach potoki skrzyły się niczym żyły srebra.

– Dlaczego? – zapytał.

– Nie mogę pozostawić go samemu sobie.

– Czy coś mu grozi?

– Martwię się o niego. Otrzymał Łaskę albo ją wyłudził, to wszystko jedno. Człowiek, póki żyje na tym świecie, musi znać swoje ograniczenia. Nasze przyrodzone zmysły są zbyt liche, aby ogarnąć całą pełnię prawdy. Zbyt wielka jasność nie oświeci ludzkiego rozumu, ale go wypali. – Westchnął, wyprostował się powoli. – Być może pustelnik uległ złudzeniu,

że anioł umyślnie wybrał tamto miejsce i jego osobę, a od tego tylko krok do pychy.

– Podobno dzięki Łasce uzdrowił wielu ludzi...

– I uzdrowiłby jeszcze więcej, całe tysiące, gdybym mu nie przeszkodził. Sam nie wie, jaki dar otrzymał. Rozproszyłby po trochu Łaskę, rozmienił na drobne, wyczerpał do końca. Pozwoliłby rozdrapać ją świętokradcom, którzy myślą tylko o sobie. Powinien wiedzieć, że nie naprawi całego świata, nie wypędzi z niego choroby ani cierpienia. Łaska jest czymś nieskończenie cenniejszym niż tylko cudownym lekarstwem. Jest dziurką od klucza, przez którą można zajrzeć do Nieba. Jest mądrością i prawdą. Zapewne zuchwałością było po nią sięgać, ale skoro już tak się stało, nie wolno jej zmarnować. – Odwrócił się od okna, dokończył swoim zwykłym, oschłym tonem: – Sam obarczył się tym ciężarem i będzie musiał dźwigać go do końca, aż upadnie.

– A ja? Co miałbym tam robić? – wyjąkał pobladły Najdek.

– Po prostu bądź przy nim. Dobrze, żeby miał koło siebie bystrego chłopaka do pomocy i posług. Mógłbym posłać jednego z uczniów, ale szkoda przerywać im naukę, a poza tym... – Nachylił się nad Najdkiem i zaszeptał wprost do jego ucha, jakby zawierał mu jakąś tajemnicę: – Oni wszyscy przeczytali już zbyt wiele zwojów, zapomnieli o własnych marzeniach. Wiedza czasem przeszkadza. Ty masz otwarte serce i świeże spojrzenie, dlatego wybrałem ciebie.

– Nie rozumiem...

– Daję ci sposobność, abys odkupił swoją winę. Kazałem strażnikom trzymać się z dala od szczytu, bo pustelnik mógłby przestraszyć się i odejść gdzieś, gdzie nikt by go nie znalazł, a wtedy Łaska przepadłaby na pewno. Bardzo wiele od ciebie zależy. Zdobądź jego zaufanie, patrz i słuchaj. Kiedy nadejdzie czas, dowiesz się, co robić dalej.



Cabaj przyjął zaskakującą nowinę z zachmurzonym czołem. Najdek pomyślał, że w gruncie rzeczy mało go to obeszło, bo z początku nic nie odpowiedział, nie przestał nawet łuskać słonecznika.

– Gniewasz się jeszcze? – zapytał chłopak, któremu po powrocie z wieży wciąż jeszcze pałały policzki. – Mistrz mi wybaczył, ty też powinienes.

Kuternoga bez pośpiechu wydlubał spomiędzy zębów kawałek łupinki.

– Nie mam się o co gniewać. Sobie zaszkodziłeś, nie mnie.

– Więc ciesz się razem ze mną!

– Z czego mam się cieszyć? Czy z tego, że jutro rano zobaczymy się po raz ostatni?

– Przecież to nie na zawsze! Będę cię odwiedzać.

– Prędeż to ja odwiedzę twoją mogiłkę w lesie.

– Wszystko widzisz na czarno, jak zwykle! – rozzłościł się Najdek. – Gdyby cię słuchać, to najlepiej w ogóle nie wychodzić za bramę.

– A żebyś wiedział. Jeszcze zatęsknisz za tym, co tu masz.

– Łatwo ci mówić, bo jesteś stary, najchętniej tylko byś pił wino, palił fajkę, łuskał słonecznik i spał. Ja chcę wreszcie coś przeżyć, rozumiesz? Zobaczyć inne miejsca, poznać ludzi... Tutaj nic mnie nie czeka.

Cabaj skrzywił się, jakby ziarnko okazało się gorzkie.

– Więc ucz się, a kiedy dadzą ci żółtą szatę, idź sobie, gdzie oczy poniosą.

– Jestem tu posługaczem, nie uczniem.

– Pracuj cierpliwie na swoją szansę. Kiedyś się doczekasz.

– Nie mam zamiaru siedzieć tutaj przez następnych dziesięć lat! Zresztą sam Mistrz mnie wybrał do tego zadania. On chyba wie, co robi.

Odźwierny zaśmiał się krótko, strzepując z kolan łupinki.

– Oczywiście, że wie. Wybrał cię, bo jesteś wystarczająco rozgarnięty, żeby poradzić sobie w górach, ale jednak nie na tyle bystry, żeby domyślić się, jakie jest twoje prawdziwe zadanie.

Urażony chłopak chciał odejść, ale kuternoga zatrzymał go jeszcze.

– Czekaj. Wiem, że moje gadanie nic nie zmieni i zrobisz, jak zechcesz. Ale jedno musisz zapamiętać. Unikaj, mały, czarownicy. Zawsze schodź jej z drogi, bo ona jest najniebezpieczniejsza ze wszystkiego, co może spotkać cię w górach.

– Myślałem, że czarownice wytępiono dawno temu!

– Niestety, nie wszystkie. W odludnych okolicach przetrwało ich jeszcze parę. Ta tutaj wychodzi ze swojej kryjówki tylko nocami i zastawia na drwali różne pułapki, żeby wypłoszyć ich z gór.

- Strażnicy powinni ją złapać.
 - Gurgul chętnie wyruszyłby na taką obławę, bo gdyby mu się powiodło, może w nagrodę książkę odwołałby go do Przymorza. Ale Mistrz nigdy się na to nie zgodzi.
 - Dlaczego?
 - Bo ma więcej rozumu od tego zapitego wieprza i wie, że w ostateczności czarownica zawsze może przywołać na pomoc demona, a to byłoby dla wszystkich jeszcze gorsze niż upadek anioła. Da jej spokój, dopóki nie wyłazi z lasu.
 - Pewnie liczy na to, że niedługo sama umrze. Musi być stara.
 - Starsza, niż przypuszczasz. Ale to nie ma znaczenia, bo czarownice nie umierają, tylko odchodzą do Otchłani, kiedy już zmęczą się życiem. A ta tutaj nie wydaje się zmęczona, wielu drwali odczuło to na własnej skórze, chociaż nie lubią o tym mówić. To właśnie przez nią w górach pleni się tyle rozmaitego plugastwa, o którym na równinach dawno już nikt nie słyszał.
- Najdek skinął głową, ale dosyć lekko potraktował ostrzeżenie. Zbyt wielkie rozpierało go szczęście, aby długo rozpamiętywać słowa starego zrządy.

3

Wyruszył jeszcze w ciemnościach, nim odezwał się dzwon na Jutrznie. Zarzucił na ramię sakwę z sucharami, bez żalu ogarnął spojrzeniem pustą szopę, zdmuchnął kaganek. Szybkim krokiem przeciął mroczny dziedziniec, z zadowoleniem słuchając, jak stukają podkute buty z cholewami, które w przeddzień dostał od Dzwonnika, z zaleceniem, aby ich nie zniszczył i oddał po powrocie.

Zaspany odźwierny uchylił przed nim furtę. Pożegnali się szybko, jakoś niezręcznie, jak ludzie, których niewiele łączy. Najdek wiedział, że będzie tęsknił za Cabajem, ale też w czasie ostatnich burzliwych dni i nocy zrozumiał, jak mocno kuternoga wrósł już w klasztor – a on pragnął przecież wyrwać się stąd. Wiele zawdzięczał byłemu zbieraczowi kadzidła, ale od pewnego czasu jego opieka stała się zbyt krępująca. Chcąc iść naprzód, nie mógł oglądać się do tyłu.

Gdy stanął na skalnym przesmyku, zatrzymał się jeszcze na chwilę i odetchnął głęboko. Ciepła letnia noc pachniała orzeźwiająco. Pomyślał, że to woń swobody.

Choć głębokie przepaście z obu stron dymiły oparem, bez wahania przemknął wąską ścieżką. Znał tutaj każdy kamień i każdą szczyrbę. Wyrosła przed nim czarna ściana górskiego zbocza. Z prawej strony wyslizgane przez lata stopnie schodów prowadziły w dół, do wioski; na lewo kamienista ścieżka pięła się zakosami w nieznane. Serce zabiło mu mocniej; czuł się tak, jakby otworzono przed nim na oścież wrota Niebios.

Ruszył żwawo, nie dbając o to, że łatwo mógłby potknąć się albo skrzyć nogę. Nie zdążył jeszcze się zasapać, gdy niebo zaczęło szarzeć, a chwili na stok padły pierwsze promienie słońca. Obejrzał się przez ramię. Opary z doliny podniosły się wyżej, aż do murów klasztoru, jedynie miedziany dach wieży błyszczał wesoło w świetle poranka, niczym latarnia morska. Zwolnił, gdy dotarł do miejsca, gdzie brzask przygasał w cieniu lasu. Ogarnęła go jakaś nieokreślona obawa. Może w ten sposób dawała o sobie znać utajona

pamięć o tamtej strasznej nocy, kiedy błąkał się samotnie po puszczy. Otrząsnął się z tego przykrego wrażenia, przesunął sakwę z biodra na plecy i przekór strachom zaczął pogwizdywać sobie pod nosem.

Niespodziewanie na zakręcie ścieżki zastąpił mu drogę Gurgul.

– Dokąd się tak śpieszysz, szczeniaku? – Zaplótł ramiona na piersi, uśmiechnął się kpiąco.

Zmienił się w ciągu ostatnich tygodni. Od kiedy przestał spędzać noce w szynku, a dnie w barłogu, ogorzał na twarzy, wyprostował się, kąciki ust nie opadały już w grymasie wiecznego znudzenia, który ustępował jedynie w napadach wściekłości. Posłużyło mu wyraźnie życie pod gołym niebem, a pewnie i to, że po świeżych zaciągach miał pod rozkazami nie tylko garstkę wieśniaków, zgnuśniałych w nieróbstwie, jak i on sam, ale i całkiem nowych ludzi z dalekich okolic, twardszych i karnych, którzy gardzili zarówno niebezpieczeństwami gór, jak i zapachem kadzidła.

– Idę z polecenia Mistrza – odpowiedział szybko Najdek. Nie czuł się pewnie sam na sam z tym człowiekiem na odludziu.

– Wiem, był goniec z pismem, żeby cię przepuścić. Uważam, że to nierozsądne. Kto będzie sprzątał brudy po pielgrzymach, kiedy ciebie wilki zjedzą?

– Nie mam czasu na takie pogaduszki – nastroszył się chłopak. – Posyła mnie Mistrz i nic ci do tego.

Drwiący grymas nie spełzył z twarzy dowódcy, ale jego spojrzenie złodowaciało, a owłosioną skórą na gardle gwałtownie podskoczyła grdyka.

– Zhardzialesz, gnojku. – Powoli opuścił ręce, pochylił nieco barki. – Myślisz, że skoro Mistrz poklepał cię po plecach, od razu stałeś się kimś ważniejszym? Wyjaśnię ci coś. W klasztorze mądrość Mistrza może i jest coś warta, ale tutaj, w górach, o wiele więcej znaczy mój miecz. Dlatego, jeśli tylko masz trochę rozumu, staraj się żyć ze mną w zgodzie. – Uderzył chłopca pięścią w twarz, bez zamachu, ale na tyle mocno, że Najdek poczuł w ustach smak krwi. – Przy następnym spotkaniu sprawdzę, czy zapamiętałeś tę naukę.

Odszedł spokojnym, rozkołysanym krokiem, pogwizdując z cicha pod nosem. Chłopak miał ochotę rzucić za nim przekleństwo – znał ich wiele dzięki znajomości z odźwiernym – ale powstrzymał się; zbyt długo czekał

na ten dzień, żeby teraz stracić wszystko przez nierozwagę. Otarł wargi, poprawił sakwę na ramieniu i poczłapał w swoją stronę.

Ścieżkę przerzynały teraz w poprzek grube korzenie, między którymi zalegały butwiejące liście. Od czasu do czasu w koronach drzew narastał szum wiatru. Nie mógł posuwać się zbyt szybko, często musiał przekraczać zwalone pnie, omijać wykroty i osuwiska kamieni. Z prawej strony w gęstwinie towarzyszył mu coraz wyraźniejszy szum potoku. W listowiu odzywały się ptaki, w zaroślach parę razy zaszeleściło jakieś większe zwierzę. Na wielkich pajęczynach porozpinanych w rozwidleniach gałęzi lśniły kropelki wilgoci.

W miarę jak wspinał się coraz wyżej, ulatniało się także przygnębienie, jakie pozostawiło spotkanie z Gurgulem. Wszystkimi zmysłami chłonał leśny spokój, jakże inny od klasztornego zaduchu. Dziwił się teraz niechęci, z jaką wieśniacy zapuszczali się w tę głuszę. Przypominał sobie różne niedorzeczne opowieści o odmieńcach i straszylkach, które podobno zamieszkiwały uroczyiska, i chciało mu się śmiać. Rozochocił się tak bardzo, że nie robiły na nim wrażenia mroczne jary, omszałe głazy, z daleka podobne do przyczajonych tuż obok ścieżki kosmatych stworów, ani nawet powyginane, pochylone drzewa o wypróchniałych dziuplach i bezlistnych gałęziach, które dawno temu umarły na stojąco.

Około południa odpoczął trochę na małej polance, pełnej drżących plamek słonecznych i brzęczenia owadów. Zjadł parę sucharów, popił wodą ze źródelka, tak zimną, że drętwiały zęby. Niczego więcej nie było mu trzeba. Łagodny wiaterek osuszył spocone czoło i kark. Mocniej zasznurował buty i rażno powędrował dalej.

Późnym popołudniem, gdy Słońce schowało się już za góry i w lesie zaległ cień, coraz częściej napotykał otwarte przestrzenie porośnięte trawą, poprzetykaną kępkami kwiecia. Samotne skały sterczały pośród zieleni niczym ruiny jakichś starożytnych budowli.

Zaczął odczuwać znużenie, nigdy wcześniej nie maszerował tak długo. Sakwa coraz bardziej ciążyła, zwilgotniała od potu koszula lepiała się do pleców, na domiar złego lewy but otarł piętę do krwi. Szedł wolniej, oddychał nierówno, w skroniach łomotało tętno. Wreszcie uznał, że nie ma sensu wysilać się ponad miarę, bo i tak nie uda mu się dotrzeć przed

zmrokiem na szczyt. Gdy otworzyła się przed nim kolejna hala, zrzucił sakwę, zsuł buty i wyciągnął się z westchnieniem ulgi w wysokiej trawie. Zamierzał odsapnąć nieco, a potem nazbierać drewna na ognisko i sklecić z gałęzi jakiś szałasik, lecz tak przyjemnie leżało się na nieostygłym jeszcze po upalnym dniu stoku, tak urzekająco szumiały drzewa, tak cudownie pachniały zioła – że usnął twardo, pielęgnując pod zamkniętymi powiekami marzenie o przygodzie.

Zbudził go nocny ziąb i jakaś nagła obawa, od której kark pokryła gęsia skórka. Usiadł; wysrebrzone poświatą zbocze wyglądało całkiem inaczej niż za dnia. Kontury krzewów, kamieni i samotnych pni rozmywały się, jakby wszystko przyprószył księżycowy pył. Z czarnego cienia pod lasem wyraźniej dobiegały szelesty i trzaski. Najdkowi zdawało się nawet, że dostrzega tam jakiś ruch. Ciemność kłębiła się, podobna do spiętrzonej fali.

Podciągnął zziębnięte, bose stopy, sięgnął po buty. Naraz drgnął; powtórzył się dźwięk, który przestraszył go wcześniej, gdy był jeszcze na granicy jawy i snu. To przypominało ciche łopotanie, jakby chorągiewka powiewała na wietrze. Spojrzał w górę – i wtedy na tle gwiazd dostrzegł przemieszczający się szybko duży skrzydlaty kształt.

Zerwał się do ucieczki. Udało mu się przebiec zaledwie parę kroków, gdy łopot wzmógł się nagle tuż nad nim, ostre jak szpilki pazury wpiły się w kark. W panice sięgnął ręką za siebie, natrafił palcami na szorstkie włosie, ale nie zdołał oderwać napastnika ani zrzucić go z barków. W chwilę potem ogarnął go całkowity mrok. Z przerażeniem pomyślał, że stracił wzrok, lecz gdy spróbował krzyknąć i zamiast tego zdołał wydobyć z piersi tylko zduszone stęknienie, zrozumiał, że czarne skrzydła objęły od tyłu całą głowę, zakrywając twarz. Pobiegł na oślep, ugrzązł w jakichś zaroślach, upadł. Próbował się bronić, bezładnie tłukł pięściami, ale bez rezultatu. Brakowało mu oddechu, w głowie szumiało, dudniło serce. Gdy zaczął słabnąć, stało się coś jeszcze gorszego; poczuł łaskotanie na szyi, zaraz potem dwa zęby jadowe przebiły skórę i wstrzyknęły truciznę. Zaczęły wiotczeć mu mięśnie, z wolna tracił świadomość. Wiedział, że jest z nim bardzo źle, lecz nic nie mógł na to poradzić.

Niespodziewanie usłyszał przytłumione szczekanie psa. Wyraźnie odczuł, że uczepony karku drapieżnik zeszywniał na moment, potem szarpnął się i

wydał bardzo wysoki, przeszywający pisk. Chłopak odruchowo przetoczył się na plecy, zamrugał powiekami. Znow widział wyraźnie gwiazdy i księżyc, mógł wreszcie zaczerpnąć oddechu.

O parę kroków dalej w wysokiej trawie wciąż trwała zaciekła szamotanina. Ostrożnie podniósł się na łokciu, spojrzął w tamtą stronę.

Wielki jak królik nietoperz próbował wzbić się w powietrze, ale kudłaty pies złapał go zębami za skrzydło i powarkując, ściągał z powrotem ku ziemi. Wokół padały wyrwane kępki trawy, w blasku księżyca błyskały ślepie. Zmagania przedłużały się. Najdek namacał obok siebie duży kamień i podniósł go, aby przyjść psu z pomocą, gdy nagle usłyszał stanowcze polecenie:

– Zostaw! Jeszcze trafisz mi Wilka.

Nietoperz zdobył się na jeszcze jeden wysiłek, wolnym skrzydłem uderzył przeciwnika po oczach, podskoczył i wbił pazury w jego nos. Pies zaskowyczał, rozluźnił na moment zaciśnięte szczęki. To wystarczyło; drapieżnik wyrwał się i dziwnym, podrygującym lotem wzbił ponad drzewa.

Najdek chciał wstać, jednak zabrakło mu sił. Opadł z powrotem na plecy i przymknął oczy, aby pokonać zawroty głowy.

– Na twoim miejscu nie wylegiwałabym się tutaj – usłyszał beztroski, dziewczęcy śmiech. – One mogą wrócić.

Spróbował znowu, tym razem z większym powodzeniem. Podniósł się chwiejnie, drżący, słaby i zatrwożony. Dziewczyna stała nieopodal, oparłszy rękę na biodrach. Jej głos brzmiał znajomo, ale w zwodniczym świetle księżyca rozmywały się rysy twarzy.

– A widzisz, wystarczyło się trochę postarać – pochwaliła z przekąsem. – Jad pijawca działa szybko, ale krótko. Chodź za mną.



Poruszał się niezdarnie, powłócząc nogami i potykając się co parę kroków; nie odzyskał jeszcze w pełni czucia w stopach. Idąca na przedzie dziewczyna nie okazywała zrozumienia dla jego trudności. Bezszelestnie przemykała między kępami krzaków, rzucając od czasu do czasu za siebie nagłym szeptem:

– Pośpiesz się! Nie ciebie jednego mam na głowie.

Za nic w świecie nie chciał teraz zostać sam, więc ze wszystkich sił starał się nadażyć. Nawet najbardziej niedorzeczne opowieści o górach, zasłyszane w karczmie i jarmarkach, wydały mu się prawdami objawionymi. Był przekonany, że wszelkie demony leśne sprzysięgły się tej nocy na jego zgubę. Rozgorączkowana wyobraźnia przemieniała każdy z księżycowych cieni w przyczajoną bestię, a plamki poświaty w pełgające ślepie.

Na szczęście ten koszmarny przemarsz nie trwał długo. Minęli pasmo splełanych krzewów i znów znaleźli się na otwartym stoku. O parudziesiąt kroków dalej błyskały słabe ognie, widać było kawałek krzywego płotu i spadzistą strzechę. Gdy zbliżyli się jeszcze trochę, Najdek dostrzegł skłębione w niewielkiej zagrodce stado owiec. Zatknięte na płocie łuczywa kopciły w rozgwieżdżone niebo, kładąc pomarańczowe odbłaski na wełnistych grzbietach.

– Już dobrze, moje ślicznoty. – Dziewczyna przechyliła się przez płot. – Tej nocy nic was już nie przestraszy.

Odpowiedziało jej ufne pobekiwanie i brzęczenie dzwoneczków. Wyjęła łuczywo z żelaznego pierścienia i uniosła ponad głowę, aby lepiej oświecić Najdkowi drogę.

– Czemu tam stoisz jak kołek? – zawołała cicho. – Chodź!

Schylając się w niskich drzwiach, wszedł za nią posłusznie do mrocznego wnętrza szałas. Było tu ubogo, ale czysto i dość przytulnie – w rogu obłożone kamieniami palenisko, pod ścianą ława, stół, kilka pniaków do siedzenia, trochę naczyń i najpotrzebniejszych sprzętów.

– Zamknij buzię, bo ci mucha wleci – rzuciła z wyraźną zaczepką w głosie. – Co cię tak dziwi? Nie wyglądasz mi na takiego, który zwykle nocuje w najlepszych zajazdach, ale jeśli wolisz, możesz spać pod gołym niebem.

Bez słowa zajął miejsce na ławie. Dopiero teraz, gdy dziewczyna rozdmuchała ogień w palenisku, mógł przyjrzeć się jej lepiej. Była drobna, ruchliwa, chyba nieco młodsza od niego. Miała na sobie płócienną koszulę, wzorzystą spódnicę i wiązane rzemieniami wysoko na łydkach sandały. Spod białej chusty na głowie wysuwały się dwa jasne, długie warkocze. W chybotliwym oświetleniu jej twarz o lekko zadartym nosie i kpiąco przymrużonych oczach wydała mu się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział.

– Dziękuję... – wybąkał wreszcie pierwsze słowo od chwili, gdy przebudził się z fatalnej drzemki.

– Nie mnie dziękuj, ale Wilkowi. – Pies, który zwinął się przy palenisku, na dźwięk swojego imienia czujnie zastrzygł uszami. – Wywęszył cię z daleka, a zachódzie słońca, kiedy w okolicy pokazało się kilka pijawców, oboje wiedzieliśmy, że będziesz miał kłopoty. Co to w ogóle za pomysł, żeby spędzać noc w górach bez ognia?

– Zasnąłem. – Poczuję, że czerwieni się ze wstydu.

– Tutaj zawsze płaci się za taką lekkomyślność, czasem bardzo drogo. Pijawce zwykle nie napadają na ludzi, wolą owce, kozice i sarny, ale kiedy ktoś sam się prosi... – Wzruszyła ramionami. W cebrzyku z wodą zamoczyła jakąś szmatkę i przysiadła się do chłopaka. – No, pokaż mi ranę na karku. Takie ugryzienie nie jest groźne, ale długo się goi.

Starannie przemyśla ślad po zębach nietoperza, założyła opatrunek i przewiązała szyję chustką. Najdek czuł jeszcze odrętwienie w karku, ale mógł już rozprostować plecy i prawie swobodnie poruszać głową.

– Czy dużo straciłem krwi? – zapytał niepewnie.

– Nie bardzo, Wilk przybiegł w samą porę. Gdyby pijawiec chleptał dłużej, mogło skończyć się o wiele gorzej. Wygłodniały nietoperz potrafi opić się tak bardzo, że nie może potem fruwać, tylko pełza po trawie, włokąc za sobą skrzydła.

– Ohyda! – wzdrygnął się. – Skąd takie plugastwo bierze się na świecie?

– O zmierzchu wylatują z podziemnych jaskiń na żer. Nie pokazują się w dolinie, tam jest za dużo światła, a one mają bardzo wrażliwie ślepie. I wcale nie są takie najgorsze. – Uśmiechnęła się lekko. – Znam parę stworzeń, przy których pijawce to miłe pieszczochy.

Znowu rozejrzał się po skromnej izdebce. Dawne marzenia o wolności, przygodzie i górskich włóczęgach wydały mu się teraz o wiele mniej nęcące niż jeszcze wczoraj.

– Mieszkasz tu całkiem sama?

– Z Wilkiem – poprawiła; wstała i zakrzętała się przy palenisku około wieczery.

– I nie boisz się?

– A czego? – zdumiała się szczerze. – Kto szanuje góry, tego nie spotka tutaj nic złego. Wszystko, co najgorsze, zawsze przydarza mi się pomiędzy ludźmi.

Nagle sobie przypomniał – widział ją zimą, w wiejskiej karczmie. Kuliła się w kącie, bosa i zasmarkana, usiłując zebrać z podłogi skorupy potłuczonego dzbanu, a czerwony ze złości gospodarz okładał ją powrozem, gdzie popadło. Klął szpetnie, pijani goście zaśmiewali się, zadowoleni z widowiska, a ona przygryzała wargę i nawet nie pisnęła.

– Prawda, tutaj masz lepiej niż w tamtej śmierdzącej norze. Nie poznałem cię od razu, trochę się zmieniłaś.

Zmarszczyła brwi, jakby niezadowolona, że Najdek wie o niej więcej, niż sama chciałaby mu powiedzieć, ale po chwili odrzuciła warkocze na plecy i parsknęła lekceważąco.

– Mój gospodarz wydał za mąż najstarszą córkę, dostałam po niej panińską kieckę. Z dawnych szmat powyrastałam.

– Widzę, widzę... Chyba całkiem nieźle tam na dole cię karmili.

– Nie myśl sobie tylko, że darmo. Od wiosny do jesieni pilnuję owiec, które należą do kilku gospodarzy z doliny. Nie płacą mi za to, ale przynajmniej mam spokój, nikt nie krzyczy. Zimą jest gorzej, muszę posługiwać w karczmie. Stary bije, a ja mu za to podkradam ze spiżarni, co się uda, i jeszcze pluję do piwa. – Zmarszczyła mściwie nos. – Nie narzekam, bo wiem, że w końcu zawsze przyjdzie wiosna i wyniosę się na halę z moimi ślicznotami. – Zamieszała drewnianą łychę w małym kociołku nad ogniem. – A ty skąd się tutaj wzięłaś?

– Idę na szczyt Rogacza.

– Pielgrzym. – Skinęła głową, jakby takiej właśnie oczekiwała odpowiedzi.

– Nigdy was nie zabraknie, chociaż sama nie wiem, czego tam szukacie.

Wyciągnął nogi, rozparł się wygodniej. Sprawiała mu przyjemność myśl, że wreszcie i on będzie mógł czymś ją zaskoczyć.

– Znasz pustelnika? – zapytał niewinnie.

– Zakradłam się tam parę razy, obejrzałam go sobie dobrze. – Uniesieniem łychy podkreśliła wagę swoich słów. – Według mnie to szaleniec, nie żaden mędrzec. Całymi nocami siedzi na skale i patrzy w gwiazdy, mruczy coś tam do siebie, a jak mu się znudzi, schodzi do pieczary. – Zestawiła kociołek z

ognia, zaczerpnęła chochlą gęstej zawartości. – Może to i prawda, że rozmawiał z aniołem. Siedziałam wtedy we wsi, więc widziałam to wszystko tylko z daleka, jak inni. Ale niech nikt mi nie wmawia, że to spotkanie przyniosło mu coś dobrego. Już wcześniej nie było z nim całkiem w porządku, ale teraz do reszty pomieszało mu się w głowie.

Najdek przez jakiś czas siedział bez ruchu. Nie słyszał nigdy wcześniej, aby ktoś – poza jednym Cabajem – wyrażał się o pustelniku z takim brakiem szacunku. Owszem, ludzie mieli mu to i owo do zarzucenia, w klasztorze chyba nawet bardziej niż we wsi, ale przecież każdy wiedział, że święci mężowie często bywają trochę dziwni, jeśli oceniać ich tylko z ludzkiego punktu widzenia.

– Nie jestem pielgrzymem – powiedział dziwnie zgnębiony. Wyjawienie prawdy o sobie nie przyniosło mu radości, której oczekiwał. – Zamieszkać z pustelnikiem, będę mu służył.

Dziewczynie drgnęła ręka, sos obryzgał sukienkę. Stała przez chwilę z otwartymi ustami, potrząsając głową, jakby w ten sposób łatwiej było jej przyswoić tę zdumiewającą nowinę.

– Szkoda cię. Zmarnujesz sobie życie – osądziła wreszcie stanowczo.

Napełniła miskę i podała mu, nie podnosząc wzroku.

– Będę przy owcach – oznajmiła cicho. – Są niespokojne, zwykle nie miewam tutaj gości.

Chłopak zauważył, że odnosiła się teraz do niego z mieszaniną szacunku, współczucia i strachu, jak do kogoś śmiertelnie chorego, komu nie można już pomóc. Ucieszył się wprawdzie, że udało mu się zrobić na niej tak wielkie wrażenie, ale jednocześnie było mu czegoś żal.

Zjadł mięso, przegryzł owczym serem i położył się na ławie, podłożywszy pod głowę zgięte ramię. Spojrzał jeszcze na otwarte drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna z psem, potem zamknęły mu się powieki i od razu głęboko zasnął.

Obudził się późno. Przez otwór dymnika ponad paleniskiem zaglądało słońce. Usiadł, postępując z bólu; dopiero teraz odczuł, jak licznych siniaków i zadrapań nabawił się podczas wczorajszej szamotaniny z pijawcem. Ziewnął szeroko. Piekły go zapuchnięte oczy, drapało w gardle. Obok na pieńku czekało śniadanie – suchary z powidłami, ser i mleko.

Zjadł niewiele, wciągnął wyczyszczone i nasmarowane tłuszczem buty, wyczołwał z włosów siano, a potem wyjrzał na zewnątrz.

Zagroda była pusta, owce rozeszły się szeroko po hali, spokojnie skubiąc trawę. Wilk przechadzał się między nimi, poszczekując od czasu do czasu na te, które oddaliły się za bardzo.

Poszukał wzrokiem dziewczyny, ale nigdzie nie mógł jej dostrzec. Pomyślał, że z jakiegoś powodu nie chciała się z nim pożegnać. To przypuszczenie sprawiło mu przykrość – lecz w tej chwili na ciemnym tle lasu zabieliła się jej chustka.

Pomachała do niego z daleka, pochyliła się jeszcze parę razy wśród wysokich traw i wróciła do szałas, odprowadzana pobekiwaniem owiec.

– Zerwałam dla ciebie listki babki – wyjaśniła. – Przyłóż do otartej pięty, nie będzie piekło i zagoi się szybciej.

Z pewnym ociąganiem zastosował się do zalecenia; sznurując but rzucił jej szybkie, badawcze spojrzenie.

– Znasz się na ziołach... – wymruczał.

– Pewnie, inaczej nie poradziłabym sobie tutaj sama. – Nagle domyśliła się ukrytego znaczenia tej nieszczerzej pochwały, parsknęła śmiechem. – Nie bój się, nie jestem czarownicą.

– Podobno w górach zostało ich jeszcze trochę. – Zawstydzony, próbował usprawiedliwić swoją podejrzliwość.

– Przesada. Znam tylko jedną.

Najdek miał nadzieję, że dziewczyna żartuje sobie z niego, ale ponieważ nie był tego pewien, wolał nie drążyć.

– Czas na mnie. – Wyprostował się dziarsko. – Dziękuję za pomoc i gościnę.

– Pielgrzymi powycinali na drzewach i naskrobali na kamieniach znaki, żeby wytyczyć najwygodniejsze podejście. Trzymaj się tego szlaku.

– Do zobaczenia!

Spoważniała, pokręciła lekko głową.

– Nie zobaczymy się już więcej.

– Jak to? – zdumiał się. – Myślałem, że zostaniesz aż do jesieni...

– Zostanę, ale ty tu nie wrócisz. Pustelnik ci nie pozwoli. Zrobi z ciebie takiego samego dziwaka, jak on sam.

Najdkowi wydało się, że usłyszał w słowach pasterki nutkę żalu. Zrobiło mu się jakoś różnie, jakby odnalazł na powrót zagubione poprzedniego wieczora marzenie.

– Będę odwiedzał, kogo mi się tylko spodoba – zapewnił cokolwiek buńczucznie i zamasyście ruszył pod górę, lecz po chwili odwrócił się jeszcze, jakby nagle o czymś sobie przypomniał. – Nawet nie zapytałem, jak masz na imię.

Zarumieniła się lekko, dla równowagi obojętnie wzruszyła ramionami.

– Jak się żyje wśród owieczek, to imię nie jest do niczego potrzebne. Ale we wsi mówią na mnie Zoja.

Skinął głową, przeszedł jeszcze kawałek i znowu przystanął, gdy dobiegło go jej niezbyt głośne pytanie:

– A ty?

– Najdek.

Miał dziwne wrażenie, jakby dopiero teraz spotkali się po raz pierwszy. Oddalił się sprężystym krokiem wytrawnego wędrowca, który w swym krótkim życiu zdążył już przemierzyć szmat świata, wdrapać się na niejedną górę i spotkać setki pastereczek o długich warkoczach, błyszczących oczach i niepokojącym uśmiechu.



Czym jest prawdziwa wspinaczka, przekonał się dopiero wówczas, gdy zostawił za sobą ostatnie drzewa.

Zbocze, coraz bardziej strome, poprzerzynane rozpadlinami, usiane luźnymi kamieniami, stopniowo ubożało w roślinność. Jeszcze gdzieś widać było kępy lichej, żółkłej trawy, pojedyncze karłowate brzoźki jeszcze wczepiały się tu i ówdzie w skalne szczeliny, lecz najbujniej pleniły się mchy i porosty. Białe znaki pielgrzymów – zarys rozpostartych anielskich skrzydeł – widoczne były z daleka, lecz kręta ścieżka nikła raz po raz pod osypiskami, a niebawem urwała się zupełnie. Trzeba było kluczyć po nagim, przygnębiającym bezdrożu, mozolnie zdobywając wysokość. Słońce prażyło mocno, skąpe skrawki cienia nie przynosiły ochłody. Choć Najdka dręczyło pragnienie, starał się oszczędzać wodę, która pluskała w bukłaczku u pasa. Nie miał pewności, czy w drodze znajdzie jakieś źródło.

Dyszał ciężko, rękawem ocierał z twarzy pot. Musiał rozluźnić sznurowadła w butach, bo zaczęły puchnąć mu łydki. Z każdą godziną wyprawa traciła początkowy powab. Chłopak zaczynał pojmować, dlaczego pustelnik wybrał ten właśnie wierch na swoją samotnię.

W pewnej chwili zorientował się, że od dłuższego czasu nie widział żadnego znaku. Nie przejął się tym zbyt, właściwie nie mógł się zgubić. Obowiązywał tylko jeden kierunek marszu – wciąż pod górę. W rzeczywistości jednak Najdek tracił wiele czasu i sił na to, aby obchodzić bokiem pionowe urwiska i zbyt głębokie żleby. Czasem wręcz cofał się, rejterując przed niemożliwymi do pokonania przeszkodami. Każda taka zwłoka zwiększała niebezpieczeństwo, że nie uda mu się dotrzeć na szczyt przed nocą. Miewał chwile zwątpienia, parę razy chciał nawet zawrócić do szałas, aby następnego dnia wczesnym rankiem podjąć nową próbę, ale gdy pomyślał o tym, że tę samą wspinaczkę odbyła przed nim Zoja i setki pielgrzymów, zaciskał zęby i czworakach posuwał się dalej, łamiąc paznokcie i zdzierając palce do krwi.

W końcu nadeszła chwila, kiedy padł bez sił na skalne rumowisko, z trudem łapiąc powietrze przez otwarte usta. Drżącymi rękami odkorkował bukłaczek, jednak nie utrzymał go w zeszywniałych palcach i resztką bezcennej wody wsiąkła między kamienie. Chciało mu się płakać ze złości; był wściekły na siebie, na pustelnika, na Mistrza i nawet na Zoję, która pewnie poradziłaby sobie na jego miejscu o wiele lepiej.

Niespodziewanie poczuł jakąś mocną, bardzo przyjemną woń, od której zakręciło mu się w głowie. Podniósł wzrok. Wśród szarych kamieni rósł mały, śliczny kwiatek; cienka łądyżka drżała pod lekkim wiatrem, a rozłożyste płatki zdawały się mienić w słońcu różnymi barwami – cudzywego piękna w tej jałowej okolicy.

Zauroczony Najdek podczołgał się kawałek, widok samotnej roślinki dodał mu otuchy. Gdy zbliżył do niej twarz, intensywność zapachu oszołomiła go. Przymknął oczy i z rozkoszą wdychał odurzającą woń. Miał wrażenie, że z rozgrzanego ciała stopniowo wyparowuje wielogodzinny trud, przestają doskwierać większe i mniejsze urazy, a umysł działa szybciej i jaśniej. Z każdym oddechem umacniało się w nim przekonanie, że wszystko będzie dobrze; dziwił się, jak w ogóle przedtem mógł myśleć inaczej. Nie

czuł już głodu ani pragnienia, był rześki, silny, gotów do wielkich czynów – niemal wszechmocny.

Zerwał kwiatek, z fantazją wetknął za ucho i w lekkich podskokach pobiegł w górę zbocza. Teraz nic nie było zbyt trudne – przesadzał szerokie rozpadliny, niewzruszenie spoglądał w głębokie przepaście, bez wysiłku wdrapywał się na urwiska.

Słońce zniżyło się tymczasem, niebo nabierało wieczornych odcieni, ale i to nie wzbudziło w nim niepokoju. Był przeświadczony, że w razie potrzeby mógłby poruszać się równie sprawnie nawet w całkowitych ciemnościach. Czuł się świetnie, jak nigdy przedtem; podśpiewywał, śmiał się w głos, czasem wymachiwał rękami, jakby zamierzał wzbić się z radości w powietrze.

A potem naraz zmiękły pod nim nogi, zatoczył się i upadł na kolana. Zrobiło mu się zimno, oddech spłycał, w uszach zaszumiało. Z wielkim trudem dźwignął dziwnie ociężałą głowę. Zobaczył wierch, całkiem już bliski, a jednak niedosiężny. Zdawało mu się, że niebo zszarzało, jakby zasnuć dymem.

Po chwili wszystko zgasło, dźwięki rozpierchły się – pozostała tylko mroczna pustka.



Powracał do przytomności bardzo powoli, raz po raz zalewała go od nowa lepka smoła ciemności. Czasem widział światło – mętne, jakby przybrudzone, w którym falowały bezkształtne cienie. Niekiedy docierały do niego znajome dźwięki, szum wiatru, plusk wody, jednak zaraz znowu dryfował w pustkę. Chwilami czuł własne ciało, wiedział, gdzie boli, gdzie swędzi, gdzie uwiera, lecz nie potrafił poruszyć się ani nawet jęknąć. Parę razy zdawało mu się, że ktoś jest w pobliżu, pochyla się nad nim, zwilża wargi wodą. Udało mu się rozewrzeć nieco powieki i dostrzec w półmroku błądy zarys twarzy. Bardzo chciał dać jakiś znak, że żyje i czuwa, ale pomimo wysiłków nie zdołał tego zrobić. Był wyczerpany do cna, pusty jak dziurawy garnek i zimny niczym wypalone popielisko.

A jednak w końcu odzyskał nieco sił i otworzył oczy. Tym razem zobaczył coś więcej niż tylko niewyraźny światłocień.

Leżał pod niskim skalnym sklepieniem, pełnym nacieków i kamiennych sopli. Powoli obrócił głowę w stronę źródła światła. W wąskim otworze błękitniało niebo. Zacerpnął pełne płuca świeżego powietrza. Przez moment poczuł się tak dobrze, że zamierzał wstać i wyjść z pieczary, ale na to było jeszcze za wcześnie. Przy pierwszej próbie dźwignięcia się pomroczyło mu w oczach. Potem już tylko leżał na boku, drżąc z zimna i lęku.

Z wieczora w otworze pieczary ukazała się ciemna, przygarbiona sylwetka. Najdek poruszył się niespokojnie; poczuł na czole dotyk ciepłej, suchej dłoni.

– Najgorsze za tobą, synku – usłyszał starczy głos. – Powolutku dojdiesz do siebie.

Starzec uniósł nieco głowę chłopca i przytknął mu do warg kubek. Najdek zachłysnął się pierwszym łykiem tłustego mleka, ale potem pił już spokojnie, rozkoszując się słodkawym smakiem.

Gdy skończył, poczuł się o wiele lepiej.

– Gdzie jestem? – zapytał, siadając na twardym posłaniu, zarzuconym suchymi liśćmi.

– U mnie, w pustelni. – Gospodarz pieczary podtrzymał go za ramię, gdy zachwiał się, osłabiony. – Na szczęście padłeś niedaleko szczytu. Dwa tygodnie przeleżałeś bez zmysłów, ale jesteś młody i zdrowy, więc przetrzymałeś jakoś.

Było ciemno, chłopak z trudem dostrzegał brodatą twarz pustelnika. Widział czerwone żyłki na jego opuszczonych powiekach, jakby zamknięte oczy pełgały własnym blaskiem. To było dziwaczne, lecz w jakiś sposób współgrało z łagodnym tonem głosu starca i jego miękkimi ruchami.

– Dwa tygodnie... – Najdek wzdrygnął się. – Co mi się stało? Zachorowałem?

– Powąchałeś kwiat, który należało obejść z daleka.

Bezwiednie dotknął miejsca za prawym uchem. Wyczuł tam zgrubienie na skórze, jakby zasklepioną ranę.

– Nikt mnie nie ostrzegł, że w górach rosną takie trujące rośliny.

– Bo zwykle nie rosną. Ziarenko, z którego wykiełkował tamten kwiat, trafiło tu przypadkiem z Niebios, zaplątane w pióra na skrzydłach anioła.

Może gdzieś w pobliżu wyrosło parę podobnych, mogły zakorzenieć się nawet w nagiej skale. Tam, skąd pochodzą, kwitną wiecznie, ale tutaj wszystkie zwiędną jesienią i więcej się nie odrodzą.

– Jak szkoda! – Najdka ogarnął smutek, gdy pomyślał o uwodzicielskiej woni kwiatu i o jego cudownej urodzie. – Trzeba uratować choć jeden, przesadzić w dolinę, na żyzną glebę...

– To nic nie da, synku. Do pełnego rozkwitu potrzeba prawdziwej Światłości, której Słońce jest tylko bladym odbiciem. Niebiosa i ziemia to odrębne światy, rozdzielone od początku i zawsze. Tak jest dobrze. Żaden człowiek nie powinien sięgać po to, co nie zostało stworzone dla niego. – Usiadł pod ścianą, w zasięgu słabej poświaty od wejścia. – Sam się przekonałeś, czym to grozi. Doznałeś uniesienia ponad ludzką miarę i prawie zginąłeś, jak ćma, która leci do ognia i płonie. Póki jesteśmy śmiertelnikami, poprzestańmy lepiej na wachaniu ziemskich kwiatków.

Najdek nie odpowiedział. Wierzył pustelnikowi, ale żał go nie opuścił. Położył się, skulił na legowisku i zasnął niebawem, wspominając zachwycające i niebezpieczne piękno tej zagubionej okruszyny Niebios, którą odnalazł na pustkowiu.

Na dobre ocknął się dopiero w nocy. Usiadł w ciemnościach, nasłuchiwał przez chwilę. Kiedy zrozumiał, że jest sam, na czworakach podpełzł do wyjścia.

Nie przypuszczał, że widok z wierchu może być aż tak wspaniały, na długą chwilę znieruchomiał z zachwytu.

Cały świat poniżej przykryła gęsta, zbałwaniona mgła, w zielonkawej poświacie księżycy podobna do zakrzepłego morza. Szczyt Rogacza i sąsiednie niższe wierchy przypominały czarny, skalisty archipelag, martwy i bezludny. Ocean siwych oparów rozciągał się we wszystkie strony, ograniczony tylko przez granatową kopułę nieba roziskrzoną gwiazdami. Było ich tak wiele, że kręciło się w głowie od samego patrzenia. Wokół tylko pustka i głęboka cisza, jaka nigdy nie zdarzała się w dolinie. Chłopak miał wrażenie, że gdyby teraz strącił w dół zbrocza kamień, echo zagrzmiałoby jak burza.

Odwrócił się z wolna. Ponad czarnym otworem pieczary piętrzył się ostatni skalny zrąb. Na jego wąskim szczycie, objąwszy golenie ramionami,

przykucnął nieruchomo pustelnik. Najdek widział z boku czarny kontur wychudzonej postaci – wystające łopatki, garbaty nos, kościste kolana. Jego rozwichrzona broda przesłaniała gwiazdy niczym chmura. Głowę spowijał delikatny, zwiewny blask, podobny do świetlistej mgiełki, która pojawia się wokół tarczy księżyca.

Chłopak nie śmiał podejść bliżej – starzec zapewne modlił się albo rozmyślał – jednak po chwili dobiegły go ciche słowa:

– W drodze z doliny zrobiłeś tysiące kroków, czas postawić parę ostatnich. Na tym świecie nie dojdiesz już dalej. Ściągnij buty, to święte miejsce.

Najdek wspiął się ostrożnie, wyczuwając bosymi stopami obluzowane kamienie. Gdy ponad nim nie było już nic prócz nieba, nagle zadrżały mu kolana; wydało mu się, że górski wierzchołek kołysze się lekko jak na falach. Nie widział ukrytych we mgle przepaści, ale wyraźnie zdał sobie sprawę z ich głębi. Przycupnął pośpiesznie naprzeciw starca. Było tutaj tak niewiele miejsca, że niemal stykali się kolanami.

– Przywykniesz. – Tamten odgadł jego strach. – To jak szybowanie w przestworzach. Musisz uwolnić umysł i serce, a wszystko będzie dobrze. Pewnego dnia może naprawdę polecisz jak anioł.

Najdek uspokoił się nieco, odetchnął głębiej. Czuł się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na całym świecie, lecz to złudzenie wcale nie sprawiło mu przykrości.

– Pięknie tu... – zaszeptał.

– Tutaj jesteśmy tak blisko nieba, jak to tylko możliwe. Spójrz w gwiazdy. Są większe i mniejsze, żółte, pomarańczowe, czerwone. Niektóre świecą mocniej, inne słabiej. Nie ma wśród nich dwóch takich samych, bo anioły różnią się między sobą, tak samo jak i ludzie. Przypatrz się, jak tańczą. Czasami, bardzo rzadko, możesz dostrzec nawet przelatującego archanioła z ognistym mieczem w dłoni.

Choć Najdek wysilał wzrok aż do łez, wciąż widział takie samo niebo jak zawsze, może tylko gwiazdy były liczniejsze i bardziej wyraziste. Wstydził się do tego przyznać, a jednocześnie miał wrażenie, że starzec zna każdą jego myśl i każde uczucie.

– Są rzeczy, na które lepiej patrzeć z zamkniętymi oczami. A w takie ciche noce, kiedy wszystkie brudy świata toną we mgle, wystarczy po prostu

słuchać.

– Słuchać? Czego?

Gdzieś w przestworzach na mgnienie oka rozbłysła ognista kreseczka spadającej gwiazdy. Pustelnik, choć nie mógł jej widzieć, natychmiast odwrócił w tamtą stronę twarz.

– Nie ma nic smutniejszego niż upadek anioła. Słyszysz szelest jego bezsilnych skrzydeł? Słyszysz, jak zawodzi w rozpacz?

Najdek na chwilę wstrzymał oddech, a potem rozczarowany pokręcił głową.

– Nie.

– Z czasem nauczysz się rozumieć różne odgłosy nieba. Jeśli bardzo tego zapragniesz, któreś nocy usłyszysz nawet cichutki szmer najniższego z anielskich chórów. A potem już nigdy nie będziesz chciał odejść.

Najdek milczał przez jakiś czas, ale nie dosłyszał nic prócz uderzeń własnego serca. Nie zmartwił się; czar tej nocy był tak wielki, że i tak po plecach przebiegały mu dreszcze. Zdawało mu się, że tutaj, na Rogaczu, przestał istnieć dystans, który w każdym innym miejscu powinien dzielić wyrostka od starca, lekkoducha od pustelnika, klasztornego posługacza od mędrca.

– On tu siedział, prawda? – zapytał podekscytowany. – Na tej skale?

Samotnik zakołysał się lekko na boki, szerzej rozstawił stopy, a żyłki na opuszczonych powiekach wystąpiły wyraźniej.

Chłopak wstrzymał oddech. Pomiedzy stopami starca dostrzegł pozostawiony na kamieniu podwójny ślad, pełgający widmowym, niebieskawym blaskiem. Bez namysłu wyciągnął rękę i musnął końcami palców skałę. Poczul mrowienie w dłoni i przyjemne ciepło, a w chwilę potem ostry ból, przenikający aż do łokcia. Gwałtownie szarpnął się do tyłu.

– Musisz być ostrożny, te ślady wciąż jeszcze promieniują niebiańską Łaską.

– A ty? Siedzisz przecież na nich...

– Ja żyję Łaską, synku.

– Masz ją w sobie?

– Każdy ma. Wszystko, co żywe, trwa tylko dzięki Łasce. Każdy człowiek, zwierzę i roślina, aż do najmarniejszego ździebełka. Ale tej przyrodzonej Łaski jest bardzo niewiele, nie można jej zobaczyć ani poczuć. Ze mną jest inaczej. Wypełniła mnie Łaska czysta, niezmacona, odwieczna, niebiańska, której jedynym odbiciem na tym świecie jest Słońce. – Twarz pustelnika, opromieniona nimbem, wyrażała niezmaconą radość. – Przez trzy dni i trzy noce patrzyłem aniołowi prosto w oczy. Byliśmy tak blisko siebie, jak teraz my obaj.

– Mówił do ciebie?

– Nie... Śpiewał. To była niebiańska pieśń, tak cudowna, że słuchając jej, zapomniałem o wszystkim, nawet o samym sobie. Chciałem, żeby trwała wiecznie, chociaż wiedziałem, że on bardzo tęskni i pragnie wrócić do siebie. Coraz mocniej odczuwałem jego rozpacz, wreszcie nie mogłem już tego znieść. Chciałem mu pomóc, ale nie potrafiłem. Byłem zbyt słaby, zbyt głęboko tkwiłem w ciemnościach. A jednak on dostrzegł to moje współczucie i poznał, że było szczere. Udzielił mi części swojej Łaski, przelał ją we mnie jednym spojrzeniem, którym ogarnął całą moją duszę, żebym mógł zrozumieć, na czym polegała jego wina.

Przerwał na chwilę, najwidoczniej do głębi przejęty tym wspomnieniem.

– To była pycha. Anioły najniższego chóru są na nią bardziej narażone od innych, bo najlepiej widzą ludzką nędzę, nad którą tym jaśniej błyszczy ich własna doskonałość. Niektóre z nich zakochują się same w sobie, przestają śpiewać i zaczynają gardzić wszystkim, co niższe. To zawsze kończy się upadkiem, z którego nie każdy może się sam podnieść, nawet pomimo skruchy i żalu. Tak było i z nim.

Znów zamilkł na dłużej, aż w końcu Najdek niecierpliwie trącił go w kolano.

– Ale przecież pomogłeś mu jakoś!

– W porę pojąłem, że to właśnie ja mam to, czego jemu zabrakło. Pokorę. Tylko dzięki niej mogłem wstawić się za nim w Siódmym Niebie i zostałem wysłuchany.

– Wysłuchany? Przez kogo?

– Przez kogo? – powtórzył, jakby nie rozumiał pytania; potem uśmiechnął się. – Przez Jasność, na którą nawet najdoskonalsze anioły, te z

najwyższego chóru, nie mogą patrzeć wprost. Przez Światłość bez świtu i bez zmierzchu, w której jest początek wszystkiego, także nas samych. Przez najczystsza Łaskę, która wystarcza sama sobie. Przez najgłębszą Mądrość i najgorętszą Miłość. Przez Bezimiennego, którego ludzie czczą w Słońcu, bo on sam jest niedostępny dla ich oczu, serca i myśli.

– Nic z tego nie rozumiem...

– Nie martw się, to najtrudniejsza z Zagadek. Ale przyjdzie taki dzień, że nawet ona stanie się dla ciebie jasna. Obiecuję ci to.

– Nie wiem, chyba nigdy nie będę aż taki mądry... Mistrz naucza, że do Siódmego Nieba docierają tylko głosy aniołów.

– A więc trzeba mu wierzyć, bo to mędrzec. Ale nie zapominaj, że wypełniła mnie anielska Łaska. Kiedy zaśpiewałem, moja pieśń współbrzmiała ze wszystkimi chórami, i to o wiele doskonalej niż głosy mnichów przy kadzielnicy. Dzięki pokorze nie wkraść się do niej ani jeden fałszywy ton. Prosiłem tak długo, aż wyzbrałem przebaczenie. – Zadarł głowę ku gwiazdom. – Nagle anioł wstał, rozłożył skrzydła, oślepiło mnie światło. Wiedziałem, że już nigdy nie zobaczę świata w taki sposób, jak widzą je inni ludzie. Wtedy mimo woli przestraszyłem się ceny, za którą musiałem odkupić jego winę. Próbowałem go jeszcze zatrzymać choć na chwilę, uchwyciłem mocno... – Bezwiednie przycisnął zdrową ręką do boku bezwładne ramię. – Wyrwał się, w garści pozostało mi tylko jedno pióro.

Najdek usiłował wyobrazić sobie tę scenę, ale nie potrafił. Pomyślał o tym, ile odwagi trzeba mieć w sobie, żeby mocować się z aniołem... Albo szaleństwa.

– Gdzie ono teraz jest?

– Zawsze mam je przy sobie. – Starzec zanurzył dłoń w gęstwę siwej brody, powoli wy dobył relikwię.

Chorągiewki pióra rozblyskiwały w blasku ognia, olśniewając zmiennymi barwami, stosina jaśniała nieskazitelną bielą. Najdek ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to właśnie jest ów skarb, o którym tyle słyszał w dolinie. Jego urzekające piękno było wystarczającym dowodem niebiańskiego pochodzenia.

– Jest wspanialsze, niż sobie wyobrażałem! – Już po chwili musiał zmrużyć oczy, jakby patrzył wprost w słońce. – Nie boisz się, że ktoś spróbuje ci je

odebrać?

– Ktokolwiek chciałby to zrobić, musiałyby najpierw wyrzec się wszystkiego, co posiada. Tylko w ten sposób można udźwignąć to brzemień.

Ukrył na powrót pióro, przygładził brodę. Najdek wątpił w podobne skrupuły u rabusiów, nie bardzo wierzył także w skuteczną ochronę pustelni przez strażników, którzy nie byli w stanie zatrzymać wszystkich pielgrzymów, a pewnie i pozwalali się przekupywać – ale ponieważ nie miał na to żadnego wpływu, postanowił się tym nie martwić.

– Musiało być ci bardzo źle, kiedy po tym wszystkim zostałeś tutaj sam, do tego z uschniętą ręką i ślepy – zagadnął.

– Było. Przestałem należeć do tego świata, a nie zacząłem jeszcze należeć do Niebios. Nigdy już potem nie zaśpiewałem jak anioł, chociaż próbowałem wiele razy. Ale warto było. Będę wolny, kiedy ukończę moje dzieło.

– Jakie dzieło?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić. – Uśmiechnął się, przechylił głowę na bok, siwe włosy skrzyły się w blaskach nimbu. – Opowiedz lepiej o sobie. Dlaczego tu jesteś?

– Przysłał mnie Mistrz. Mam ci pomagać...

– Nie potrzebuję pomocy. Kiedy nabierzesz sił, możesz wracać do klasztoru.

Najdek zaniemówił; nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Ogarnęło go poczucie wielkiej straty, choć nie potrafiłby wyjaśnić, czego właściwie mu żal.

Pustelnik zsunął stopy, przykrywając na powrót anielskie ślady.

– Nie chcę tu sługi, ale mogę przystać na ucznia.



Rankiem okazało się, że pustelnik nie żył jednak zupełnie sam.

Gdy schodzili z wierzchołka, mgły rozpierschły się, odsłaniając rozległy widok na dolinę i odleglejsze ziemie, które błękitniały na widnokręgu i zlewały się z niebem. Najdek zobaczył klasztor, podobny do białego, błyszczącego w słońcu kamyczka, wygiętą, rozświetloną smugę rzeki z rozsianymi wzdłuż brzegów wioskami, żółtą strunę traktu, a dalej

zmierzwioną połąć lasu. Miał wrażenie, że stoi w samym środku świata, skąd można jednym spojrzeniem ogarnąć wszystkie jego rubieże. To było wspaniałe, oszałamiające uczucie.

Stał zapatrzony, z otwartymi ustami. Nie usłyszał krowy, która pomimo swego ciężaru bezszelestnie zaszła go od tyłu i przyjacielsko trąciła pyskiem między łopatki. Odskokzył przerażony, chciał ukryć się w pieczarze, ale stary uspokajająco podniósł rękę.

– Przywitaj się, synku. To od niej było mleko, które tak szybko postawiło cię na nogi.

Najdek spojrział spode łba na ogromne zwierzę, w kłębie dużo wyższe od niego samego. Znał ten gatunek półdzikiego bydła o rozłożystych, wygiętych do przodu rogach i ciemnej, długiej sierści. Zimą górale trzymali swoje stada w zagrodach, ale wiosną znaczyli każdą sztukę na zadzie rozpalonym żelazem i gnali na podgórskie nieużytki, gdzie mogły paść się swobodnie. W surowym środowisku radziły sobie doskonale. Mogły jeść wszystko – trawę, korę drzew, butwiejące liście, mchy i porosty. Znosiły każdą pogodę i same potrafiły obronić się przed drapieżnikami. Ich mięso było nieco twarde i łykowate, ale mleko bardzo pożywne, a wełna wyśmienita. Na ogół zachowywały się łagodnie, ale zdarzało się czasem, zwłaszcza w okresie walk o samice, że któryś z byków dostawał szału, wpadał do wsi, tratował ludzi, zabijał uwiązane na łańcuchach psy, przewracał płoty i wozy.

Najdek, który parę razy był świadkiem takich harców, wolał zachować ostrożność. Wyciągnął rękę, pozwolił obwąchać sobie dłoń, lecz nie zgodził się na żadne więcej poufałości, choć krowa zdradzała ku temu ochotę.

– Do kogo należy? – Fuknął na nią, gdy zaczęła przeżuwać rękaw u jego koszuli.

– Jakiś dobry człowiek przyprowadził ją jako jałmużnę. Myślałem, że pójdzie sobie, ale chyba spodobało jej się tutaj. Czasem znika nawet na parę dni, ale zawsze wraca, choć tu wszędzie naokoło tylko kamienie.

– Hojny dar... Do klasztoru ludzie znoszą najwyżej kury i gęsi.

Pustelnik westchnął zakłopotany.

– Każdemu mówię, że do życia wystarcza mi Łaska, ale nie chcą słuchać. Zostawiają tutaj kosze pełne jedzenia, a ja potem rozdaję to dzikim

zwierzętom, żeby nie spleśniało bez pożytku.

– W ogóle nic nie jesz? – zdumiał się chłopak.

– Czasami piję trochę wody ze źródelka. Niczego więcej mi nie trzeba.

– I nigdy nie bywasz głodny?

– Mówiłem ci już, że przestałem należeć do tego świata. Wyrzekłem się już prawie wszystkiego, co mnie z nim łączyło: rodziny, majątku, dumy, nawet imienia. Chcę stać się najuboższym z ubogich, bo tylko tak mogę być naprawdę wolny. Mam jeszcze ciało, ale od kiedy przenika je Łaska, nawet o nim potrafię zapomnieć.

Przekonał się również, że pomimo srogich kar drwale wciąż przeprowadzali potajemnie w góry gotowych na wszystko pielgrzymów. Pierwszego z nich zobaczył jeszcze tego ranka. To był jakiś zabiedzony, przedwcześnie postarzały człeczyna o pokornym spojrzeniu. Przywędrował w łapciach z łyka, bez czapki, w połatanych spodniach i podartej koszuli. Do pleców miał przytroczony kosz, z którego biła mocna woń suszonych ryb. Wspierał się na kij, ledwie powłóczył nogami.

Kiedy Najdek ujrzał tę mizerną postać i pomyślał o trudach drogi, którą biedak musiał pokonać, z podziwem potrząsnął głową.

– Na pewno ma bardzo ważny powód, jeśli zdobył się na coś takiego – zauważył cicho, nim tamten zbliżył się do pieczary.

– Wielu przychodzi tylko z pustej ciekawości. – Pustelnik przechylił głowę i nasłuchiwał przez chwilę człapania pielgrzyma. – Ale nie ten.

Obdartus padł przed starcem na kolana, kij wypadł z jego drżących rąk. Otworzył usta, ale zamiast słów wydał z siebie zaledwie parę bełkotliwych dźwięków.

– Nie możesz mówić, bracie? – Pustelnik odnalazł palcami jego szyję, delikatnie ucisnął kciukiem krtań. – Pomyśl o tych wszystkich, którzy żałują, że w gniewie powiedzieli o jedno słowo za dużo, pomyśl o krzywoprzysięzcach i potwarcach, o tych, którzy zdradzili powierzone im sekrety, o tych, którzy mielią jęzorem bez potrzeby. Pomyśl, że ty nigdy nie stałeś się jednym z nich i nie żałuj lat, które przeżyłeś w milczeniu. A teraz napij się mleka i odpocznij.

Pielgrzym wysłuchał tej przemowy, szeroko otwierając ze zdumienia oczy, ale wstał posłusznie i zniknął w ciemnym wnętrzu pieczary.

Najdek był głęboko zawiedziony tym, co zobaczył.

– On pewnie liczył na coś więcej niż taka pociecha... – zauważył oględnie, aby nie urazić starca.

– Cóż mogę na to poradzić, synku? Pocieszam, jak potrafię.

– Innych uzdrawiałeś, nawet niemowy. Na przykład takiego Kuźmiuka...

– Nie ja uzdrawiam, ale Źródło wszelkiej Łaski.

Chłopak nie mógł znaleźć sobie miejsca. Kręcił się trochę po zboczach, śmieiej zaczepiał krowę, klepiąc ją po włochatym karku, wypatrywał od czasu do czasu, czy gdzieś w dole nie pojawi się sylwetka kolejnego wędrowca. Po wspaniałej, pełnej uniesień nocy dzień wydał mu się jakiś pusty i smutny. Wiedział, gdzie tkwi przyczyna takiego nastroju. Spozierał ukradkiem na wejście do pieczary i powoli przyzwyczajał się do myśli, że pustelnik wcale nie jest tak aż wszechmocny, jak o nim opowiadano.

Pielgrzym wybiegł na zbocze w samo południe, w czas największej spiekoty. Oczy miał jeszcze czerwone od snu, na policzku odcisnięty ślad mchu z legowiska. Wyglądał na przerażonego, jakby nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje. Dostrzegł Najdka, złapał go kurczowo za ramię i potrząsnął mocno.

– Słyszysz mnie? – zaszeleścił niewprawnym półszepcetem, odkaszlnął i spróbował jeszcze raz, głośniejszym i wyraźniejszym. – Czy ja naprawdę mówię?

– To boli! Wyłamiesz mi rękę!

– Słyszysz? Czy słyszysz?

– Pewnie, przecież wrzeszczysz mi prosto do ucha!

Obdartus puścił go wreszcie. Pobiegł w dół, krzycząc z radości, podskakując jak mały chłopiec i wymachując rękami, jakby zamierzał wzbić się do lotu. Nędzne łachy powiewały na jego chudym ciele.

Taki był ten pierwszy cud, który zobaczył Najdek. Rozmyślał o nim jeszcze długo, do samego wieczora, lecz jakoś nie potrafił się nim cieszyć. Dopiero przed zaśnięciem uświadomił sobie, co było przyczyną tego dziwnego smutku: pielgrzym zostawił wprawdzie kosz pełen suszonych ryb, ale tak bardzo śpieszył się do ludzi, że zapomniał nawet pustelnikowi podziękować.



Niewiele miał teraz stałych obowiązków – rano przynieść ze źródelka cebrażyk wody, wydoić krowę, jeśli akurat była w pobliżu, od czasu do czasu przetrzepać legowiska – a i z tego pustelnik nie rozliczał go wcale. Zostawił chłopcu całkowitą swobodę, nie ograniczając jej żadnymi zakazami, z wyjątkiem jednego – nie wolno mu było wchodzić do najgłębiej położonej części pieczary, ukrytej za niskim przewężeniem, które trzeba było pokonywać na czworakach. Stary spędzał w tym mrocznym zakamarku, tchnącym wilgocią i chłodem, prawie całe dni. Najdka kusił, by nocą, gdy pustelnik siedział na skale, zerknąć za przewężenie, jednak nie zrobił tego. Czułby się podle, oszukując zdiwaczałego ślepeca, który przecież od samego początku zaufał mu bez zastrzeżeń.

Rychło znudziło mu się bezczynne przesiadywanie u wejścia do pieczary, zaczął więc wypuszczać się na coraz dłuższe wędrówki. Choć nie planował z góry niczego, zawsze jakoś trafiał w końcu do pasterskiego szałas na hali.

Za pierwszym razem tylko Wilk przywitał go z wylewną serdecznością, niemal zwalając z nóg. Zoja okazała powściągliwość i odrobinę zdziwienia – chyba udanego, bo na rozłożonej wprost na trawie chuście czekał już przygotowany poczęstunek: kilka podpłomyków, krążek owczego sera, jajka na twardo i garnuszek słodkich powideł. Najdek chciwie wyciągnął rękę – sprzykrzyło mu się już kwaśne mleko i suszone ryby – lecz cofnął ją po chwili wahania i tylko głośno przełknął ślinę.

– Nie mogę cię objadać. Pewnie ci się tutaj nie przelewa.

– O to się nie martw – roześmiała się. – W lesie zawsze sobie poradzę.

Choć nie rozwiąła do końca jego skrupułów, nie czekał na kolejne zachęty. Pochłonął wszystko, do ostatniego okrucha, nie wypluł nawet kawałka pestki od śliwki, który znalazł w powidłach.

– Uch! – odsapnął z zadowoleniem, wytarł dłonie w trawę. – Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się najadłem.

– Nic dziwnego. – Spojrzała na niego, przechyliwszy lekko głowę. – Wychudłeś. Wiadomo, pustelnik nie dba o takie przyziemne sprawy. W dolinie opowiadają, że zjada po kawałku księżyc, ale zawsze zostawia cieniutki skrawek, żeby mógł się znowu odrodzić.

– I ty wierzysz w takie bzdury? – obruszył się.

– Kiedyś widziałam nawet na połowce księżyca ślad jego zębów – zachichotała, trąciła go w ramię. – Czego się tak jeżysz? To tylko żarty. Może dokładkę?

– Nie! Muszę jeszcze wdrapać się z powrotem na górę.

– Zabierz dla niego chociaż kilka podpłomyków.

– Nie trzeba.

– Czy on nie przesadza z tymi postami? – zniecierpliwiła się nagle. – To przecież jakieś obłąkane zasady!

Najdek wyprostował się powoli, wierzchem dłoni otarł usta.

– On nie jest szalony – powiedział cicho, ale dobitnie. – Ludzie często nazywają szaleństwem to, czego nie rozumieją.

Zoja najwidoczniej miała ochotę się sprzeczać, ale przygryzła wargę i chwili odezwała się spokojniej:

– Może i tak. Niech żyje sobie, jak chce, ale ty przecież nie masz zadatków na pustelnika. Mistrz zesłał cię w góry za karę?

– Jestem tu z własnej woli – burknął oschle, aby ukryć zmieszanie.

– Nieprawda! W klasztorze na pewno nie miałeś nic do gadania. – Podniosła chustę, otrzepała i poskładała. – Dopiero tutaj możesz decydować o sobie. Jeśli tylko nie zabraknie ci odwagi.

Odwróciła się i odeszła do szałasu.

Czas do zmierzchu zleciał im bardzo szybko na rozmowach, śmiechach i różnych mało uciążliwych pracach. Zaganiali owce do zagrody już po ciemku, wymachując płonącymi łuczycami.

Na odchodnym Najdek nie wspomniał o ponownych odwiedzinach. Sądził, że zajrzy na halę za tydzień lub dwa, ale wypadło inaczej. Wrócił zaraz następnego ranka i potem przychodził codziennie, bez względu na pogodę.

Zdawało mu się, że pustelnik nie interesuje się tym, co robi i gdzie bywa jego jedyny uczeń, że bez reszty pochłania go conocna kontemplacja gwiazd. A jednak – któregoś wieczora, zanim wspiał się na skałę, przystanął nad chłopcem, który ziewał szeroko, czyszcząc buty u wejścia do pieczary.

– Lubisz ją? – zapytał tak zwyczajnie, bez wstępów, że Najdek w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiał, o co mu chodzi. Gdy dotarło do niego, że pustelnik ma na myśli pasterkę, poczuł, jak gwałtownie płoną mu policzki.

– Dobrze mi się z nią rozmawia, zresztą tutaj nie ma kogo odwiedzać... – Przyłapał się na szukaniu usprawiedliwień; w nagłej złości uderzył butem w ziemię. – Nie musiałeś mnie śledzić. To żadna tajemnica, gdzie chodzę. Wystarczyło zapytać.

Jeśli pustelnika zaskoczył ten wybuch, nie dał tego po sobie poznać. Przykucnął przed chłopcem, po swojemu obejmując kolana.

– Nie chodziłem za tobą.

– A więc skąd wiesz o Zoi?

– Ładne imię – uśmiechnął się. – Potrafię patrzeć w ludzkie serca, ale nawet bez tego łatwo domyślić się prawdy. Kiedy wracasz tutaj, pachniesz dymem z ogniska, trawą i psią sierścią. Czasami o zmierzchu słyszę, jak ta pastreczka śpiewa swoim owcom kołysankę.

– Naprawdę? To dosyć daleko...

– Mam czułe uszy, synku, zwłaszcza na ładny śpiew. – Oparł brodę na sterczących kolanach, milczał przez chwilę. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Najdek wzruszył ramionami, chociaż czuł, że nie uda mu się wykręcić byle czym.

– Lubię ją, bo nie uważa się za lepszą ode mnie – bąknął w końcu niechętnie.

– Tylko tyle? A mnie się wydaje, że w tym jest coś więcej. – Ponieważ zawstydzony chłopak nie odzywał się, dodał po chwili: – Przyjdźcie kiedyś razem. Ja też chciałbym ją poznać.

– Nie zgodzi się! – zawołał Najdek z tak wielkim przekonaniem, że zdumiony pustelnik uniósł brwi.

– Dlaczego? Czy chodzi o to, że uważa mnie za starego dziwaka? – Cisza ze strony chłopaka upewniła go, że trafił w sedno. Wstał, jego długie włosy szarpnął wieczorny wiatr. – Cóż, to bystra dziewczyna. Zapewne ma rację.

Nie rozmawiali o tym więcej. Pustelnik o nic nie dopytywał, a i Najdkowi tak było wygodniej. Przywykł od dawna, żeby robić to, co mu kazano, i strzec własnych marzeń przed ciekawością innych. Nie lubił zastanawiać się nad swoim życiem, skoro tak niewiele mógł w nim zmienić.

Za to Zoja czyniła to nieustannie. Ciekawiło ją wszystko – jego niewesoła przeszłość, niejasny dzień dzisiejszy i jeszcze bardziej mglista przyszłość.

Zadawała dziesiątki podchwytliwych pytań, z niezadowoleniem kręciła głową na nie dość szybkie lub wykrętne odpowiedzi, o każdej sprawie wyrabiała sobie natychmiastowy osąd i nie zmieniała go nigdy.

– Jak długo zamierzasz służyć u tego kudłacza? – zapytała pewnego razu, splatając od niechcienia kwietny wianek.

– Nie nazywaj go tak! – rozzłościł się nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie.

– Dlaczego?

– To dobry człowiek... – Jakoś nie przyszedł mu do głowy żaden cenniejszy argument.

– Może i dobry, ale kudłaty! – Nałożyła wianek na głowę, przekrzywiła zawadiacko. – A więc?

– Nie służę u niego. Jestem uczniem, mówiłem ci już.

– Mówiłeś, ale ja nadal tego nie rozumiem. Czego właściwie chcesz się tam nauczyć?

– To mędrzec. – Zmarszczył czoło, gdyż poczuł, że znowu rozminął się z pytaniem.

– Tak? A ile zwojów przeczytał, że taki mądry? Bo mnie się wydaje, że niewiele, albo i żadnego.

– On uzdrawia! Ludzie pielgrzymują do niego nawet z dalekich stron!

– Niektórzy we wsi mówią, że nie wiadomo, jaką mocą wyczynia te sztuczki. Gdyby miał całkiem czyste sumienie, zamieszkałby w klasztorze, żeby chorzy mieli do niego bliżej.

Najdek wyrwał długie źdźbło i zaczął gniewnie miętosić je w zębach. Wiedział dobrze, jakie wśród górali krążą opowieści, i nie podobało mu się, że Zoja tak łatwo dawała im wiarę.

– Jeżeli podejrzewasz go o jakieś występki, to może i ze mną nie powinnaś się spotykać? – zauważył zimno. – W końcu mieszkam u niego, może i mnie opanowały już złe moce.

– Co cię ugryzło? Chcę tylko, żebyś pomyślał trochę o sobie. Podoba ci się takie życie, proszę bardzo, ale to przecież nie potrwa wiecznie. Pustelnik jest stary, kiedyś umrze i co wtedy?

– On mówi, że w pieczarze zawsze będę mógł znaleźć schronienie.

– Do ciebie nikt przecież nie zechce pielgrzymować. Z czego będziesz żyć? Wrócisz do klasztoru, żeby jak dawniej wysługiwał się tobą każdy, komu przyjdzie na to ochota?

Gdyby chciała streścić wszystkie jego najskrytsze obawy, nie mogłaby zrobić tego lepiej. Miał ochotę zwymyślać ją za to, ale już po chwili złość opadła, pozostawiając tylko wielkie zniechęcenie.

– Pójdę już... – Wstał, mrugając szybko, aby pozbyć się pieczenia pod powiekami.

Zoja zrzuciła wianek, poderwała się także.

– Nie obrażaj się, przecież chcę ci tylko pomóc! Mógłbyś zostać pastuchem, do tej roboty zawsze brakuje chętnych. Ludzie boją się gór. Wystarczy, że szepnę słowo karczmarzowi, a przyjmie cię od zaraz. Bylibyśmy sobie tutaj razem, tylko ty i ja. – Naraz tupnęła, aż drzemiący w upale Wilk podniósł na nią rozespiane ślepie. – A zresztą rób sobie, co chcesz! Nie moja sprawa.

Na tym się rozstali. Nazajutrz Najdek nie przyszedł. Przez parę następnych dni bez celu wałęsał się po kamienistych pustkowiach, ale wreszcie zbłądził na halę, udając przed sobą, że to zupełny przypadek.

Wilk przyparł go przednimi łapami do ściany szałasu i czule wylizał po twarzy. Zoja wyjrzała ze środka dopiero po dłuższej chwili.

– A, to ty? Dawno cię nie było. – Można byłoby uwierzyć w jej obojętność, gdyby nie wyraźnie drżący podbródek. – Pewnie miałeś do zgłębienia jakieś szczególnie zawile mądrości.

Przysiadł bez słowa na wysokim progu, wystawił twarz do słońca.

– Na razie zgłębiłem tylko jedną – odezwał się dużo później, gdy pasterka zajęła się wyciskaniem sera. – Dobrych chwil jest w życiu bardzo niewiele i łatwo je zepsuć.



Najdek zastanawiał się nieraz, co właściwie pustelnik porabia przez cały dzień w ciemnej części pieczary, dokąd nigdy nie docierało słoneczne światło. Wiedział, że nie śpi, bo zawsze słyszał człapanie, jakieś szelesty i pomruki. Czasem, zbliżając się do przewężenia, dostrzegał w mroku pełgające czerwienią plamki jego oczu. Cofał się wówczas onieśmielony.

Pewnego dnia wrócił z jednej ze swych włóczęg wcześniej niż zwykle, bo połowę nieba zasnuły czarne chmury i słycać już było pierwsze grzmoty. Do zmierzchu pozostało jeszcze daleko; odpoczął trochę, napił się mleka, a kiedy na zboczu zaszemrał deszcz, schronił się do pieczary.

Wzmagający się szum ulewy tłumił wszelkie odgłosy, które zazwyczaj dobiegały z wilgotnej części jaskini. Na zewnątrz zrobiło się bardzo ciemno, niemal jak w nocy, tylko od czasu do czasu migotały błyskawice. Najdek poczuł się nieswojo; wiedział dobrze z licznych opowieści drwali, że burza w górach to nie żarty. Skrzesał ogień i zapalił łuczywo, które dostał od Zoi. Chociaż w gardle drapał dym, który wiatr zaganiał z powrotem do pieczary, światło dodało mu odwagi.

– Nauczycielu? – zawołał z cicha. – Jesteś tam?

Nie usłyszał odpowiedzi. Kolejny grom uderzył gdzieś bardzo blisko, aż zadrżała ziemia. Przeraził się, że skalne sklepienie lada chwila może runąć, grzebiąc ich obu żywcem.

– Nauczycielu, wyjdź stamtąd!

Wahał się jeszcze, lecz gdy do pieczary zaczęła wdzierać się woda, uniósł łuczywo wyżej i ruszył w mrok.

Najpierw zobaczył anielskie pióro, które zdawało się wisieć w powietrzu. Dopiero potem dostrzegł wzniesione chude ramię pustelnika i odrzuconą do tyłu głowę. Musiało minąć jeszcze trochę czasu, nim zrozumiał, że starzec wykonuje ruchy, jakby pisał lewą ręką po płaskiej powierzchni skalnej ściany, schylając się raz po raz i maczając zaostrzoną końcówkę pióra w wypełnionym wodą zagłębieniu podłoża niczym w atramencie. Wspiął się na palce, marszczył brwi, czasem wysuwał z przejęcia język, chociaż ten cały trud wydawał się daremny. Jeśli na ścianie pozostawał nawet jakiś wilgotny ślad, znikał bardzo szybko.

– Zgaś, bo zakopcisz ściany! – ostrzegł pustelnik. – Prosiłem, żebyś tutaj nie wchodził.

– Jest burza... Bałem się.

– Niepotrzebnie. Jesteśmy tutaj pod opieką Niebios.

Najdek w roztargnieniu skinął głową, wrzucił łuczywo do kałuży.

– Co robisz?

– Zapisuję Słowo, które objawiła mi Łaska.

- Słowo? Tylko jedno, przez te wszystkie dni?
- To szczególne Słowo. Najważniejsze. Nikt nigdy nie zapisał go jeszcze ani nie wypowiedział na głos.
- Po co to robisz?
- Dla ciebie, jesteś przecież moim uczniem. Kiedyś to przeczytasz, ale jeszcze nie teraz. Musisz być gotów.
- Przecież piszesz wodą na kamieniu! Nic nie widać. Zresztą ja nawet nie umiem czytać.

Starzec odstąpił o parę kroków, niczym malarz, który pragnie ogarnąć spojrzeniem swoje dzieło.

- Jeśli spojrzysz w Łasce, przeczytasz.

Gdy chłopak pomyślał o tych wszystkich dniach, które ślepiec spędził tutaj w samotności, skrobiąc piórem po kamieniu, obudziło się w nim współczucie. Mimo woli przyznał w duchu rację Zoi, która uważała pustelnika za szaleńca. Najwidoczniej niezwykle dar, który otrzymał, moc uzdrawiania ludzi na duchu i ciele, jemu samemu zaćmił nie tylko oczy, ale i umysł.

- Powinieneś odpocząć, nauczycielu – powiedział, zbliżając się jeszcze. – Dlaczego nigdy nie wychodzisz z jaskini w ciągu dnia?

- Mam dużo pracy.
- Mogłoby się wydawać, że unikasz słonecznego światła...
- Staram się być pokorny. Skoro otrzymałem w darze tak wiele Łaski, nie szukam jej więcej.

- A więc to prawda, co o tobie mówią? Nie jesteś czcicielem Słońca?

– Słońce jest dobre, synku. Najlepsze ze wszystkiego, co można zobaczyć, stojąc na ziemi. To ono podtrzymuje wszelkie życie, bez jego światła i ciepła mielibyśmy tutaj tylko nagie skały, nad którymi wyłyby demony. – Podeszedł znowu do ściany, dotknął jej koniuszkami palców, zdmuchnął jakiś pyłek. – Tak, synku, trzeba kochać Słońce i trzeba się cieszyć, że każdego dnia na nowo opromienia cały świat. Ale nie wolno zapominać, że ono jest jak przydymione zwierciadło, które oddaje zaledwie cząstkę czystej Łaski. To dla naszego dobra tak urządzony jest świat, nie znieśliśmy więcej.

- Ty nie śpiewasz hymnów na Jutrznę, nie palisz kadzideł, jak w klasztorze...

– Moim klasztorem są góry, moimi współbraćmi aniołowie. Słońce kiedyś zgaśnie, ziemię pokryje wieczny cień, ale chóry anielskie nigdy nie zamilkną.

– Pracujesz całymi dniami, a w nocy nie śpisz. W końcu stracisz siły.

– Stracę, ale przedtem skończę, co zacząłem – odpowiedział pustelnik po długiej chwili milczenia. – A teraz nie przeszkadzaj mi. Mój czas jest cenny, nie mam go już zbyt wiele.

Umoczył pióro i powrócił do swego żmudnego zajęcia, szybkimi skrobnięciami kresząc zawiłe kształty liter.



Często pozostawiali kierdel na prawie cały dzień pod dozorem Wilka, a sami wypuszczali się na długie łążęgi po bezdrożach, żeby nazbierać poziomek i jagód. Najdek, który po przygodzie z pijawcami nabrał większego respektu dla dzikiego lasu, w towarzystwie pasterki czuł się całkowicie bezpieczny. Ufał bez zastrzeżeń jej znajomości okolicy, śmiało zagłębiał się za nią w największą gęstwę, przeskakiwał po kamieniach potoki i wspinał się na drzewa. Kiedy patrzył, z jaką łatwością Zoja porusza się w tym obcym dla mieszkańców dolin świecie, nie potrafił już wyobrazić jej sobie w dusznej izdebce na poddaszu karczmy. Myślał o niej jak o prawdziwym dziecku gór.

Podczas jednej z takich wypraw dotarli w pobliże skalistego urwiska, przeciętego z góry na dół szerokim pęknięciem. Musieli przedrzeć się przez gęstwę paproci, aby zajrzeć do ciemnego wnętrza rozpadliny. Z głębi dobiegał przytłumiony, jednostajny szum.

– Ale cuchnie! – Najdek cofnął się natychmiast z obrzydzeniem. – Nic nie widać.

– Ciszej, bo je obudzisz – ostrzegła Zoja.

– Kogo? – Posłusznie zniżył głos do szeptu, przykucając w gęstwinie.

– Pijawce. Tam dalej jest jeden z otworów podziemnej jaskini.

– Mówiłaś, że latają tylko w nocy!

– Chyba że coś je przestraszy. Za dnia oślepia je słońce, wpadają wtedy popłoch, wylatują całymi chmurami i kłają wszystko, co się rusza.

Najdek wychylił się ostrożnie z kępy paproci, aby sprawdzić, czy w rozpadlinie nie dzieje się nic podejrzanego.

– Po co mnie tutaj przyprowadziłaś? – spytał z nieskrywanym wyrzutem.

– Musisz przecież wiedzieć, gdzie nie należy zapuszczać się bez potrzeby. Nie zawsze będziemy razem. Na zimę wrócę do wsi, a ty pewnie zostaniesz. Będziesz musiał radzić sobie sam. Pustelnik niewiele ci pomoże, jemu tylko gwiazdy w głowie.

Wracali w milczeniu, każde zajęte własnymi myślami. Najdek jakoś wcześniej nie zastanawiał się nad tym, co będzie za parę tygodni, gdy skończy się lato i spadnie wczesny w górach śnieg. Miał nadzieję, że do tego czasu wszystko samo się rozstrzygnie – może pustelnik ukończy swoje dzieło i zechce przezimować w klasztorze albo Mistrz podejmie tę decyzję za niego i rozkaże sprowadzić go siłą.

Cokolwiek miało się stać, zamierzał dobrze wykorzystać czas tej wytęsknionej od dawna swobody. Lato było w pełni, liście nie zaczęły jeszcze nawet żółcić się po brzegach, a każdy niemal dzień przynosił ze sobą nowe odkrycia.

W jakiś czas po wycieczce do wylotu jaskini, gdy chłopak jak zwykle schodził rankiem ze szczytu na halę, wyrwał go z zamyślenia jakiś cichy pisk. Spojrzał w bok; tuż obok ścieżki na kamieniu siedziała w kucki małeńka niczym szmaciana lalka małpka o różowym pyszczku okolonym jasnym włosiem. Miała długi, puszysty ogon. Przyglądała mu się czarnymi ślepkami, odsłaniając drobne ząbki, jakby w przyjaznym uśmiechu.

– Jakaś ty śliczna! – zachwycił się.

Małpka nie przestraszyła się. Słuchała z zaciekawieniem, przekrzywiwszy główkę. Zrobił krok w jej stronę i ostrożnie wyciągnął rękę.

– Mogę cię pogłaskać?

Podrapała się w nos, poruszyła kosmatymi uszami, ale nie pozwoliła się dotknąć. W ostatniej chwili uskoczyła na inny kamień, który leżał nieco dalej od ścieżki. Nie uciekła; przysiadła znowu i uśmiechała się niemal po ludzku, jak mała kokietka.

– Chcesz się bawić? – Najdek podbiegł kawałek, małpka umknęła mu spod ręki i zatrzymała się nieopodal, spoglądając wyczekująco. – Wybacz, ale nie mam na to czasu.

Odwrócił się, żeby odejść, gdy nagle usłyszał za plecami ciche, ale wyraźne słowa:

– Chodź ze mną.

Potknął się z wrażenia. Przebiegł spojrzeniem zarośla między najbliższymi drzewami, lecz nie zadrżał tam ani jeden liść.

– Kto tu jest? – Na wszelki wypadek podniósł uschłą gałąź, gotów do obrony. – Pokaż się!

Małpka stanęła na czterech łapkach, zrobiła koci grzbiet, ziewnęła szeroko i pomachała leniwie puszystą kitą.

– Chodź ze mną. – Zmarszczyła pyszczek. – Chodź ze mną.

Najdek upuścił gałąź. Przez dłuższą chwilę patrzył tylko na pocieszne zwierzątko, bezbrzeżnie zdumiony. W uszach wciąż jeszcze dźwięczał mu cieniutki, jakby dziecięcy głosik.

– Ty... – zachrypnął, odchrząknął. – Ty mówisz?

Małpka bez pośpiechu ruszyła w las, ponad zaroślami chwiała się końcówka wzniesionego ogona. Przestraszył się nagle, że zaraz zniknie i nigdy więcej już jej nie zobaczy.

– Zaczekaj! – zawołał. – Nie odchodź, chcę z tobą porozmawiać!

Wbiegł w gąszcz, nie zważając na ciernie, które szarpały mu nogawki. Chciał złapać zwierzątko za kitę, jednak małpka uprzedziła go o mgnienie oka, wskoczyła na pień drzewa i sprawnie wspięła się wyżej, poza zasięg jego rąk.

– Spokojnie, nie zrobię ci nic złego! – Uniósł ponad głowę otwarte dłonie.

– Jesteś bardzo wyjątkowa, wiesz? Zostańmy przyjaciółmi. Zabiorę cię na jarmark, będziesz tańczyć i śpiewać. Ludzie zapłacą dużo, żeby cię oglądać! Ale tobie pewnie nie zależy na pieniądzach. Wszystko jedno, dostaniesz orzeszków albo suszonych owoców czy co tam lubisz.

Plótno, co mu przyszło do głowy, byle tylko rozbudzić ciekawość małpki. Słuchała, przypatrując mu się z góry i od czasu do czasu błyskając zębami. Gdy przerwał dla nabrania oddechu, niespodziewanie zwiesiła się z gałęzi, uczepiona samym ogonem.

– Chodź ze mną. Chodź ze mną. Chodź ze mną.

Zeskoczyła w poszycie, ukazała się zaraz na sąsiednim drzewie i śmignęła na dalsze. Najdek bez zastanowienia ruszył w ślad za nią, starając się nie

tracić z oczu pręgowanego grzbietu.

– Idę, idę! – zapewnił. – Nie pędź tak, ja nie umiem skakać po drzewach.

Podążał za nią wytrwale, nie przejmując się tym, że miejscami grzązł w błocie po kostki, a niskie gałęzie biły go po twarzy. Chwilami podejrzewał, że małpka drwi z niego, a kiedy znudzi ją taka zabawa, wyszczerzy zęby po raz ostatni i przepadnie gdzieś w koronach drzew. Ale nie – wciąż była w zasięgu wzroku, a gdy przystawał, żeby obetrzeć z twarzy pot i odsapnąć nieco, ona zatrzymywała się także, czekała przez chwilę, a wreszcie przynaglała go tym swoim dziecinnym głosem:

– Chodź za mną.

Nie rozglądał się, nie miał pojęcia, dokąd biegnie. Małpka zauroczyła go; za wszelką cenę chciał obłaskawić ją, posadzić sobie na ramieniu i zabrać do pustelni. Taka zdobycz warta była każdego wysiłku, wszystkich zadrapań i siniaków, których w czasie takiej szalonej gonitwy nie mógł uniknąć.

Raptem wypadł z lasu i znalazł się na nagim, bardzo stromym zboczu. Zaskoczony tą zmianą przystanął, osłonił dłonią oczy. W poprzek stoku przebiegała ledwie widoczna perć, tak wąska, że trudno było postawić na niej obok siebie obie stopy. Wyżej piętrzyła się kamienna ściana, porośnięta tu i ówdzie kępkami suchych traw. W dół opadała groźna stromizna.

Małpka czekała nieco dalej na ścieżce. Przypatrywała mu się uważnie, mrużąc oczy przed blaskiem.

– Chodź ze mną – kusila.

– Dokąd mnie prowadzisz? – Ostrożnie postawił parę kroków bokiem, rozkładając ramiona dla utrzymania równowagi. – Nie jestem kozicą, łatwo mógłbym tutaj skręcić sobie kark.

Małpka cofała się powolutku, nie spuszczać z niego wzroku. Sierść na jej grzbiecie zjeżyła się lekko, drżała końcówka wyprężonego ogona.

– Wystarczy tego, teraz bądź grzeczna i podejdź do mnie. – Usiłował być stanowczy, ale zabrzmiało to raczej jak pokorna prośba.

Jedna stopa obsunęła mu się nieco, ze szmerem potoczyły się drobne kamyczki. Spojrzał w dół; dopiero teraz przekonał się, że poniżej ścieżki nie ma już zbocza, tylko pionowe urwisko. Musiał przykucnąć, bo zmiękły pod nim kolana, a koszula na plecach natychmiast przesiąkła zimnym potem.

– Nie idę dalej... – wychrypiał.

Bał się zawrócić, bo teraz każdy błąd mógł okazać się ostatnim. Zaciśnął palce na jakichś kolczastych badylach, zrobił kilka głębszych wdechów. Gdy znowu podniósł wzrok, ścieżka przed nim była pusta.

Naraz uderzył go w kark niewielki kamyk, zaraz potem drugi, w tył głowy. Choć miał bardzo ograniczoną swobodę ruchów, udało mu się obejrzeć przez ramię. Przeraziło go to, co zobaczył.

Nieco powyżej ścieżki, na zboczu, siedziała małpka. W łapkach trzymała kamień. Jej obnażone zęby nie przypominały już uśmiechu. Teraz to był grymas drapieżnika, który poczuł krew.

– Co ty wyprawiasz...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, kamień trafił go w środek czoła. Na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczyma. Lewa stopa zawisła w próżni, ale jakimś cudem utrzymał w spotniałej dłoni badyl. Potrząsnął głową, szara mgła rozstąpiła się z wolna. Przez mgnienie oka widział odległe dno przepaści pełne ostrych skał, między którymi walały się stosy zbieleiałych kości.

Szarpnął się rozpaczliwie do tyłu, przywierając plecami do skały.

Naraz zbrocze wokół niego zaroilo się od małpek – wyłaziły ze szczelin i dziur, zza kęp zielska, nadbiegały z obu stron ścieżką. Ze zgrozą zauważył, że każda trzymała w łapkach odłamek skały. Ta, która go zwabiła w pułapkę, wydała z siebie długi, przeraźliwy skrzek, który w niczym nie przypominał wątłego głosu dziecka. Pozostałe odpowiedziały jej ogłuszającym wrzaskiem. W tej samej chwili na Najdka sypnął się zewsząd grad kamieni.

Zachwiał się niebezpiecznie, próbując osłonić twarz. Wiedział, że nie wytrzyma długo takiego ataku. Małpek wciąż przybywało; skrzeczały wściekle i bez wytchnienia ciskały w niego wszystkim, co tylko były w stanie unieść. Niebawem oczy zaczęła zalewać mu krew. Starł ją odruchowo rękawem, wypuszczając jednocześnie z dłoni badyl. Stracił równowagę, przez chwilę balansował nad przepaścią, wymachując rozpaczliwie ramionami.

Nagle usłyszał ujadanie psa. Przestały kaleczyć go ostre odłamki. Napastniczki rozpierzchły się, popiskując żałośnie. Po omacku złapał badyl i pomimo tego, że kolce raniły mu dłonie, ścisnął z całych sił.

– W porządku, już po wszystkim. – Dobiegł go zza pleców głos Zoi. – Wróc tyłem, tylko powoli, krok po kroku. Nie patrz w dół.

Wycofał się ostrożnie, szorując biodrem po ścianie. Gdy znalazł się wreszcie między drzewami, nogi trzęsły się pod nim tak mocno, że musiał przysiąść na omszałym głazie.

Wilk położył przednie łapy na jego kolanach i merdając radośnie ogonem, polizał go po twarzy.

– Chyba naprawdę cię lubi, już drugi raz wyciągnął cię z kłopotów. – Zoja usiadła naprzeciwko na spróchniałym pniaku. Starła się zachować spokój, choć policzki miała czerwone z emocji. – Niepokoił się od rana, węszył i skamlał, a kiedy nie przyszedłeś o zwykłej porze, zaczął ciągnąć mnie za kieckę, żebyśmy poszli cię szukać.

Najdek dotknął rozbitego czoła, skrzywił się z bólu. Serce ciągle jeszcze tłukło mu się w piersi.

– Dlaczego one... tak? – Siorbnał nosem. – Co ja im zrobiłem?

– Nic. To zwodnice. Latem odchowują młode, potrzebują dużo mięsa.

– Zwodnice? Słyszałem coś o nich u drwali... Myślałem, że to leśne duszki albo coś podobnego.

– Są bardzo bystre i przebiegłe, ale to zwierzęta. Same odkryły, że to urwisko świetnie nadaje się na zasadzkę. Zwykle strącają w przepaść kozice, czasem zabląka się tu jakiś młody niedźwiedź, a już całkiem rzadko trafia im się taka zdobycz jak ty.

Niechętnie rzucił okiem przez ramię. Na wygrzonym w słońcu stoku nie poruszał się teraz żaden cień.

– Zwierzęta nie mówią po ludzku...

– Ale niektóre potrafią naśladować dźwięki. Zwodnice robią to doskonale, a dodatek umieją przekazywać doświadczenia z pokolenia na pokolenie. Podstuchiwały wiele ludzkich słów i odkryły, które przydają się do wabienia ofiar. Drwale znają dobrze ich sztuczki i nie dają się nabrać, ale w góry trafia też wielu głupców. Zwłaszcza ostatnio, od kiedy na szczycie zamieszkał tamten... – Powstrzymała się przed dokończeniem tej myśli. – Wracajmy na halę.



Nieustannie zaskakiwała go czymś nowym, niemal każdego dnia odkrywała przed nim jakąś zdumiewającą leśną tajemnicę. Robiła to jakby mimochodem, bez popisywania się, bez cienia chępliwości. Na ogół chętnie odpowiadała na pytania, ale bywało i tak, że milkła nagle i markotniała, jakby zaniepokojona, że powiedziała zbyt wiele. Czuł, że nie zaufała mu jeszcze całkowicie. Czasem przyłapywał ją na tym, jak przyglądała mu się ukradkiem, w zamyśleniu.

Kiedys pod wieczór, gdy po deszczowym dniu zamokło drewno i nie mógł poradzić sobie z rozpaleniem ognia, Zoja wyniosła z szałasów dzban z obtłuczonym uchem, przykryty brudną szmatą. Ulała na wilgotne drwa trochę brunatnej cieczy o nieprzyjemnym, ostrym zapachu.

– Spróbuj teraz – zachęciła.

Zaledwie skrzesał pierwsze iskry, płomień od razu wystrzelił wysoko, aż musiał uskoczyć przed żarem.

– Co to jest? – zawołał, osłaniając twarz ramieniem.

Zoja potrząsnęła brzuchatym dzbankiem, w środku zachlupotało.

– Olej skalny. Znam takie miejsce w lesie, gdzie wytryskuje spod ziemi. Można wybierać wiadrami.

– Niesamowite! Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Bywają tam czasem drwale, ale dla nich to tylko cuchnące źródło, które zatrują demony.

– Może to prawda? – zląkł się nagle.

Nie zezłościła się ani nie roześmiała, zamiast tego spojrzała mu uważnie prosto w oczy.

– Może prawda. A jeśli tak, to co z tego? Czy mam zgasić ten ogień i pozwolić, żeby w nocy pijawce dobrały się do moich owiec? – Nalała trochę cieczy w stuloną dłoń i chlusnęła w płomień, które buchnęły z nową siłą. – Pewnie nie jestem zbyt mądra, ale staram się trzymać dwóch prostych zasad. Unikam wszystkiego, co może mnie zabić, i wykorzystuję wszystko, co pomaga mi przeżyć.

Często przemawiała do owiec, chwaliła je, karciała i pocieszała czule, niczym gromadkę rozbrykanych dzieciaków. Najdka z początku śmieszyło takie zachowanie, parę razy zakpił sobie z niej nawet, ale wkrótce zrozumiał, że nie powinien się temu dziwić. Dziewczyna w jej wieku, na

dodatek o bardzo żywym usposobieniu, nie mogła przecież milczeć całymi miesiącami. Uświadomił sobie, że zanim on sam pojawił się w górach, nie miała nawet z kim porozmawiać, bo drwale nie wchodzili w rachubę, a nikt inny tutaj się nie zapuszczał. Poza tym – wyglądało na to, że była do swoich owieczek szczerze przywiązana. Wiedziała wszystko o każdej z osobna, bawiła się z nimi, śpiewała im, a one ochoczo podskubywały jej warkocze.

Z Wilkiem sprawa miała się trochę inaczej, może jeszcze dziwniej. Dziewczyna pozwalała mu na wiele, nigdy nie krzyczała na niego, nie uwiązywała przy budzie, a mimo to pracował ciężko przy owcach i zawsze był posłuszny. Właściwie rzadko wydawała mu polecenia; najczęściej odgadywał, czego oczekiwała, już po jednym spojrzeniu czy geście.

– Wspaniale go wyszkoliłaś – przyznał pewnego razu Najdek, przypatrując się, z jaką łatwością pies zaganiał kierdel do zagrody. – We wsi nikt takiego nie ma.

– Wilk szkolony? – zachichotała jak z dobrego żartu. – To mieszaniec prawdziwego wilka ze zdziczałą suką. Taki nie nauczy się nigdy nawet chodzenia przy nodze. Znalazłam go jako ślepego szczeniaka, matkę chyba zagryzła wataha. Odchowałam go i został już tutaj, to wszystko.

– Nie opowiadaj bajek! – zachnął się. – Od razu pierwszego dnia pozwolił mi się pogłaskać. Tak nie zachowuje się dzikie zwierzę.

– Musisz mi uwierzyć na słowo, że gdyby kto inny tego spróbował, straciłby palce.

Ta rzucona niedbale uwaga dała Najdkowi tak wiele do myślenia, że zamilkł na dłuższą chwilę. Dopiero gdy Wilk zagnał ostatnią owcę i z nosem przy ziemi ruszył na codzienny obchód pastwiska, powrócił mniej już pewnym tonem do przerwanej rozmowy:

– Tyle już dziwnych rzeczy tutaj widziałem, że nawet w to mogę uwierzyć.

– Bezradnie pokręcił głową. – Nie rozumiem tylko, dlaczego akurat mnie potraktował tak łaskawie? Przecież uratował mi życie...

– Bo go o to poprosiłam.

– Jak to?

– Zwyczajnie, klaskaniem. – Mlaskając i cmokając, wydała kilka szybkich dźwięków, które przypominały odgłos końskich kopyt, naśladowany przez dziecko.

– Pies to rozumie?

– Nie tylko pies. Wszystkie oswojone zwierzęta. Kląskanie to najstarsza ludzka mowa, ale już bardzo dawno temu została zapomniana.

– I ty też potrafisz zrozumieć jego?

– Wyczuwam tylko emocje. To nie to samo co słowa, ale też mogą dużo powiedzieć. I nigdy nie kłamią.

– Niesamowite!

– To nie takie trudne. Sam spróbuj.

Po kilku nieudanych przymiarkach zdołał wydać odpowiedni dźwięk. Kudłacz zastrzygł uszami, Zoja z zadowoleniem pokiwała głową.

– Mniej więcej o to chodzi. Szybko się uczysz, chyba masz do tego smykałkę.

– Naprawdę? – Aż zarumienił się od tej pochwały. – A co właściwie powiedziałem?

– Na razie nic. Ale teraz już wiem, jak brzmisz. Zawsze będę cię mogła rozpoznać, nawet w ciemnościach albo z daleka, łatwiej niż po głosie.

– Kiedy będę umiał kląskać jak ty?

– Trzeba dużo ćwiczyć. Aha, i jeszcze musiałbyś zrobić sobie coś takiego.

Wysunęła język o rozszczepionej na dwoje końcówce.

Zdębiały Najdek wytrzeszczył oczy.

– Kto... kto cię tak okaleczył? – wybąkał z trudem.

Skrzywiła się niespodziewanie, rozdrażniona taką dociekliwością.

– Strasznie jesteś ciekawski. A może coś jeszcze ci we mnie nie pasuje?

– Nie o to chodzi! – zapewnił gorąco, ale ponieważ nie potrafił wytłumaczyć, co właściwie go martwi, w tym miejscu rozmowa utknęła na dobre.

Przeszła mu ochota do nauki kląskania. Przez parę następnych dni nie czuł się w towarzystwie Wilka tak swobodnie jak zwykle, lecz rychło zapomniał o tym w natłoku nowych wrażeń.



Pielgrzymi wciąż przybywali. Wielu wyłapywali strażnicy, ale niektórym udawało się przekraść aż do pustelni, z pomocą drwali albo i własną rękę. Zwykle podchodzili pod szczyt nocą i znikali przed świtem, więc Najdek

rzadko ich widywał. W zasadzie dogadzało mu to. Niechętnie zastanawiał się nad tymi sprawami. Szczerze współczuł tym biedakom, ale też wierzył w mądrość Mistrza i w to, że zakaz pielgrzymek musiał mieć ważne przyczyny – chociaż ich nie rozumiał. Postanowił po prostu nie wtrącać się; tak było najbezpieczniej.

A jednak to nie zawsze mogło się udać.

Którejś nocy obudził się i przez dłuższą chwilę leżał z otwartymi oczami, nasłuchując. Zdawało mu się, że ze snu wyrwał go jakiś dźwięk, który nie powinien był tutaj rozbrzmieć. Chciał już obrócić się na drugi bok i naciągnąć koc na głowę, gdy raptem znowu to usłyszał: żaloszny, pełen boleści jęk.

Wyskoczył z legowiska, przycisnął się u wejścia do jaskini. Przy słabym księżycu na stoku poniżej mógł dostrzec jedynie zarysy większych kamieni. Wiatr szumiał z cicha pod niebem pełnym gwiazd.

Przygarbił się czujnie, gdy niedaleko od pieczary coś poruszyło się lekko w ciemnościach. Zaraz potem rozległo się wyraźne, głębokie westchnienie. Przyszło mu do głowy, że to pustelnik z jakiegoś powodu zszedł ze skały, ale szybko odrzucił to przypuszczenie – gdyby tak było, powinien zobaczyć poświatę Łaski.

Ruszył powoli w tamtą stronę. Chociaż wyteżał wzrok, o mały włos nadepnąłby na leżące ciało. Schylił się, drżącymi dłońmi odnalazł zarośniętą twarz, mokrą od rosy – albo od łez.

– Kim jesteś? – zapytał przestraszony. – Co tu robisz?

Tamten złapał go za nadgarstek i przytrzymał z niespodziewaną siłą.

– Czy to już szczyt? – zaświszczał.

Najdek chciał uwolnić się, ale uchwyt chłodnych palców zacisnął się mocniej.

– Tak.

– Ale ty nie jesteś pustelnikiem...

– Nie! – Szarpnął się ze złością. – Puść, to boli!

Obcy uniósł powoli drugą rękę, lekko musnął palcami policzek Najdka, czoło i nos.

– Wybacz, chłopcze, nie chciałem cię przestraszyć – odezwał się spokojniej. – Proszę, zaprowadź mnie do niego.

Najdek obejrzał się na skałę. Przykucnięta postać starca, otoczona podświetloną mgiełką, była dobrze widoczna na tle rozgwieżdżonego nieba.

– Sam trafisz. – Znienacka wyrwał rękę i odskoczył o dwa kroki.

Nocny przybysz długo, niezdarnie podnosił się na kolana, postępując i jęcząc. W geście rozpaczliwego błagania wyciągnął przed siebie ramiona.

– Pomóż mi, miej serce... Jestem ślepyim żebrakiem, wspinam się już piątą noc. Dnie przeleżałem w wykrotach i jamach, żeby mnie nie znaleźli strażnicy.

– Jakim cudem tutaj trafiłeś?

– Wiedziałem, że jeśli cały czas będę szedł pod górę, to w końcu dojdę. Zgubiłem kij i torbę. W drodze jadłem tylko parę garści jagód... Nie mam już sił. Jeśli mnie zostawisz, umrę tutaj, prawie u celu.

Najdek zbliżył się z wahaniem. Zarzucił sobie chude ramię ślepcy na kark i dźwignął go niemal bez wysiłku.

– Tu nie wolno nikomu przychodzić, Mistrz zakazał – wyburczał rozdrażniony. – Zamkną cię za to do ciemnicy.

– Nie boję się. Całe moje życie to ciemnica. – Żebrak uniósł głowę i chwilę powstrzymał świszczący oddech, nasłuchując. – Gdzie on jest?

– Niedaleko, ale teraz nie wolno mu przeszkadzać. Odpocznij, porozmawiasz z nim rano.

– Nie, nie! – Ślepiec zawisł na szyi chłopca, ledwie powłóczył nogami. – Tak długo na to czekałem...

Najdek obawiał się, że gdyby odmówił, do rana musiałby słuchać przejmujących jęków, uległ więc i powolutku zaprowadził osłabionego nędzarza pod samą skałę. Przypuszczał, że całkowicie oderwany w tej chwili od ziemskich spraw pustelnik nie zauważy nawet ich obecności, jednak pomylił się. Starzec czekał z twarzą zwróconą w ich stronę.

– Wyczuwam twoje cierpienie, bracie. – Światłość pod jego powiekami jarzyła się mocniej niż zwykle. – Czy chciałbyś popatrzeć ze mną na gwiazdy?

Żebrak z przejęcia nie był w stanie wykrztusić ani słowa, poruszał tylko brodą i sapał głośno. Pustelnik położył dłoń na jego głowie; pomiędzy rozcapierzonymi palcami przeskakiwały iskierki Łaski.

– Patrz, bracie... – zachęcił.

Ślepiec uniósł twarz i rozwarł powieki najszerszej, jak mógł.

– Nie widzę – odezwał się po chwili zdławionym głosem. – Nic nie widzę!

Starzec przesunął dłoń niżej, zasłaniając mu oczy. Najdek nagle wszystkimi zmysłami odczuł obecność Łaski. Na czole i skroniach pustelnika nabrzmiały żyły. Przez powieki przeświecał coraz mocniejszy blask, z ust pomimo ciepłej nocy wydobywał się opar oddechu.

– Patrz! – polecił głośniejszym głosem, cofając dłoń.

Najdek dostrzegł, że mętne źrenice żebraka zaślniły raptem, jakby odbiły się w nich wszystkie gwiazdy naraz. Obszarpaniec zachwiał się i zanim chłopak zdążył go podtrzymać, upadł na kolana.

– Widzę... – Powstrzymywał odruch mrugania, aż oczy zwilgotniały; z trudem wydobywał słowa ze ściśniętej krtani. – Mógłbym je policzyć, co do jednej.

Pustelnik z cichym westchnieniem zwiesił głowę.

– Idźcie już, obaj – poprosił. – Jestem zmęczony, muszę odpocząć.



Wstał późno, rozbity i niewyspany. W głębi jaskini panowała cisza, jakby tego ranka starzec wcale nie podjął swojej żmudnej pracy. Najdek także nie miał dziś ochoty na żadne wędrówki, tym bardziej że na zewnątrz było zimno i siał deszcz. Wiedział od pustelnika, że przebywanie w pobliżu działającej Łaski powoduje osłabienie i dziwne poczucie niespełnienia. Spodziewał się, że będzie potrzebował paru dni, aby wrócić do równowagi. Rozdmuchał mały ogień, poruszając się ślamazarnie przygotował sobie byle jakie śniadanie, zjadł bez apetytu i dopiero około południa, ziewając, stanął u wejścia do pieczary.

Zmoknięta krowa stała nieopodal ze zwieszonym łbem, trącając pyskiem coś, co przypominało kępę długich, splątanych traw. Obejrzała się na chłopca i zamuczała tak żałośnie, że wyszedł z jaskini, tknięty złym przeczuciem.

Nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że to nie mokre zielsko leży na stoku. Rozpoznał skołtunione włosy pustelnika. Przyskoczył w dwóch susach, odepchnął rogaty łeb i pochylił się nad swoim nauczycielem.

Starzec upadł zapewne w drodze ze skały i zabrakło mu już sił, aby się podnieść. Wyglądał bardzo źle, mocno wyziębiony, blady, z brodą posklejaną zakrzepłą krwią i poczerniałymi wargami – ale pozostał przytomny. Spróbował nawet uśmiechnąć się, gdy poczuł na twarzy ciepły oddech Najdka.

– Nie przejmuj się mną, synku – zaszemrał słabym głosem. – To samo minie.

Chłopak ujął pod ramiona jego chude ciało i zaciągnął do jaskini. Ułożył go na suchym pościelaniu, nakrył kocem pod szyję, dorzucił do ognia. Zagrzał w kociołku trochę tłustego mleka, ale kiedy chciał przytknąć starcowi do warg parujący kubek, ten odwrócił głowę.

– Nie, chłopcze... Kto raz zaczął żyć pokarmem aniołów, nie powinien brukać Łaski niczym innym.

– Jesteś chory, musisz się wzmocnić.

– To nie choroba. Nie jestem aniołem, moje ciało jest ułomne, dlatego gdy Łaska działa przeze mnie, słabnę na pewien czas. Najbardziej wtedy, kiedy muszę udzielić jej więcej. Ale to nic, to nic... Ta sama Łaska pomoże mi odzyskać siły.

– Ale Łaska przecież kiedyś się wyczerpie!

– Oczywiście. – Pod jego powiekami bardzo słabo pełgała jasność. – Toteż nie zamierzam pozostać tutaj wiecznie, synku. Zajrzałem na tamtą stronę Niebios i od tego czasu ani na chwilę nie przestałem tęsknić. Odejdę tam, ale dopiero wtedy, gdy rozdram całą Łaskę potrzebującym.

Wstrząśnięty Najdek odstawił kubek tak gwałtownie, że gorące mleko ochlapało mu dłoń.

– Wyniszczasz samego siebie, żeby pomagać innym!

– Uważasz, że to godne potępienia? – Starzec lekko uniośł brwi. – Darmo otrzymałem, darmo daję. Taka jest natura Łaski, trzeba się nią pokornie dzielić. Gdybym tego nie robił, obróciłaby się przeciwko mnie.

– To nie jest w porządku! – Najdek zerwał się na nogi, poruszony do głębi.
– Co to za Łaska, skoro dla niej chcesz umrzeć?

– Ja nie szukam śmierci. Ja po prostu przed nią nie uciekam, bo wiem, że tylko ona zaspokoi moją tęsknotę.

– A więc ja cię przed nią obronię! Zacznę przeganiać kamieniami tych wszystkich, którzy chcą wysysać z ciebie po trochu życie.

Pustelnik nie rozgniewał się. Przez chwilę milczał, potem odezwał się z wolna, bardzo już zmęczony:

– Jeśli to zrobisz, synku, dasz dowód, że nie nauczyłeś się ode mnie niczego.

Zasnął głęboko – po raz pierwszy od dnia, w którym Najdek zamieszkał w pustelni. Chłopak czuwał przy nim, pilnował ognia, słuchał jego nierównego oddechu. Czuł się bardzo nieszczęśliwy i całkowicie bezradny. Mistrz polecił mu przecież dbać o pustelnika, ale nie doradził, jak ustrzec go przed nim samym.

Choć wydawało się, że wyczerpany starzec nie podniesie się przez parę dni – wieczorem już był na nogach, wyniszczony cieleśnie, ale na nowo umocniony Łaską. Nie nawiązał ani słowem do ostatniej rozmowy. Wyszedł z jaskini, wyprostowany pomimo zacinającego deszczem wichru, i cicho wspiął się na najwyższą skałę, ku ukrytym w chmurach gwiazdom.



Od tej pory Najdek sypiał czujniej, ale nie spełnił groźby, nie odgonił żadnego z pielgrzymów. Przystawał czasem w księżycowym cieniu skały i przyglądał się im – cichym, onieśmiałym, a jednak pełnym niezachwianej nadziei. Wszystko odbywało się zazwyczaj w milczeniu. Słyszał tylko westchnienia, czasem cichy szloch; w ruchliwych dłoniach pustelnika migotała Łaska. Zaraz potem przybysze znikali niczym nocni złodzieje z cennym łupem. Zapewne w drodze powrotnej nie rozmyślali o uzdrowicielu, pewni, że chronią go zastępy aniołów, więc nic złego nie może go spotkać.

Pustelnik bywał znużony, kiedy o świcie wracał do pieczary, niekiedy potykał się i omacku szukał dłonią oparcia, na szczęście jednak nie powtórzyła się już zapaść, którą przypłacił uleczenie ślepcy. Może dolegliwości, z którymi przychodzili ludzie, nie były aż tak ciężkie, a może i on szafował teraz Łaską z większym umiarem, żeby znowu nie sprawić Najdkowi kłopotu.

Chłopak uspokoił się z wolna; w końcu przestały go martwić te conocne spotkania. Pogodził się z tym, czego nie potrafił zrozumieć.

Tylko dwukrotnie jeszcze musiał wstawać.

Za pierwszym razem zbudził go klekot kołatki, który zdawał się rozrywać sen na strzępy niespokojnym rytmem. Gdy wyrzwał z pieczary, dostrzegł pnącą się pod górę przygarbioną zakapturzoną postać. Natychmiast otrzeźwiał; pobiegł pod skałę, nie tracąc nawet czasu na zakładanie butów.

– Nieczysty! – krzyknął.

Pustelnik nie odpowiedział od razu. Kiwając się lekko na piętach, skinął głową.

– Wiem, synku. Słyszę go już od zmierzchu.

– Dlaczego tak hałasuje, głupiec? Ściągnie strażników!

– Właśnie dlatego kołacze, żeby strażnicy bali się do niego zbliżyć. – Rozprostował plecy, przyglądził palcami brodę. – Przynies cebrazyk z wodą.

– Odpraw go! Tacy jak on nawet hymnów muszą słuchać spoza murów klasztoru.

– Przynies cebrazyk. – Głos pustelnika niespodziewanie stwardniał. – A jeśli się nie pośpieszysz, każę ci całować stopy tego człowieka. Brakuje ci pokory.

Najdek bez tchu obrócił do pieczary i z powrotem, postawił cebrazyk pod skałą i natychmiast odskoczył na sporą odległość. Choć bał się stąpać po ziemi, której dotykał tamten, oddychać tym samym powietrzem – nie ukrył się w pieczarze. Patrzył na cud oczyszczenia; do końca życia nie zapomniał tego widoku.

Gdy nieszczęśnik dotarł pod skałę, stary zsunął się z niej. Przez chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu, potem uzdrowiciel wyciągnął ręce i delikatnie odsunął kaptur tamtego, odsłaniając okropną, zniekształconą przez chorobę twarz, która przy słabej poświacie wydawała się jeszcze straszniejsza. Nieczysty drgnął, próbował ukryć swoją szpetotę za pozbawionymi palców dłońmi, ale pustelnik nie pozwolił na to. Przytulił go mocno, pokonując sztywny opór jego ciała, a gdy tamten poddał się wreszcie i zaczął płakać bez głosu, potrząsając tylko ramionami – jednym zręcznym szarpnięciem zdarł z niego połatany płaszcz. Zanurzył ręce w cebrazyku, a potem zaczął powoli obmywać pokrytą wrzodami i ropiejącymi

ranami skórę. Iskierki Łaski migotały w każdej kropli wody, podobne do rozmruganych gwiazd.

Po tym uzdrowieniu pustelnik znowu poczuł się gorzej, ale szybko przezwyciężył słabość.

Innym razem wywabił go z jaskini śpiew – tkliwa kołysanka, którą góralskie matki od pokoleń nuciły niemowlętom. Znał ją dobrze; ilekroć zdarzało się, że usłyszał ją dobiegającą z okna chaty albo z cienistego sadu, przystawał i nie odchodził, póki nie ucichła. Ta rzewna piosneczka zastępowała mu wspomnienia, których nie miał, wyrażała wszystko, co nieosiągalne. Czasami płakał, ale to zawsze były tego rodzaju łzy, które przynosiły ulgę.

Bardzo ostrożnie, aby nie spłoszyć nieznanej śpiewaczki, wyszedł na zewnątrz.

Młoda kobieta o rozpuszczonych, zielonkawych w świetle księżyca włosach siedziała na stoku, zwrócona w stronę doliny, jakby gdzieś tam w ciemnościach pozostało dziecko, które chciała uspokoić. Choć w Najdku ta melodia dotychczas rozbudzała tylko ciepłe uczucia, tym razem było inaczej. Wzdrygnął się, ramiona oblaźła mu gęsia skórka. Pod pozornie łagodnym, zachrypniętym głosem kobiety wyczuwał rozpacz.

Nie zastanawiając się dłużej, podbiegł do niej i szarpnął za ramię. Umilkła, podnosząc na niego półprzytomne, przeraźliwie smutne oczy. Speszyło go to spojrzenie, nie wiedział, co powiedzieć – na szczęście to ona odezwała się pierwsza.

– Czy myślisz, że usłyszał? – zapytała, odgarniając włosy z czoła.

– Kto?

– Mój synek, Jaroszek. Ludzie mówią, że na tej górze słyhać śpiew aniołów. Pomyślałam, że jeśli to prawda, to może i moja piosenka dotrze stąd do Niebios.

– Nie wiem... – Zrobiło mu się nieswojo pod tym uporczywym, nieruchomym spojrzeniem. – Spytasz o to rankiem pustelnika.

Drgnął, obejrzał się. Nauczyciel zbliżał się powoli, z rozważą stawiając bose stopy między kamieniami – zupełnie jakby wychodził na spotkanie długo oczekiwanego gościa.

– Dziś anielskie chóry szemrają z zazdrości. – Już z daleka dobrotliwie kiwał głową. – Twoja kołysanka wypełniła wszystkie Niebiosy.

Kobieta chciała podnieść się, ale powstrzymał ją łagodnie, kładąc obie dłonie na jej ramionach.

– Wszystkie Niebiosy? – wyszeptała, bardziej przestraszona niż uradowana. – Jak to możliwe?

– Ważniejsze od ćwiczonego głosu jest szczere pragnienie, a wtedy anioły użyczają pieśni swojej Łaski.

– Czy było ją słychać nawet tam, gdzie odchodzą dusze? W Siódmym Niebie?

– A pewnie. Sprawiałaś swojemu Jaroszkowi wielką radość.

Pobladła, przez dłuższą chwilę nie mogła nic powiedzieć, oddychała tylko ciężko.

– Skąd wiesz? – zapytała wreszcie tak cicho, że Najdek musiał domyślić się tych słów z nieznacznego drgnienia warg.

– Dotykam ziemi tylko jedną stopą i czasem udaje mi się zajrzeć za zasłonę. Niezbyt często to robię, bo w zachwyceniu łatwo zapomnieć o powrocie, a ja mam tu jeszcze coś do zrobienia.

– Zostanę tutaj! – zawołała. – Będę mu śpiewać każdego dnia!

– Nie, córko. Nie musisz się już o niego troszczyć, robi to teraz Ktoś inny. Pozostałe twoje dzieci potrzebują cię. – Lekko ucisnął kciukami jej skronie.

Najdka na chwilę oślepił krótki, ale bardzo jasny rozbłysk Łaski. Gdy mógł spojrzeć znowu, zobaczył kobietę zwisającą bezwładnie w żyłastych ramionach pustelnika.

– Zanieśmy ją do legowiska – poprosił uzdrowiciel zmęczonym głosem. – Niech śpi. Będzie śniła o tamtym świecie, ale obudzi się pogodzona także i z tym.



Zoja, o ile tylko mogła, unikała drwali. Gdy słyszała z daleka stukot siekier, od razu skręcała w przeciwną stronę. Najdek dziwił się temu; usiłował przekonać pasterkę, że ma wśród nich wielu znajomych i chętnie będzie pośredniczyć w przełamaniu pierwszych lodów, ale ona nieodmiennie krzywiła się i parskała lekceważąco:

- Obejdzie się. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.
- Ale dlaczego? Czy wyrządzili ci jakąś przykrość?
- Nie chcę i już. Ty też trzymaj się od nich z daleka, przynajmniej dopóki mieszkasz w górach. Oni przynoszą nieszczęście.

Najdek miał wielką ochotę spotkać się z nimi, dopytać o wieści z doliny, ale nie chciał iść sam, a dziewczyna pozostała nieprzejeđnana. Wreszcie przestał się tym przejmować. Uznał, że żyjąc samotnie w górach, Zoja ma prawo do nieufności wobec obcych.

Nie widywali więc drwali, ale napotykali czasem ich mogiły – małe obrośnięte trawą kopczyki bez żadnych oznaczeń. Najdek nie domyśliłby się nawet ich znaczenia, gdyby nie wyjaśniła mu tego Zoja. Początkowo starał się omijać takie miejsca z daleka, ale potem przywykł. Czasami, przechodząc, kładł na grobie bukiet kwiatów.

– Tak wielu ich tutaj poginęło – mruknął kiedyś w zadumie – i nie doczekali się nawet stosu.

– Kto wchodzi do lasu z siekierą, ten musi liczyć się z tym, że nigdy z niego nie wyjdzie.

– Jak to? – Najdka zaskoczył zawzięty wyraz jej twarzy. – Mówisz o nich tak, jakby robili coś złego...

– Wycinają drzewa. Setki drzew, tysiące, same najdorodniejsze. Czy naprawdę dziwi cię, że nie są w lesie mile widziani?

– Mile widziani... przez kogo?

Nie odpowiedziała; odwróciła się na pięcie i poszła przed siebie, brodząc po kolana w paprociach.

Parę dni później zrozumiał, co wówczas miała na myśli.

Na małej polance znaleźli czarny krąg po wygasłym ognisku, starannie obłożony kamieniami, jak to zazwyczaj robili drwale. Wokół walały się porzucane koce, części odzieży i narzędzia, jakby ludzie opuścili obozowisko w popłochu, zaskoczeni jakimś nagłym niebezpieczeństwem. O parę kroków dalej leżał na wpeł obrobiony, gruby pień, w którym wciąż jeszcze tkwiła wbita siekiera.

– Co tu się wydarzyło? – Zaniepokojony Najdek rozejrzał się szybko. – Coś ich musiało wystraszyć...

Zoja obesła polankę dookoła, zaglądając w gąszcz; na koniec trąciła stopą porzucony blaszany kociołek, przykucnęła przy popiołach, uczerniła koniuszek palca i polizała lekko.

– Tak myślałam. – Splunęła ukradkiem, wyrwała kępkę trawy i starannie wytarła wargi. – W tym ognisku spłonęła dławica.

– Co takiego? – Najdek odsunął się przezornie od osmalonych kamieni.

– Nie bój się, już nie jest groźna. To taka roślina, bardzo niepozorna. Na łące wśród innych ziół nawet nie zwróciłbyś na nią uwagi.

– Mówże jaśniej... Czy jest trująca?

– Nie, ale wrzucona do ognia kopci gęstym, czarnym dymem. Kto nawdycha się go, traci przytomność, a potem przestaje oddychać. – Podniosła się, otrzepując dłonie. – W zeszłym roku znalazłam podobne obozowisko, ale stamtąd nikt nie zdążył uciec. Drwale wyglądali jak uśpieni, pozawijani w koce. Tylko ta cisza, żadnego chrapania ani świstania... – Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić tamto wspomnienie. – Ci tutaj mieli szczęście, chyba któryś obudził się w porę i ostrzegł innych. Za jakiś czas pewnie odważą się wrócić po rzeczy.

Zamierzała iść dalej, ale przerażony Najdek złapał ją za rękę.

– Zaczekaj! Jak to się mogło stać? Nigdy nie słyszałem o takiej roślinie, ale drwale na pewno dobrze ją znają. Nie wrzuciliby czegoś takiego do ogniska.

– Nie powiedziałam, że zrobili to oni.

– Więc kto?

Oswobodziła się stanowczym ruchem, bez słowa ruszyła w dalszą drogę. Zmarkotniały Najdek podreptał za nią. Znał ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że w tej chwili nie wyciągnie od niej niczego więcej. Odkrywała przed nim tajemnice gór z wolna, oszczędnie, jakby wciąż jeszcze nie była pewna, czy może mu całkowicie zaufać.

Innym razem, kiedy zapuścili się dalej niż zwykle, bo pasterka koniecznie musiała odnaleźć jakieś rzadkie zioło, by sporządzić z niego wywar dla chorej owcy, Najdek przystanął na chwilę w cieniu potężnego drzewa o gładkiej, srebrzystej korze, które przypominało lipę. Na pniu dostrzegł głęboki ślad po ostrzu siekiery, stary już i pociemniały.

– Zaczęli ścinać i nie dokończyli. – Położył dłoń na korze. – Ciekawe czemu?

Zoja przyjrzała się z bliska miejscu, w którym drewno było nadgryzione przez żelazo, potem rzuciła okiem w górę, na gałęzie.

– To nie jest drzewo – osądziła krótko.

Najdek od dawna już przywykł do myśli, że dziewczyna zna las lepiej niż ktokolwiek inny, jednak teraz na chwilę zwątpił w jej zdrowe zmysły. Obszedł pień, stąpając między wystającymi korzeniami, wreszcie bezradnie rozłożył ręce.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Czy oszukałam cię kiedyś? – Wydęła wargi, nieco urażona. – W górach nie wszystko jest tym, na co wygląda. To nieruchawiec. Jest zwierzęciem, ale tak dobrze udaje drzewo, że nawet drwale czasami się mylą. Ma skórę grubą i twardą jak kora, zapuszcza odnóża głęboko w ziemię i przez całe życie prawie się nie porusza.

– Prawie?...

– Nieruchawce mają chwytne gałęzie. Łapią ptaki, wiewiórki, a takie olbrzymy jak ten nawet większe zwierzęta. Potrafią być bardzo szybkie. Widzisz tę dziuplę tam, wysoko? To otwór gębowy. – Powiodła palcem wzdłuż krawędzi wyrąbanej szczeliny. – Drwale chyba uciekli w ostatniej chwili, kiedy z rany trysnęła krew. Gdyby zagapili się choć trochę, te grube konary pogruchotałyby im karki.

– Trudno w to uwierzyć... – Błady z przejęcia Najdek bezwiednie ściszył głos.

– Sam się przekonaj.

Sięgnęła w górę i oderwała jeden z liści; na ogołoconej gałęzce powoli nabrzmiała czerwona kropla.

Najdek miał wrażenie, że wiatr w konarach raptem zaszumiał inaczej, nieprzyjaźnie i gniewnie. Wciągnął głowę w ramiona, przygarbił się.

– Czy możemy już iść? – zapytała po chwili Zoja, uśmiechając się niewinnie.

4

Gdy wieczorem wracał do pustelni, niedaleko od szczytu dostrzegł przed sobą jakiegoś wędrowca, który wspinał się z trudem po kamienistej ścieżce, stąpając nierówno i zataczając się. Przyśpieszył kroku, aby w razie potrzeby wesprzeć pielgrzyma ramieniem albo choć pocieszyć go, że cel jest bliski – jednak gdy tamten znalazł się na odsłoniętym odcinku drogi, skąpanym w blaskach zachodzącego słońca, chłopak zatrzymał się nagle. Rozpoznał barczystą sylwetkę Gurgula i jego gruby, czerwony kark, choć dowódca straży nie miał na sobie krótkiego płaszcza ani hełmu z nosalem i pióropuszem, tylko zwykłą koszulę o szerokich rękawach, jaką na co dzień nosili górale.

To było dziwne. Zgodnie z poleceniem Mistrza żaden ze strażników nie powinien przecież zapuszczać się w pobliże pustelni. Najdek postanowił zachować ostrożność. Ruszył za Gurgulem, ale nie dogonił go, kryjąc się za porozrzucanymi na zboczu głazami.

Kiedy dowódca straży dotarł do pieczary i przystanął przed wejściem, chwiejąc się mocno na piętach, Najdek zrozumiał, że tamten jest pijany. Zaniepokoił się jeszcze bardziej. Dobrze zapamiętał ostatnie z nim spotkanie. Podkrał się bliżej, uważając, aby nie potrącić nogą żadnego kamienia. Przycupnął za skalnym garbem, ledwie o parę kroków za plecami Gurgula.

– Hej, pustelniku! – zawołał strażnik, podpierając się pod boki. – Wyłaż z tej dziury.

Czekał przez chwilę, ale rozkaz pozostał bez odzewu. Czknął, zaklął, postąpił krok naprzód.

– Mówią, że jesteś ślepy, ale chyba nie głuchy? Wyłaż albo wywlokę cię za kudły!

Najdek zmartwiało; nie mieściło mu się w głowie, że ktoś mógł w ten sposób odzywać się do świątobliwego starca, nawet Gurgul. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie powinien ujawnić się, aby odciągnąć uwagę pijanego

gbura od jaskini, lecz w tej chwili z ciemności wyłonił się półnagi nauczyciel. Nic nie mówił, supłał tylko w palcach kosmyk brody.

– Długo każesz na siebie czekać – warknął Gurgul. – Masz się za kogoś lepszego ode mnie, wszarzu? Jesteś prostakiem i głupcem!

– To prawda – odpowiedział spokojnie pustelnik. – Sądzę, że dlatego właśnie anioł mnie wybrał. Jestem narzędziem, nie dodaję do tego dzieła nic od siebie. Wątpię, czy podołałbym temu, gdybym był mędrcem.

– Zapamiętaj sobie: mnie mało obchodzi, że upadł ci na łeb jakiś anioł. Mam rozkaz chronić cię przed tą całą wynędzniałą hołotą z dołu, ale nie wyobrażaj sobie za wiele. Moim zdaniem takich szaleńców jak ty należałoby trzymać pod kluczem dla ich własnego dobra.

Pustelnik nie poruszył się, w żaden sposób nie odpowiedział na zaczepkę, ale właśnie to milczenie pobudziło dowódcę do większego gniewu.

– Nie jestem mnichem ani wieśniakiem, mnie nie ogłupisz tak łatwo tymi świecącymi ślepiami. Znam was dobrze, świętych chudzielców, takich jak ty można spotkać wszędzie. Porządni ludzie uczciwie zarabiają na życie, a wam się zdaje, że wystarczy nie myć się i zamieszkać gdzieś na uboczu, a już wszyscy będą całować was po brudnych łapach. – Zasapał się, machnął ręką, dokończył nieco ciszej: – Jeśli jest jakaś sprawiedliwość, wszystkich was i tak pochłonie Otchłań. A teraz oddaj mi anielskie pióro, stary. Z rozkazu Mistrza mam zanieść je do klasztoru, tam będzie bezpieczne.

Pustelnik leciutko uniósł brwi, lecz nie powiedział ani słowa. Kark Gurgula napuchł i zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

– Dawaj pióro! – ryknął. – A jak nie, to sam je wezmę!

Skoczył naprzód, złapał pustelnika za brodę i tak mocno potrząsnął, że migocące w ostatnich promieniach słońca pióro spłynęło na ziemię. Podniósł je szybko, jego wykrzywiona twarz rozpozgodziła się.

– Myślałeś, że nie wiem, gdzie to chowasz? – zawołał już bez złości. – To błąd. O twoim skarbie gadają już wszędzie, a świecie nie brakuje złodziei.

– Nigdy nie myślałem, że dowódca klasztornej straży może być jednym z nich – odpowiedział z cicha pustelnik. – Wcale nie przysłał cię tu Mistrz.

Gurgul uderzył go lewą pięścią w twarz, niby od niechcienia, a jednak na tyle mocno, że starzec upadł. Chłopak wybiegł z ukrycia i przypadł do

nauczyciela, gotów skoczyć grabieżcy z pazurami do oczu, gdyby chciał zadać kolejny cios.

– Lepiej milcz, skoro masz czekać, śmierzający psie! – Strażnik przeniósł spojrzenie na chłopca, zmrużył oczy. – Ty też tu jesteś? To dobrze. Przekażesz ode mnie wiadomość Mistrzowi. Walczyłem u boku księcia, nie będę dłużej uganiać się po lasach za kalekami, ślepcami i niedołęgami. Dosyć! Sprzedam pióro jakiemuś bogaczowi w Przymorzu, tam lubią takie ciekawostki, a potem kupię statek i wrócę na morze, ale już nie do książęcej służby. Czas pomyśleć o sobie. Jeszcze o mnie usłyszycie, nawet tutaj, w cieniu tych przeklętych gór!

– Nie zrobisz tego – powiedział spokojnie pustelnik; nie otarł cieknącej z nosa krwi.

– A kto mnie powstrzyma? – zakpił rabuś. – Ty? A może ten chłystek?

Naraz drgnął i spojrzał na pióro, jakby zdziwiony. Tęczowe rozbłyski zamigotały szybciej, stosina zapłonęła jaskrawym blaskiem niczym ognista pręga.

– Parzy! – szepnął. – Nie mogę rozewrzeć palców...

Stęknął z bólu, zacisnął szczęki i zakołysał się w biodrach, jakby chciał ruszyć naprzód, lecz nie zdołał zrobić ani kroku.

– Parzy! – powtórzył ochryple. – Zabierz to ode mnie.

– Za późno.

Paznokcie Gurgula zrobiły się popielate i zaraz potem czarne, skóra dłoni poczerwieniała, na odsłoniętym przedramieniu wystąpiły zgrubiałe węzły żył. Każdy z ciemnych włosków rozbłysnął na mgnienie oka osobnym płomyczkiem, ogień przemknął od nadgarstka aż po łokieć. W powietrzu rozszedł się nieprzyjemny śwąd.

Pustelnik zasłonił chłopcu dłonią oczy, więc Najdek niczego więcej nie zobaczył, słyszał tylko przeraźliwe wycie Gurgula, od którego cierpła skóra. Wydawało mu się, że to nigdy się nie skończy. Chciał już uciekać w dół stoku, byle dalej od tych nieludzkich wrzasków i smrodu spalenizny, gdy wreszcie kamienie zachręściły pod ciężarem upadającego ciała i zrobiło się prawie całkiem cicho.

Odsunął dłoń pustelnika.

Gurgul leżał na boku z podkurczonymi nogami, przyciskając do siebie zwężony kikut prawej ręki. Był przytomny, nabiegłe krwią oczy jakby zapadły się w głąb poszarzałej twarzy.

– Pomóż mi, pustelniku... – wystękał. – Tak bardzo boli...

Wiatr zdmuchnął pióro kawałek dalej; leżało na zboczu, jasne i czyste, nietknięte przez ogień. Starzec podszedł tam powoli, schylił się i zamknął blask w swoich szczupłych dłoniach.

– Co z ciebie za człowiek? – zaświszczwał strażnik przez zaciśnięte zęby. – Uzdrów mnie!

Słońce już zachodziło, po niebie rozlały się smugi czerwieni. Starzec poszedł z wolna w stronę skały. Mijając Gurgula, zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Nie uzdrowię cię, bracie, bo nie potrafię działać wbrew Łasce.

Wspiął się na skałę, przykucnął z brodą opartą na kolanach, kołysząc się lekko na piętach. Na pozór wszystko było jak zawsze – kłęby mgły przemykały z wiatrem, na srebrzystej pianie chmur w dole gasły ostatnie blaski wieczoru, zamigotały pierwsze gwiazdy – a jednak starzec nie patrzył w górę. Wydawał się błędzić myślami gdzieś bardzo daleko.

– Nauczycielu! – zawołał chłopak, podbiegając bliżej. – Nie zostawiaj mnie z nim! Co zrobię, jeśli umrze?

Pustelnik długo nie odpowiadał, potem potrząsnął głową i wstał.

– Jest silny, przetrzyma.

– Na pewno? – Najdek z powątpiewaniem obejrzał się na zamroczonego bólem Gurgula. – Sam już nie wiem, co lepsze. Będzie się mścić.

– Próbował oszukać Mistrza. Musi stąd odejść!

Słowa starca nie uspokoiły go. Nigdy wcześniej nie słyszał, by głos pustelnika brzmiał tak głucho i bezdźwięcznie.

– Nauczycielu – zaczął, ale tamten przerwał mu niecierpliwie:

– Nie nazywaj mnie tak, nie zasłużyłem na to. Jestem ostatnim z głupców.
– Powoli uniośł rękę wysoko ponad głowę; szczupłą dłoń przedłużało pięć świetlistych promieni Łaski. – Skorupa ziemi jest cienka, tak cienka, że łatwo poczuć chłód Otchłani, który bije spod niej. Myślałem, że jeśli zamieszkać wysoko, najwyżej jak można, ucieknę przed tym. Nie mogłem bardziej się pomylić. – Wspiął się na palce, jakby naprawdę chciał sięgnąć

Niebios, wytrwał przez dłuższą chwilę w tym napięciu wychudzonego ciała, w końcu z westchnieniem opadł z powrotem na pięty. – Tutaj, na tym świecie, tylko bardzo niewielu z nas potrafi usłyszeć śpiew aniołów, ale każdy narażony jest na kusicielski szept demona. Nie potrzeba do tego nawet studni, wystarczy, że w duszy zapanuje zamęt.

– Ale... chyba nie ty? – wybąkał onieśmielony Najdek.

– Ja także, synku, może nawet bardziej niż inni. Mój nimb jest wyzwaniem dla demonów.

– Gurgul to łajdak, ale ty przecież jesteś dobry!

– Ciemność przecieka do duszy różnymi drogami, przez chciwość, przez pychę, przez rozpacz... Mnie dotknęła przez gniew. Przez chwilę chciałem krzywdy tego nieszczęśliwego człowieka.

– To ma być wina? Nie znam nikogo, kto życzyłby mu dobrze!

– Nie mogę nadal patrzeć w gwiazdy, dopóki nie wykorzenię tego gniewu z serca.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę wypalić w sobie najmniejszy cień zwątpienia. Potrzebuję oczyszczenia. – Zacisnęła uniesioną dłoń w pięść. – A teraz zostaw mnie, synku. Łaska nie zawsze działa łagodnie, nie zawsze jest piękna, czasem musi być gwałtowna i straszna. Nie powinieneś na to patrzeć.

Najdek usłuchał, popędzany bardziej strachem niż posłuszeństwem. Potykając się w gęstniejących ciemnościach na kamieniach, stanął u wylotu jaskini. Zawahał się jeszcze; chciał spojrzeć przez ramię na pustelnika, ale w tej samej chwili spadł mu na barki ogłuszający huk, jakby tąpnęło niebo, błyskawica na mgnienie oka skąpała cały wierch w białej jasności.

Echo grzmotu długo jeszcze tłukło się w ciemności, słaby wiatr chłodził spotniałe czoło. Najdek nie odważył się już spojrzeć za siebie. Wbiegł do jaskini, padł na legowisko. Chociaż naciągnął na głowę kozuch, długo jeszcze słyszał przekleństwa i jęki Gurgula, aż wreszcie zasnął, udręczony lękiem.

A rankiem, kiedy wyszedł na stok, strażnika już nie było; pozostał po nim tylko ślad tłustej sadzy na kamieniach.

Czub wierchu, na którym skupiło się niszczycielskie wyładowanie Łaski, był czarny jak węgiel i częściowo skruszony. Chłopak cofnął się szybko do

jaskini. Odetchnął z ulgą, gdy z głębi dobiegły go odgłosy codziennej, zwyczajnej krzątaczki pustelnika.



Liczył na to, że w towarzystwie Zoi szybciej dojdzie do równowagi po tych okropnych przeżyciach, ale tym razem zastał ją w podłym nastroju. Nie wyglądała dobrze; miała zapuchnięte, podkrążone oczy, drżała w chłodzie poranka i ziewała raz po raz.

– Źle spałaś? – zagadnął.

– W ogóle się nie kładłam. Była pełnia.

– I co z tego?

– Zbierałam zioła. Niektóre trzeba zrywać przy księżycu, inaczej są nic niewarte. Przez całą noc chodziłam po lesie.

Łudził się, że to żart, póki nie zobaczył rozwieszonych na poprzecznej belce pod dachem suszących się pęków.

– Przecież sama mówiłaś, że noce w górach są niebezpieczne! – zawołał.

Zaspana Zoja dopiero teraz zauważyła, że Najdek jest rozdrażniony, podniecony i zdecydowany dociec wreszcie całej prawdy o niej, bez względu na wszystko.

– Umiem o siebie zadbać – odpowiedziała niechętnie, wzruszając ramionami.

– Czemu to robisz?

– Na pewno nie dlatego, że lubię włóczyć się po nocach. – Gniewnie odrzuciła warkocze do tyłu. – Zasuszę wszystko i zimą sprzedam w dolinie.

– Jeśli w klasztorze się o tym dowiedzą, narobisz sobie kłopotów! Trzeba mieć żółtą szatę mędrca, żeby leczyć ziołami.

Zawahała się na mgnienie oka, ale chyba uznała, że nie warto już szukać wykrętów. Splotła ramiona na piersi i spojrzała wprost na Najdka.

– Moje zioła nie leczą.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne – nie tylko te nocne wyprawy Zoi, ale także jej samotność i niechęć, z jaką odnosili się do niej górale.

– Sprzedajesz trucizny... – Cofnął się gwałtownie, wpadł na pień i usiadł ciężko.

– Nie patrz na mnie z takim przerażeniem. Nigdy nie zrywam ziół, które mogą zabić.

– Więc jakie?

– Jest wiele drobnych świństewek, jakie ludzie wyrządzają sobie nawzajem. Brzydka dziewczyna może zechcieć, żeby jej ładniejszej siostrze wyskoczyły pryszczki albo żeby jej oddech zaczął cuchnąć. Mogę sprawić, żeby ktoś dostał czkawki na cały tydzień, żeby ciągle burczało mu w brzuchu albo żeby wyłysiał, moczył się we śnie, jękał się albo seplenił...

– Wystarczy! – Przeciął dłonią powietrze. – To ohydne. Czym ludzie ci zawinili?

– Niczym. Ale to jedyny sposób, żeby trochę zarobić.

– No proszę! Do tego jesteś chciwa. Zaraz, zaraz... Ktoś przecież musiał cię nauczyć, jak przyrządzać trucizny. I jak kłaskać!

– A pewnie. Tego i jeszcze wielu innych rzeczy, o których nawet nie masz pojęcia. Jak ugotować polewkę na gwoździu, jak podmieniać niemowlęta i jak wezwać demona, który sprowadzi deszcz, grad albo pioruny.

– Zadajesz się z czarownicą!

Poruszyła kącikami warg w dziwnym uśmiechu, który wcale nie rozjaśnił jej twarzy.

– I co teraz zrobisz? Poskarżysz się na mnie u Mistrza?

– Może powinienem to zrobić, dla twojego własnego dobra. Słyszałem, że każda czarownica musi wychować chociaż jedną następczynię. Chcesz stać się kimś takim?

– Jestem sierotą i nie mam posagu, nikt nie weźmie mnie za żonę.

– To nie powód, żeby szkodzić ludziom!

– Czarownica szkodzi tylko tym, którzy za bardzo panoszą się w górach. Gdyby tylko zechciała, mogłaby rozpętać taką burzę, która w ciągu jednej nocy zmiotłaby ze skały klasztor.

– Ale góry nie są przecież jej własnością!

– Była tu pierwsza, na długo przedtem, zanim w dolinie osiedleńcy zaczęli trzebić lasy. Mieszka w jaskini pijawców. Teraz już wychodzi stamtąd bardzo rzadko, zwykle przy pełni księżyca.

– Bzdury. Musiałyby mieć setki lat.

– I tyle ma. Ale jest już zmęczona, sprzykrzył jej się ten świat i niedługo odejdzie do Otchłani. Tylko z mojego powodu jeszcze tutaj jest. Czekaj, aż dorosnę.

Teraz, gdy już padły te słowa, Najdkowi zdawało się, że w gruncie rzeczy wiedział o tym od dawna; udawał tylko, że niczego nie dostrzega, aby uspić własne sumienie. Zrozumiał, że to koniec. Wszystko między nimi musiało się od tej chwili zmienić, nawet gdyby oboje bardzo tego nie chcieli.

– Myślałem... – Długo szukał odpowiednich słów, choć to, co chciał powiedzieć, było bardzo proste. – Wydawało mi się, że ty i ja... kiedyś, może...

Dziewczyna czekała z założonymi na piersiach ramionami, aż on dokończy, a kiedy cisza przedłużała się, pokiwała z politowaniem głową.

– Mnie też się wydawało. Pierwszy raz w życiu pomyślałam, że może być coś lepszego od życia w samotności.

– A... teraz? Już tak nie myślisz?

– Właśnie w to zwątpiłam.

– Nie chciałem cię urazić! Po prostu martwię się o ciebie.

– Kłopot w tym, że ty dużo marzysz, ale nic nie robisz, żeby marzenia spełniać. Czy sądzisz, że czarownica tak po prostu pozwoliłaby mi zmienić zdanie, skoro uważa mnie już za swoją wychowanicę? Żeby się od niej uwolnić, musiałabym zamieszkać gdzieś bardzo daleko stąd, gdzie nie mogłaby mnie dosięgnąć. Ale do tego trzeba pieniędzy. Ty ich nie masz i nie zanosisz na to, żebyś wzbogacił się na dojeniu krowy pustelnika. – Machnięciem ręki ukróciła w zarodku sprzeciw chłopca. – Ja mogłabym z moich ziółek przez parę lat uskładać tyle, ile trzeba, ale skoro tak cię to oburza, przestanę się starać. Dla ciebie chyba i tak już jestem wiedźmą.

Najdek zawstydział się i posmutniał zarazem. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Był na to za głupi, a może po prostu nie istniała żadna dobra odpowiedź.

– Przepraszam – bąknął.

– W porządku – westchnęła, popatrując na niego przyjaźniej. – Może powinnam była powiedzieć ci to jakoś łagodniej, nie wszystko od razu, ale mnie też nie jest łatwo. Ona nauczyła mnie wszystkiego, co umiem. Jest mądra i tak potężna, jak nigdy nie będzie Mistrz ani twój nauczyciel.

Opiekuje się mną, od kiedy karczmarz po raz pierwszy zostawił mnie samą na hali. Byłam wtedy małą dziewczynką, bez niej nie przeżyłabym nawet paru dni. Przyzwyczaiałam się do myśli, że kiedy dorosnę, zajmę jej miejsce. – Pokiwała smutno głową. – Przeze mnie nie odejdzie w spokoju, ale w gniewie i rozpacz.

– To nie twoja wina!

– Moja. Przyjmowałam od niej pomoc, chociaż od początku wiedziałam, czego zażąda w zamian.

– Byłaś za mała, żeby to rozsądzić...

– Ale teraz dorosłam i dobrze wiem, co chcę zrobić. – Do oczu nagle nabiegły jej łzy. – Tylko jakie ma być to nasze szczęście, które wyrośnie na zdradzie?



Źle spał; do późnej nocy rozmyślał o tym, jak trudno czasem odróżnić to, co słuszne, od tego, co niegodne. Teraz już wiedział – bywa w życiu i tak, że żadna z możliwych do wyboru dróg nie jest prosta, lecz wszystkie są kręte i wyboiste. Wstydił się swego oburzenia na Zoję; ostatecznie sam nie był już pewien, co zrobiłby na jej miejscu, zdany tylko na własne siły. Nie zbierała przecież trujących ziół przez chciwość, ale po to, żeby nie stać się w przyszłości czarownicą, a skoro mieli uciec stąd razem, robiła to także dla niego, żeby on nie musiał brudzić swoich rąk ani sumienia.

Obiecał sobie, że spróbuje okazywać jej więcej zaufania, i dopiero wtedy uspokoił się nieco i zasnął.

Nie przypuszczał, jak szybko to postanowienie zostanie poddane próbie. Zaledwie rankiem wyczłapał z pieczary, niewyspany i ociężały, dostrzegł Zoję skuloną między skałami, podobną do dzikiego zwierzątka, które boi się podejść bliżej do ludzkiej siedziby. Krowa przyglądała się jej z bezpiecznej odległości, kiwając potężnym łbem.

Wybiegł do niej, pełen złych przeczuć. Musiała mieć jakiś bardzo ważny powód, aby przyjść na szczyt, wcześniej przecież nie chciała nawet o tym słyszeć.

Podejrzenia zamieniły się w pewność, gdy zobaczył zakrwawiony płócienny worek, który ścisnęła pod pachą. Przystanął o parę kroków od

niej, zziębnięty i wystraszony. Nie śmiał o nic pytać; Zoja pierwsza przerwała milczenie.

– To Wilk – wyjaśniła na pozór opanowanym, a jednak zmienionym głosem, w którym Najdek domyślał się powściąganej rozpacz. – Nie żyje.

Choć dobrze wiedział, jak mocno Zoja była przywiązana do swojego psa, w głębi ducha ulżyło mu. Tej nocy dręczył go okropny sen, pełen mściwych czarownic, krwawych ofiar i parujących kotłów z trującym wywarem.

– Jak to się stało? – Odetchnął trochę spokojniej. – Niedźwiedź?

– Strażnicy.

– Byli u ciebie? – Natychmiast znowu wzmógł czujność. – Czego chcieli?

– Nie wiem. Było ich dwóch, chyba szukali swojego dowódcy, podobno gdzieś przepadł.

– Prawda... Nie mówiłem ci jeszcze o tym, wczoraj jakoś nie było okazji. – Zarumienił się mimo woli. – Chciał ukraść pustelnikowi anielskie pióro. Chyba już nigdy go nie zobaczymy w tych okolicach.

Zoja skinęła głową, jakby nie potrzebowała dalszych wyjaśnień.

– Strażnicy byli wściekli. Jeden z nich wrzeszczał, że jestem małą czarownicą i trzeba mnie zawlec na powrozie do klasztoru, ale drugi wytłumaczył mi, że beze mnie owce zginą, a wtedy obaj będą mieli przeciw sobie wszystkich najbogatszych górali. Tamten trochę się opamiętał. Objedli mnie ze wszystkiego, co miałam, a potem zostali na noc, bo zrobiło się późno. Oddałam im szałas, sama poszłam do zagrody, między owcami cieplej. Wszystko byłoby dobrze, ale nie upilnowałam Wilka. – Bezwiednie pogładziła płótno worka. – Nigdy nie umiał położyć uszu po sobie. Pierwszy raz uwiązałam go na łańcuchu. Przez cały wieczór szarpał się i warczał. Spuściłam go dopiero wtedy, kiedy tamci zamknęli drzwi. Chciałam czuwać do rana, ale po ostatniej nieprzespanej nocy nie wytrzymałam. Zdrzemnęłam się tylko na chwilę. Właśnie wtedy wylazł za potrzebą ten krzykacz i Wilk roztargał mu nogawkę. – Spojrzała na Najdka wielkimi oczami, jakby zdumiona, że to, o czym opowiada, wydarzyło się naprawdę. – Nawet nie zaskomlał. Znalazłam go, kiedy już szarzało. Najpierw głowę, potem resztę.

– Bydlak! Trzeba zawiadomić Mistrza.

– Nie warto. Przecież z powodu jednego psa Mistrz nie ukarze strażników.

– Następnym razem mogą skrzywdzić ciebie!

– Wtedy będzie miał się kto o mnie upomnieć, a oni nie są przecież na tyle głupi, żeby zadzierać z prawdziwą czarownicą.

Najdek domyślał się, że to nie wszystko, co pasterka chciała mu powiedzieć, ale oboje milczeli przez dłuższą chwilę, pociągając nosami w chłodzie poranka.

– Trzeba go pogrzebać... – odezwał się wreszcie chłopak nieśmiało.

– Gdybym chciała to zrobić, zakopałabym go na pastwisku, w ziemi, nie pod tymi kamieniami. – Wystawiła głowę zza skalnego zrębu i mrużąc oczy, spojrzała w stronę pieczary. – Czy pustelnik tam jest?

– Jak zawsze za dnia... – Najdek drgnął raptem. – Czego od niego chcesz?

– Niech pokaże, czy chociaż w połowie zasłużył na te wszystkie pochwały, których od ciebie wysłuchuję. Wywołaj go.

– To niemożliwe!...

– Dlaczego? O jego cudach aż huczy w dolinach.

– Uzdrawia, to prawda, nikogo jeszcze nie zawiódł, ale to... – Bezradnym gestem wskazał worek.

Zoja podniosła się powoli. Włosy miała w nieładzie, pod oczami ciemnie sińce.

– O co chodzi? Wątpisz, czy twój nauczyciel potrafi wskrzesić psa? – Na jej twarzy na przemian odbijały się uczucia dziecięcego zawodu i dorosłego szyderstwa. – Czarownica zrobiłaby to z łatwością.

– Nigdy nie słyszałem, żeby czarownica komuś pomogła!

– Oby pewnego dnia nie musiała pomóc tobie.

Nawet nie zauważyli, że ich podniesione głosy wywabiły z pieczary pustelnika. Podeszedł cicho, potrząsając lekko głową, jakby trudno mu było powrócić do rzeczywistości ze świata anielskich wizji, które, streszczone w jednym Słowie, spisywał wodą na skale. Przystanął, wsłuchany w nagłą ciszę, która zapadła, gdy Zoja i Najdek zdali sobie w końcu sprawę z jego obecności.

– Witaj, przyjaciółko mojego ucznia – odezwał się po chwili łagodnie. – Tej nocy nie słyszałem twojego śpiewu, tylko płacz.

Na policzkach pasterki zalśniły dwie wilgotne strużki, ale natychmiast przygryzła wargę i wyciągnęła przed siebie ręce z workiem.

– Zabili mi psa. Wróć mu życie.

Jej słowa nie zabrzmiały jak prośba, ale jak podszyta rozpaczą zaczepka.

Pustelnik nie obruszył się, lecz posmutniał wyraźnie. W jaskrawym blasku Słońca jego Łaska była prawie niewidoczna.

– Nie wiesz, o co prosisz, mała pieśniarko. Jest tylko jeden Dawca Życia.

– Możesz to zrobić czy nie?

– Mogę, ale nie wolno mi. Niebiańska Łaska to wielki dar. Muszę szafować nią roztropnie, żeby udzielić jej wielu. Jeśli wskrzeszę psa, zabraknie jej dla jakiegoś człowieka.

– Potrzebuję Wilka! Zawsze był przy mnie. Nigdy nie miałam nikogo bliższego. – Z gniewem otarła pięścią wilgotny policzek. – Nie przysłałabym tu, gdyby to nie było dla mnie takie ważne.

Pustelnik uniósł brwi, pod jego powiekami mocniej rozgorzała Łaska.

– Potrzebujesz pomocy, ale nie takiej. Jesteś dobra, warta tego, żeby walczyły o ciebie anioły, kiedy zbłądzisz w cień Otchłani.

– Nigdzie nie zbłądzę!

– Wydaje ci się, że sama zdecydujesz, w którą pójdziesz stronę, ale z każdym rokiem będzie ci coraz trudniej wybierać.

– Wiedziałałam, że to strata czasu. – Zoja zarzuciła worek na ramię. – Idę do czarownicy. Ona przynajmniej nie będzie mnie pouczać.

Odwróciła się szybko, jakby chciała ukryć kolejną nieposłuszną łzę. Drobnymi kroczkami pobiegła w dół.

Najdek opamiętał się dopiero wówczas, gdy była już daleko, pośród kosodrzewiny. Czuł się podle, jakby musiał jednocześnie wstydzić się przed pustelnikiem za pasterkę – i odwrotnie.

– Czy czarownica naprawdę może to zrobić? – zapytał nauczyciela, zgnębiony.

– Może wezwać jakiegoś pomniejszego demona i kazać mu wejść w ciało psa. Będzie merdał ogonem, szcekał i zaganiał owce, ale to nie będzie prawdziwe życie, tylko złudzenie. Oszustwo. Otchłań jest pustką, która niczego nie daje, wszystko odbiera. – Westchnął jakoś bezsilnie; nigdy wcześniej Najdek nie widział go tak zatroskanym. – A to złudzenie czarownica zażąda wielkiej zapłaty.

– Trzeba ją przestrzec!

– Spróbuj. Mnie na pewno nie uwierzy.



Choć wołał za nią, nie zwolniła kroku ani nawet nie obejrzała się. Dogonił ją z trudem i rozłożywszy ramiona, zastąpił jej drogę.

– Zaczekaj! – wydyszał. – Nie idź tam.

Spojrzała na niego chmurnie.

– Daj mi spokój.

– Boję się o ciebie.

– Niepotrzebnie.

– Czarownica nie sprawi, że Wilk znowu będzie taki jak przedtem.

– Wiem o tym, dlatego najpierw przyszedłam do was. – Na ostatnie słowo położyła nacisk i Najdek zrozumiał, że w ten sposób chciała obarczyć także jego odpowiedzialnością za postawę pustelnika. – Niestety, twój nauczyciel pożałował Łaski dla psa. A i ty nie próbowałeś nawet go przekonać, chociaż Wilk ocalił ci życie. – Nie podniosła głosu, ale właśnie dlatego każde zdanie było jak piekący policzek.

– Na pewno miał bardzo ważny powód, żeby ci odmówić... – jąkał się, zawstydzony.

– Na pewno. Właściwie nawet mu się nie dziwię. Ludzie dzielą się na takich, którzy mnie tłuką, i takich, którzy nie zauważają. Dlaczego on jeden miałby być inny? Byłam głupia, że ośmieliłam się przerwać jego świątobliwe zajęcia. – Poprawiła worek na plecach. – A teraz zostaw mnie, nie musisz się mną przejmować. Zawsze musiałam radzić sobie sama.

Opuścił ręce, ale nie ustąpił z drogi. Serce waliło mu mocno; zdawał sobie sprawę, że jeśli pozwoli jej odejść, utraci ją na zawsze.

– Nie. – Odetchnął głębiej, przetarł wierzchem dłoni spocone czoło. – Nie musisz prosić ani pustelnika, ani czarownicy.



Pozostała nieufna; w drodze powrotnej na szczyt zerknęła ukradkiem na chłopca, ale nie zadała ani jednego pytania, jakby w obawie, że każda odpowiedź musi rozwiać złudne nadzieje. Dopiero gdy wyszli na nagi stok

pod pieczarą i Najdek położył palec na ustach, wzruszyła ramionami i mruknęła niechętnie:

– I tak nie przekradniemy się niepostrzeżenie, jeśli on naprawdę ma taki dobry słuch.

– Kiedy pisze, zapomina o całym świecie. Wystarczy, że postaramy się nie hałasować, a wszystko będzie dobrze.

Bez przeszkód przemknęli obok wejścia do pieczary, a potem wspięli się wyżej, pod samą szczytową skałę. Po zboczach stoczyło się parę strąconych odłamków, ale z wnętrza pustelni nie dobiegł żaden szelest. Najdek był zgrzany po szybkiej wspinaczce, lecz spokojny; od chwili, kiedy powziął ten szalony zamiar, nie pozwolił już sobie na żadne wątpliwości. Zsuł buty, bosymi stopami stanął na nagrzanym w słońcu kamieniu. Po bogatym w emocje poranku w głowie pozostał mu lekki szum. Uśmiechnął się dosyć niemrawo do Zoi, jednak jej blada twarz pozostała skupiona i napięta.

– W porządku – szepnął, zacierając dziwnie chłodne dłonie. – To nie powinno długo potrwać.

Nie było już żadnych powodów do zwłoki, więc Najdek westchnął i wdrapał się na skałę. Nie miał pewności, czy w dziennym świetle dostrzeże na niej ślady anioła, ale okazało się, że niepotrzebnie się tym martwił – były tak samo wyraźne i błyszczące jak tamtej nocy, kiedy ujrzał je po raz pierwszy. Ostrożnie, aby się nie zachwiać, wyprostował plecy. Spojrzał jeszcze raz z góry na Zoję; w jej uważnych szarych oczach nie znalazł pokrzepienia.

Postawił stopę na prawym śladzie. Czekał przez chwilę z zaciśniętymi zębami, ale nie doznał niczego szczególnego. Dostawił drugą nogę i rozluźnił się nieco.

– W tym miejscu pozostało trochę niebiańskiej Łaski. Nauczyciel mówił mi, że z jej pomocą każdy może uzdrawiać, jeśli tylko ma czyste i pokorne serce. – Przykucnął, oparł łokcie na kolanach i znów zastygł na pewien czas w oczekiwaniu. Trochę zmartwił go brak jakichkolwiek odczuć, ale zaraz pomyślał, że na skutek codziennego obcowania z pustelnikiem nie był już tak podatny na wpływ Łaski jak dawniej. – Dobra. Dawaj go.

Przeszedł go nieprzyjemny dreszcz, gdy Zoja podała mu worek. Aż do tej chwili nie zastanawiał się nad tym, że będzie musiał dotykać krwawego

truchła. Tłumiąc wstręt, zanurzył rękę w środku. Namacał sztywne, lepkie od juchy kłaki i wystające z otwartego pyska kły.

Wzdrygnął się, chciał powiedzieć coś do pasterki, ale już nie zdążył.

Nagle przeszła go potężna błyskawica świetlistej mocy, strumień Łaski popłynął od jego pięt aż do czubków palców. Stopy objął ogień, w głowie huczał grzmot; coś naparło od wewnątrz na oczy, odruchowo zacisnął powieki. Od razu, od pierwszej chwili wiedział, że ta potęga przerasta go; nie potrafił nad nią zapanować. Był niczym łożysko małego strumyczka, w które wtłoczono wody ogromnej rzeki; nie mógł utrzymać takiego żywiołu w ryzach. Musiał się śpieszyć, nim Łaska rozerwie to kruche naczynie, jakim było jego ciało.

Sięgnął głębiej do worka, zacisnął palce na skołtunionej sierści. Natychmiast poczuł gwałtowne bicie psiego serca, ze straszliwiej rany zaczęła chlustać na dłoń gęsta, coraz cieplejsza krew. Usłyszał coś, jakby cichy pisk.

Łaska pulsowała teraz gwałtownie, bąbel jasności rozsadzał czaszkę, szukając ujścia. Jeszcze trochę wytrzymać, wytrzymać... Niech łączy się skóra ze skórą, kość z kością, krew z krwią. Niech się scala psie truchło, jednoczy, zrasta i zabliznia. Niech się porusza, niech oddycha. Niech żyje.

Wilk zaczął szamotać się w worku, darł pazurami płótno i próbował gryźć rękę, poprzez którą spływały na niego iskry Łaski, jednak Najdek, chociaż był już u kresu sił, wciąż trzymał go mocno za skórę na karku. Wiedział, że to jeszcze nie koniec; gdyby teraz cofnął dłoń, dopiero co wskrzeszone życie zagasłoby szybko jak ogień, którego nikt nie podsyca.

Zdobył się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek, aby przelać na Wilka tyle Łaski, ile należało. To było trudne, bardzo trudne, wszystko w nim broniło się przeciw temu. Może zawahałby się, gdyby nie usłyszał od Zoi aż tylu gorzkich słów, ale teraz pragnął tylko, żeby znowu zaczęła się do niego uśmiechać.

Nagle doznał bardzo dziwnego uczucia, jakby wewnętrznego zapadnięcia się, skurczenia, zwarcia, a zaraz potem gwałtownego wypchnięcia na zewnątrz, wyciśnięcia, niczym pestki ze śliwki. Przeraził się, bo miał wrażenie, że znalazł się gdzieś poza światem, poza czasem, poza samym sobą, w ciszy, zagubiony i całkowicie bezradny. Nie mógł poruszyć się,

krzyczeć ani otworzyć oczu; był maleńkim ziarenkiem strachu, które wiatr mógł porwać w każdej chwili i ponieść w nieznane.

Kiedy już sądził, że stało się najgorsze, raptem osaczyły go dźwięki, jak po wynurzeniu się na powierzchnię wody. Odzyskał władzę nad znękanym, obolałym ciałem. Otworzył oczy. Wokół wciąż było ciemno, ale czuł, że wystarczy rozedrzeć cienką zasłonę, żeby wydostać się na światło dnia. Dokonał tego, szarpiąc pazurami na oślep i pomagając sobie kłapnięciami zębów. Zalał go słoneczny blask. Otrząsnął się całym ciałem, spróbował wstać, ale coś było nie tak – zupełnie jakby cofnął się do czasu niemowlęctwa, kiedy jeszcze nie umiał podnieść się na nogi. Wpadł w popłoch, szarpnął się gwałtownie i spadł z wysoka, objając się boleśnie na kamieniach. Pozbierał się natychmiast, rozejrzał dookoła.

Bez trudu rozpoznał stok pod wierzchołkiem Rogacza, a jednak to miejsce wyglądało inaczej niż zwykle. Wydawało się rozleglejsze, usiane większymi głazami i całkowicie wyprane z wszelkich barw, odmalowane różnymi odcieniami szarości. W powietrzu drżały wyraziste, spotęgowane dźwięki. Zewsząd docierały niezwykle silne zapachy, które drażniły nozdrza. Potrafił wychwycić poszczególne wonie, które napływały z wiatrem gdzieś od lasu, ale ważniejsze były te bliskie, zwłaszcza jedna z nich, oszałamiająca poczuciem swojskości i szczęścia.

Zakręcił się w miejscu, podniósł głowę. Na widok Zoi owładnęła nim nieujarzmiona radość, taka dziecięca i prosta, że miał wielką ochotę skakać i krzyczeć.

– Spokój, Wilk! – rzuciła.

Nie zrozumiał tych słów, lecz podporządkował się rozkazującemu tonowi głosu, a bardziej jeszcze stanowczemu gestowi dłoni. Podkulił ogon, położył uszy po sobie i przysiadł pokornie.

Zoja – tak wielka, że musiał zadzierać głowę, żeby widzieć jej twarz – patrzyła teraz na sam wierzchołek skały. Chciał zawołać, zwrócić na siebie jej uwagę, lecz zamiast słów wydobył z siebie jedynie parę ochrypłych szczęknięć. Nie zmartwił się tym. Dopóki mógł siedzieć u jej stóp i drżąc z niecierpliwości, wyczekiwać poleceń, wszystko było w najlepszym porządku.

Pasterka wyciągnęła rękę do kogoś, kto siedział na skale. Zastrzygł uszami, przekrzywił głowę, żeby lepiej widzieć – i naraz poczuł się tak, jakby

rozwiała się dziwna mgiełka, która aż do tej chwili zasnuwała jego umysł.

Zobaczył siebie samego, o bezkrwistej twarzy, z kurczowo zaciśniętymi powiekami i mokrymi od potu włosami, które lepiły się do czoła. To był tak wstrząsający widok, że zaskowyczał przeraźliwie, psie serce niemal przestało bić z trwogi. Całą pełnią zmysłów odczuł teraz to swoje nowe, czworonożne ciało, które wchłonęło go niczym zdradziecka pułapka. Zaczął czołgać się do podnóża skały, z pyskiem przy ziemi, całkiem ogłupiały ze strachu.

Jakaś mocna dłoń przycisnęła jego kark do ziemi. Nie usiłował nawet się bronić. Dygotał cały, popuszczając pod siebie po trochu krople ciepłego moczu.

– Coście narobili, dzieci, coście narobili...

Zawył żałośnie na dźwięk głosu pustelnika. Poczował, jak z ręki starca zlewa się kojące ciepło Łaski. Położył pysk między łapami, przymknął ślepią i poddał się tej samej mocy, którą niedawno tak lekkomyślnie rozpętał. Usłyszał jeszcze szelest sukienki Zoi, tupot pośpiesznie oddalających się kroków; potem wszystko odpłynęło w ciszę.



Następnego dnia zjawił się na hali. Uprzedzona wesołym szczekaniem Wilka Zoja czekała przed szafasem, nastroszona nieco, bo nie wiedziała, czego się spodziewać.

– Pokaż no się... – Chłopak przyklęknął i rozgarnął sierść na szyi psa. – Pięknie się wygoiło. Nawet nie ma śladu.

– Przybiegł wczoraj wieczorem. Z początku wydawał mi się jakiś osowiały, jakby zagubiony, długo obwąchiwał wszystkie znajome kąty, ale już mu przeszło. – W zakłopotaniu splotła i rozplotła palce, dodała ciszej:

– Dziękuję.

Najdek skinął głową, usiadł na ławie, wyciągnął nogi i wystawił twarz do słońca. Milczał tak długo, że pasterka poruszyła się wreszcie niespokojnie.

– A co z tobą? – Przysiadła obok. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. Mam silne zawroty głowy, czasem widzę podwójnie albo jak przez mgłę. Nauczyciel mówi, że to minie za parę dni, kiedy dusza z powrotem uleży się na swoim miejscu.

– Nie rozumiem...

– Ja też nie do końca. Strumień Łaski był tak silny, że moja dusza wyciekła do psa. Gdyby została tam trochę dłużej, nikt już nie mógłby jej wydobyć, nawet pustelnik. Do końca życia byłbym przy tobie, chociaż trochę inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

– Nie miałam pojęcia!

– W porządku – uciał sucho.

Przyglądała mu się przez chwilę z ukosa.

– Żałujesz?

– Nie. – Zwłóczył odrobinę z odpowiedzią. – Ale teraz już wiem, że nie jestem wystarczająco pokorny, żeby robić takie rzeczy. Łaska zwróciła się przeciwko mnie, bo jej nadużyłem.

– Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło! – Klasnęła w dłonie, jakby chciała rozegnać w ten sposób niepokojące myśli.

– Nie całkiem. Zniknęły ślady anioła, pustelnik jest bardzo smutny.

– Wściekał się na mnie?

– On nigdy się nie wścieka.

– Ale chyba coś powiedział?

– Nie miał nawet tyle sił, żeby wdrapać się nocą na skałę.

– Na pewno dojdzie do siebie...

– Jasne. Jak zawsze. – Poruszył brwiami, gdy jakiś zabłąkany obłok zgasił blask słońca.

Więcej o tym nie rozmawiali; oboje potrzebowali czasu, aby oswoić się z tym, co zaszło.

Po paru dniach na szczyt Rogacza poprzez nielicznych pielgrzymów dotarły strzępy wieści z klasztoru. Gurgul podobno zniknął, może dopadły go gdzieś w głuszy wilki; Mistrz nakazał wszystkim strażnikom wycofać się z lasu. To budziło nadzieję na spokojniejszą przyszłość. Pustelnik powoli odzyskiwał siły, choć Najdek miał wrażenie, że na jego wychudzonej twarzy pozostał lekki odcień smutku, nawet gdy się uśmiechał. Pracował z jeszcze większym zapamiętaniem, od świtu do zmierzchu, nie przerywając ani na chwilę. Śpieszył się wyraźnie i ten jego pośpiech sprawiał, że Najdek nie potrafił jak dawniej cieszyć się codziennymi zajęciami.



Ten dzień zapowiadał się wspaniale, rozśoneczniony, wyświeżony rosą, z lekkim wietrzykiem, który łagodził upał. Najdek zbiegł do szałasu pełen ochoty na długą wyprawę. Las uwodził go zapachem żywicy i próchna, ptasie świergoty nastrojały marzycielsko. Obiecywał sobie, że dziś dotrzyma kroku Zoi na każdym bezdrożu, w największej gęstwie; nie czuł się już w górach nowicjuszem, miałby co nieco do opowiedzenia przy ognisku drwali.

Niestety, zawiódł się bardzo. Wilk nie przywitał go jak zwykle na skraju pastwiska, zaszczekał tylko dwa razy z daleka i pobiegł gdzieś z nosem przy ziemi. Owce wciąż jeszcze tłoczyły się w zagrodzie, osowiałe i dziwnie ciche; nie napierały nawet na bramę, jak zazwyczaj, gdy z jakiegoś powodu Zoja nie wypuściła ich o brzasku.

Pasterka nie wyszła mu na spotkanie. Znalazł ją siedzącą w kącie szałasów na posłaniu, z brodą opartą na podciągniętych kolanach.

– Co jest z tobą? – zawołał od progu. – Na świecie tak pięknie, szkoda każdej chwili!

Spojrzała na niego w półmroku wielkimi jak u puchacza oczami, niemrawo pokręciła głową.

– Dzisiaj nigdzie nie pójdziemy. Źle się czuję.

Zaniepokojony przysunął się bliżej. Chciał dotknąć jej czoła, żeby sprawdzić, czy nie jest gorące, ale uchyliła się.

– Boli cię coś? – zapytał.

– Nie. Po prostu wolę zostać dzisiaj w szałasie. Do jutra wszystko będzie dobrze.

Niełatwo było mu ukryć rozczarowanie. Myśl o spędzeniu całego dnia beczynnym na hali nie nęciła go wcale.

– Szkoda... – westchnął. – Pomogę ci chociaż tutaj trochę. Na początek wypuszczę owce.

– Nie! – krzyknęła, nim zdążył się poruszyć; spostrzegła jego zdumienie, dodała spokojniej: – Niech lepiej zostaną w zagrodzie. Nie mam siły, żeby ich pilnować, a Wilka nie mogę dzisiaj liczyć.

– Co mu się stało? Biega, jakby mu ktoś soli nasypał na ogon.

– Czasem zdarza się, że jakaś suka ucieknie ze wsi do lasu, wtedy go nosi...

– Trudno, poradzimy sobie bez niego. Jadłś już śniadanie?

Nie odpowiedziała, bo nagle gdzieś w oddali rozległ się niski, donośny głos rogu. Ucichł, po chwili przerwy rozbrzmiał ponownie, a potem jeszcze raz.

– Któryś z drwali wzywa pomocy! – Chłopak jednym skokiem znalazł się na zewnątrz.

Nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Przestraszone ptaki umilkły, owce w zagrodzie zbiły się ciasniej. Cisza trwała tak długo, że stracił już nadzieję, gdy wreszcie róg odezwał się znowu, znacznie słabiej niż poprzednio; po dwóch długich sygnałach trzeci urwał się w połowie.

Zoja cicho wyszła z szałas, stanęła obok niego.

– To stamtąd! – Machnął ręką w stronę lasu, nad którym rozplomienił się kraniec słonecznej tarczy. – Tylko nie wiem, jak daleko...

– Nie bardzo.

– Trzeba sprawdzić, co tam się stało!

– Nie idź. – Głos pasterki był nieco schrypnięty, jak po nieprzespanej nocy.

– Muszę!

Uniosła ku niemu twarz, odgarniając włosy. W słonecznym blasku wydała mu się jeszcze bledsza niż w szałasie.

– W niczym nie możesz tam pomóc. – Ostrożnie, jakby nieśmiało ujęła jego dłoń. – Zaufaj mi. To bardzo, bardzo zły dzień.

– Nic nie rozumiesz! Dla drwali głos rogu jest święty. Kto za nim nie pójdzie, musi na zawsze opuścić góry w niesławie.

– Nie jesteś drwalem.

Najdek gwałtownie wyrwał rękę. Ogarnęła go taka złość, że z trudem łapał oddech.

– Ty wcale nie jesteś chora! Udawałaś tylko, żeby mnie dzisiaj tutaj zatrzymać. Od początku wiedziałaś, że szykuje się coś niedobrego. – W gniewnym grymasie wyszczerzył zęby. – Ale ja nie jestem taki, nie zostawiam przyjaciół w potrzebie!

Pasterka poczerwieniała nagle, zadrgały jej rozszerzone nozdrza.

– Wiesz, co to jest? – Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń, na której leżała ciemna kuleczka wielkości jagody. – Jajeczko żywożera. Dziś o świcie znalazłam ich kilkadziesiąt, tylko w okolicy pastwiska.

– Nigdy nie słyszałem tej nazwy...

– Nic dziwnego. To małe robaki, które można spotkać tylko na dalekiej północy, w bezludnych krainach, gdzie zima trwa prawie przez cały rok.

– Skoro pochodzą z tak daleka, jak się tutaj znalazły?

– Dobre pytanie. – Cisnęła znaleźisko do ogniska, które tliło się przed szafasem, a potem starannie wytarła rękę w trawę. – Ktoś musiał rozrzucić je w nocy. Słyszałam kroki w lesie. Uwiązałam psa, nie chcę znowu kłopotów.

– Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? To głupie!

– Dla ciebie wszystko, czego nie rozumiesz, jest głupie! – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

Najdek zachował tyle przytomności umysłu, by nie rozjrzeć dalej kłótni. Teraz łatwo mogłyby paść słowa, o których trudno byłoby potem zapomnieć. Odwrócił się i pobiegł w stronę, gdzie, jak mu się zdawało, tłukły się jeszcze ostatnie echa rogu.

Nieoczekiwanie pod lasem zabiegł mu drogę Wilk. Miał zjeżoną na karku sierść, obnażone kły i zło, nabiegłe krwią ślepią. Gdy chłopak nie zatrzymał się od razu, zawarczał ostrzegawczo.

– Precz! – Rozgorączkowany podniósł kamień. – Nie jestem twoją owcą!

Pies nie ustąpił. Pochylił łeb i warknął głośnie, gotów do walki. Najdek mimo woli opuścił rękę, nie ze strachu, ale ze zdumienia.

– Wystarczy, Wilk! – Za jego plecami rozległ się głos pasterki, teraz już całkiem opanowany. Klepnięciem w udo przywołała psa.

Usłuchał z widocznym ociąganiem. Obszedł chłopca łukiem, błyskając ku niemu bielą kłów. Zoja uspokoiła go, kładąc dłoń na jego stulonych uszach.

– Nie bierz mu tego za złe, chciał tylko cię chronić – odezwała się miękko, niemal pokornie. – Ja zresztą też.

Najdek ochłonął nieco, choć serce wciąż jeszcze biło mu mocno. Przyszło mu do głowy, że nikt nigdy nie troszczył się o niego aż tak bardzo, nawet Cabaj. Zobaczył w oczach Zoi nowy rodzaj trwogi, której przedtem nie znał – strach nie przed czymś, ale o kogoś.

– Twój kundel z tej miłości prawie skoczył mi do gardła. – Nie wiedział, jak się zachować. Czuł, że żart wypadł całkiem nieszczerze.

Na szczęście Zoja była jeszcze mniej biegła w udawaniu. Chociaż groźnie zmarszczyła czoło, na jej rzęsach już trzęsły się łzy.

– Jesteś uparty, zarozumiały i nierozsądny, ale i tak cię lubię. Tobie pewnie wszystko jedno, zginiesz sobie jak bohater i drwale usypią ci w lesie ładny kopczyk, a ja zostanę sama.

– Myślałem, że lubisz samotność... – bąknął, nie bardzo do rzeczy.

– Dzisiaj, kiedy czekałam na ciebie i martwiłam się, zrozumiałam, że... – przerwała na dłuższą chwilę, ale nie zdołała nazwać swoich uczuć. Wreszcie odetchnęła głębiej, wierzchem dłoni szybko starła łzy i mówiła dalej zwyczajnym tonem: – Nie chcę cię stracić. Idę z tobą.

Chociaż gdzieś tam w puszczy czaiła się groza, zrobiło mu się dziwnie jasno na duszy. Byłby się nawet uśmiechnął, gdyby nie obawa, że Zoja może odebrać to jako drwinę.

– Ja też cię lubię. – Rozważył szybko, czy takie wyznanie przystoi mężczyźnie w obliczu niebezpieczeństwa. Uznał, że lepiej powrócić na pewniejszy grunt. – Powiesz mi wreszcie, czego powinienem się bać?

– Lepiej by ci się szło, gdybyś nie wiedział. – Jednym gestem odesłała Wilka do kierdła i pierwsza ruszyła w las.

Dogonił ją po chwili, przez jakiś czas maszerowali w milczeniu. Ptasi świergot, który ucichł po dźwięku rogu, nie powrócił już więcej, przestały nawet brzęczeć muchy. Było tak cicho, że słyszeli tylko własne oddechy i chrzęst igliwia pod stopami. Czasem, gdy wiatr poruszył gałęziami, po ścieżce przebiegały plamki słonecznego blasku, ale nic więcej nie poruszało się w gęstwinie. Było tak, jakby wszelkie żywe stworzenie przyczało się w ukryciu.

Strach przed nieznanym zagrożeniem stopniowo zaczął udzielać się i Najdkowi. Zdawało mu się, że powietrze zrobiło się duszne i parne, jak przed burzą, choć niebo wciąż pozostawało czyste.

– Długo jeszcze masz zamiar być taka tajemnicza? – W tej niesamowitej ciszy nawet własny głos wydał mu się obcy. – Tak czy siak się boję, więc wolałbym wiedzieć czego.

Zoja ruchem podbródka wskazała przed siebie.

Sarnia ścieżka omijała gruby pień starego, rozrosłego dębu o sękatych konarach i wystających z ziemi korzeniach. Drzewo było martwe, nagie i poczerńiałe, na pajęczynie rozpiętej w rozwidleniu gałęzi błyszczały kropelki rosy.

Gdy podeszli bliżej, niespodziewanie zagłębili się po kolana w warstwie opadłych liści. Było ich tak wiele, jak późną jesienią. Zdumiony Najdek podniósł jeden z nich, który ledwie zdążył zżółknąć po brzegach.

– To z tego drzewa – odpowiedziała Zoja na pytanie, którego nie ośmielił się zadać. – Jeszcze wczoraj było zielone.

– Nie mogło przecież uschnąć w parę godzin!

Wspięła się na palce, sięgnęła do rozwidlenia konarów i podniosła dużego, martwego pająka o podkurczonych odnóżach. Na otwartej dłoni podsunęła go Najdkowi pod nos.

– Gdybyś wlaź wyżej, znalazłbyś w gnieździe kosa martwe pisklęta, a jeśli zdarłbyś z pnia pas kory, posypałyby się nieżywe szczypawki.

Przestraszony Najdek cofnął się, szeleszcząc stopami w liściach.

– Co tu się stało?

– Przeszły tędy żywożery.

Odkoczył gwałtownie i zatrzymał się dopiero tam, gdzie nie sięgał cień dębu.

– Coraz mniej je lubię...

– I słusznie. Żeby przetrwać na północy, musiały się przystosować. Jeśli uda im się znaleźć coś żywego, nie zjadają tego, tylko wysysają przyrodzoną Łaskę. W ten sposób nie tracą ani odrobiny siły życiowej.

– Mówiłaś, że rano były tylko jajeczka! – Zatupał, aby strząsnąć z butów drzewny pył.

– Można je trzymać latami w chłodnym i ciemnym miejscu, ale przy dziennym świetle dojrzewają bardzo szybko. Słońce to przecież niebiańska Łaska, tylko mocno rozrzedzona. Wykluły się wszystkie naraz. Widać nawet, któredy popełzły dalej. Tam, obok ścieżki, jest kępa uschłych paproci, a wyżej świerk z brązowymi igłami. Zresztą można wytropić je nawet po ciemku. – Przymknęła oczy i wciągnęła powietrze przez nos. – Nie czujesz? To ich zapach.

Najdek dopiero teraz uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu przeszkadzała mu słaba, ale bardzo nieprzyjemna woń rozkładu. Poczuł chłód na plecach, między łopatkami spłynęła mu kropla zimnego potu.

– To okropne! – szepnął.

– Tam, gdzie przeszły, nie została ani odrobina Łaski. Wyssały wszystko, aż do ostatniej kępki mchu.

– Nie mogły po prostu wygrzać się w słońcu?

– To za mało. Na północnym pustkowiu rzadko trafia im się obfitszy żer, dlatego chłepczą na zapas, aż nie będą mogły się ruszać. Zwykle jedzą tylko raz w życiu, a potem już tylko trawią powoli w zimnie i w mroku.

Najdek uspokoił się nieco, wystawił pobladłą twarz na powiew świeżego wiatru.

– W klasztorze nie mówi się o takich rzeczach... – zaczął po chwili nieśmiało.

– Tutaj trzeba wiedzieć, kiedy uciekać, kiedy ukryć się, a kiedy wystarczy spojrzeć w inną stronę. – Uśmiechnęła się jakoś smutno. – Gdyby interesowało cię moje zdanie, powinniśmy teraz zrobić którąś z tych rzeczy, a najlepiej wszystkie naraz.

Najdek westchnął bardzo ciężko. Osłoniwszy oczy przed słońcem, spróbował przebić wzrokiem ciemność, która zalegała dalej między drzewami.

– A co byś powiedziała, gdybym poszedł dalej śladami żywożerów?

– Że to szaleństwo.

– Tak właśnie przypuszczałem. – Skinął głową i powolutku wstąpił na pnący się w górę zbocza szlak śmierci, wyznaczony przez bezlistne drzewa, uschłe krzewy i pożółkłą trawę.

Zoja bez słowa podążyła za nim.



W miarę wspinaczki czuli wzmagający się odór zgnilizny, trudno im było oddychać. Pod warstwą liści czasem widać było padłego ptaka, wiewiórkę czy mysz. Przecięli polanę, gdzie na niskich krzaczkach czerniały pomarszczone kuleczki jagód, jakby zważone mrozem; na powierzchni małego bajorka unosiły się jasne brzuchy żab. Szeroka na dwa kroki smuga brązu na bujnej zieleni omijała łukiem większe skały i głębokie wykroty, przekraczała strumyki w miejscach kamienistych płycizn.

Nie rozmawiali ze sobą, wymieniali tylko niekiedy poprzez bezlistne krzewy przestraszone spojrzenia, upewniając się nawzajem, że wciąż są

razem. Przytłaczała ich leśna cisza, każdy trzask złamanej gałązki powodował szybsze bicie serca. Wreszcie Zoja przykucnęła w zaroślach i machnięciem ręki dała chłopcu znak, aby zrobił to samo. Gdy przyczał się za grubym drzewem, położyła palec na ustach i wskazała prosto przed siebie.

Wychylił się ostrożnie. Zrazu nic nie zauważył, dopiero po chwili, gdy wiatr poruszył ażurowymi cieniami na stoku powyżej, w pochyłym kształcie, który przedtem wziął za omszały głąz, rozpoznał siedzącego na ściętym pniaku człowieka. Był odwrócony tyłem, nisko zwiesił głowę, więc Najdek widział tylko jego szerokie, okryte baranicą plecy. Odetchnął z ulgą, gdy słońce zabłysło w ostrzu porzuconej obok siekiery – ze strony drwali nie musiał się niczego obawiać.

Wstał, wyszedł z ukrycia – i raptem uświadomił sobie, że pniak sterczy pośrodku martwego szlaku, który urywał się kawałek dalej w gęstym podszyciu.

Po drugiej stronie uschłych krzewów Zoja podniosła się także. Była bardzo blada, ale chyba ochłonęła już z pierwszej trwogi. W milczeniu ruszyli dalej, krok za krokiem zbliżając się do samotnego człowieka, który wydawał się pogrążony we śnie albo w głębokiej zadumie.

Obszedłszy pień, Najdek zobaczył oparte na kolanach sękatę dłoń, pokryte z wierzchu ciemnymi plamami i porośnięte kępkami białych włosów, o długich i zakrzywionych niczym ptasie szpony paznokciach. Od razu zrozumiał, że się pomylił – takie ręce nie mogłyby utrzymać mocno styliska siekiery. Z wahaniem przysunął się jeszcze trochę. Siwe włosy opadały na ramiona i zasłaniały twarz. Rozłożyła broda, w którą wplątało się trochę leśnego śmiecia, spływała aż na uda.

– Znasz go? – zapytała półgłosem Zoja.

– Jest ubrany jak drwał, ale to jakiś obcy starzec, nigdy go nie widziałem. – Zrobił jeszcze pół kroku, stopy zaszeleściły w suchych liściach. – Myślisz, że on też?...

– Pewnie – odpowiedziała stanowczo na to niedokończone pytanie. – Musiał się zdrzemnąć, robak przypełzał od tyłu i biedak niczego nie zauważył.

– Co tu robił? Kim był?

Podeszła szybko do pniaka, chwyciła za rozwichrzone włosy zmarłego i uniosła jego głowę. Najdek zobaczył teraz bardzo pomarszczoną twarz o półotwartych bezzębnych ustach, zapadłych policzkach i pobrużdżonym czole.

– Na pewno go nie znasz? – zapytała pasterka z naciskiem. – Przypomnij sobie.

Najdek wzdrygnął się. Patrząc z bliska na zwiędłe oblicze zgrzybiałego starca, który umarł we śnie, nie był w stanie uwierzyć, że mimo sędziwego wieku ten człowiek wybrał się w góry i dotarł tak wysoko. Być może zgasł tutaj cicho z samego utrudzenia drogą, jeszcze zanim dotknął go żywożer.

Nagle chłopak pochylił się i spojrzał uważniej; na piersi nieszczęśnika dostrzegł naszyjnik z trzech wilczych kłów.

– Widziałem to już kiedyś u jednego drwala! – zawołał. – Ten naszyjnik przynosił mu szczęście, nigdy się z nim nie rozstawał.

Zoja pozwoliła opaść siwej głowie, a wówczas całe ciało przechyliło się na bok i osunęło na ziemię.

– Tym razem zabrakło mu szczęścia – zauważyła ponuro.

Musiała minąć jeszcze dłuższa chwila, nim Najdek pojął, co miała na myśli. Teraz, gdy zmarły leżał na wznak, rysy jego twarzy nagle wydały mu się znajome.

– Kłys! – krzyknął, cofając się w popłochu.

Zoja przykucnęła i rozgarnęła palcami włosy drwala, odsłaniając na skroni mały czerwony ślad w kształcie litery Y, jak po ugryzieniu pijawki.

– O tutaj, widzisz? W tym miejscu przyssał się do niego żywożer.

Przerażony Najdek nie chciał już niczego oglądać; zakrył twarz dłońmi i kręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć wszystkiemu, czego był świadkiem.

– Jak to możliwe? – zapytał w końcu cicho. – Był jeszcze całkiem młody...

– Zestarzał się dzisiejszego ranka, gdy robak wyssał z niego całą przyrodzoną Łaskę. Tak to właśnie wygląda. Na pocieszenie mogę powiedzieć ci tylko tyle, że nie cierpiał. Po prostu nie zbudził się ze snu.

Najdek tak był wstrząśnięty tym straszliwym odkryciem, że nie potrafił zebrać myśli. Stał jak skamieniały, po kostki w opadłych liściach, całkowicie bezradny wobec grozy, na którą nie przygotowały go nawet najkrwawsze z opowieści drwali.

– Weź się w garść. – Zoja potrząsnęła go mocno za ramię. – Ostrzegałam, że to nie będzie przyjemne. Mamy jeszcze coś do zrobienia.

– Co? – zamrugał powiekami, otrząsając się ze złego uroku.

– Drwale nie chodzą w góry samotnie. Ten, który zadał w róg, wciąż gdzieś tu jest. Trzeba go znaleźć.

– To musiał być Wzdrenga, oni zawsze chodzili razem... – Rozejrzał się szybko, szukając jakichś śladów, ale wszystko pokryły liście. – Jak go znajdziemy?

– Nie mógł uciec daleko. Skoro nigdzie nie widać jego ciała, to znaczy, że zdążył się ukryć. – Pokręciła się trochę w pobliżu, podziubiła czubkiem buta ziemię, wreszcie przystanęła pod grubym drzewem. – Tutaj.

Najdek z niedowierzaniem spojrzał w górę, na zielone gałęzie, ale niczego nie dostrzegł w gęstwie liści.

– Uciekł na drzewo, jak przed wilkami?

– Na nic by mu się to nie przydało, bo jego przyrodzona, ludzka Łaska dla żywożerów świeci tak samo mocno, jak dla ciebie Łaska anielska. Żeby się przed nimi schować, trzeba ją przygasić.

– Jak to zrobić?

– Najlepiej udawać martwego.

Najdkowi zrobiło się słabo, gdy nagle odgadł, co pasterka ma na myśli.

– To nieruchawiec, prawda? – wyszeptał, szukając wzrokiem otworu w pniu niby-drzewa. – Jesteś pewna, że Wzdrenga tam wszedł?

– Jeżeli tylko był wystarczająco mądry. Nieruchawiec trawi bardzo dokładnie, potrzebuje na to dużo czasu. Ma trzy żołądki. W pierwszym ofiara nie ginie od razu, ale pozostaje żywa jeszcze przez dwa czy trzy dni, traci tylko przytomność, serce zaczyna bić bardzo powoli, oddech prawie ustaje, a światło Łaski ledwie się tli. Za słabo, żeby mógł je wyczuć żywożer. Twój znajomy to doświadczony drwal, na pewno o tym wie. Kiedy robak przyssał się do tamtego drugiego, Wzdrenga miał chwilę czasu, żeby zadać w róg i wspiąć się do dziupli. Liczył na to, że ktoś tu przyjdzie i wydobędzie go w porę.

– Właśnie! Lada chwila ktoś powinien się zjawić...

– Raczej nie. Ci dwaj są w górach od wczoraj, nocowali tu, ale dziś żaden z drwali nie wyszedł do roboty, nie słyszałam stukania siekier. Ktoś musiał ich

ostrzec.

– W takim razie sam go wyciągnę! – Najdek zaczął ściągać przez głowę koszulę, aby potargać ją na pasy, ale pasterka powstrzymała go.

– Nie gorączkuj się. Nieruchawiec teraz trawi, więc nie pożre cię, ale jeśli spróbujesz grzebać mu w gardzieli, roztrzaska ci głowę.

– Więc co robimy?

– Usiądź sobie tutaj i poczekaj na mnie. Niedługo wrócę.

Nie zdążył zadać żadnego więcej pytania; Zoja odwróciła się i zniknęła w gąszczu. Dopiero po chwili, gdy przestały kołysać się w tym miejscu gałązki, uświadomił sobie, że został całkiem sam.

Odszedł kawałek od żarłocznego stworzenia udającego drzewo i przykucnął w wysokich paprociach. Miał teraz za plecami obozowisko drwali i martwego starca przy wygasłym ognisku. Choć nie patrzył w tamtą stronę, takie towarzystwo ciążyło mu nieznośnie. Próbował myśleć o Wzdredzie, ale wcale nie było mu od tego lepiej. Wyobraził sobie jego ogromne, skulone w ciemnym wnętrzu żołądka ciało, ociekające wydzielającymi się coraz obficie sokami trawiennymi przy wtórze bulgotów dobiegających od czasu do czasu z głębi trzewi. Wzdrygał się, wstrzymując oddech nasłuchiwał kroków Zoi, jednak las pozostawał przerażająco cichy. Czas upływał, cień nieruchawca przesunął się z wolna po suchych liściach, a pasterka nie wracała. Przyszło mu nawet do głowy przerażające podejrzenie, że porzuciła go w trosce o własne bezpieczeństwo. Był już bliski poddania się rozpacz, gotów chwycić siekierę drwali i bez względu na wszystko rąbać podstępnego drapieżnika, gdy w końcu dziewczyna wyłoniła się bezszelestnie z zarośli.

– Gdzie byłaś tak długo? – Skoczył do niej, jakby w obawie, że zaraz znowu zniknie.

– Musiałam nazbierać kopytnika. – Rzuciła na ziemię całe naręczce ziół i przysiadła na chwilę, żeby odsapnąć.

– Na co to?

– Pomaga przy zatruciach.

– Wzdrenga jest wprawdzie duży, ale chyba nie będzie potrzebował tego aż tyle...

– To przecież nie dla niego. – Zdjęła z pleców chustę, rozpostarła na trawie, zawinęła w nią zioła i skręciła mocno, aż tkanina namokła od soku.
– Nie patrz tak, tylko zgarnij pod dziuplę jak najwięcej suchych liści – poleciała niecierpliwie.

Najdek, choć cel tych przygotowań pozostał dla niego niejasny, sprawnie spiętrzył między korzeniami nieruchawca wysoki kopiec. Gdy skończył, Zoja podała mu lepkie od soku zawiniątko.

– Masz dobre oko? Wrzuc to do dziupli.

Powiodło mu się za trzecim razem; zwitek ziół zniknął we wnętrzu otworu gębowego niby-drzewa. Zatarł ręce, zadowolony, ale Zoja natychmiast pociągnęła go w tył.

– Nie stój tak blisko.

Cofnął się posłusznie, choć nie wydarzyło się nic groźnego; żadna z gałęzi nawet nie drgnęła, korzenie nie rozorały kamienistego podłoża.

– Co właściwie chcesz osiągnąć? – spytał, nieco zawiedziony. – Ja bym poczęstował go trucizną, nie lekarstwem.

– Cicho.

– Znasz się na tym lepiej ode mnie, ale...

– Cicho! – szturchnęła go łokciem. – Słyszysz?

Z głębi dziupli dobiegł jakiś niepokojący odgłos, przypominający głośne młaśnięcie, a zaraz potem cała liściasta korona wstrząsnęła się z szelestem, choć nie było wiatru. Rozszedł się bardzo nieprzyjemny, bagienny zapach.

– Teraz! – ostrzegła Zoja.

Z dziupli buchnęła struga gęstej, błotnistej mazi, obryzgując wszystko wokół lepkimi grudkami. Z następną falą wymiotów na ziemię padły pogięte łodyżki ziół i zmięta chusta, a wreszcie z otworu wyłoniło się do połowy ciało drwala, zwisając głową w dół. Ostatni skurcz, najmocniejszy, targnął nieruchawcem od korzeni po czubki gałęzi. Wzdrgęga stoczył się na dół, padając prosto w kupę liści.

– Bierzemy go, szybko! – krzyknęła Zoja.

Złapali drwala za ręce i z trudem odciągnęli dalej. W samą porę – tam, gdzie przed chwilą leżał, z hukiem uderzył jeden z potężnych konarów. Kilka poskręcanych korzeni wypruło się z ziemi, obmacując teren, który był w ich zasięgu, lecz niebawem przez pień przeszedł długi dreszcz, aż

odprysnęły kawałki kory, a w końcu stworzenie uspokoiło się, przestało wymachiwać gałęziami i znieruchomiało.

– Więc tak leczysz zatrucia? Jeśli kiedyś rozboli mnie brzuch, nie przyjdę do ciebie po poradę – oznajmił Najdek słabym głosem.

Wzdrenga nie wyglądał dobrze – skóra straciła barwę i pomarszczyła się jak u noworodka, z długich, gęstych niegdyś włosów pozostało ledwie kilka posklejanych pasemek, broda przerzedziła się także, oczy i nos oblepił jakiś śluz. Trudno było wyczuć jego słabe tętno. Prawie nie oddychał, ale gdy ułożyli go w słońcu, oczyścili twarz kępkami trawy, a wreszcie Zoja wlała mu do ust odrobinę źródlanej wody, którą przyniosła w złączonych dłoniach – zakrzuszył się nagle, ze świstem wciągnął do płuc powietrze i otworzył oczy.

Najdek krzyknął z radości, jednak drwał nie odzyskał jeszcze w pełni zmysłów. Odepchnął chłopca, skoczył na nogi, zachwiał się, upadł i wstał znowu, macając wokół siebie rękami jak ślepiec.

– Pomóż mi, źle z nim! – zawołał Najdek do pasterki, która przykucnęła na uboczu, jakby nic więcej nie pozostało już do zrobienia.

– Nic mu nie będzie. Jest przerażony, nie wie, co się z nim stało. Za chwilę wróci mu wzrok.

Chłopak zbliżył się do Wzdrengi, na wszelki wypadek trzymając się poza zasięgiem jego muskularnych ramion.

– Poznajesz mnie? To ja – odezwał się łagodnie. – Już dobrze, wyciągnęliśmy cię z gardła tej poczwary.

Wzdrenga zwrócił twarz w stronę głosu, zastygł na moment bez ruchu, a potem zmrużył powieki przed światłem. Nogi znowu ugięły się pod nim, ale tym razem złapał za zwisającą gałąź i zdołał utrzymać równowagę. Sapnął głośniejszym, przeciągnął dłoń po brodzie; zdumiony popatrzył na rudawe kłaki, które zostały mu między palcami.

– Jak długo to trwało? – zapytał słabym jeszcze głosem.

– Pół dnia. – Najdek zerknął na słońce.

– To dobrze... Zęby nie zdążyły wypaść, a włosy odrosną. – Przeciągnął się, aż trzasnęło w barkach, spojrzął na chłopca przytomniej. – Co tu robisz?

– Wzywałeś pomocy... – wyjąkał uczeń pustelnika, niemile dotknięty jego oschłością.

– Wzywałem drwali, nie ciebie.

– W górach nie ma dzisiaj nikogo.

– Głos rogu słyhać nawet w dolinie. Na drugi raz nie pchaj się, gdzie cię nie proszą, bo napytasz sobie biedy.

– Jak możesz tak mówić? Gdyby nie Zoja, która przyniosła zioła, dalej byś tam siedział, bo nikt nie wiedziałby nawet, jak wydobyć cię z tej śmierdzącej dziupli!

– Dziesięciu tęgich drwali poradzi każdemu nieruchawcowi, choćby tłukł naokoło wszystkimi konarami. Lepiej zatroszcz się o siebie, bo ostatnio spędzasz czas w bardzo złym towarzystwie.

Dopiero teraz dotarło do Najdka, że Wzdrenga tylko raz rzucił okiem na Zoję i już więcej nie spojrział w jej stronę. Trzęsąc się z oburzenia, chłopak przysiadł obok pasterki.

– Nie spodziewałem się po nim takiej niewdzięczności! – zamruczał. – Może jeszcze nie doszedł do siebie i sam nie wie, co wygaduje?

Zoja nie wyglądała na zagniewaną. Błądziła nieobecny spojrzeniem po zaroślach, jakby dumiała o czymś całkiem innym.

– Myślałam, że wiesz, jak sprawy stoją – odpowiedziała w końcu cicho. – Dopóki się ze mną zadajesz, w przysiółku drwali nie będziesz mile widzianym gościem.

Wzdrenga nie zwracał już na nich uwagi. Zrzucił koszulę, w której kwas trawienny powyżerał dziury, z grubsza otarł ramiona i pierś ze śluzu, przyklęknął przed Kłysem na jedno kolano i długo przyglądał się jego starczej, straszliwie odmienionej twarzy. Potem wstał nagle, odwrócił się i szybko przebiegł kilkanaście kroków w górę stoku, gdzie urywał się ślad robaka.

– O co mu chodzi? – Zachmurzony Najdek przypatrywał się drwalowi spod oka.

– Nie wystarczy mu, że ocalał. Chce to zakończyć po swojemu.

Wzdrenga rozgarnął ramionami gęste paprocie, odsłaniając duży głąz, obrośnięty z wierzchu kosmatym mchem. Obszedł go dokoła, odrzucając na bok mniejsze kamyczki, aż w końcu znalazł miejsce, gdzie spływająca po

zboczu woda wypłukała ziemię, tworząc pod spodem niewielką szczelinę. Schylił się, wsunął pod głaz palce obu dłoni i stęknąwszy głucho, natężył się z całych sił.

– On tam jest, prawda? – domyślił się Najdek ze zgrozą.

Zoja skinęła głową.

– Wchłonął dużo Łaski, jest syty, musi teraz odpocząć w ukryciu.

Wzdrenga spróbował jeszcze raz; na jego nagich ramionach ukazały się sine pręgi żył, czoło zwilgotniało, ugięte kolana drżały z wysiłku. Głaz poruszył się lekko.

– Trzeba go powstrzymać, będzie nieszczęście! – syknął Najdek.

– Nie martw się. Najedzony żywożer jest bezbronny.

Wzdrenga zamknął oczy, odetchnął parę razy głęboko i napał znowu na głaz, pomagając sobie głośnym okrzykiem. Wydawało się, że nie da rady, osłabiony ostatnimi przeżyciami, ale pragnienie zemsty pozwoliło mu odnaleźć w sobie jeszcze jakąś resztkę sił. Szarpnął potężnie, uniósł krawędź wielkiego kamienia, podparł kolanem i w końcu przewalił z hukiem na drugą stronę. Głaz potoczył się w dół, tratując krzewy, aż zatrzymał się niżej wśród drzew.

Najdek poczuł się tak, jakby w twarz uderzył mu lodowaty podmuch, chociaż gałęzie w lesie nie poruszały się. Buchnął smród niczym z otwartej mogiły, a jednocześnie ponad odsłoniętym skrawkiem nagiej, wilgotnej ziemi uniósł się szary opar, podświetlony od spodu słabym blaskiem Łaski.

Zamroczony wysiłkiem Wzdrenga zatoczył się lekko i odpoczywał przez chwilę pochylony, oparłszy dłonie na kolanach. Potrzęsnał głową, wyprostował się nagle i podniósł wysoko stopę, celując obcasem w środek czarnego kręgu widniejącego w miejscu, w którym wcześniej leżał głaz.

Przez mgnienie oka Najdek widział żywożera.

Stwór był zaskakująco mały, nie większy od dżdżownicy, bezbarwny, półprzezroczysty, lśniący. Środkowa część jego tułowia nabrzmiała od świetlistej kropli zagęszczonej Łaski, która do niedawna była źródłem młodości, krzepy i zdrowia Kłysa. Robak wił się nieporadnie, próbując umknąć z odkrytego miejsca lub zagrzebać się w ziemi, jednak był zbyt ociężały. Wzdrenga rozgniół go butem, dla pewności zakręcił jeszcze piętą.

Łaska rozbliżyła pod podeszwą mocniej i zaraz zgasła. Smród rozwiął się po chwili, szary opar popłynął ponad las.

Jeszcze nim Wzdreęga zrozumiał, że już po wszystkim, gdzieś niżej na zboczu zadudniły ciężkie kroki i niebawem z gęstwiny wychyliły się brodate, czerwone po biegu twarze drwali. Było ich kilkunastu, każdy z siekierą w dłoni. Najdek znał ich wszystkich przynajmniej z widzenia, ale nie ośmielił się przywitać. Oni także zachowali ponure milczenie, dyszeli tylko ciężko i pociągali nosami. Obejrżeli skurczone zwłoki Kłysa, pokiwali głowami nad odcisniętym w czarnej ziemi śladem buta, gdzie migotały grudki śluzu, wreszcie dwóch wzięło pod rękę ślaniającego się Wzdreęgę, a reszta zajęła się wygrzebywaniem pod pochyłą brzoźką płytkiego grobu.

– Chodźmy – szepnęła Zoja Najdkowi do ucha. – Nic tu po nas.

Zdruzgotany chłopak bez oporu pozwolił sprowadzić się na halę. Nie patrzył pod nogi, potykał się często, nie odpowiadał na pytania. Bardzo zaboląła go niewdzięczność Wzdreęgi i jego ostre słowa, lecz jeszcze mocniej uderzyła go zawzięta niechęć, jaką wszyscy drwale jawnie okazywali Zoi. Zaczynał rozmyślać, że jej samotność w górach jest o wiele głębsza, niż dotychczas sądził, i nie kończy się nawet w obecności innych ludzi. Widział przecież, jak skrzętnie górale omijali ją wzrokiem. Żaden nie odezwał się do niej choćby słowem, jakby w ogóle jej tam nie było. Znał Wzdreęgę na tyle dobrze, aby wiedzieć, że spokojny, zwykle życzliwy olbrzym musiał mieć jakiś ważny powód, by tak się zachowywać. Chłopak zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej czy później nadejdzie taka chwila, kiedy on sam stanie przed bardzo trudnym wyborem.

Wilk zaskomlał z cicha na ich widok, trącał nosem pasterkę, jakby chciał się poskarżyć, że tak długo jej nie było. Owce spokojnie skubały trawę. Zoja przygotowała naprędce skromny posiłek, ale Najdek nawet nie sięgnął po łyżkę. Siedział przed szalasek chmurnie zamyślony, żując źdźbła i kręcąc w zatroskaniu głową.

Wstał w końcu, markotnie spojrzął na niskie już słońce.

– Czas na mnie – mruknął. – Mam nadzieję, że wszystkie żywożery pochowały się już pod kamieniami.

Zoja podniosła się także, jakby chciała odprowadzić go na skraj lasu, jak zawsze – jednak nie ruszyła się z miejsca.

– Zostań jeszcze – poprosiła jakoś nieporadnie, spojrzała na niego z ukosa i zaraz opuściła wzrok.

– Niedługo będzie zmierzchać.

– Zanocujesz w szałasie.

Obejrzał się w stronę ścieżki biegnącej pod górę, w rozterce złożył dłonie na kark.

– A pustelnik? Będzie się o mnie martwić.

– Ma swoje gwiazdy, pewnie nawet nie zauważy, że cię nie ma. – Spostrzegła jego wahanie, dorzuciła szybko: – Nie chcę dzisiaj być sama. Proszę, tylko ten jeden raz.

Usiadł z powrotem, wyciągnął nogi i z westchnieniem oparł się o ścianę szałas. Po raz pierwszy Zoja tak otwarcie przyznała mu się do własnej słabości, to musiało ją wiele kosztować.

– Boisz się ich? – zapytał.

– Kogo?

– Drwali.

– Nic mi nie zrobią, nawet gdyby chcieli. – Machnęła lekceważąco ręką. – Jeśli się czegoś boję, to tego, że kiedyś staniesz się taki sam jak oni i nigdy więcej nie spojrzysz mi w oczy.

Milczał długo, patrząc na przesianą przez liście czerwien zachodzącego słońca.

– Coś przede mną ukrywasz – odezwał się w końcu, bez wyrzutu w głosie, po prostu stwierdzając to, czego nie mógł dłużej nie zauważać.

– Tak. – Nie zmieszała się, z lekka tylko poróżwiały jej policzki.

–Dlaczego? Nie ufasz mi?

– Nie o to chodzi. Są rzeczy, o których lepiej nie mówić.

– Ona ci zabroniła?

Drgnęła, jakby tym pytaniem trafił w samo sedno tajemnicy, jednak opanowała się szybko i zaczęła sprzątać po wieczery, na którą żadne z nich nie miało ochoty.

– Kiedyś opowiem ci wszystko, obiecuję, ale jeszcze nie teraz. – Głośno postukiwała miskami, jakby w ten sposób chciała wydać się bardziej stanowcza.

– Kiedy?

– Jak będziesz gotów. Dzisiaj jeszcze nie zrozumiałbyś wielu rzeczy.
– Masz mnie za głupka?
– Nie, ale ciągle jeszcze zachowujesz się jak każdy chłopak z doliny. Trzeba czasu, żeby to zmienić.

– Jeśli myślisz o tym, że pobiegłem na pomoc drwalom, to wcale nie zamierzam tego zmieniać. – Zmarszczył brwi, rozdrażniony tą nieszczerą rozmową, w której żadne z nich nie odsłaniało do końca swoich obaw i uczuć. – To, co słuszne w dolinie, takie samo będzie i tutaj.

Tym razem Zoja spojrzała na niego z wyraźną obawą, ale trwało to tylko przez krótką chwilę. Wstała zaraz, gwizdnęła na psa i poszła zaganiać owce do zagrody.

Wieczór ciemniał, gałęziami targnął chłodniejszy wiatr. Najdek dorzucił do ognia; przeczuwał, że to będzie długa, bezsenna noc.



Pasterka uporała się ze wszystkim dopiero po zmierzchu. Przygotowała w szałasie dodatkowe legowisko, pokręciła się jeszcze trochę, ale ponieważ Najdek nie ruszył się od ognia, bez słowa usiadła na progu, okrywszy ramiona wełnianą chustą.

Tylko nieliczne gwiazdy przeblyskiwały zza chmur, z rzadka pokazywał się błądy sierp księżyca. Zrobiło się chłodno, raz i drugi w trawie zaszeleścił drobny deszczyk, ognisko przygasło i zakopciło mocniej, jednak Najdek nie schronił się pod dach, jakby czekał wytrwale, sam nie wiedząc na co. Czuł, że coś jeszcze musi się wydarzyć, właśnie tej nocy – zbyt wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, a cisza, która zapadła między nimi dwojgiem, wcale nie oznaczała spokoju. Zdawało mu się, że dziewczyna odczuwa to podobnie – i też czeka.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu, gdy z niewesołych rozmyślań wyrwał go jakiś szelest. Podniósł głowę; płomienie łuczyw, pozatykanych na ogrodzeniu, wydobywały z mroku kosmate owcze grzbiety. Wsłuchał się w noc, ale podejrzany odgłos nie powtórzył się; może zwiodły go zmysły, którym tak długo nie dawał odpoczynku.

Nagle cały kierdel stłoczył się w jednym kącie zagrody, pobekiwanie przestraszonych jagniąt ucichło w niespokojnym tupocie. Wyteżył wzrok,

usiłując dostrzec, co się dzieje na skraju lasu po drugiej stronie ogrodzenia, ale widział tylko chwiejne czuby paproci i czarne pnie. Najbliżej rośla wysoka jodła o rozłożystych gałęziach, podświetlonych od spodu blaskiem łuczyw. W upalne dni owce chętnie chroniły się w jej cieniu.

Raptem Najdek zamarł bez ruchu; miał wrażenie, że wokół pnia jodły zawirował rój ciemnych kłaczek. Po chwili zrozumiał, na co patrzy. Mech, który kosmacił się na korze ciemną zielenią, osypywał się teraz po trochu, jakby wyczesywany niewidzialnym grzebieniem. Jakiś ptak krzyknął przenikliwie i wzbił się do lotu, jednak w ciemności nie potrafił wydostać się ponad korony drzew i chwili z furkotem skrzydeł osiadł w podszyciu. Na najniższych konarach jodły pojawił się jakiś biały nalot, jakby szron, i zaczął posuwać się z wolna ku cienkim końcówkom gałęzi. Niebawem na trawę zaczęły spadać szyszki.

– Żywożery! – stęknął Najdek. – Znowu tu są...

– Nie ruszaj się.

Zoja wciąż siedziała na progu, oparta ramieniem o ścianę, jak przedtem, gdy zdawało mu się, że drzemie, ale teraz w jej szeroko otwartych oczach pełgał odblask dziwnej, łagodnej jasności, która unosiła się nad lasem niby zorza.

– Jeden chyba się zbliża! – szepnął zdyszany. – Trzeba coś zrobić...

Jodła obumarła po sam czubek, każdy powiew wiatru rozsiewał dokoła suche igły. U podnóża pnia pochyliły się wielkie paprocie, jakby przytłoczone deszczem, i nie dźwignęły się więcej. Pas szronu pełzał po trawie. Zahaczywszy o narożnik zagrody, wspinał się po odsłoniętym stoku, uciszając granie świerszczy.

– Nie skręci do nas, jeśli się nie poruszysz. – Zoja nie odgarnęła włosów, które opadły jej na twarz. – Ale jeśli staniesz mu na drodze, będzie po tobie.

– Przecież wczoraj mówiłaś, że kiedy są najedzone, siedzą w ukryciu...

– Wiem, co mówiłam! – przerwała mu ostro; wskazała wyciągniętym ramieniem dogasające z wolna ponad drzewami pasma zorzy. – Uwolniły to, co wyssały wczoraj, żeby napchać się od nowa.

– Dlaczego?

– Wywabiło ich z kryjówek coś, czego nie wyczuły za dnia. Nie bój się, nie poślakomiją się na nas, byle dać im spokój.

Nieco dalej od miejsca, gdzie wypelzał na polanę robak, stara lipa z cichym szmerem zaczęła gubić liście; tysiące owadzych skrzydełek zamigotały w słabym świetle, gasnąc po chwili na ziemi.

– Jest następny! – Najdek bał się unieść rękę, wskazał kierunek samym spojrzeniem. – I obok jeszcze jeden.

Zoja długo nie odpowiadała. Jeszcze kilkanaście robaków przepelzło w pobliżu szałas, pozostawiając na hali równoległe, jaśniejsze smugi żółkłej trawy. Dopiero gdy w głębi lasu ucichły suche trzaski umierających drzew, przyciągnęła do siebie zdrętwiałe nogi i zrzuciła z pleców mokrą od mżawki chustę.

– Już po wszystkim – powiedziała półgłosem. – Nie wróca.

Najdek wstał powoli, ale nie śmiał jeszcze odejść od szałas; ostatni z robaków minął go ledwie o parę kroków.

– Wszystkie pchają się w tę samą stronę, pod górę... – Nagle fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy i cofnęła się, pozostawiając szumiącą pustkę. – Nauczyciel!

Łudził się jeszcze, że Zoja zaprzeczy, ale odpowiedziała spokojnie, jakby rozmowa dotyczyła jakiegoś zjawiska przyrodniczego, na które nikt nie ma wpływu:

– Kiedy wyszedł wieczorem na skałę, przyćmił wszystkie inne postacie Łaski, podobnie jak słońce gasi gwiazdy. Pewnie na dodatek kogoś uzdrowił, a niebiańska Łaska dopiero w działaniu objawia pełnię czystości i mocy. Żywożery nie mogą się jej oprzeć.

– Muszę go ostrzec!

– To nic nie da. Teraz już nie ukryje się przed nimi, nie pomogą żadne sztuczki z nieruchawcem. Tylko w Niebiosach byłby bezpieczny.

– Co mu grozi?

– Pojedynczy robak nie wyrządziłby mu żadnej szkody, po prostu opiłby się Łaską i odpadł. Stary pewnie nawet nie zauważyłby tego, tak jak ty nie zwracasz uwagi na komara. Nawet dziesięciu nie musiałby się obawiać. Ale ich wylazło dużo więcej, całe setki... Będą chleptać tak długo, aż wysą wszystko. Wtedy pustelnik poczuje w sobie pustkę, która jest przedsmakiem Otchłani... – Przerwała na chwilę, westchnęła. – Otrzymał zbyt wiele, nie na ludzką miarę. To musiało się tak skończyć.

– Wiedziałaś o tym od samego początku! Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

Nie próbowała żadnych wykrętów, nie odwróciła wzroku.

– Nic nie mógłbyś zmienić. Gdyby nawet pustelnik odszedł stąd, żywożery odnalazłyby go wszędzie. Lepiej, że dopadną go tutaj, w górach, z dala od ludzi, bo poza tamtym drwalem, którego znaleźliśmy wczoraj, nikomu więcej nie stanie się krzywda.

Najdek wierzył, że pasterka mówi prawdę. Przygasł w nim gniew, uznał słusność tego rozumowania, jednak nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby pozostać w szałasie i bezpiecznie doczekać świtu.

– Idę do niego... – szepnął.

– Nie słuchasz, co mówię? Nie można mu pomóc.

– Przynajmniej nie będzie sam.

Przyskoczyła z wyciągniętymi rękami, jakby zamierzała podrapać go po twarzy, ale zaraz ramiona opadły jej bezsilnie, a oczy zwilgotniały od łez.

– Dlaczego wszystko utrudniasz? – zapytała łamiącym się głosem. – Myślałam, że... Chciałam... To wszystko miało być inaczej.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Było mu żal jej i siebie. Czuł, że lada chwila rozplacze się jak małe dziecko, więc odwrócił się szybko i pobiegł pod górę, potykając się w ciemnościach i ślizgając na mokrej trawie. Gdyby go dogoniła i zatrzymała, gdyby choć krzyknęła za nim, chyba nie znalazłby w sobie dość odwagi, żeby uciec. Ale nie zrobiła tego, jakby w końcu i ona zrozumiała, że jeśli pomoże mu stchórzyć, Najdek nigdy jej tego nie wybaczy.



Dotarł pod szczyt na długo przed świtem; ciemne niebo zdawało się wisieć niżej niż zwykle, w szczelinie między chmurami pełgała zielonkawa poświata księżyca. Kolana mu drżały, w ustach miał sucho, każde uderzenie serca czuł aż pod paznokciami. Tutaj, na kamienistym, nagim zboczu nie mógł już rozpoznać, któredy przeszły robaki, ale miał wrażenie, że skała ziębi mu stopy poprzez grube podeszwy. Dostrzegł krowę. Leżała na boku, z wyprężonymi nogami i zapadniętym brzuchem; każdy podmuch wiatru

wyczesywał z niej włosie, odsłaniając rozpiętą na rusztowaniu żeber nagą jasną skórę.

Coś złego wisiało w powietrzu, jakby niedostrzegalny opar, który osadzał się na języku obrzydliwym posmakiem cuchnącego szlamu.

Pustelnik kuczał na swoim zwykłym miejscu. Z daleka mogło się wydawać, że na wysokiej skale nie mogło go osiągnąć żadne niebezpieczeństwo; dopiero gdy chłopak podszedł bliżej, zobaczył, że starzec nie spogląda już w niebo, lecz opuścił brodę na piersi, jakby znużony albo smutny. Zwolnił kroku; podobnie jak to bywa czasem w złych snach, przeczuwał, że cokolwiek zrobi, nie uniknie najgorszego. Groza gęstniała wokół niego, niespotykany o tej porze roku ziąb szczypał w uszy, płytki oddech ulatniał się mgiełką.

Musiał osuszyć rękawem załzawione oczy; gdy spojrział znowu na pustelnika, zauważył, że wiele robaków przyssało się już do jego zwieszanej głowy, tworząc wokół niej żywy, drgający wieniec. Niektóre z nich, nabrzmiałe Łaską i rozświecone od środka, zwisały z czoła i skroni, a potem odpadały niczym przejrzałe owoce, staczały się ze skały i ociężałe szukały schronienia między kamieniami – jednak na ich miejsce pchały się następne, wpełzały po plecach i ramionach pustelnika, cmokając łakomie przyssawkami, wplątywały się w jego długie włosy. Niebiańska Łaska, która dawniej opromieniała jego siwiznę równym blaskiem, teraz migotała niespokojnie; pod zamkniętymi powiekami poruszały się szybko gałki oczne. Czasem starzec wstrząsał się, jęczał, podnosił rękę, jakby chciał zerwać z siebie to plugastwo, ale jego dłoń zaraz opadała bezwładnie. Robaki wiły się wszędzie wokół niego, pobudzone bliskością żeru spychały się nawzajem ze skały, walcząc o pierwszeństwo.

Najdek zrobił jeszcze krok, drugi; nagle doznał wrażenia, że kamienie pod jego nogami ożyły, poruszając się na wszystkie strony. Stracił równowagę, całym ciężarem upadł na plecy. Natychmiast poczuł na sobie setki robaków, które cichym szmerem ogarnęły jego brzuch i piersi. Chciał zerwać się i strząsnąć je z siebie, ale nie zdążył; coś połaskotało go w szyję i zaraz potem boleśnie ukłuło. Natychmiast zaczęły rozchodzić się z tego miejsca po całym ciele fale ciepła, pozostawiając uczucie odrętwienia. Wierzgnął

jeszcze nogami, zarzucił głowę, lecz stopniowo tracił panowanie nad własnym ciałem.

Pomyślał, że to koniec, jednak żaden z żywożerów nie przyssał mu się do skroni. Unieruchomiły go tylko i pozostawiły, oślezione bliską pozogą niebiańskiej Łaski.

Nie mógł już nic zrobić, nawet opuścić powiek ani poruszyć żrenicami; musiał patrzeć w niebo, gdzie wciąż kotłowały się czarne chmurzyska. Słyszał świstliwy oddech pustelnika, miękkie pacnięcia opitych Łaską robaków i nieustanny chrobot setek innych, które parły pod górę, aby nasycić się światłością Niebios.

Wydawało mu się, że leżał tak długo, bardzo długo. Pozornie niewyczerpane źródło Łaski, które biło w pokornej duszy pustelnika, zaczęło wreszcie wysychać; ostatnie z robaków, rozdęte, z przeświecającymi wnętrznościami, poodpadały i pochowały się w szczelinach. Zrobiło się ciemniej i zimniej, w załomach skalnych zaświszczał wiatr.

Najdek wiedział, że zawiódł zaufanie Mistrza, nie ustrzegł pustelnika. Nie liczył już na nic, nawet na to, że kiedyś w końcu wstanie Słońce. Mróz przeniknął go do kości. Nie odróżniał już nocnego nieba od pustki Otchłani, w której musiał zagasnąć także drżący płomyk jego własnej Łaski.

I wtedy nagle usłyszał głos – bezdźwięczny, szeleszczący, poświszliwy, tłumiony chwilami przez wiatr. Nie mógł zrozumieć słów; to chyba była jakaś obca mowa o rwanym rytmie, jednak miał wrażenie, że chropawe dźwięki układają się w jednostajny zaśpiew, który unosi się i opada, bez wyraźnych przerw na głębszy oddech.

Wstrzyknięta przez robaka trucizna chyba już przestała działać; udało mu się poruszyć głową i spojrzeć w bok.

Niedaleko od miejsca, gdzie leżał, na pocętkowanym białymi plamkami porostów głazie stała jakaś drobna postać, odziana w łopocące na wietrze łachmany, garbata, z jednym ramieniem wyższym od drugiego, wsparta na kiju czy kosturze. Choć nie mógł dostrzec twarzy ani żadnych szczegółów, roztrzęsiona głowa, zbyt pękata w stosunku do reszty ciała, i ten niepokojący, czasem podobny do suchego kaszlu głos zdradzały zgrzybiałą starość.

Spróbował wstać, ale na to był jeszcze zbyt słaby, zdołał tylko obrócić się w tamtą stronę i podeprzeć łokciem. Strzępy porozrywanej wiatrem mgły przelatywały nad Rogaczem niczym spłoszone cienie, słaby blask księżyca wydobywał z mroku jedynie mokre grzbiety skał.

Naraz owionął go czarny, lodowaty wichur, przytłoczył do ziemi, zawładnął nim całkowicie. Musiał poddać się jego falowaniu, zrównać z nim oddech, nawet bicie serca. Szum rozbrzmiewał teraz jakby wprost w jego głowie, nie dawał się niczym zagłuszyć, przebiegał dreszczem przez całe ciało. Miał okropne wrażenie, że jakaś obca siła wtargnęła w głąb jego umysłu, docierając w najtajniejsze zakamarki, nawet tam, gdzie zwykle spycha się to wszystko, o czym chciałoby się zapomnieć. Znalazł się całkowicie we władaniu cudzej woli, niezdolny do oporu, zmuszony wypełnić każdy jej nakaz.

Opadł z powrotem na plecy, jakby na samo dno lodowatej ciemności. Przez rozchylone usta wypuścił mały obłoczek, z trudem nabrał powietrza i natychmiast zrozumiał, że razem z następnym wydechem uleci z niego także płomyczek przyrodzonej Łaski. Nie potrafił temu zapobiec, mógł tylko odwlec to jeszcze odrobinę, niedługo, dopóki ostatnia świadoma myśl nie zagubi się w pustce.

Raptem zły wichur przetoczył się i ucichł. Cała groza spłynęła z Najdka niczym brudna woda. Odetchnął łapczywie, krztusząc się jak odratowany topielec, usiadł i podniósł dłonie do twarzy, chcąc zetrzeć z oczu pajęczynę mroku. Usłyszał grzechot kamieni. Gdy rozejrzał się przytomniej, zobaczył, że odłamki skał drżą lekko, a uwolniona niebiańska Łaska unosi się nad całym zboczem, podobna do świetlistego oparu. W szczelinach i zagłębieniach wiły się jeszcze robaki, znowu cieniutkie i bezbarwne, lecz pełzały coraz słabiej; wreszcie kamienie przestały postukiwać o siebie i nastąpiła cisza.

Głaz, na którym przedtem widział garbatą postać, był pusty. Daleko na wschodzie, między dolną krawędzią ciemnej pokrywy chmur a zamgloną równiną, zaczynał już z wolna szarzyć wąski pas czystego nieba.



Długo szukał starca, nawołując pośród skalnych zwalisk. Noc była zimna, siąpił drobny deszcz, księżyc nie pokazał się zza chmur. Musiał stąpać bardzo ostrożnie, aby nie skrzywić nogi na mokrych kamieniach. Starał się nie deptać dogorywających żywożerów, które połyskiwały blado w ciemnościach.

Dostrzegł w końcu słabą aurę Łaski, dużo poniżej wierzchołka Rogacza. Pustelnik leżał skulony pod pochyłym głazem, objąwszy głowę ramionami. Nie mógł stoczyć się tak daleko ze swojej skały; zapewne próbował uciekać, ale zabrakło mu sił.

– Nauczycielu... – Chłopak pochylił się nad nim, tłumiąc szloch. – Wstań, wracajmy do pieczary.

Starzec drżał na całym ciele, jego płytki oddech przerywały ciche jęki. Resztką Łaski, której robaki nie zdążyły go pozbawić, nie mogła rozgrzać jego wychudzonego ciała. Gdy Najdek chwycił go za ramię, wzdrygnął się, jakby dotknięcie sprawiło mu ból.

– Nauczycielu! Już wszystko dobrze.

Pustelnik ukrył twarz w dłoniach niczym przestraszone dziecko. Był jak zaszczute zwierzę osłabłe z trwogi; Najdek nie wiedział nawet, czy docierały do niego słowa. Deszcz padał coraz mocniej, więc chłopak niemal siłą zaciągnął swojego nauczyciela do jaskini i ułożył na swoim własnym legowisku, okrywając baranicą, którą podarowała mu niegdyś Zoja. Wlał między jego zsiniałe wargi parę kropel mleka, które pozostało na dnie cebrzyka, lecz stary zakrzuszył się tak gwałtownie, że nie próbował tego więcej; usiadł tylko przy legowisku na piętach i zwiesił głowę, zatrwożony, bezradny i bardzo samotny. Nie rozumiał, co się stało, i bał się nawet o tym myśleć. Czuł, że ta niemoc starca różni się bardzo od wszystkich jego poprzednich zasłabnięć, które powalały go raz na jakiś czas po znacznie większym ubytku Łaski. Tym razem zaniemogło nie tylko ciało, coś złego stało się z jego niezłomnym dotąd duchem. Nie był sobą, świątobliwy mąż przemienił się w godnego litości nędzarza.

Na zewnątrz poszarzało, u wejścia do pieczary kipiały pod ulewą kałuże. Zesztywniały z zimna, otepiały po bezsennej nocy Najdek czuwał wytrwale. Obawiał się, że jeśli choć na chwilę przymknie oczy, wydarzy się coś bardzo złego. Pustelnik ucichł, przestał jęczeć, leżał na wznak, oddychał równiej.

Mogło się wydawać, że śpi, ale pod opuszczonymi powiekami od czasu do czasu niespokojnie poruszały się oczy, a gdy Najdek rozprostowywał zdrętwiałe nogi, natychmiast zwracał w tę stronę twarz i nasłuchiwał w napięciu. Po kilku nieudanych próbach nawiązania rozmowy chłopak także zamilkł; miał wrażenie, że starzec nie rozpoznaje jego głosu.

Siedział tak długo, że stracił poczucie czasu. Na zewnątrz panował niezmienny półmrok, deszcz niekiedy przycichał, ale zaraz potem znowu szumiał głośnie. Spływająca po zboczu woda bełkotała między kamieniami, czasem z rumorem obsuwały się w przepaść podmyte głązy. Pustelnik podnosił się wtedy na łokciach, łapiąc oddech przez otwarte usta; strach tak bardzo zniekształcał rysy jego twarzy, że Najdek odwracał wzrok, aby tego nie widzieć.

Zupełnie niespodziewanie – był już chyba wieczór, w głębi pieczary wzbierał nieprzenikniony mrok – starzec szybkim, owadzym ruchem złapał chłopca za rękę i ścisnął bardzo mocno. Pomimo bólu Najdek nie śmiał się poruszyć. Przeczynał, że w pustelniku nastąpiło jakieś przesilenie, na dobre albo na złe.

– Dziś w nocy nad Rogaczem przeszedł anioł śmierci – odezwał się tamten z wysiłkiem. – Słyszałem łopot jego czarnych skrzydeł.

Chłopak z trudem przełknął ślinę, odetchnął głęboko, aby zapanować nad drżeniem głosu.

– Nie martw się, nauczycielu, już po wszystkim!

– Ktoś musiał go wezwać. Czy widziałeś tutaj czarownicę?

– Chyba... – zająknął się. – Chyba tak. Wydaje mi się, że sprowadziła demona, żeby wygubił żywożery. Pewnie poprosiła ją o to Zoja. Bała się o mnie.

– Musisz stąd odejść, natychmiast... Grozi ci wielkie niebezpieczeństwo, a ja jestem bezsilny.

– Nie zostawię cię samego.

– Nic nie rozumiesz! – Stary niecierpliwie poruszył wąsami. – Mnie już nie ma. To koniec.

– Wyzdrowiejesz... – Głos Najdka nie zabrzmiał już tak pewnie. – Musisz wyzdrowieć.

– Słuchaj, słuchaj mnie!... Utraciłem wiele Łaski, nie dopilnowałem jej, pozwoliłem, żeby rozproszyła się bez pożytku. Ale tego, co zostało, nie wolno zmarnować, inaczej moja dusza nigdy nie odpocznie, zawsze już będzie błąkać się gdzieś na granicy ciemności i światła.

– Co mam zrobić, nauczycielu?

– Jesteś moim uczniem, tylko tobie mogę zawierzyć. Przeczytaj, co napisałem w jaskini, wtedy wszystko zrozumiesz. – Zachrypił, przerwał na dłuższą chwilę, zbierając siły. – Strzeż Łaski, synku. Nie pozwól jej zbezczęścić. Uchron ją przed tymi, którzy nie mają do niej prawa! Uchron... albo... moja dusza...

Uścisk jego spotniałej dłoni zelżał, głowa zapadła się głębiej w posłanie. Powieki rozchyliły się lekko – ten jeden jedyny raz – a wtedy spod wilgotnych rzęs trysnęła jasność najczystszej Łaski. Trwało to tylko mgnienie oka, blask zaraz przygasł i jakby spłynął w głąb źrenic. W pieczarze pomroczało, gdy nimb pełgający wokół skroni starca zniknął niczym zdmuchnięty płomyk.

Najdek poczuł, jak z żołądka po całym ciele rozlewa mu się chłód. Długo siedział bez ruchu, nie ocierając łez, które powolutku ściekały po policzkach. Potem wyciągnął rękę i delikatnie zamknął powieki pustelnika. Były jeszcze ciepłe.

Z łuczywem w drżącej dłoni wszedł do ciemnej komory jaskini.

Wstrząśnięty, spłakany, bezradny, patrzył na gładką, pustą ścianę, gdzie nie pozostał najmniejszy choćby ślad daremnej pracy nauczyciela.

5

Człapał w ciemnościach w dół zbocza. Nie mógł czekać do rana, przerażała go myśl o nocy spędzonej na samotnym czuwaniu przy zmarłym. Choć nie znał przecież pustelnika zbyt długo, miał poczucie utraty kogoś bliskiego. Wiedział, że nikt nie uwolni go od przytłaczającego smutku, ale nie chciał być sam.

Ulewa zmyła zbocza, splukała smród żywożerów, lecz wędrownka w ciszy martwego, bezlistnego lasu potęgowała przygnębienie. Najdek pomyślał, że tak właśnie wyglądałby cały Rogacz i okolice, gdyby pustelnik nie pomógł niegdyś aniołowi wrócić do Niebios – przekłeta, jałowa pustynia, od której ludzie musieliby trzymać się z daleka. Teraz mimo wszystko nie było tak źle. Łaska już niebawem zacznie przesiąkać powolutku na spustoszone obszary razem z ciepłem Słońca, w każdej kropli czystej deszczówki, w nasionach roślin przyniesionych przez wiatr. Za parę miesięcy na pewno znów zrobi się tutaj zielono.

Ta refleksja pokrzepiła go nieco na duchu, mógł spokojniej zastanowić się nad najbliższą przyszłością. Przede wszystkim musiał powiadomić klasztor o śmierci pustelnika, aby wyprawiono mu godny pogrzeb, na jaki zasłużył. Wątpił, czy jemu samemu Mistrz zezwoli na pozostanie w górach; nie miał przecież już tutaj nic do roboty. Ze ściśniętym sercem uświadomił sobie, że klęska nauczyciela oznaczała także koniec jego własnych marzeń. Spotkanie z Zoją, którą miał nadzieję zobaczyć schodząc w dolinę, będzie zarazem pożegnaniem.

Słaniając się ze zmęczenia, ogłuszony rozpaczą, dotarł do pastwiska. Pod stopami zaszeleściła uschła trawa, ale gdzieś z dołu odezwał się puchacz – to był pierwszy tej nocy odgłos żywego stworzenia. Najdek przeszedł jeszcze kilka kroków, zwolnił, a potem zatrzymał się.

Zagroda była otwarta i pusta, na płocie nie płonęło ani jedno łuczywo. Coś musiało się tutaj wydarzyć, coś bardzo złego, skoro Zoja tym razem nie zatroszczyła się o kierdel. Najdek na miękkich nogach dobrnął do szafasu,

zajrzał do środka – było ciemno i cicho, na wygasłym palenisku ani odrobiny żaru. Odwrócił się gwałtownie, gdy coś zaszeleściło w krzakach na skraju lasu; zaraz potem usłyszał cichutkie brzęknięcie dzwonka.

Znalazł wystraszone jagnię, wtulone w zagłębienie między korzeniami dużego drzewa. Pobekiwało żałośnie, gdy rozczesywał palcami miękką wełnę na jego grzbiecie.

– Gdzie Zoja? – zapytał szeptem. – Dlaczego zostawiła cię samego?

Z boku dobiegło stłumione warknięcie.

– Wilk! To ja, znasz mnie przecież.

Pies wystawił pysk z zarośli i zbliżył się nieufnie. W świetle wschodzącego księżycy chłopak zauważył, że ma zabłoconą, skudloną sierść i rozszarpane ucho.

– Gdzie twoja pani?

Wilk zaskomlał, poruszył niemrawo ogonem, ostrożnie dotknął wilgotnym nosem wyciągniętej ręki Najdka.

– Dalej, prowadź!

Pies zakręcił się w miejscu, a potem z nosem przy ziemi potruchtał w las, utykając wyraźnie na prawą tylną łapę.



Skalna szczelina parowała lekko w poświacie księżycy, z czeluści wydobywała się woń pleśni i nietoperzych odchodów. Jaskinia szumiała niczym gigantyczna muszla.

To było ostatnie miejsce, do którego chciałby tej nocy trafić, jednak gdzieś w głębi ducha spodziewał się, że Wilk przyprowadzi go właśnie tutaj. Czarownica nie pojawiła się przecież wczoraj na szczycie Rogacza przypadkiem, ktoś musiał ją o to poprosić. I to nie ze względu na pustelnika, ale na niego samego.

Wilk zaszczekał znad krawędzi rozpadliny, lecz gdy z dołu powróciło zwiłokrotnione echo, podkulił ogon. Znać było po nim, że boi się nie mniej od chłopca i gdyby nie chodziło o Zoję, zapewne nawet by się tutaj nie zbliżył.

– Dobrze psisko, pani będzie z ciebie dumna. – Położył się obok na brzuchu i chwilę przyłożył policzek do ciepłej szyi Wilka. – Mam nadzieję, że nie

będziemy musieli tam włązić.

Podniósł nieduży kamień i cisnął w głąb jaskini; długo, bardzo długo czekał na daleki odgłos upadku. Echo zadudniło w ciemnościach i umilkło, nie wydarzyło się nic więcej.

– Jeśli tam jest, powinna usłyszeć...

Odchrząknął niepewnie i zawołał niezbyt głośno:

– Hop, hoop! Odezwij się, Zoja! Musimy porozmawiać.

Znowu cisza, tylko ten jednostajny, niepokojący szum.

– Wychodź, nie ma czasu na fochy! – Wychylił się dalej poza skalny próg.

– Wszystko możemy sobie wyjaśnić, zresztą już się na ciebie nie gniewam. Czekał tu z Wilkiem.

Zerknął w bok i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że pies umknął cichaczem. Chciał na niego zagwizdać, ale w tej samej chwili kątem oka dostrzegł, że pośrodku rozpadliny ciemność zgęstniała w czarniejszą od nocy, nieruchomą plamę. Z szumu jaskini wydobyło się miarowe poświstywanie oddechu.

– Nie krzycz, chłopcze. – Usłyszał z bliska szeptliwe, bezdźwięczne słowa.

– My tutaj nie lubimy hałasu, ani ja, ani moje pijawce.

Musiał wyteńczyć całą siłę woli, aby nie rzucić się do ucieczki; ścierpła na nim skóra, krew załomotała w skroniach. Upłynęła dłuższa chwila, nim zdołał opanować się na tyle, żeby wykrztusić zająkliwe:

– Nie chciałem przeszkadzać... Przyszedłem po Zoję.

Czarna plama poruszyła się lekko, bez żadnego szmeru.

– Zapomnij o niej. Zostanie tutaj.

– Ale ona nie może!... Musi pilnować owiec.

– Owce rozpierzchły się po lesie, pewne pozagryzały je wilki. Na pastwisku nie ma już nic do roboty.

– Chcę się z nią zobaczyć.

– Nie możesz. Zresztą zbyt długo już zawracasz jej głowę. Przy tobie prawie zapomniała o swoim prawdziwym przeznaczeniu. Zostanie ze mną, a kiedy ja odejdę, zastąpi mnie.

Najdek nagle zrozumiał, że nie będzie pożegnalnego spotkania; nie wyjaśni już sobie z Zoją niczego, rzucone w rozzaleniu słowa pozostaną ostatnimi. Pośród tyłu ciosów, które spadły na niego w krótkim czasie, ten

okazał się najdotkliwszy, najpierw ogłuszył go żalem, a zaraz potem rozbudził wściekłość, która zerwała pęta strachu.

– Nie pozwolę ci jej więzić, stara jędo! – krzyknął roztrzęsiony. – Nie zrobisz z niej czarownicy! Opowiem wszystko Mistrzowi, żołnierze złapią cię i zamkną w lochu.

Zakasłała nieprzyjemnym śmiechem.

– Podoba mi się twoja zapalczywość, chłopcze. Niewielu było takich, którzy wymachiwali mi przed nosem pięścią. – Zadyszała się, odpoczywała przez chwilę, potem dokończyła spokojniej: – Gdyby twój Mistrz mógł pozbyć się mnie stąd, zrobiłby to już dawno temu. Ale nie może. Jestem mu potrzebna, jak i wam wszystkim. Tylko ja potrafię trzymać demony na uwięzi. Beze mnie tam, w dole, nie żyłoby się wam tak spokojnie.

– Wypuść Zoję!

– Nie uwięziłam jej, jest tutaj z własnej woli. Zostanie czarownicą, bo tego chce.

– Nie uwierzę, jeśli sama mi tego nie powie...

– Nie chce cię widzieć, a i ja uważam, że tak będzie lepiej. Wy dwoje nigdy nie powinniście byli się spotkać. Nie możesz dzielić jej przeznaczenia. Ona ma przed sobą długie życie, twoje będzie ledwie mgnieniem. Ją czeka potęga, ciebie tułaczka. Z nią liczyć się będzie każdy człowiek i każdy demon, na ciebie nikt nawet nie spojrzy. Dlaczego uważasz, że powinna wyrzec się tego wszystkiego dla ciebie? Co jest w tobie takiego wyjątkowego? – Czekala przez chwilę na odpowiedź, a kiedy Najdek milczał, parsknęła z cicha: – Odejdź i nie wracaj tu już nigdy.

Czarna plama rozmyła się w czeluściach jaskini. Najdek oparł czoło na chłodnym kamieniu; miał wrażenie, że zalewają go fale smutku, tłumiąc wszelkie inne uczucia.



Sam nie wiedział, kiedy dowlóknął się do szafasu i padł na rozgrzebane legowisko. Nie myślał już o tym, żeby biec do klasztoru, nie widział właściwie powodu, aby robić cokolwiek. Chociaż odczuwał wielkie znużenie, sen nie przychodził. Leżał z zamkniętymi oczami i marzył o tym,

żeby nigdy nie zrobiło się jasno, a on sam mógł pozostać tutaj na zawsze i trwać w bezruchu.

A jednak musiał usnąć na parę godzin, bo gdy poczuł szarpnięcie za ramię, otworzył oczy i dostrzegł wpadające przez szpary między belkami ukośne smugi światła. Z początku nie wiedział, gdzie jest i co się stało, ale to błogosławione zapomnienie trwało ledwie przez parę chwil, do kolejnego mocnego szturchańca.

– Wstawaj, mały, nie ma czasu!

Mrugając powiekami, patrzył na rozlaną twarz Cabaja. Zatrważające wspomnienia ostatnich dni i nocy osaczyły go z bezlitosną zajadłością; nie potrafił ucieszyć się ani nawet zdumieć widokiem odźwiernego.

– Wyglądasz, jakbyś tańczył ze wszystkimi demonami Otchłani – zamruczał tamten po swojemu i usiadł na pniaku, wyciągając przed siebie drewnianą nogę. – Zdrowy jesteś?

– Chyba... Chyba tak. – Chłopak z trudem poruszył spieczonymi wargami.

– To dobrze, przed nami daleka droga.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Byle jak najdalej stąd. – Cabaj zajrzał do dzbanka z obtłuczonym uchem, na dnie zachlupotała resztką zsiadłego mleka; umoczył wąsy, podał dzbanek Najdkowi.

Chłopak wypił do końca, oblizał wargi, a potem na chwilę zamknął oczy, jakby chciał rozpocząć tę pobudkę od nowa.

– Co tu robisz? – zapytał nieco trzeźwiej.

– Mnie też miło cię widzieć. – Odźwierny uśmiechnął się cierpko jednym kącikiem warg. – Tym bardziej że błędę po tym przeklętym lesie przez całą noc, mało kulasa nie zgubiłem. Raz prawie wlałem do ogniska strażników, ale na szczęście byli pijani i wzięli mnie za dzika.

– Ale... po co przyszedłeś?

– Bo cię lubię, chociaż jesteś uparty jak osioł i nie słuchasz starszych. Zbieraj się, pogadamy w drodze.

– Muszę iść do klasztoru! Stało się coś strasznego... Nauczyciel nie żyje.

– Jesteś pewien?

– Byłem tam.

– Tym gorzej. Mistrz odczeka jeszcze dzień albo dwa, żeby mieć pewność, że tutaj jest już bezpiecznie, a potem wyśle do pustelni strażników. Do tego czasu musisz zniknąć.

– Dlaczego?

– Bo jeśli wpadniesz w ich łapy, naciągną ci na głowę pokutniczy kaptur i wywożą gdzieś daleko, do któregoś z zamkniętych klasztorów o najsurowszej regule. Nigdy stamtąd nie wyjdiesz. Do końca życia nie będziesz mógł z nikim porozmawiać, a świata zobaczysz tylko tyle, ile widać przez otwór u furty.

Najdek pobladł ze zgrozy. Słyszał już dawniej o takich miejscach odosobnienia, pobudowanych z dala od ludzkich siedzib, gdzie dobrowolnie trafiali tylko najświętobliwsi z mnichów, a także ci, którzy zasłużyli na ciężką pokutę.

– Nie zrobiłem nic złego!

– To nieważne. Za dużo widziałeś, za dużo wiesz. Dla Mistrza najwygodniej będzie, jeśli znikniesz. Spełniłeś swoje zadanie, nie jesteś już potrzebny.

– O czym ty mówisz? Jakie zadanie?

– Posłuchaj, mały. Nie umiem biegać po górach jak kozica, więc jeśli mamy uciec, powinniśmy już wyruszyć. Będzie jeszcze dużo czasu na pogaduchy.

Najdek potrząsnął głową. Czuł się tak, jakby jakiś złowrogi wir porwał go i nieuchronnie wciągał w głębię. Jeśli istniała jakaś przyczyna tych wszystkich nieszczęść, które spadały na niego jedno po drugim, chciał ją poznać, i to natychmiast, bez względu na cenę.

– Nigdzie nie pójdę, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

Cabaj spochmurniał, wyrżał na zewnątrz.

– Dobra. – Wzruszył po chwili ramionami, jakby liczył się z takim obrotem spraw. – Myślałem, że po tylu latach znajomości zasługuję na więcej zaufania, ale niech będzie. – Wydobył fajkę, zastanowił się, od czego zacząć. – Pamiętasz, jak opuszczałeś klasztor? Byłeś zachwycony, ale mnie już wtedy nie podobało się wiele rzeczy. Nie wierzyłem, że Mistrz wysłał cię na Rogacza dla dobra pustelnika ani tym bardziej twojego. Od początku domyślałem się, że chce ukraść staremu Łaskę.

- Nie pomógłbym mu w czymś takim!
 - Uspokój się. Przecież nie mówię, że jesteś złodziejem. Ty miałeś tylko zostać jego uczniem i dowiedzieć się jak najwięcej o mocy Łaski i o tym, jak się nią posługiwać.
 - Mógł przecież wysłać kogoś innego, choćby któregoś mnicha!
 - To musiał być ktoś, w kim nie ma wyrachowania ani fałszywej ambicji, bo pustelnik przejrziałby każdą nieszczerłość. Ty nadawałeś się do tego najlepiej.
 - Chyba jednak nie za bardzo... Nauczyłem się biegle doić krowę, ale nic poza tym.
 - Może to i dobrze, bo, jak mawiają ludzie, nauka pustelnika mocno różni się od tej, którą wykładają w klasztorze, a z taką wiedzą trzeba uważać.
 - On nie wykladał. Rozmawiał ze mną po prostu czasem, to wszystko.
 - Na pewno zostawił ci gdzieś swoje zapiski.
 - Przynajmniej próbował, ale nic z tego nie wyszło, bo pisał wodą na skale.
 - Zaskoczony chłopak uniósł brwi; dopiero teraz zaczął dopuszczać możliwość, że kuternoga nie wymyślił sobie tego wszystkiego tylko po to, aby skłonić go do ucieczki. – Kto ci o tym powiedział?
 - Nikt. Wystarczy wiedzieć, że taka właśnie jest natura mądrości, która pochodzi z Łaski. Chce owocować, domaga się, aby udzielać jej innym.
- Najdek przyjrzał mu się uważniej.
- Sam teraz mówisz jak mędrzec...
 - Nie przesadzaj. – Cabaj skromnie spuścił oczy, ale widać było, że ta uwaga wprowadziła go w lepszy humor. – Po prostu po twoim odejściu zacząłem zgłębiać te sprawy. Poprosiłem o pomoc jednego z uczniów, który ma u mnie dług wdzięczności, bo kilka razy nocą otwierałem mu furkę, kiedy po kryjomu wracał ze wsi od jakiejś dzierlatki. W tajemnicy przed Mistrzem przejrział dla mnie kilka zwojów, gdzie spisano wszystko, co wiadomo o niebiańskiej Łasce.
 - I czego się dowiedziałeś?
 - Na przykład tego, że dawniej zdarzały się już podobne wypadki jak ten na Rogaczu. Byli ludzie, którzy stawiali twarzą w twarz z aniołami. Wszyscy oni zachowywali się potem mniej więcej tak samo jak twój znajomy. Żyli świątobliwie, uzdrawiali i nauczali. Mówili, że darmo otrzymali wielki dar i

darmo muszą go rozdać. A potem, kiedy wyczerpywała się Łaska, po prostu umierali. – Potrząsnął głową. – Od początku miałem przecucie, że tutaj będzie inaczej. Znam Mistrza od dawna. Są ludzie, którzy pragną bogactw, władzy, sławy albo kobiet, a on pragnie tylko wiedzy. Za cenne zwoje zawsze płacił lepiej niż za bursztyn. Wyobrażam sobie, jaką musiał odczuwać pokusę, żeby uszczknąć coś z mądrości aniołów.

– Nie rozumiem...

– Łaskę można wykorzystać na różne sposoby. Kto się nie boi i wie, jak to robić, może podpatrzeć nawet niektóre tajemnice Niebios. Byłem pewien, że Mistrz nie zawaha się przed niczym, żeby ją zdobyć, dlatego tak bardzo zmartwiłem się, kiedy posłał cię w góry. Nie mogłem zapytać go wprost, jakie ma wobec ciebie plany, ale przypuszczałem, że Dzwonnik może mieć o tym jakieś pojęcie. Zacząłem go ostrożnie podpytywać. Wiedział, że cię lubiłem, więc moja ciekawość nie wzbudziła jego podejrzeń. Powiedział mi w końcu, że bym nie czekał na twój powrót, bo Mistrz znalazł już dla ciebie miejsce w innym klasztorze, gdzie nie będę cię mógł nawet odwiedzić. Reszty łatwo się domyśliłem.

– Jakiej reszty?

– Przede wszystkim musiał zadbać o to, żeby pustelnik nie roztrwoił Łaski na chorych, kalekich i nieszczęśliwych, dlatego postawił na dole strażę.

– Ludzie i tak przychodzili...

– Ale nie tak wielu, żeby Łaska wyczerpała się, zanim Mistrzowi uda się sprowadzić w tajemnicy do klasztoru skrzynkę z jajeczkami żywożerów. Na szczęście kupiec, który ją przywiózł, to mój znajomy z dawnych czasów. Szepnął mi przy winie, jak paskudne dostał zamówienie.

– A więc to Mistrz kazał rozrzucić jajeczka w górach? – Najdek szerzej otworzył oczy. – Dlaczego?

– Też się długo nad tym zastanawiałem, ale nie znalazłem odpowiedzi. Dopiero ów kochliwy uczeń wytłumaczył mi, o co chodzi. Dopóki pustelnik żyje, nikt nie może wydrzeć mu Łaski przemocą. Ale po śmierci, kiedy dusza opuszcza ciało, można to zrobić. Wystarczy spalić trupa na stosie, a wtedy Łaska zmieni się w ogień w coś, co mędrcy nazywają niebiańskim diamentem. Łatwo wydobyć ją z popiołów.

– Straszne!...

– Ano straszne. Także dla Mistrza. On nie jest mordercą, cokolwiek by o nim mówić. A poza tym taką zbrodnię trudno byłoby utrzymać w tajemnicy. Gdyby wyszła na jaw, ludzie odwróciliby się od klasztoru. Dlatego Mistrz sprowadził żywożery. Tylko one mogły wyssać z żywego pustelnika Łaskę. Teraz już łatwo będzie wyłuskać syte robaki spod kamieni i wrzucić w ogień.

– Ale nauczyciel i tak umarł...

– Widocznie coś poszło nie tak. Może żywożerów było za dużo? Może stary był już zbyt słaby i nie przetrzymał tak gwałtownej utraty Łaski?

– Nie tylko to. Na szczycie była czarownica, wezwała anioła śmierci. Wszystkie robaki zdechły, a Łaska rozproszyła się.

Cabaj skrzywił się z niechęcią.

– Tego tylko brakowało! Kochanica demonów nie mogła przepuścić okazji, żeby zrobić Mistrzowi na złość. Cóż, dla nas to nic nie zmienia. Trzeba zniknąć.

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko... Robaki nie wyssały z pustelnika całej Łaski.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem. – Najdek urwał; dopiero po dłuższej chwili podjął drżącym głosem: – Co teraz będzie?

– To już mniej mnie obchodzi. Jeśli dobrze pójdzie, nigdy się tego nie dowiemy, bo będziemy daleko stąd. – Pomilczał przez chwilę, obracając w zębach łupinkę słonecznika. – Przypuszczam, że Mistrz zechce dobrać się do Łaski, która pozostała w trupie.

Chłopak poderwał się na nogi, jakby chciał wybiec z szałas, ale zawiodły go siły; oparł się plecami o ścianę, a potem osunął z wolna na klepisko.

– Nie mogę na to pozwolić!

– W porządku. – Cabaj wstał, zacieśnił pas o jedną dziurkę. – Idź i zabroń mu.

– Nie kpij... Tu chodzi o duszę nauczyciela. Kazał mi strzec Łaski.

– Nic już na to nie poradzisz. Czas zatroszczyć się o siebie. Mamy przewagę jednego dnia, albo i dwóch. Zresztą może nie będą nas ścigać,

skoro już po wszystkim. Zaczepimy się w jakiejś zacisznej wioszczynie. Damy sobie radę.

Najdek nie podniósł się; patrzył wciąż na kuternogę rozszerzonymi żrenicami, ale na jego policzki z wolna wracały rumieńce.

– Nie pójdę... – powiedział bardzo cicho.

– Nie wygaduj głupstw! – Odźwierny tupnął drewnianą nogą. – Porzuciłem z twojego powodu ciepły kącik i nadzieję spokojnej starości, przybiegłem z wywieszonym jęzorem, żeby cię ratować, a ty jeszcze wydziwiasz? Za kogo się masz, szczeniaku? Wstawaj albo podniosę cię za uszy!

Chłopak odetchnął głębiej, już prawie całkiem spokojny.

– Nie mogę go tak zostawić.



Przez większą część drogi na szczyt Cabaj meł w zębach przekleństwa i pomstował; przycichł nieco w martwym lesie. Rozglądał się nieufnie, ale nie zawrócił. Wspinaczka była dla niego podwójnie uciążliwa z powodu tuszy i drewnianej nogi. Z coraz większym trudem nadążał za Najdkiem, który nie oglądał się, tylko parł pod górę, utkwivszy wzrok w skalistym wierchu. Niebawem odźwierny zaczął wyraźnie odstawać, a kiedy kępy uschłej kosówki zastąpiły drzewa, chłopak był już tak daleko, że nie mogły go dogonić nawet charkotliwie złorzeczenia.

Cabaj dokuśtykał na szczyt ostatkiem sił. Czarny otwór pieczary tańczył mu przed oczami, więc usiadł na jakimś kamieniu, wysapując złość i zmęczenie.

– Za dobry byłem, to teraz mam... – Ulżył sobie jeszcze jednym marynarskim przekleństwem i zawołał w stronę pustelni:

– Gdziekolwiek go ukryjesz, żołnierze znajdą ciało. Nie trać czasu, tylko pożegnaj się ładnie i znikamy.

Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, wstał, postępując, i czworakach pokonał ostatnie usypisko kamieni. Ostrożnie zajrzał do chłodnego wnętrza pieczary.

Starzec leżał na wznak pod kocem; dłonie o długich, chudych palcach spoczywały splecione na podołku. W słabym świetle padającym od wejścia

jego twarz wydawała się całkiem biała. Jeśli naprawdę pozostała w nim Łaska, musiała utaić się gdzieś bardzo głęboko. Klęczący u wezgłowia legowiska chłopak wpatrywał się w zapadnięte, ciemne oczodoły nauczyciela.

– Zostaw go. – Cabaj mimo woli ściszył głos. – Nic już nie możesz dla niego zrobić.

Najdek potrząsnął w roztargnieniu głową.

– Nie zdążyłem powiedzieć mu tak wielu rzeczy...

– Zawsze ma się takie uczucie, kiedy ktoś znajomy umiera.

– Wydaje się, jakby tylko zasnął.

– Łaska powstrzymuje rozkład trupa, ale to niczego nie zmienia. – Cabaj z trudem powściągał rozdrażnienie. – Nie oddycha, jego serce nie bije. Dotknij go, jest zimny.

– Nie pozwolę, żeby Mistrz zabrał go do klasztoru i ukradł Łaskę. Muszę oddać mu ostatnią posługę. Jestem mu to winny...

– Wystarczy! – Odźwierny przerwał ostro. – Widzę, że naprawdę chcesz spędzić resztę życia w zamknięciu. Twoja sprawa. Żegnaj.

Wycofał się, odsłaniając otwór. Kilka plamek słonecznego światła padło na rozwichrzone włosy pustelnika niczym blady odbłask dawnego nimbu.

Najdek wyprostował się powoli; wargi drżały mu lekko, na czole zalśniły kropelki potu.

– Cabaj... – Głos uwiązł mu w gardle, poderwał się nagle i skoczył do wyjścia. – Cabaj!

Odźwierny nie zdążył odejść daleko, rzucił przez ramię posępne spojrzenie.

– Czego?

– Nie zostawiaj mnie... Potrzebuję cię. Nie poradzę sobie bez ciebie.

– Pewnie, że sobie nie poradzisz. – Kuternogę udobruchało nieco to szczere wyznanie. – Ale tu chodzi także o moją skórę. Ogień będzie widoczny w całej okolicy. Żołnierze nie będą czekać do rana, jeszcze przed świtem urządzą na nas oblławę.

– Nie martw się. Uciekniemy.

– Niby jak? Na skrzydłach?

– Przez tych kilka tygodni zdążyłem poznać góry lepiej niż drwale. Miałem się od kogo uczyć. Uciekniemy i jeszcze na pożegnanie zabawimy się ze strażnikami. Ale teraz pomóż mi... Proszę.

Cabaj zamruczał nieufnie, a potem zaśmiał się niespodziewanie, szydząc z samego siebie.

– Chciałem tylko dożyć w spokoju swoich dni, ale widocznie nie zasłużyłem na to. Po co ja w ogóle za tobą łączę? I tak zawsze robisz, na co masz ochotę.

Nie mieli żadnych narzędzi, musieli wyrywać krzewy kosodrzewiny razem z korzeniami albo wylaamywać zdrewniałe pędy. Zmordowali się bardzo, nim wreszcie uskładali niezgrabny, krzywy, ale wystarczająco duży stos. Potem przenieśli ciało pustelnika, lekkie, zimne i wiotkie, które pomimo upływu czasu nie zeszywniało ani trochę. Ułożyli je ostrożnie na pachnących gałęziach. Najdek podtrzymał białowłosą głowę, która osunęła się na bok.

– Będzie musiał obejść się bez śpiewów i kadzidła. – Cabaj otarł rękawem spoconą, pokłutą igliwem twarz.

– Na pewno nigdy nie liczył na takie zaszczyty. – Najdek rozmazał palcem wilgoć w kąciku oka.

– Pośpiesz się, mały. To ostatnia noc, kiedy możemy jeszcze uciec.

Najdek wydobyl z kieszeni krzesiwo, przyklęknął nad kupką suchego mchu i skrzesał snop iskier. Podniósł w dwóch palcach płonący zwitek i podłożył pod stos. Ogień przygasł na chwilę, ale gdy dmuchnął wiatr, jednym skokiem objął płataninę gałązek. Cabaj drgnął, jakby chciał gasić, lecz zaraz zwiesił bezradnie ramiona i przygarbił się mocniej.

– Jeśli chciałeś ponaglić Mistrza do działania, nie mogłeś zrobić tego lepiej – zaburczał.

Ogień wzmagął się szybko, w ciemniejące niebo wzbily się pierwsze czarne kłęby. Chłopak nie odsunął się od stosu nawet wówczas, gdy dym buchnął mu prosto w twarz.

– Zamierzasz tak tutaj sterczeć? – sarknął kuternoga. – To może długo potrwać, stary nie ma w sobie ani odrobiny tłuszczu... – Urwał nagle, zmrużył oczy. – Zaraz, co to jest?

Od strzelających iskier zatliła się broda. Na czerwone od ognia i zachodzącego słońca skały padły pasma tęczyowych łśnień.

– Pióro! – Cabaj skoczył chyżo na zdrowej nodze, ale chłopak zastąpił mu drogę, rozpościerając ramiona.

– Zostaw! Chyba słyszałeś, co stało się z Gurgulem.

– Ale to przecież majątek, a przed nami długa tułaczka!

– Nauczyciel nie chciałby, żebyśmy sprzedali anielskie pióro jakiemuś kramarzowi w Przymorzu.

Odźwierny może byłby odtrącił Najdka, ale w tej samej chwili płomień objął brodę pustelnika. Na mgnienie oka zrobiło się tak jasno, jakby w szczyt Rogacza uderzył piorun. Odkoczyli obaj przed falą żaru, chroniąc się za skalnym rumowiskiem. Ogień przez parę chwil huczał niczym wichur, ale niebawem zapadła cisza i zwały się wokół nich nocne ciemności.

Ostrożnie wystawili głowy z ukrycia.

Ze stosu i spoczywającego na nim ciała pozostał tylko podłużny zwal wypalonego popiołu, którego grzbiet kurzył z lekka na wietrze.

Najdek wstał nieco chwiejnie, zwracając twarz ku chłodnym powiewom wieczoru. Bez obaw zbliżył się do spalonego stosu, przykucnął i w milczeniu podwinął prawy rękaw koszuli powyżej łokcia.

– Miałem nadzieję, że to już koniec ceremonii pogrzebowej... – Odźwierny spozierał koso na te przygotowania.

– Mam tu jeszcze coś do zabrania... – Chłopak wetknął rękę w spopielone szczątki; były zimne, jakby stos wygasł przed paroma dniami.

Cabaj pośpiesznie wygramolił się z kryjówki.

– Czego tam szukasz, na wszystkie chóry Niebios! Został z niego tylko proch.

Najdek wydobył po chwili dłoń i spróbował w innym miejscu.

– Nie, ona gdzieś tutaj musi być... – Z uporem grzebał w popielisku, zagłębiając rękę aż po pachę. – Pomóż mi, będzie szybciej.

Odźwierny wzdrygnął się, jakby smagnięty lodowatym podmuchem.

– Baw się w to sam, mały.

Chłopak jeszcze przez jakiś czas szukał na oślep, wreszcie drgnął i podniósł głowę. Powoli wyciągnął z popieliska zaciśniętą pieść; poprzez szpary między palcami wytryskiwały smugi światła – tego samego, które

zimą opromieniało szczyt Rogacza, a potem głowę pustelnika. Z wolna otworzył dłoń wnętrzem ku górze, a wtedy łagodna jasność zalała niemal cały wierch.

– To Łaska – szepnął.

Odźwierny nie był w stanie uchwycić wzrokiem źródła niesamowitej jasności. Chwilami zdawało mu się, że patrzy na roztańczony płomyk, na kroplę płynnego blasku, na drogocenny, oszlifowany kamień, a nawet na żywe stworzenie, z drzeniem szukające ciepła w ludzkiej dłoni.

– Kto by pomyślał, że coś takiego siedziało w człowieku!

– Pustelnik wiele razy powtarzał mi, że musi darmo rozdać całą Łaskę, żeby wyzwolić duszę. Nie zdążył...

– Nie zamierzasz chyba zabierać tego ze sobą?

– Muszę ją chronić.

– Lepiej nie mieszaj się do tego, dobrze ci radzę. Mistrz nie daruje ci, kiedy się przekonasz, że sprzątnąłeś mu niebiański diament sprzed nosa.

– Trudno. To tak, jakby pustelnik oddał mi w opiekę własną duszę. Nie mogę go zawieść.

– Twoja sprawa. – Odźwierny wydobył sakiewkę, którą nosił na szyi pod kubrakiem, wysypał słonecznik na ziemię. – Ale schowaj to lepiej, bo świeci tak mocno, że trudno będzie się przekraść.

Najdek bardzo ostrożnie uronił diament z dłoni do woreczka i zaciągnął sznurki. Jasność jeszcze przez chwilę przeświecała zza płótna, ale potem przygasła z wolna. Gdy chłopak przełożył rzemyk sakiewki przez kark i ukrył ją w zanadrzu, nie mogli już dostrzec nawzajem swoich twarzy.

– Nie powinno się robić takich rzeczy, to mi pachnie świętokradztwem...

– Cabaj głęboko zaczerpnął powietrza. W świetle zachodzącego słońca jego oczy były bardzo czerwone, jak po długim płaczu. – Zapłacimy za to obaj, czuję to.

Znowu wzmógł się wiatr, rozrzucając po zboczu popioły. Najdek słuchał przez chwilę przeciągłych poświstów, potem przyłożył dłoń do piersi w miejscu, gdzie schował sakiewkę, i odpowiedział spokojnie:

– Jeśli to prawda, że anioły w Niebiosach żałują każdej duszy, którą pochłania Otchłań, to powinniśmy spodziewać się stamtąd pomocy, a nie kary.

– Niedługo się o tym przekonamy. – Cabaj wskazał w dół stoku, gdzie w oddali rozciągnął się łańcuch ruchomych świateł; obława ruszyła, można już było usłyszeć nawet ujadanie psów i gwizdki strażników.

Najdek otrząsnął się, jakby ten widok pomógł mu uwolnić się wreszcie spod czaru Łaski, której odbłask jeszcze teraz pełgał mu pod powiekami, kiedy tylko zmrużył oczy.

– Sami są sobie winni. – W jego głosie zabrzmiał jakiś nowy, twardy ton, którego odzwierny nigdy wcześniej nie słyszał. – Powinni wiedzieć, że nocą nie chodzi się w góry.

Pobiegł w dół, wprost na spotkanie żołnierzy z pochodniami. Cabaj, choć dawno już przestał wierzyć w pomyslnie zakończenie tej awantury, śpiesznie pokuśtykał za nim. Na wierchu wiatr rozdmuchiwał ostatnie resztki pogrzebowego stosu.

Do pastwiska dotarli bez przeszkód, choć obława musiała już być niedaleko. Las trząśł się od szczekania gończych psów, między drzewami widać było sypiące iskrami płomienie. Najdek, który przybiegł pierwszy, skoczył do szałasu i w chwili gdy odzwierny, rżąc przekleństwami, ukazał się na skraju lasu w słabej poświacie gwiazd – stanął u wejścia z płonącym łuczywem w ręce, ściskając pod pachą dzban z obtłuczonym uchem.

– Heeej! – zawołał, nie zważając na bliskość pościgu. – Tutaj, do mnie!

Cabaj doczłapał ciężko, splunął i zatoczył się na ścianę.

– Dobrze, że zapaliłeś, bo gotowi nas jeszcze przeoczyć... – wyzijał już bez złości, wyczerpany nocną gonitwą, posiniaczony po kilku upadkach i tak bardzo zgłodniały, że bez namysłu oddałby się w niewolę za miskę ciepłej stawy.

– Niech nas widzą, łatwiej zapomną o ostrożności. Chodź za mną.

– Nigdzie się stąd nie ruszę!

– To już niedaleko, dasz radę. Jeszcze trochę wysiłku, potem odpoczniemy. Obiecuję.

Nie poruszali się szybko, uniemożliwiały to gęste zarośla, ale i tamci zwolnili, pewni, że ścigani już się nie wymkną. Cabaj nie wiedział, dokąd chłopak go prowadzi i nawet nie czuł potrzeby, żeby o to pytać. Było mu już wszystko jedno; z niespokojnych uczuć, które targały nim od chwili ucieczki

z klasztoru, pozostało żywe tylko bezbrzeżne zdumienie, że pod wpływem tego szczeniaka tak łatwo zagubił gdzieś swój zdrowy rozsądek.

– Już prawie jesteśmy na miejscu. – Najdek wysunął się o parę kroków naprzód. – Słyszysz?

Psy charkotały w gęstwie za nimi, jakby lada chwila miały skoczyć im na karki, chrzęściły kroki żołnierzy, trzaskały łamane gałęzie...

Naraz Cabaj przestał sapać i wychylił się naprzód. Niedaleko przed nim ziała w płątaninie krzewów czarna wyrwa; była stamtąd duszna, wilgotna woń i jakiś głęboki szum, dobrze słyszalny pomimo wzmagającego się hałasu oblawy.

– Wiem, gdzie jesteśmy! – Przerazenie tak mocno ścisnęło go za gardło, że przez jakiś czas nie potrafił wykrztusić nic więcej.

– Tędy uciekniemy. – Chłopak usiłował go uspokoić, ale Cabaj strząsnął z ramienia jego dłoń jak oślizłą ropuchę.

– Słyszałem od drwali o tym miejscu... Stamtąd nikt jeszcze nie wyszedł żywy.

– My wyjdziemy. Słyszysz szum? To wodospad koło przysiółka drwali, domyśliłem się tego już dawno. Jest daleko, ale echo niesie się przez podziemia. Gdzieś na brzegu musi być drugie wyjście z tej grotty.

– Nie wejdę tam! Nienawidzę jaskiń. Wolę już ciemnicę w klasztorze.

– Obawiałem się, że trudno będzie cię przekonać. Dlatego nie dam ci wyboru. – Zerwał z dzbana szmatę i wylał całą zawartość w mrok jaskini, a potem cisnął tam łuczywo. Padł na ziemię, pociągając za sobą odźwiernego, który i tak z trudem trzymał się na nogach.

Z dziury w zboczu z sykiem wydostał się długi jęzor ognia, smagnął ich gorącym po plecach, osmalił krzaki i cofnął się w głąb kamiennej czeluści. W jaskini rozległ się przenikliwy pisk, zawtórowały mu następne; po chwili krzyki spłoszonych ogniem pijawców zlały się w jeden potężny, przewiercający uszy jazgot i zaraz potem pośród buchających kłębów gryzącego dymu zaklaskały skrzydła.

– Leż! – Najdek włożył Cabajowi na plecy, gdy ten usiłował odczołgać się w gąszcz. – Tutaj, blisko ognia, nie ruszą nas.

Nie był pewien, czy odźwierny go zrozumiał, bo uciekające z podziemi stado przemykało teraz tuż nad nimi z ogłuszającym łopotem skrzydeł,

tłocząc się w wąskiej rozpadlinie. Czasem któryś z nietoperzy, podduszony w dymie, wpadał na plecy i kark chłopaka, ale w mgnieniu oka podrywał się znowu do lotu, gnany trwogą. Wkrótce niebo poczerniało od setek pijawców, niemilknące piski wypełniły las.

Nagle ponad wszystkie inne odgłosy wzbiło się rozpaczliwie psie skomlenie, z różnych stron dały się słyszeć nawoływania ludzi.

– Teraz to wy trochę sobie pouciekacie! – rzucił Najdek mściwie w noc; podniósł się nieco i zajrzał w dymiącą dziurę. – Dobrze, droga wolna. Naprzód!

Otępiały z grozy Cabaj nie opierał się dłużej, pierwszy wpełzał na czworakach w ciemną gardziel.

Znaleźli się w całkiem innym, obcym świecie, gdzie panowała zupełna ciemność. Każdy szmer powracał zewsząd zwielokrotnionym echem, a kolana i dłonie zapadały się głęboko w zimne błoto, pomieszane z odchodami pijawców. Grunt opadał bardzo stromo, gdzieś w górze pod niewidocznym sklepieniem tłukły się jeszcze przez jakiś czas ostatnie nietoperze. W ciężkim od woni zgnilizny powietrzu snuły się poruszane leciutkim przewiewem smugi dymu, ale ogień już wygasł, nie znajdując poza rozlanym olejem skalnym żadnej pożywki.

– Poczekajmy, aż tam wszystko ucichnie, i wracajmy – odezwał się z cicha odzwierny i urwał, zaskoczony zmienionym w podziemiach brzmieniem własnego głosu.

– Nie mamy po co wracać. Żołnierze cofnęli się, ale na pewno będą na nas czekać. Przed świtem złączą się pijawce, do tego czasu musimy być już daleko stąd. Odsapniemy trochę i w drogę.

– W drogę? Znasz ją chociaż?

– Jeśli będziemy cały czas szli w dół, w końcu chyba dojdziemy do wyjścia nad rzeką.

– Mogłeś zabrać chociaż drugie łuczywo...

– Nie przypuszczałem, że jesteś taki strachliwy – zniecierpliwił się Najdek.

Błoto mlasnęło, gdy odzwierny poruszył się w mroku. Dopiero teraz chłopak przekonał się, że pomimo lat spędzonych w klasztorze Cabaj nie wyzbył się marynarskiego ducha, dawno temu zahartowanego w słonych

morskich wiatrach. Chociaż nic nie toczyło się tak, jak by sobie tego życzył, zapanował nad strachem i odzyskał zdolność jasnego rozumowania.

– W porządku, mały, nie będę się z tobą spierać. Pomysł z wypłoszeniem pijawców był szalony, ale skuteczny. Tamci pewnie pomyślą, że już po nas. Nie zapominaj tylko, że to wszystko i tak nam się nie opłaci, jeśli rozgniewasz czarownicę.

– Pustelnik powiedział mi kiedyś, że niebiańska Łaska chroni przed każdym złem, które pochodzi z Otchłani.

– Być może. Wiesz o tym więcej ode mnie. Ale myślę, że znalazłoby się kilka łatwiejszych sposobów na to, żeby wymknąć się z obławy. Musisz mieć jakiś bardzo ważny powód, skoro wybrałeś właśnie ten.

Najdek zmieszał się na chwilę; był rad, że ciemność ukryła jego rumieniec.

– Zabierzemy kogoś po drodze – mruknął.

– Czy ten ktoś jest pasterką z szałas, w którym cię znalazłem?

– Tak.

– Tego właśnie się obawiałem – westchnął Cabaj. – Słyszałem co nieco o tej pannicy. Drwale, zdaje się, nie mają o niej najlepszego zdania.

– Ja znam ją lepiej od nich! – zawołał wzburzony chłopak, budząc w głębiach mroku huczący pogłos.

– Spokojnie, mały, przecież nie powiedziałem jeszcze o niej nic złego.

– Ale pomyślałeś!

– Zbyt długo żyję, żeby oceniać ludzi po tym, co się o nich wygaduje. Jednak ta dziewczyna weszła tutaj dobrowolnie, prawda? Jeśli tak, to nie ma żadnej pewności, że będzie chciała wyjść.

– Weszła, żeby uratować mnie przed żywożerami. Tylko czarownica mogła je powstrzymać.

– Nie jestem wprawdzie znawcą czarownic, ale nigdy nie słyszałem, żeby któraś z nich zrobiła coś dobrego z potrzeby serca. Twoja przyjaciółka musiała dać jej coś w zamian.

– Niby co?

– Siebie.

– Wszystko jedno! Zrobiła to, bo musiała. Taka obietnica jej nie wiąże.

– Ciekawe, czy czarownica myśli o tym tak samo.

– Po co ta cała gadanina? – Rozzłoszczony Najdek plasnął dłonią w udo. – Nie musisz iść ze mną, jeśli nie chcesz.

– Źle zrozumiałeś. Przestrzegam cię tylko, żebyś uważał, bo twoja pomoc łatwo może przynieść dziewczynie więcej szkody niż pożytku.

Umilkli obaj, rozdrażnieni i znużeni tą bezowocną rozmową; z każdym słowem niepostrzeżenie gęstniała między nimi nieufność. Próbowali odpoczywać, ale trudno było odzyskać siły, przycupnąwszy w zimnym błocie, bez czystej wody, bez jedzenia, podczas gdy z każdą chwilą ulatniała się wątpia otucha.

Wreszcie Cabaj podniósł się, dziabnął tu i tam drewnianą nogą w grubą warstwę guana, które zalegało podłoże, a potem bez słowa zaczął schodzić bokiem po śliskiej stromiźnie. Najdek z ciężkim sercem ruszył za nim. Wszystkie zamierzenia, które jeszcze niedawno tak spójnie i jasno układały się w głowie, teraz wydawały mu się prawie niedorzeczne. Choć bardzo się starał, nie potrafił już czerpać odwagi z tego, że niósł ukryty w woreczku diament; trudno było uwierzyć, że jego blask zdołałby rozproszyć tę duszną, cuchnącą ciemność.

Posuwali się z mozołem, ślizgając się w mazi, padając i podtrzymując jeden drugiego. Wyczuwali ogrom jaskini, po plecach przebiegały im ciarki na myśl o tej przepastnej głębi. Niekiedy słyszeli szmer podziemnego strumienia czy kapanie wody. Kilka razy zdawało im się, że coś człapie za nimi albo podkrada się z boku, posapując nierówno; przystawali wtedy i nasłuchiwali z bijącymi sercami. Tłumaczyli sobie szeptem, że to pewnie zniekształcone odgłosy ich własnych kroków i oddechów, jednak ani przez chwilę nie wątpili, że w tych wiecznych ciemnościach może ukrywać się wszystko, co najgorsze.

Szli bardzo długo, tracąc stopniowo poczucie czasu i przestrzeni. W końcu zaczęło im się wydawać, że tylko przebierają nogami w błocie bez żadnego skutku, nie ruszając się wcale z miejsca. Ciężkie, lepkie opary snuły się wokół nich, utrudniając oddychanie; wilgoć przesiąkała pod ubrania. W butach chlupotało, sztywniały palce zziębniętych dłoni. Beznadziejna wędrówka, wciąż w dół i w dół, zaczęła przypominać jakiś koszmarny sen-pułapkę, który nie kończy się przebudzeniem.

A jednak otrząsnęli się nieco z tego niebezpiecznego otępienia, gdy gdzieś z wysoka, z wielkiego oddalenia, spłynęło parę pisków.

– Wracają... – zachrypiał Cabaj. – Dzień jest blisko.

Spostrzeżenie odźwiernego rozbudziło w Najdku żarliwą tęsknotę za Słońcem. Tylko z trudem mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział błękit pogodnego nieba; to musiało być bardzo dawno temu.

– Strasznie zimo. – Chuchnął w złączone dłonie, zakasłał. – Nie wiem, jak tutaj w ogóle można żyć.

Stromizna złagodniała, a niebawem podłoże zrobiło się zupełnie płaskie i wolne od błota; pod stopami zaskrzypiała cienka warstewka lodu pokrywająca skałę. Okucie drewnianej nogi nie chrobotą już tak potężnym echem, przestrzeń wokół nich zawęziła się chyba, chociaż wciąż nie mogli dostrzec ścian ani sklepienia. Ustało dźwięczenie spadających kropel i szum wodospadu, mrok zakrzepł w całkowitej ciszy. Od chwili kiedy utracili jedyną wskazówkę co do kierunku marszu, jaką był spadek podłoża, nie mieli pewności, czy wciąż idą prosto, czy może kręcą się w kółko. Wydawało im się, że wędrują przez te niesamowite podziemia już o wiele za długo, zupełnie jakby tutaj nie obowiązywały zwykłe prawidła rządzące odległością i czasem.

Naraz Najdek z uderzającą jasnością zdał sobie sprawę, że nie potrafiłby już odnaleźć drogi, którą przyszedł. Nie musiał mówić o tym Cabajowi, bo niespokojne pomruki kuternogi zdradzały, że i on czuje się zagubiony. Ciemność wessała ich niepostrzeżenie w swoje trzewia. W którąkolwiek skierowaliby się stronę, nieuchronnie oddalali się od słonecznego światła i ciepła. Chwilami kręciło im się w głowach, jakby zsuwali się w głąb czarnego wiru; mrok kłębił się wokół, kipiał bezgłośnie, wzbierał jak powódź.

Znienacka chłopca ogarnęło przerażenie, niczym lodowaty podmuch, od którego drętwieje twarz i podnoszą się włosy na głowie. Nie było ku temu żadnej wyraźnej przyczyny, jedynie przecucie, że ta nieprzenikniona ciemność była czymś więcej niż tylko brakiem światła. Gorąco pragnął zawrócić albo chociaż zatrzymać się, lecz już było za późno; szedł wbrew sobie, krok po kroku zbliżając się do źródła wszelkich strachów. Nie wiedział już, jak się tutaj znalazł i co przyszedł. Pomyślał o Cabaju, ale nie

słyszał jego posapywania, jakby fala mroźnego mroku, która wtargnęła między nich, rozdzieliła ich na zawsze.

– Najdek!

Potknął się na dźwięk własnego imienia, upadł na kolana. To na pewno był głos Zoi – bardzo przytłumiony, jakby dobiegał zza grubej ściany. Potrząsnął głową, z trudem odszukując pozrywane wątki myśli.

– Gdzie jesteś? – zawołał.

Miał wrażenie, że jego słowa ugrzęzły gdzieś w gęstych ciemnościach, jednak po długiej chwili wyłowił uchem słabą odpowiedź:

– Zostań na miejscu... Nie ruszaj się.

Nie potrafił odgadnąć, z której strony dobiegło ostrzeżenie ani z jakiej odległości. Czuł się całkowicie bezsilny; ciemność tłumiała wolę działania i przytępiała wszelkie uczucia poza mdlącym strachem. Spróbował znów krzyknąć, ale tym razem wydobył z krtani tylko jakiś śmieszny skrzek. Mrok przygniatał go niczym lawina, spod której nie można wydostać się o własnych siłach. Zdawało mu się, że dosłyszał jeszcze głos Zoi, ale nie potrafił już odróżnić słów. Po chwili zaćwierkała mu w uszach straszna, ostateczna cisza.

I raptem usłyszał skrzypiące słowa czarownicy, tak bliskie i wyraźne, jakby wyszeptane wprost do ucha:

– Nie powinieneś być tu przychodzić. Przecież wiesz.

Znów mroźny podmuch w twarz, lód w żyłach, brak oddechu. Podniósł się na nogi z tak wielkim wysiłkiem, jakby musiał odpychać barkami sklepienie jaskini. Miał wrażenie, że otwarła się przed nim żrenica mroku, aby przyjrzeć mu się z chłodnym namysłem. Bezwiednie zrobił krok w tamtą stronę, potem następny, i jeszcze jeden.

– Tak to właśnie jest. Otchłań przeraża, ale i wabi. – Czarownica towarzyszyła mu szeptem podobnym do szelestu owadzich skrzydełek. – Stoisz nad przepaścią, trzęsiesz się ze strachu, a jednak w głębi ducha chcesz skoczyć. I w końcu ulegniesz tej pokusie.

Naprzód. Powoli naprzód. Żrenica nabrzmiała ciemnością bez dna. Czerń była jak zagęszczone zło.

– Każdy choć raz powinien zaznać prawdziwego przerażenia, nie uważasz? Bez tego życie nie ma smaku. Strach jest najważniejszym z ludzkich odczuć,

nie musimy się go uczyć, rodzimy się z nim. Nigdy nas nie opuszcza, aż do śmierci. A wielu z nas i potem.

Już blisko, bardzo blisko. Może krok, może pół. Zaraz podobna do zachwytu trwoga ściśnie za gardło, szarpnie za włosy i pociągnie w pustkę.

Naraz poczuł oparzenie z lewej strony piersi, jakby ktoś przyżegał skórę rozpalonym żelazem. Ból był tak nagły i niespodziewany, że wyzwolił uśpione do tej pory odruchy; Najdek rozerwał koszulę i wyszarpnął zza pazuchy sakiewkę. Byłby ją odrzucił, ale nie zdołał rozewrzeć palców; zacisnąwszy powieki, czekał, kiedy żar spali mu dłoń, lecz nic takiego się nie stało.

Otworzył oczy. Blask Łaski przeświecał przez płótno, przez palce i zaróżowione paznokcie. Ciemność ustąpiła, ściekając płatami cienia do wielkiej, okrągłej dziury w podłożu, która tchnęła mrozem tuż u jego stóp.

– Nie patrz w dół!

Wszystkie dźwięki znów docierały wyraźnie, jakby wreszcie odetkały mu się uszy. Podniósł wyżej dłoń, w której trzymał Łaskę, cofnął się nieco od krawędzi otworu i odwrócił powoli.

Najpierw dostrzegł czarownicę. Stała nieopodal, mała, pokrzywiona, w zabłoconych łachmanach. Jej łysą, guzowatą czaszkę porastały kępki sztywnej szczeci. Z pomarszczonej twarzy, która przypominała gnijące jabłko, sterczał ogromny, garbaty nochał; broda trzęsła się, zwiędłe wargi mamlały bezgłośnie. Jednak najbardziej szpeciły ją oczy – wypukłe jak u ryby i całkowicie pozbawione źrenic; same żółtawe białka pokryte siatką żyłek.

W blasku Łaski wyglądała całkiem bezradnie; zdawało się, że nagle dogonił ją czas, zwały się na nią te wszystkie lata, przeżyte ponad ludzką miarę. Kostur ze stukotem wypadł jej z dłoni, zgarbiła się mocniej, charcząc nabrała powietrza i wyciągnęła przed siebie szponiaste ręce, jakby próbowała obronić się przed czymś.

Kawałek dalej Cabaj nieporadnie dźwigał się z ziemi. Chwilę przedtem musiał potknąć się na oblodzonych kamieniach, bo broczył krwią z rozbitej brwi. Rozglądał się błędnym wzrokiem, jak ktoś nagle wyrwany z głębokiego snu.

– Mało brakowało, żebyśmy całkiem się pogubili. Straciłem głowę, szedłem, gdzie mnie nogi niosły – sapnął, zatrzymał spojrzenie na czarownicy, ściszył głos. – Czy to... ona?

– Tak.

– Chyba na razie nie musimy się nią przejmować. Całkiem oglupiała, kiedy błysnęłaś jej Łaską prosto w ślepią. – Podniósł kamień, zważył w dłoni. – Właściwie moglibyśmy raz na zawsze uwolnić się od niej.

– Nie pozwalam!

Zoja aż do tej chwili ukrywała się za jednym z grubych skalnych filarów, których kilkanaście podpierało niskie w tym miejscu sklepienie jaskini. Podbiegła teraz do czarownicy i podnosząc kostur, zasłoniła ją przed Cabajem.

– A to pastereczka, jak się domyślam. – Odźwierny odrzucił kamień. – Podziękuj Najdkowi, dziewczyno. To on uparł się, żeby cię tu szukać.

Opuściła nieco głowę, tak że rozpuszczone włosy zasłoniły jej twarz. Nawet nie spojrzała na chłopca.

– Odejdźcie – poprosiła cicho.

– Co ty?... – Najdek ruszył w jej stronę, ale zatrzymał się w pół kroku, gdy obróciła ku niemu nabijany krzemieniami grubszy koniec kostura.

– Odejdźcie! – powtórzyła głośniejszym głosem. – To nie miejsce dla was.

Tak bardzo wstrząsnęło nim to powitanie, że przez długi czas nie wiedział, co powiedzieć. Bryłka Łaski w jego dłoni przygasła nieco, lecz jasność wciąż iskrzyła się w kryształkach lodu i wisiała między filarami niczym rozproszona, świetlista mgiełka.

– Ani dla ciebie – wykrztusił w końcu. – Ta ropucha zaczarowała cię.

Jednym gniewnym ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i wtedy Najdek zobaczył, że jej twarz zmieniła się, choć rysy pozostały te same; wydawała się starsza, niezdolna do uśmiechu, w kącikach warg utaiła się jakaś gorycz, a w oczach zaległy cienie.

– Ta ropucha opiekowała się mną, odkąd pamiętam. Nigdy nie miałam nikogo oprócz niej. Dopiero ciebie... – Zmarszczyła brwi i lekko potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić jakąś myśl czy wspomnienie. – Ale ty mnie odepchnąłeś. Wybrałeś pustelnika. Teraz już wszystko skończone.

– Nic nie jest skończone! Uciekniemy gdzieś daleko stąd.

– Nie, Najdek. – Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, ale przez to jej słowa zaboląły jeszcze mocniej. – Taka jest cena za twoje życie. Gdyby nie czarownica, żywożery zabiłyby cię tamtej nocy.

– Nie jesteś jej niczego winna. Wykorzystała tylko okazję, żeby cię tu zwabić.

– Nic nie rozumiesz. W zamian za twoje ocalenie kazała mi zajrzeć w Otchłani...

Najdek poczuł nagle, że miękną mu kolana; jak przez mgłę widział pobladałą twarz Cabaja z przyschniętymi strużkami krwi.

– Studnia bez dna! – Odźwierny zaczął cofać się krok za krokiem, póki nie dotknął plecami jednego z filarów. – Drwale podejrzewali, że jest gdzieś w tych górach, ale żeby tak blisko klasztoru... Prawieśmy w nią wleźli.

Najdkowi pociemniało w oczach, gdy uświadomił sobie, jak niewiele dzieliło go od losu nieskończenie gorszego od śmierci. Stał przecież niemal na samej krawędzi studni. Gdyby Łaska za pazuchą nie rozplomieniła się nagle wobec bliskości wiecznego mroku, gdyby Zoja nie ostrzegła go w porę, gdyby spojrział w dół...

Jednak w tej samej chwili przestał myśleć o minionej trwodze, bo ważniejsza stała się ta obecna. Obezwładniona rozbłyskiem Łaski czarownica, zgrzybiała i słaba, zaczęła śpiewać. To właściwie nie była pieśń, tylko jakiś ledwie dosłyszalny szmer, który gubił się w poświstach rwanego oddechu, jednak rozproszony w jaskini blask prawie natychmiast zaczął przygasać, jakby rozpuszczał się w mroku.

– Co ona robi? – Najdek z przestachem patrzył na staruchę, która kiwała się lekko w takt śpiewu.

– Światło Łaski wydobyło ją z ukrycia, nie może już dłużej być czarownicą. Straciła moc, więc przyzywa demona, żeby zabrał ją do Otchłani. – Zoja rozejrzała się szybko, wszędzie wokół gęstniał mrok. – Uciekajcie, bo was też porwie!

– A ty?

– Zostanę tutaj, przy studni. Ktoś musi panować nad demonami, inaczej wydestaną się z Otchłani i rozsnują ciemność po całym świecie. Śpieszcie się, za chwilę będzie za późno!

Czarownica uniosła głowę, krzywo osadzoną na chudej, pomarszczonej szyi. Śpiewała teraz głośniejsze, a może tylko wspomogło ją echo; chwilami w jej krtani wzbierało głuche, zwierzęce warczenie. W szeroko otwartych, wytrzeszczonych oczach pojawiły się krwawe wybroczyny, zbieleły zaciśnięte kurczowo pięści.

Odźwierny przyskoczył, złapał chłopca za kołnierz i pociągnął w tę stronę, gdzie w ciemnościach szumiał wodospad, ale ten wywinął się i odepchnął kuternogę.

– Puść mnie! Zabierz Zoję! – krzyknął rozpaczliwie.

W stopy zaszczypał go mróz, sięgając zaraz wyżej, do łydek. Najdek rzucił okiem na studnię; czarny jak smoła mrok przelewał się przez krawędzie, zasnuwając szybko oblodzone podłoże. Mogło się wydawać, że wszyscy stoją po kolana w ciemnej mgle. Skały zaczęły drżeć, z kruszącego się lodu odpryskiwały ostre drobinki, na filarach pojawiły się rozgałęzione rysy pęknięć. W głębi studni narastał szybko jakiś przeciągły odgłos podobny do grzmotu.

Najdek poszukał wzrokiem Zoi, ale nie mógł jej dostrzec, bo resztki światła pośniewały już tylko pod sklepieniem. Ruszył tam, gdzie, jak mu się zdawało, powinna stać. Miał uczucie, że musi zmagać się z oporem bardzo silnego przeciwnego wichru, a stopy ciążyły niby obute w żelazo. Nie słyszał już ogłuszającego grzmotu studni; przestał oddychać, bo mróz palił gardło jak wrzątek.

Jakimś cudem wpadł na nią w całkowitych ciemnościach. Stała wyprostowana, nieruchoma; po omacku złapał ją za rękę, lecz nie mógł pokonać oporu jej naprężonych, zeszywniałych mięśni. Chciał wykrzyczeć jej imię, jednak nie usłyszał nawet swojego głosu. Ryk z Otchłani walił teraz w sklepienie jaskini jak taran, wszystko się trzęsło, na kark sypało mu się skalne kruszywo.

Pomyślał, że nie zdoła uratować ani jej, ani siebie.

Naraz zimna dłoń dziewczyny wysunęła mu się z palców i umknęła gdzieś w górę, po twarzy musnęły go jej rozpuszczone włosy. Wyciągnął rękę i natrafił na pochylone plecy Cabaja, który zarzucił sobie Zoję na kark niczym spętana owcę.

– Biegnij... – szepnął Najdek. – Ja zatrzymam demony.

Cofnął się nieco i zwrócił twarzą w stronę studni.

Nie widział nic; grzmot chwilami milkł i wtedy słyszał coraz głośniejszy śpiew czarownicy. Nie był to już trzęsący się głos zgrzybiałej staruchy, raczej przerażający skowyt, rozdygotany obłędem. Zstępując w Otchłań, wyzwalała się z więzów swego strupieszalego za życia ciała, dlatego jej pieśń potężniała przepastnymi echami wiecznej pustki. Była w niej ślepa żądza śmierci i powtórnych narodzin, odwieczna tęsknota omroczenia duszy za kryjówką najciemniejszą z ciemnych, gdzie nigdy nie dociera Światło.

Gdy zaczerpnął oddechu, mróz niemal rozsadził mu płuca. Mrok stał się teraz wyczuwalnie gęsty, stawiał opór przy każdym poruszeniu, oblepiał oczy jak smoła. Całe ciało zeszywniało z trwogi jak drewniany kłoc, serce zatrzepotało jeszcze parę razy i chwilę przestało bić. Wyczuł wokół siebie obecność demona, bezcielesną, ale przerażająco rzeczywistą, która ogarniała go niepowstrzymanie, teraz już bez pośpiechu, przenikała i podporządkowywała sobie. Wiedział, że zwabiony pieśnią czarownicy demon nie pozostanie tu długo, niebawem zacznie wycofywać się do studni, pociągając za sobą wszystko, co żywe.

W lewej pięści wciąż ścisnął diament; nie czuł teraz jego ciepła, był niczym martwa grudka lodu.

„Z zapiskami ci nie wyszło, nauczycielu” – poskarżył się w duchu. „Jeśli pomyliłeś się także co do Łaski, to już po mnie”.

Nagle stracił grunt pod nogami; powracający demon zagarnął go niczym fala odpływu. Zamknął oczy, aż do bólu zacisnął zgrabiące palce. Studnia wessała go ze świstem. Poczul, że leci w dół, coraz szybciej i szybciej, a jednocześnie jakby zapadał się w głąb samego siebie. Znalazł się w mroźnym strumieniu złej, wrogiej mocy, której matecznikiem była Otchłań. Z każdą chwilą coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, jak niewiele znaczą wobec tej potęgi jego własne siły.

Wiedział, że za wszelką cenę musi utrzymać zaciśnięte powieki, aby uchronić w sobie choć najbledsze wspomnienia słonecznego światła; gdyby tego zabrakło, zimny oddech demona przeniknąłby go na wskroś, zmroził ducha i odebrał wszelką nadzieję. Skulił się, przyciągając kolana do piersi; serce waliło głucho, w uszach narastał tępy ból. Nie był już pewien, czy wciąż jeszcze spada, czy może unosi się swobodnie w bezkresnej czerni.

Czasem zdawało mu się, że demon patrzy mu z bliska prosto w twarz; w takich chwilach tężał z przerażenia, a w kościach czuł świdrujący ziąb.

W końcu zrozumiał, że dłużej tego nie wytrzyma, lada chwila ulegnie i otworzy oczy. Z rozpaczą pomyślał, że pustelnik przecenił moc Łaski, a może to on sam źle zrozumiał jego słowa. Spróbował poruszyć lewą ręką, ale utracił czucie w całym ciele. Nie wiedział nawet, czy wciąż trzyma diament, czy może zgubił go gdzieś. Ogarnęło go poczucie straszliwego osamotnienia, żarliwie zatęsknił za widokiem nieba.

I właśnie wtedy, na progu Otchłani, Łaska wybuchła wreszcie światłem, tętniąc w jego dłoni całą pełnią mocy. Widział tę niebiańską jasność mimo zamkniętych oczu; dostrzegał nawet swoją prześwietloną pięść z ciemniejszymi zarysami kości palców. Poczuł, jak rozgrzewa się w nim krew. Na krótką chwilę wokół zrobiło się cicho i spokojnie. Pomyślał z ulgą, że już po wszystkim – gdy naraz mroczną głębią pod nim wstrząsnął przepotężny ryk wściekłości i strachu.

Łaska zamigotała, ale nie zgasła. Mrok zgęstniał, zakipiał, wzburzył się od natłoku demonów, które miotały się w wąskiej gardzieli studni, próbując umknąć przed jasnością; w dole łopotały czarne cienie ich skrzydeł. Ale popłoch nie trwał długo, niebawem z Otchłani uderzył silny, mroźny podmuch, naparła skłębiona ciemność i w paru długich, gwałtownych spazmach wypchnęła Najdka w górę, wyrzucając go ze studni niczym zbyt trudny do przełknięcia kęs.

Upadł plecami na twarde gruntu. Potłukł się boleśnie, ale wstał zaraz, rozglądając się za diamentem. Leżał nieopodał, znów ledwie zagwiący, obryzgany błotem; podniósł go szybko, wrzucił do sakiewki i dopiero teraz zaczął myśleć o sobie.

Nie było czasu do stracenia; podłoże drżało pod nogami, kamienie grzechotały, z góry sypały się pokruszone odłamki. Z dziury buchał czarny opar; z głębin dobiegał nieprzerwany huk, jakby pękały skalne masywy. Rozwścieczone demony wstrząsały podstawami Rogacza, aby doprowadzić do zawalenia się studni, przez którą wdarła się do nich Łaska.

Zdawało mu się, że spleśniałym zaduchem podziemi poruszają podmuchy świeżego powietrza – po omacku ruszył w stronę, skąd nadlatywał wilgotny powiew. Nie mógł posuwać się szybko, bo żwirowaty grunt opadał coraz

bardziej stromo, spod nóg wyślizgiwały się mokre kamienie. Wokół padały z łomotem coraz większe odłamy; obawiał się, że niebawem całe sklepienie jaskini runie mu na głowę. W podłożu z ogłuszającym trzaskiem otwierały się szczeliny, z których ciągnął mróz, powlekając skałę szadzią; w powietrzu wirowały drobne igiełki lodu, raniąc odsłoniętą skórę.

Dotarł do krawędzi skalnego uskoku, zachwiał się, w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Gdzieś niżej, chyba na dnie głębokiego łożyska, bulgotała woda. To mógł być jeden z podziemnych strumieni, rozbryzgujący się w skalnych zrębach.

Bez namysłu stoczył się po stromiznie, nie zważając na ból. Wpadł do lodowatej wody. Silny prąd najpierw przydusił go do kamienistego dna, okręcił parę razy, wreszcie wyrzucił na powierzchnię. Bezwiednie zaczerpnął oddechu, a gdy znowu pokryła go spieniona topiel, ocknął się i zaczął walczyć. Wystawił głowę ponad bystry nurt, kilkoma uderzeniami ramion wyrwał się z gwałtownego wiru i popłynął w prądem. Nie odczuwał strachu, tylko wielką ulgę, że woda unosi go coraz dalej od studni; gdyby musiał zapłacić za to skręconym karkiem albo rozbitą głową, zgodziłby się bez wahania. Nie starał się wydostać na płyciznę, trzymał się środka strumienia, tonął i wypływał. Miał wrażenie, że nurt zmywa z niego ohydną lepkość mroku.

W końcu prąd spotężniał jeszcze, strumień zawarczał w ścieśnionych brzegach, rozbryzgi siekły po twarzy jak bicze – i nagle Najdek został wypłuty w otwartą przestrzeń. Zdążył zobaczyć rozgwieżdżone niebo, białą strugę wodospadu; na mgnienie oka zawisł w próżni, potem z rozłożonymi ramionami runął w dół.

Był dobrym pływakiem, jednak po upadku z dużej wysokości stracił orientację i miotał się czas jakiś bezradnie w ciemnej, zimnej topieli. Na szczęście gdy zabrakło mu już oddechu, poczuł pod stopami pogłębione przez wodospad dno, odbił się mocno obunóż i chwili wynurzył głowę.

Wokół pobłyskiwała zielonkawymi cętkami księżycowej poświaty spokojna powierzchnia rzeki. Prąd oddalił go od wodospadu, który huczał teraz gdzieś za jego plecami, napełniając noc drobinkami wodnego pyłu. Po drugiej stronie rozlewała się szeroko płycizna zakola, nad którym górowały

ułożone na brzegu stosy pni. Ognisk drwali było więcej niż zazwyczaj. W osadzie chyba nikt nie spał, wszędzie kręcili się ludzie.

Wydostał się z wody, siny z zimna, szczękając zębami, i pobiegł wzdłuż rzeki aż do pomostu. Gdy stanął przed jednym z drwali, zapatrzonym w stronę Rogacza, i dotknął mokrą ręką jego włochatej dłoni, ten wzdrygnął się raptownie i złapał za styliśko przytroczonej do boku siekiery, ale po chwili rozpoznał Najdka i zaklął gniewnie.

– Chcesz zginąć, szczeniaku? Mało brakło, a byłbym rozplatał ci łeb! Myślałem, że wylazł jakiś topielec, żeby mnie wciągnąć do wiru.

– W wodzie jeszcze dwoje... Ratujcie!

Drwal szybko ochłonął z zaskoczenia; dały o sobie znać wyniesione z gór nawyki. Tam o życiu lub śmierci często przesądzała jedna chwila zawahania. Nie zadawał żadnych pytań. Gwizdnął na palcach, rychło na pomoście zadudniły kroki kilkunastu ludzi. Sprawnie zaprzęgli foki, powskakiwali do chybotliwych dłubanek i wypłynęli na głębie, trzymając wysoko ponad głowami łuczywa. Inni już podsycali ogniska. Płomienie strzeliły wysoko, oświecając brzeg i spory szmat rzeki, ale Najdek nie poszedł ku nim, żeby się rozgrzać. Przycupnął u szczytu pomostu, starając się dostrzec cokolwiek na migotliwej powierzchni wody. Szalona radość po udanej ucieczce ostygła już w nim całkowicie. Właściwie wstydził się teraz, że tak późno zaczął troszczyć się o tamtych dwoje. Nie mógł przecież wcale być pewien, czy odnaleźli drogę ucieczki. Może wciąż oboje szamocą się w lepkiej pajęczynie mroku, gdzieś we wnętrzu góry, a może już przygniotły ich skały...

Klasnęła płetwa foki, jedna z dłubanek zbliżyła się do pomostu. Zamigotała czerwonym odbłaskiem kłamra pasa Cabaja. Najdek osłabł ze wzruszenia, lecz zaraz potem struchlało w nim serce, gdy przekonał się, że w łódce prócz odźwiernego i dwóch drwali nie ma nikogo więcej.

Pomógł kuternodze wydostać się na pomost i zaprowadził go na brzeg, do ognia. Cabaj był zziębnięty, wyczerpany i poobijany, ale wyglądało na to, że uniknął poważniejszych obrażeń. Wyparskał z nosa wodę, odsapnął parę razy, a gdy któryś z drwali wetknął mu w dłoń bukłaczek z winem, pociągnął tęgi łyk i rozejrzał się nieco przytomniej.

– Jeśli kiedyś jeszcze przyjdzie nam uciekać, nie zgadzam się na żadne twoje pomysły. – Odrzuciwszy do tyłu głowę, przytknął bukłaczek do warg.

Pił długo, potem mlasnął smakowicie. – Czuję wszystkie kości, nawet te, o których nie wiedziałem, że je mam.

Chciał napić się znowu, ale czujny Najdek złapał go za rękaw.

– Gdzie Zoja?

– Nie ma jej z tobą? – Odźwierny skrzywił się, jakby zły na siebie samego o to głupie pytanie. – Wyrwała mi się z rąk, jeszcze tam... – Kiwnął głową w stronę czarnego masywu Rogacza. Zerknął na drwali, którzy przysłuchiwali się rozmowie z odległości paru kroków, pochylił się do chłopca, ścisząc głos. – Nie pamiętam, co było potem, wszystko jakoś mi się zatraciło w tych paskudnych ciemnościach.

– Jeśli tobie się udało, to chyba jej też... – Najdek zamilkł na dłuższą chwilę i podniósł się powoli, spoglądając w stronę rzeki. – Dlaczego wracają?

Łodzie jedna po drugiej wpływały na rozplomienione światłem ognisk zakole rzeki, ludzie wyskakiwali do płytkiej wody, załśniły grzbiety wyprzęganych fok.

Najdek wybiegł im na spotkanie, rozkładając ramiona, jakby tym gestem chciał ich zatrzymać.

– Zaczekajcie! – krzyknął rozpaczliwie. – Była z nami jeszcze dziewczyna, taka jasnowłosa, trochę młodsza ode mnie... Trzeba jej szukać!

Mijali go bez słowa, a wielu nawet bez jednego spojrzenia. Dopiero ten, który pierwszy rozmawiał z nim tej nocy, przystanął, schylił się, nabrał w dłoń wody i ochlapał sobie twarz.

– To na nic, chłopcze – powiedział spokojnie. – Nie ma jej tutaj. Może utonęła, a może była zbyt słaba, żeby walczyć z prądem.

– Płynmy w dół rzeki, szybko!

– W nocy? To szaleństwo. Za zakolem jest wiele wystających skał i wirów. Żaden z drwali nie nadstawi karku... dla niej.

Odszedł za innymi, zostawiając na kamieniach mokre ślady. Szlochający z bezsilności Najdek obejrzał się na Cabaja, ale kuternoga siedział ze zwieszoną głową, ściskając pod pachą oklapły już mocno bukłak.

Chłopak zerwał się nagle do biegu, pokonał płyciznę, wskoczył na głębie i wypłynął poza zasięg poświaty ognisk. Czarna woda odbijała gwiazdy, które rozmazywały się we łzach.

Niespodziewanie z ciemności wyłoniła się bezszelestnie inna dłubanka, mniejsza i bardziej zwrotna od tamtych, pozbawiona zaprzęgu. Barczysty drwał wyciągnął w stronę chłopaka mokre wiosło.

– Właz. – Najdek poznał chropawy głos Wzdreği. – Wiem, gdzie ona jest.

Wszyscy drwale znali na pamięć kręty szlak wodny, który pozwalał przebyć ten niebezpieczny odcinek rzeki, ale tylko nieliczni odważyliby się na taki szaleńczy spływ w ciemnościach. Za zakolem wzmagął się niemilkący szum, spokojna dotąd powierzchnia zaczynała się pienić, białe grzbiety bystrzyn wślizgiwały się z sykiem między wyszczerzone zębiska skał. Wzdreğa paroma mocnymi pociągnięciami wiosła skierował łódkę prosto w najgorszą kipieli, gdzie nurt pęczniał w ciasnych przesmykach, hucząc, bulgocąc i plując rozbryzgami. Najdek zacisnął dłonie na obu burtach. Miał wrażenie, że raz po raz coś potężnie kopie od spodu w dno, podrzucając dziób albo rufę. Łódka ocierała się niemal o sterczące ponad wodę mokre zręby, które w świetle księżyca zdawały się pokryte szronem. Wzdreğa błyskawicznie zanurzał wiosło to z lewej, to z prawej strony, jakimś cudem utrzymując dłubankę pośrodku nurtu. Na Najdku cierpła skóra, gdy myślał o Zoi. Jeśli wzburzone fale naprawdę rzuciły ją tutaj, pomiędzy te chropawe kamienne żarna, trudno będzie odnaleźć po niej choćby strzępek sukienki.

Nagle drwał zrobił szerszy zamach wiosłem, łódka stanęła na mgnienie oka w poprzek prądu, zimna woda chlusnęła chłopcu w twarz. Nim otarł ją rękawem, zdał sobie sprawę, że kipieli uspokoiła się niespodziewanie, jak war w kociołku, który zdjęto z ognia.

Rozejrzał się, zdumiony. Poprzez szczelinę między skałami, niewiele szerszą od samej łódki, przedostali się z rwącego nurtu na maleńkie, ciche oczko wodne pośrodku rzeki, ze wszystkich stron osłonięte kamiennymi szańcami. Poszarpane grzbiety wznosiły się wysoko, tworząc coś w rodzaju przestronnej studni z jednym tylko wąskim pęknięciem, poza którym pieniał się żywioł.

– Nie da się tutaj wpłynąć zaprzęgiem, dlatego używam wiosła – wyjaśnił Wzdreğa, lekko tylko zasapany. – Tu zwykle zastawiam węćcierze na pstrągi. To dobre miejsce, nikt nie podbiera mi ryb.

Najdek w roztargnieniu skinął głową. Łowieckie tajemnice drwała nie ciekawiły go w tej chwili ani trochę.

– Dlaczego mnie tutaj zabrałeś?

Wzdręga wychylił się za burtę, złapał za skalny występ i przyciągnął łódkę do niemal pionowej ściany.

– Chodź za mną.

Wspiął się sprawnie niczym zwodnica, znikając po paru chwilach za górną krawędzią skały. Najdek wątpił, czy w ciemnościach, na mokrej skale poradzi sobie równie łatwo, ale gdy tylko natrafił palcami na wyżłobione w kamieniu zagłębienia, bez wahania ruszył w ślad za drwalem. Gdy znalazł się na górze, za włosy szarpnął go ostry, wilgotny wiatr. Znów głośniejsz zahuczała rzeka.

– Uważaj, tu jest mało miejsca. – Wzdręga chwycił go pod ramię i pomógł usiąść okrakiem na wydłużonym grzbiecie skały.

W dole wrzała pianą odnoga głównego nurtu. Kawalek dalej, o skok, wznosiło się następne skalne urwisko, jeszcze wyższe od tego, na które się wspięli. Najdek zadarł głowę – i gdyby drwał nie złapał go w porę za kołnierz, zsunąłby się w topiel.

Na szczycie spękanego urwiska, spuściwszy nogi w dół, siedziała Zoja. Była zwrócona twarzą w ich stronę, tak blisko, że musiała dostrzec przybyszów w tę jasną, księżycową noc, a jednak nawet nie drgnęła. Wydawało się, że patrzy gdzieś dalej, poza nich, gdzie gwiazdziste niebo stykało się na wschodzie z szerokim pasmem drzew u wejścia do doliny.

Zawołał ją po imieniu, niezbyt głośno, jakby w głębi ducha przeczuwał, że i tak nie usłyszy.

– Zostaw, nie odpowie – mruknął Wzdręga.

– Dlaczego? Co jej jest?

– Wypatrzyłem ją jeszcze w zakolu rzeki. Tonęła, nie mogła utrzymać głowy nad wodą. Nie zdążyłbym do niej, wyratowała ją jedna z naszych fok. Chyba Zoja wezwała ją na pomoc. Potrafi rozkazywać zwierzętom, jak wszystkie czarownice.

– Nie jest czarownicą!

– Ale zamierzała nią zostać. – Drwał wzruszył ramionami. Odezwał się z wolna dopiero po dłuższej chwili milczenia. – Nie pozwoliła focie płynąć do

brzegu, choć tam jest słaby prąd. Myślę, że nie chciała.

– I wcale jej się nie dziwię! – wybuchnął roztrzęsiony chłopak. – Pewnie bała się, że któryś z was da jej wiosłem po głowie!

– Gdybyśmy chcieli ją skrzywdzić, mogliśmy zrobić to dawno temu, w lesie, i to tak, że nikt o niczym by się nie dowiedział. Drwale potrafią milczeć.

– Gadanie! Baliście się zemsty starej wiedźmy.

– I tak mściła się na nas za każde ścięte drzewo. Mam ci wyliczyć, ilu naszych zginęło tylko w ostatnim roku? – Wzdreğa zawiesił głos, a gdy spokorniały nagle Najdek uciekł spojrzeniem w bok, dokończył nieco łagodniej: – Dziewczyna wybrała złą drogę. Najgorszą. Ale skoro teraz jest tutaj, a nie przy studni bez dna, to znaczy, że próbuje z niej zejść.

– Więc o studni też wiesz...

– Nikt nie zna gór lepiej od drwali. Wiemy nawet i to, że tej nocy czarownica wezwała demona, bo z wodospadem spłynęło do rzeki dużo czarnego, cuchnącego błota.

– Ona... chyba odeszła.

– Od dawna tego pragnęła, żyła już zbyt długo i była bardzo zmęczona, ale przed odejściem musiała zostawić przy studni wychowanicę. – Spojrzał teraz chłopcu prosto w oczy spod zbrudzonego, pozbawionego brwi czoła, które zajaśniało w sinym świetle. – Nie wiem, co tam właściwie zaszło. Coś tąpnęło we wnętrzu Rogacza, nawet tutaj trzęsła się ziemia. Domyślam się, że to dzięki tobie nie ma teraz w górach ani starej, ani młodej czarownicy. Żaden z drwali nigdy o tym nie zapomni. Mistrz rozkazał szukać cię wszędzie, ale pomożemy ci.

Najdek ledwie zwrócił uwagę na te rzadkie u Wzdreği słowa uznania.

– A Zoja? – zapytał szeptem. – Co z nią będzie?

Drwal namyślał się przez chwilę, jakby nie chciał powiedzieć ani jednego słowa za dużo lub za mało.

– Stara na pewno kazała spojrzeć jej w Otchłań – zaczął w końcu oględnie.

– Takie spojrzenie oznacza wyrzeczenie się opieki anioła stróża. Pozostawia na duszy cień. To początek przemiany w czarownicę. Na szczęście dziewczyna była w jaskini niedługo, no i odeszła z własnej woli, to bardzo ważne. Może będzie mogła żyć dalej jak inni ludzie. Przekonamy się.

– Kiedy?

– O świcie. – Głos Wzdreği stwardniał. Drwał dokończył szybko, jakby chciał mieć już tę rozmowę za sobą: – Musi przeżyć pierwszy wschód Słońca.

Najdek zrozumiał wreszcie, na co Zoja czeka i dlaczego wybrała to ustronne miejsce, z dala od ciekawskich spojrzeń. Dobrowolnie wystawiła się na próbę, którą zwykle stosowano wobec wszystkich kobiet oskarżonych o współdziałanie z demonami. Jedynie Słońce mogło przepędzić cień Otchłani, który przeniknął ją, gdy pochyliła się nad studnią – ale to samo Słońce musiałoby ją zgubić, gdyby okazało się, że jej omroczyła dusza nie potrafi już przyjąć Łaski.

– Jak mogę jej pomóc? – zapytał przybity.

– W niczym jej nie ulżysz, ale dobrze, żeby nie była sama, kiedy już będzie po wszystkim. Bez względu na to, jak wypadnie próba. – Przerzucił nogę ponad skalnym grzbietem na tę stronę, gdzie czekała łódka.

– Dokąd idziesz? Nie zostawiaj mnie!

– Pewnie nie chciałaby, żebym się temu przyglądał. Wrócę rankiem. – Zawahał się na mgnienie oka, potem odpiął od pasa pochwę z myśliwskim nożem i podał chłopcu. – Weź. Wiem, że marzyłeś o takim.

– Zawsze mówiłeś, że jestem na to za młody...

– Bo jesteś. Ale wdałeś się w bardzo brudne sprawy, może będziesz go potrzebował. Ja mam drugi, lepszy. I jeszcze to. – Wcisnął mu do ręki mu małe zwierciadełko. – Wsuń do wewnętrznej kieszonki w pasie, stamtąd na pewno ci nie wypadnie. Pamiętaj, bez tego żaden drwał nie rusza się z domu.

Zszedł w ciemną głębię. Gdy jego buty zastukały w dębance, chłopak zawołał jeszcze z cicha:

– Szukają nas strażnicy!

– Nie martw się o to. Drwale są pewni, że dziewczyna utonęła. Nikt oprócz mnie nie wie, gdzie jesteście. – Usadowił się, uniósł wiosło. – Ona pomogła mi wtedy w lesie, a ja bardzo nie lubię niespłaconych długów.

Przepchnięta przez szczelinę łódka zniknęła natychmiast, porwana spienionym prądem.

Najdkowi pozostało męczące, trudne do zniesienia oczekiwanie. Do świtu chyba nie pozostało już wiele czasu, ale obawa przed tym, co przyniesie poranek, rozwlekała każdą chwilę w nieskończoność. Choć Zoja siedziała tak blisko, czuł się całkiem samotny. Dziewczyna trwała w milczącym bezruchu, całkowicie skupiona na sobie, na swoim wewnętrznym cieniu, którego chciała się pozbyć. Nigdy wcześniej nie wydawała mu się tak obca, nawet wówczas, gdy się kłócili; był pewien, że gdyby teraz dotknął jej dłoni, nie wyczułby w niej ani odrobiny ciepła.

Nie zdążył osuszyć się przy ognisku drwali i teraz kostniał z zimna przy każdym podmuchu. Coraz trudniej było mu znieść bezczynne siedzenie okrakiem na twardej skale. Szczękał zębami, trząśił się, próbował zmieniać pozycję, lecz z każdą chwilą było tylko gorzej. Na domiar złego zaczęło ogarniać go zdradliwie odrętwienie, głowa coraz częściej opadała sennie na piersi. Przytomniał gwałtownie, spoglądał ze strachem w dół na wzburzone wody – gdyby zsunął się tam teraz, byłoby po nim. Dla dodania sobie otuchy wyśpiewywał pod nosem wszystkie niedorzeczne, dziecinne piosenki, jakie tylko przyszły mu na myśl. Bódl skałę piętami jak jeździec końskie boki, chuchał w dłonie. Księżyc zaszedł, zrobiło się bardzo ciemno, tylko gwiazdy iskrzyły się w mrocznych przestworzach. Prawie nie widział już Zoi; stała się tym, przed czym chciała uciec – czarnym zlodowaciałym cieniem.

A jednak gdy po pewnym czasie spojrzął znowu w tamtą stronę, dostrzegł jakąś zmianę, jakby pasterka wyprostowała nieco plecy, a może wyżej uniosła twarz; rozwiane kosmyki jasnych włosów tańczyły wokół jej głowy. Obejrzał się przez ramię. Nad wschodnim widnokretem rozszerzało się z wolna pasmo szarego brzasku. Ucieszył się, że to upiorne wyczekiwanie wreszcie dobiega końca, ale gdy zamierzał dodać dziewczynie otuchy, pojął nagle, jak niewiele w tej chwili znaczą słowa. Twarz stężała mu w wysiłonym uśmiechu, za którym ukrył, jak za maską, własny strach.

Coraz lepiej widział szeroko otwarte, nieruchome, jakby szklane oczy Zoi. Wpatrywała się w jutrzenkę bez najmniejszego drgnienia, bez mrugnięcia powieką; tylko napięta szyja i zaciśnięte szczęki zdradzały walkę, którą toczyła. Białka szybko nabiegły krwią, a źrenice rozszerzyły się bardzo, niczym u kocura. W chwili gdy z zamglonych dali wytrysnęły pierwsze

promienie Słońca, stęknęła głucho, z głębi trzewi, i raz pierwszy zachwiała się wyraźnie, chwytając palcami krawędź urwiska.

Najdek z trudem podciągnął zdrtwiałe nogi, gotów skoczyć jej na pomoc, gdyby zsunęła się ze skały. Nie chciał patrzeć na to, co się stanie, ale jednocześnie nie potrafił oderwać od niej wzroku. Wydawało mu się, że te jej ogromne, czarne źrenice są teraz żywymi studniami Otchłani, od których nie ma ucieczki. Wschodzące Słońce iskrzyło na ich powierzchni, ale nie przenikało głębiej, nie rozpraszało cienia, który zalegał na ich dnie.

Z kącików oczu popłynęły dwie wielkie krople krwi, pozostawiły wzdłuż nosa czerwone ślady i zawisły na zbielejącej górnej wardze; po chwili wezbrały kolejne, szybko pokrywając policzki, podbródek i szyję krętymi strużkami czerwieni. Obrzękłe gałki oczne przestały mieścić się w swoich łożyskach, źrenice zdawały się tętnić, chwilami uciekały gdzieś w górę, chowając się pod rozepchane powieki – i wtedy Zoja wyglądała jak prawdziwa czarownica.

Słońce wzniosło się już pełnią tarczy ponad widnokrąg, oczy dziewczyny podwajały jego płomienne odbicie. Krew trysnęła teraz jeszcze obficie, puściła się także z uszu i z nosa; źrenice zrobiły się wypukłe niczym dwa czarne guziczki. Zoja krzyknęła tak przeraźliwie, że półprzytomny chłopak poderwał się na nogi, z trudem utrzymując równowagę na wąskim kamiennym grzbiecie.

Było tak, jakby zagęszczona w oczach dziewczyny ciemność przygasiła słoneczne rozbłyski na wodzie i skale, owinęła się wokół jej głowy czarnym welonem, a potem załopotiała mrocznym skrzydłem, uniosła się niczym burzowa chmura i rozwiała bez śladu pod jasnym niebem.

Najdek zobaczył skrwawioną twarz Zoi, zaciśnięte kurczowo powieki i odsłonięte w cierpieniu zęby. Głowa chwiała się bezwładnie, całe ciało coraz mocniej pochylało naprzód, nad kipiel.

Skoczył bez namysłu. Zdołał zarzucić ramiona na skałę i zaparł się czubkami butów w urwisko. Podciągnął się szybko, przerzucił prawą nogę i niemal w ostatniej chwili złapał Zoję za włosy, mocno szarpiąc w tył.

Gdy spojrzał z bliska w jej twarz, płakała już zwyczajnymi, czystymi łzami, które przeciskały się przez sklezione krwią rzęsy. Łkała coraz gwałtowniej, ale Najdek czuł, że to dobry płacz, który wymywa z duszy popioły strachu i

zwątpienia, dlatego nie starał się go powstrzymać. Ostrożnie ujął jej dłoń i czekał cierpliwie, aż się uspokoi, popatrując od czasu do czasu na rozmazane w otoczce mgiełki Słońce.

W końcu Zoja ucichła, rąbkiem sukienki wytarła nos i bardzo delikatnie, samymi koniuszkami palców dotknęła wciąż jeszcze opuszczonych, zaczerwienionych powiek. Drgnęła, syknęła cicho; musiało zabołec.

– Możesz otworzyć oczy? – zapytał z niepokojem.

Poruszyła brwiami i przechyliła nieco głowę. Wargi, do których przyschła krew, rozciągnęła w nikłym uśmiechu.

– Pewnie... Tylko boję się, czy nadal będą ci się podobały.

Zwyczajna, dziecięca radość połaskotała go w gardle. Wreszcie poczuł, że to znowu ona, taka sama, jaką poznał wiosną.

– Zrób to.

Spojrzał w jej ogromne, rozszerzone, czarne źrenice, pozbawione teraz całkowicie piwnej obwódki. Przez chwilę ogarnął go ten sam strach, który zawładnął nim wówczas, kiedy stanął na krawędzi studni bez dna – lecz zapanował nad nim.

– Aż tak źle? – Onieśmielona jego milczeniem, opuściła rzęsy.

– Nie, po prostu inaczej, ale przyzwyczaję się – odpowiedział szybko.

– Teraz będziesz musiał mnie trochę niańczyć, na jakiś czas oślepiam.

– Ale... to minie, prawda?

– Powinno.

Odetchnął z ulgą; uderzył dłonią w udo, aż echo poniosło się między skałami.

– Udało się, rozumiesz? Jesteśmy wolni. Już nikt nigdy nie będzie nam mówił, jak żyć.

Wsparała lekko skroń na jego ramieniu, uchylając jednocześnie twarz od słońca.

– A ty wiesz jak?

– Wszystko jedno. Byle razem.

– Razem... Ja uwolniłam się od czarownicy. Ale czy ty uwolniłeś się od pustelnika?

Najdek wzdrygnął się. Namacał pod koszulą na piersi wypukłość zawieszoną w woreczku na rzemieniu diamentu. Zrobiło mu się wstyd, że

tak zupełnie o nim zapomniał, nie sprawdził nawet, czy nie zgubił go w podziemnym strumieniu albo w rzece.

Zaraz potem poczuł żal.

– Nie powinnaś tak mówić. On był... To co innego.

– Czy to znaczy, że już zawsze będzie dla ciebie najważniejszy?

– Zoja!

– I zawsze będziesz musiał żyć tak, jak ci kazał?

– Przestań!

– Mogę nie mówić tego, co myślę, ale to niczego nie zmieni. Wiem od czarownicy, jak to z nim teraz jest. Nie pomożesz mu dostać się do Niebios, dobrze będzie, jeśli uchronisz go przed Otchłanią. Do końca życia będziesz musiał pilnować, żeby ktoś nie dobrał się do Łaski.

– Upilnuję.

– Być może, chociaż to będzie trudne, na pewno znajdzie się na nią wielu chętnych. Ale czy pomyślałeś, jak będzie wyglądać takie życie? Nigdy nie będziesz mógł mieszkać dłużej w jednym miejscu. Nikomu nie będziesz mógł zaufać, więc nigdy nie zdobędziesz przyjaciół. W drodze zawsze będziesz oglądać się przez ramię. A najgorsze, że wszystkie twoje starania i tak w końcu pójdą na marne, bo kiedyś przecież zestarzejesz się i umrzesz, a Łaska zostanie bez opieki. – Uśmiechnęła się smutno. – Niestety, mój drogi. Ta historia nie może mieć szczęśliwego zakończenia.

Najdek nie słuchał już jej ostatnich słów. Pobladły patrzył w stronę brzegu, gdzie na niewysokiej w tym miejscu skarpie ukazał się jeden ze strażników, który osłoniwszy dłonią oczy przed ukośnymi promieniami słońca, przyglądał im się uważnie.

– Już nas znaleźli... – jęknął. – Jest tylko jeden, ale zaraz pewnie wezwie resztę.

Strażnik sięgnął po zawieszony na szyi gwizdek, ale zanim przytknął go do warg, z tyłu śmignął szary cień i zwałił mu się na kark.

– Wilk! – zawołał Najdek. Nie mógł wprawdzie z tej odległości rozpoznać nieoczekiwanego pomocnika, ale wiedział, że żaden z wioskowych psów nie rzuciłby się na uzbrojonego człowieka.

Strażnik upadł na kolana, zerwany z rzemienia gwizdek śmignął w słońcu i potoczył się po trawie. Mężczyzna szamotał się przez chwilę z psem,

próbował zrzucić go z pleców, ale wreszcie wyrwał z przytroczonej do boku pochwy długi nóż i zadał cios na osłep. Wydawało się, że chybił, bo Wilk nawet nie zaskomlał, jednak zaraz potem na kamieniste zbocze skarpy bluznęła krew. Strażnik podniósł się, ale zrobił to zbyt szybko i ciężar psa, który nie wypuścił z pyska kołnierza płaszcza, wytrącił go z równowagi. Zachwiał się, bezradnie rozrzucił ramiona i runął z urwiska na brzeg.

– Spadł, leży! – krzyknął przejęty Najdek. – Nie, czekaj, wstaje... Nie daje rady! Chyba złamał nogę. Zgubił gwizdek, tamci nie usłyszą wołania. Zanim go tu znajdą, minie trochę czasu.

– Co z Wilkiem? – zapytała Zoja bezbarwnym głosem.

Najdek patrzył w milczeniu na nieruchome, skrwawione truchło u podnóża skarpy, aż wreszcie pasterka skinieniem głowy przyjęła tę ciszę za odpowiedź.

– Teraz już naprawdę nie mam po co wracać w góry. – Ramiona jej zadrżały, ale zaraz mocno zacisnęła usta; przy kącikach ust wystąpiły dwie głębokie bruzdy.

Duża krypa tak cicho podpłynęła od drugiej strony, że Najdek obejrzał się dopiero wówczas, gdy otarła się o skałę.

Wzdrgęła mocno ściągnął wodze, zmuszając do posłuchu dwójkę zaprzężonych fok, które bardzo niechętnie zboczyły z głównego nurtu ku niebezpiecznym mieliznom. Owinięty w kozuch Cabaj siedział naburmuszony, wysapując gniew w lepkie od wina wąsy.

– Czego się gapisz? – warknął. – Bierz pannę pod pachę i złaź. Trzeba się śpieszyć. W przysiółku i we wsi pełno strażników. Wszyscy wściekli jak osy za te pijawce, które napuściłeś na nich w górach. Jeśli was złapią, nie wiem, czy odstawią całych do klasztoru.

6

Pierwsze godziny spływu były najtrudniejsze. Rwąca rzeka raz po raz bieliła się wezbraną pianą na kamiennych przełomach, zimne fale, sycząc, wdzierały się na krypę, dno chrobotło na skałach. Wzdrenga stał w szerokim rozkroku, czujnie wpatrzony w grzbiety fok, często niknące w topieli; wspierał się na długiej żerdzi, którą od czasu do czasu wyciągał daleko przed siebie, aby zaostrzoną końcówką kłuć ich gruboskóre karki. Nie musiał tego robić często; dobrze ułożony zaprzęg sprawnie przeprowadzał krypę między wystającymi z nurtu zrębami, omijał żwirowe mielizny, a gdy trzeba było, spowalniał spływ na zbyt gwałtownym prądzie. Mimo to krypa chwiała się mocno i podskakiwała na bystrzynach, poobijane burty skrzypiały złowieszczo.

Najdek z początku starał się uchronić Zoję przed wodnymi rozbryzgami, które siekły ze wszystkich stron, ale mimo jego wysiłków dziewczyna zupełnie przemokła. Leżała skulona pośrodku krypy, trzęsąc się z zimna. Przy gwałtowniejszych przechyłach jej głowa obijała się o deski. Pierwszy po wyjściu z jaskini poranek odebrał jej tak wiele sił, że nie była nawet w stanie odpowiedzieć uśmiechem na troskliwość Najdka. Rysy jej twarzy wyostrzyły się, zaciśnięte usta posiniały, oczy zapadły się głęboko. Mogło się wydawać, że już teraz, u progu życia, odcisnęła na niej swoje piętno starość.

Łańcuch górski stopniowo zbłękitniał w oddaleniu, urwiste brzegi wypłaszczyły się, szersza i głębsza toń pokryła skały. Niebawem nurt złagodniał, szum ucichł, czasem tylko jakaś zabłąkana fala klasnęła pod tratwą. Wzdrenga rzucił żerdź pod burte, podniósł głowę i z trzaskiem przeciągnął ramiona.

– Teraz już będzie spokojnie – zapowiedział.

Cabaj wstał, przykuśtykał na tył krypy i podparłszy się pod boki, patrzył przez długą chwilę w zamgloną wodnym oparem dal.

– Może pomyślą, że z Rogacza nie uszedł nikt żywy i nie będą nas ścigać – odezwał się końcu, ale jakoś bez przekonania.

Najdek pomógł Zoi obrócić się na plecy, aby słońce szybciej osuszyło ją i ogrzało. Oczy wciąż ją piekły i łzawiły, więc położył na zaczerwienionych powiekach wilgotną szmatkę. Zaczął rozcierać jej zgrabiące dłonie.

– Nie pomyślą tak. – Potrząsnął głową. – Jeden ze strażników widział nas na skale.

– Aj! To gorzej. – Odźwierny schylił się po żerdź. – Trzeba skłuć foki, coś leniwie machają płetwami.

– Nie rusz! – zabronił Wzdrenga twardo.

Zaskoczony kuternoga parsknął gniewnie, ale usłuchał.

– W porządku, sam je popędzaj, jeśli ja nie jestem godzien tego zaszczytu.

– Niech odpoczną.

– Nie mamy czasu na odpoczynek! Strażnicy na pewno ruszą w pościg.

– W górnym biegu rzeki będą potrzebowali wypróbowanego zaprzęgu i doświadczonego flisaka. Dawno nie padało, woda jest płytka.

– Zaprzęg wezmą bez pytania, a flisaka przymuszą.

– Jeśli tak zrobią, utkną na pierwszych skałach. My w przysiółku bardzo nie lubimy słuchać rozkazów.

– Właśnie widzę – zauważył Cabaj zgryźliwie. – Ale za to kochacie pieniądze, a Mistrz zapłaci każdą cenę, żeby zdobyć Łaskę. Na pewno któryś z waszych się połasi.

– W klasztorze nie tak szybko domyślą się, że jakiś drwal mógłby pomóc czarownicy w ucieczce. Najpierw stracą dużo czasu na przeszukanie obu brzegów.

– Ona nie jest czarownicą – wtrącił szybko Najdek.

– Dla nich jest. A kiedy przekonają się, że zniknęliście także wy dwaj, uznają was za sługi demonów. Takich wieszka się bez sądu.

– Czy twoim zdaniem to nie jest wystarczająco dobry powód, żeby się śpieszyć? – Cabaj kilkakrotnie obejrzał się to przez lewe, to przez prawe ramię.

– Kiedy foki padną z wyczerpania, będziesz musiał śpieszyć się dalej na własnych nogach, a wtedy daleko nie uciekniesz. – Wzdrenga potarł pięścią krzywy nochal. – Jeśli mam dowieźć was żywych do Przymorza, musicie mi zaufać.

Zasilana wodami krótkich podgórszych dopływów rzeka rozlewała się coraz szerzej, w gęstych szuwarach na obu brzegach kwiliły ptaki,

skrzydełka wielkich wazek błyskały w promieniach zachodzącego słońca. Utrudzone foki parskały raz po raz, czasem któraś usiłowała zboczyć ku jednej z licznych wioszek rybackich, których pomosty mijali po drodze, ale wówczas przenikliwy gwizd Wzdreği przywoływał je do porządku. Wreszcie i Cabaj zaczął niecierpliwie spojierać na boki, gdzie wznoszące się ku pogodnemu niebu dymy zwiastowały bliską wieczerzę.

– Czas byłby na popas – rzucił w powietrze, niby do nikogo, ale jednak na tyle głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć.

Zoja drzemała, Najdek skulił się obok niej, a zapatrzony w migocące w dali na wodzie świetlne plamki Wzdreğa nawet się nie poruszył.

– Hola! Czy tylko mój żołądek ćwierka o zmiłowanie? – Cabaj wstał gwałtownie, aż zachwiała się krypa, wskazał na ogołoconą z sitowia zatoczkę z niewielką przystanią. – Zatrzymajmy się choćby tam. Rybacy nie odmawiają gościny nikomu, kogo przynosi rzeka.

Wzdreğa z wolna pokręcił głową, wciąż patrząc prosto przed siebie.

– Nie wyjdziemy na brzeg, nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi. Z daleka nie widać, kto jest na tratwie.

– Co to ma znaczyć? Przecież nie dopłyniemy do samego Przymorza bez dobijania do brzegu!

– Dopłyniemy, jeśli tylko będziemy ostrożni i dopisze nam trochę szczęścia. – Wyciągnął rękę. – Dziś zanocujemy tam.

Pośród czerwonych błysków na rzece ukazała się w oddali jakaś ciemna plamka, która po paru chwilach zmieniła się w małą, porośniętą krzewami wysepkę. Foki zapluskały żwawiej, jakby znały już to miejsce. Nieukontentowany Cabaj narzekał mrukiwie, lecz gdy przód krypy zarył się w muliste dno, pierwszy wyskoczył na płyciznę i pokuśtykał do osamotnionej pośród fal kępy. Wzdreğa przeniósł Zoję na rękach, Najdek troskliwie podtrzymywał jej głowę. Foki nie wygramoliły się na brzeg, obie zanurkowały w głębie.

Całą wysepkę można było obejść w kilkadziesiąt kroków; prócz ciernistych zarośli rosła tu tylko pokrzywiona brzoźka i parę krzaków ostrężyn.

– Byli tu już przed nami jacyś inni dziwacy, którym duszno pod dachem. – Odźwierny rozgrzebał drewnianą nogą zastarzałe popielisko obłożone kamieniami.

– To ślad po pielgrzymach. Mieli swoje powody, żeby nie pchać się ludziom w oczy – wyjaśnił Wzdrenga.

– Jasne... Wyobrażam sobie, jak obłowiliście się na przemyście ludzi aż do samego Rogacza. Ciężko chory człowiek zapłaci każdą cenę już za samą nadzieję uzdrowienia. Tfu! – splunął z pogardą. – Umiecie zarabiać na ludzkim nieszczęściu.

Wzdrenga nie rozgniewał się, wzruszył tylko ramionami.

– Ja nigdy nie brałem się do tego, przed nikim nie musiałem się ukrywać. Aż do teraz.

Odźwierny zmieszał się nieco, ale tylko na chwilę; bulgotanie w kiszki natychmiast przywróciło mu trzeźwy osąd.

– Mam nadzieję, że pomyślałeś też o posiłku.

Niedaleko od wysepki na powierzchni wody zakipiała chmura powietrznych pęcherzyków, zaraz potem ukazał się obły łeb foki z rybą drgającą w wąsatym pysku.

– Póki trzymamy się rzeki, nie zginiemy z głodu. – Drwał wszedł po kolana w wodę, chwycił rybę za ogon i rzucił na brzeg. Obok wynurzyła się tymczasem druga foka ze zdobyczą w zębach.

– Wreszcie zaczynasz mówić rozsądnie. – Cabaj przydeptał butem podrygującą na kamieniach rybę. – Najlepiej będzie smakować upieczona w żarze.

– Żadnego ognia! – Wzdrenga zebrał cały połów i cichym cmoknięciem zezwolił fokom, aby pomyślały teraz o sobie. – Nikt nie może o nas wiedzieć.

– Nie jestem dzikusiem, żeby łykać rybę na surowo!

– Na jakiś czas musisz zapomnieć o klasztornej kuchni. Jak nie chcesz ryby, narwij sobie ostrężyn.

Odźwierny, który mimo kłótliwego na ogół usposobienia rzadko bywał skłonny do rozstrzygania sporów siłą, tym razem poczerwieniał gwałtownie i podniósł zaciśnięte pięści. Potężny Wzdrenga poradziłby sobie zapewne z nim łatwo – na szczęście nim doszło do starcia, ostudził obu rozpaczliwy krzyk Najdka:

– Przestańcie! Z Zoją gorzej...

Obstąpili splachetek lichej trawy, gdzie przykryta kozuchem leżała dziewczyna. Nie spała już, ale chyba nie odzyskała w pełni świadomości. Zdarła z oczu okład i wykręcając szyję, starała się obrócić twarz w stronę zachodniego brzegu, gdzie nad polami i łąkami zaczynały już gasnąć wieczorne zorze. Oddychała ciężko, osadzone w krwawych białkach źrenice raz po raz uciekały gdzieś w górę.

– Nie chcę... – załkała bezradnie. – Boję się.

Cabaj pochylił się i dotknął wierzchem dłoni jej wilgotnego czoła, w zatroskaniu przygryzł wąsa.

– Ma gorączkę. Nie posłużyły jej te wszystkie harce.

– Czy to coś groźnego? – zapytał przestraszony Najdek.

– Nie wiem, mały, ale nie wygląda to dobrze. Powinna leżeć w suchej izbie, przy ogniu.

Zoja poruszyła szerniałymi, spieczonymi wargami, ale nie zdołała już powiedzieć ani słowa, jęknęła tylko boleśnie. Wierciła się, wierzgała, próbowała nawet siadać, ale była na to zbyt słaba. Najdek uklęknął przy niej, żeby poprawić kozuch. Pomyślał o tamtej strasznej nocy, którą spędził przy legowisku dogorywającego pustelnika, poczuł spływające po plecach kropelki chłodnego potu.

– Płynmy do wsi. Niech się dzieje, co chce, ona musi wyzdrowieć!

Siwowłosy drwal wyciągnął nóż i spokojnie zaczął oprawiać ryby, korzystając z resztek słonecznego światła.

– Tam jej nie pomogą – odpowiedział wreszcie po nieznośnie długiej chwili milczenia. – Nawet nie wpuszczą jej za próg.

– Dlaczego? Jeśli będzie trzeba, odpracuję gościnę.

– Dla takiej jak ona za żadne skarby nie kupisz ludzkiej życzliwości.

– Przecież nikt jej tu nie zna.

– Każdy, kto spojrzy jej w oczy, dostrzeże w nich odbicie Otchłani. Tego się nie da ukryć. – Zgarnął odcięte rybnie łby i rzucił do ciemniejącej wody, ponad którą jarzyły się ślepie fok; zakotłowało się tam krótko, potem znowu zapadła cisza. – Ale nie martw się, gorączka jej nie zabije. Ona w ogóle nie jest chora. Cierpi, bo zachodzi już Słońce, a noc przypomina jej Otchłani. Na to nic nie możesz poradzić.

– Mówiłem, żeby rozpalić ogień – wtrącił Cabaj.

– To nic nie da, płomień nie zastąpi słonecznej Łaski, za to wzbudzi ciekawość na obu brzegach. Dziewczyna musi wytrzymać, każdej kolejnej nocy powinno być trochę lepiej.

Czerwone łuny nad widnokregiem rychło zblakły i zgasły. Zoja wyprężyła się pod kożuchem, zaszlochała poprzez kurczowo zaciśnięte zęby, a w końcu ucichła tak niespodziewanie, że przestraszony Najdek pochylił się nad nią, żeby sprawdzić, czy oddycha.

Rozpaczliwym ruchem topielca złapała go za kark, poczuł ciepło bijące od jej twarzy.

– Tak ciemno, tak ciemno... – wyszeptała nagle przytomnie.

– Latem noce są krótkie... – usiłował pocieszyć ją, jak potrafił, lecz zamknęła jego usta rozpaloną dłonią.

– To we mnie jest ciemno i pusto. Zapadam się do środka... Rozumiesz? Znikam.

– Nie znikasz, jesteś tutaj, przy mnie! Spokojnie, za parę godzin znowu będzie dzień.

– Słońce pomoże tylko na chwilę... Jestem teraz jak przydymione lustro, w którym nie odbija się światło.

– Coś na to poradzimy, tylko wytrzymaj jeszcze trochę!

Nie odpowiedziała, znowu odpłynęła gdzieś w mroczne bezkresy.

Tej nocy Najdek nie położył się ani na chwilę. Truchlał ze strachu, słuchając jęków Zoi, ścisnął w dłoniach jej głowę, gdy miotła się nieprzytomnie, a kiedy chwilami uspokajała się nieco, rozgniewał w palcach ostrzeżyny i wcierał miąższ w jej zaskorupiałe wargi. Sam nic nie zjadł, choć Cabaj położył przy nim na kawałku kory wypatroszoną rybę. Napięty wewnątrz, czujny na każde westchnienie pasterki, niecierpliwie wyglądał na wschodzie pierwszych oznak zbawiennego brzasku.

W najciemniejszej porze nocy, gdy zaszedł już księżyc, a gwiazdy zasnuł opar, dziewczyna odepchnęła go nagle z niespodziewaną siłą, usiadła i zaczęła krzyczeć rozdzierająco, aż drzemiący nieopodal Wzdrega z Cabajem poderwali się na nogi.

Najdek chciał uspokoić ją jakoś, po omacku wyciągnął rękę, lecz cofnął ją zaraz ze zgrozą. Skóra jej twarzy, jeszcze przed chwilą rozpalona gorączką i lepka od potu, teraz była zimna jak lód. Rozedrgany, przeraźliwy krzyk nie

milkł ani na chwilę, nawet dla nabrania oddechu. Trudno było uwierzyć, że wątle płuca Zoi są zdolne do tak nadludzkiego wysiłku.

Odźwierny szybko rozniecił ogień – ich obecność na wysepce i tak przestała już być tajemnicą dla rybaków z okolicznych wiosek, wrzask niósł się na pewno daleko po wodzie. Zbliżył do dziewczyny płonącej wiecheć suchej trawy, lecz prawie natychmiast wypuścił go z drżącej dłoni.

To, co zobaczyli w krótkiej chwili jasności, zmroziło ich zgrozą.

Usta Zoi były tak szeroko otwarte, że cała twarz wydawała się przez to nienaturalnie rozciągnięta; wywinęte wargi odsłaniały biel zębów. Źrenice całkiem obróciły się do wewnątrz, w mrok. Na szyi, na czole i ramionach wybrzuszyły się pręgi żył. U nosa rosły dwa krwawe bąble, pękały i zaraz tworzyły się nowe.

Nie zdążyli ochłonąć z przestachu, na kamieniach żarzyły się jeszcze rozsypane żdźbła, gdy krzyk Zoi nagle zmienił się. Nie ucichł zwyczajnie, ale zaczął jakby oddalać się powoli albo zapadać w głąb. Jednocześnie rozszczepiał się na wiele odrębnych głosów, z których każdy wyrażał swoją własną rozpacz.

Najdek zrozumiał, że musi natychmiast wyrwać Zoję z tej zachłannej ciemności, która wciągała ją niczym wir – albo utraci ją na zawsze. Przypadł do niej i mimo lęku mocno przycisnął do siebie. Chłód przeniknął go na wskroś, nie wyczuwał w niej nawet tętna, tylko wibrowanie krzyku, coraz to słabsze i odleglejsze.

– Zostań ze mną! – zawołał. Zwarł ramiona tak mocno, że gdyby zechciała wreszcie zaczerpnąć oddechu, nie mogłaby tego zrobić.

Szarpnęła się, wyprężyła, ale nie puścił jej. Zamierający krzyk rozpadał się na nieskładne brzęczenia. W chwili największego zwątpienia poczuł raptem, że coś uwiera go między żebrami – diament zaczął promieniować na nich oboje swoim łagodnym ciepłem.

Zoja zadrżała, ucichła; jej głowa bezwładnie opadła mu na ramię.

Gdy nadrzeczny opar prześwietlił ranek, wciąż jeszcze tak siedzieli, wtuleni w siebie, na wpół śpiący, otepiali z wyczerpania.

Wyplłynęli, zanim jeszcze podniosły się mgły. Zziębnięci poczłapali do krypy i przycupnęli w wilgotnych ubraniach, które bez ognia nie obeschły

przez noc. Wzdreęga wszedł po pas w wodę, gwizdnięciem przywołał foki i zaprzął.

– Wczoraj tak bardzo je oszczędzałeś, a dzisiaj znów każesz im ciągnąć? – Cabaj, choć udawał obojętność, pilnie zważał na każdy ruch drwala. – Skoro się nie śpieszymy, puść je luzem, popłyniemy z nurtem.

– Prosiłem, żebyś się nie wtrącał. – Wzdreęga usiadł na przedzie krypy, skrzyżował nogi i oparł żerdź na kolanach.

– Nie spodziewałem się, że aż tak marny z ciebie flisak!

Drwal klasnął w dłonie, liny naprężyły się od razu, szarpnięta krypa zsunęła się z płycizny i zakołysała na drobnej fali.

– Mówią o tobie, że za młodu poznałeś ocean – odpowiedział po chwili. – Nie mam powodu, żeby temu nie wierzyć, ale teraz jesteśmy na rzece, a to jest mój zaprzęg. Jeśli nie podoba ci się ta podróż, przy pierwszej okazji wysadzę cię na ląd.

Cabaj wywarczał przekleństwo, ale zgryzł kolejne przez wzgląd na Zoję. Umościł się na przeciwnym krańcu krypy i pograżył w nabrzmiętym urażą milczeniu.

Do Najdka kłótliwie głosy tamtych dotarły mocno przytłumione, jakby miał wodę w uszach. Szumiało mu w głowie, bolały wszystkie stawy i piekły opuchnięte powieki. Miał wrażenie, że ostatnia noc nie pierzchła przed słonecznym światłem jak każda inna, lecz przytaiła się tylko gdzieś na krótko, gotowa w każdej chwili znowu rozlać się czernią po niebie. Odczuwał jej zimne tchnienie, zwłaszcza gdy przymykał oczy, dlatego ze wszystkich sił walczył z napływającymi falami senności.

Zoja wydawała się najspokojniejsza z całej czwórki. Mimo całonocnej udręki nie spała; leżała zmizerowana, bardzo blada, ze śladami krwi przyschniętymi w kącikach ust. Choć nie odzyskała jeszcze wzroku, często zwracała oczy w stronę bladego kręgu Słońca, bezbłędnie odnajdując go nawet za zasłoną chmur.

Niebawem między pasmami mgły zaczęły przemykać pierwsze łódki, jednak ciekawscy zwykle rybacy tym razem nie podpływali bliżej. Trzymali się blisko brzegów, jakby chcieli mieć pewność, że w każdej chwili mogą schronić się w gęstwie sitowia. Żaden nie pozdrowił podróżnych okrzykiem

czy uniesieniem ręki, jak było w zwyczaju; słyhać było tylko plusk wiosła, ptasi świergot i odległe skrzypienie studziennych żurawi.

– Chyba nie spodobały im się te nocne wrzaski. – Cabaj rzucał na boki niechętnie spojrzenia.

Jednak gdy pozostawili już wysepkę daleko z tyłu, ludzie nie traktowali ich już tak podejrzliwie; prostowali zgięte nad sieciami karki, żeby wymienić z Wzdregą parę uwag o pogodzie albo o połowach. Cabaj zdołał nawet dobić z jednym z nich szybkiego targu, płacąc wygórowaną cenę za kilka czerstwych placków i bukłak dość podłego wina. Oprócz małych rybackich dłubanek wiosłowych coraz częściej napotykali ciężkie kupieckie statki, obładowane wszelkim towarem, niezgrabne promy, ciągnięte przez zabiedzone foki, a czasem przepływających się wierzchem z jednego brzegu na drugi wieśniaków. Z obu stron robiło się coraz ludniej; byle jak sklecone pomosty, na wpół ukryte w szuwarach, zastępowały kamienne nabrzeża, nad którymi wznosiły się wielkie szopy do składowania towaru, wędzarnie i pstre budy straganiarzy. Z rzadka widać jeszcze było kryte sitowiem drewniane chaty, na ogół stare i murszejące, częściej w wodzie odbijały się teraz czerwone dachy murowanych domów. Choć rzeka potężniała, wciąż wchłaniając kolejne dopływy, ruch był tak ożywiony, że Wzdrega musiał bardzo uważać, aby nie doszło do splątania zaprzęgów. W takich wypadkach foki zwykle gryzły się, kwicząc przeraźliwie i bijąc płetwami pianę, a flisacy klęli albo nawet okładali się nawzajem żerdziami. Podobne zamieszanie z pewnością ściągnęłoby na nich powszechną ciekawość, a tego przecież najbardziej chcieli uniknąć.

Cabaj przysunął się do Najdka, ruchem głowy wskazał Wzdregę.

– Trzeba mu przyznać, że nieźle radzi sobie z zaprzęgiem – zagadnął z cicha. – Czasem jedną fokę trudno okiełznać, a co dopiero parę.

Na Najdku poczynania drwala nie wywarły aż tak wielkiego wrażenia – zapewne dlatego, że ani przez chwilę nie wątpił w jego umiejętności. O wiele bardziej zajmowało go to wszystko, co działo się wokół; wielki, gwarny, zadziwiający świat, o którym marzył od lat, był teraz na wyciągnięcie ręki. Wobec takiego natłoku nowych wrażeń pierzchały troski, bladły cienie nocnych strachów.

– Żeby tak zejść choć na chwilę na którąś z tych przystani... – westchnął.

– Nie miałbym nic przeciwko temu. Znam z dawnych czasów parę nadrzecznych gospód, gdzie nie dolewają wody do wina i tanio można kupić skłusowaną dziczyznę. – Rozmarzył się, jednak zaraz machnął ręką. – Niestety, twój uparty przyjaciel woli wieczerzać z fokami.

– Na pewno wie, co robi. – Chłopak ujął się za Wzdregą, ale nie przestawał wodzić po brzegu tęsknym spojrzeniem.

– Może to i lepiej. Na moje oko całkiem zdziczał w górach. Chyba nie wie nawet, do czego służy łóżko, do czego stół, a do czego wygodka. Narobiłby nam tylko wstydu między ludźmi.

– Nie mów tak o nim!

– Mogę nie mówić, ale to niczego nie zmieni. Nawet w klasztornej ciemnicy karmią lepiej.

Drwał, który przedtem wydawał się całkowicie pochłonięty prowadzeniem krypy, naraz podniósł głowę, przytrzymał żerdź pod pachą i osłoniwszy przedramieniem oczy, zapatrzył się w dół rzeki.

– Nic straconego – rzucił za siebie niegłośno. – Możliwe, że ciemnica jednak cię nie minie.

Urażony Cabaj wydał wargi.

– Drwale, jak się okazuje, nie tylko mają łapy jak niedźwiedzie, ale i uszy jak nietoperze... – Urwał i podniósł się z wolna, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co miał na myśli Wzdrega. – Przecież zapewniałeś, że pościg jest daleko z tyłu!

– Dlatego powinniśmy uważać na to, co z przodu. – Wskazał przed siebie ostrzem żerdzi. – Tam dalej, na prawym brzegu, jest klasztor.

Teraz i odźwierny dostrzegł przysadzistą wieżę, która wznosiła się na urwistej skarpie, gdzie rzeka skręcała łagodnym łukiem.

– Prawda, pamiętam to miejsce... – Z namysłem skinął głową. – Nie mieli tam żadnych relikwii, pielgrzymów niewielu, Mistrz chyba nie bardzo uczony ani świątobliwy, więc bywało tam raczej biednie. Nigdy nie uskładali nawet pełnego chóru, kadzidło palili tylko w największe święta. – Zmrużył lekko oczy, przenosząc spojrzenie na drwala. – Czemu sądzisz, że powinniśmy się ich obawiać?

– Z wieży mają bardzo dobry widok na rzekę.

– Każdego dnia przepływają tamtędy setki łodzi, tratw, kryp i skut! Nie rozumiem, czemu mieliby zaczepiać właśnie nas.

– Bo wieści o nas mogły dotrzeć tutaj przed nami.

– Jakim cudem?

– Na skrzydłach.

Nad klasztorem wzbiło się w powietrze kilkanaście czarnych kropek; zatoczyły koło ponad stromym brzegiem i osiadły z powrotem na dachu wieży. Cabaj aż zachwiał się z wrażenia, jednym spojrzeniem ogarnął spory szmat nieba.

– Prawda, gołębie... Myślisz, że Mistrz uprzedził miejscowych, żeby nas wypatrywali?

– Na pewno to zrobił, kiedy tylko zrozumiał, że wymknęliście mu się z rąk.

– Bałby się, że straci Łaskę, dla tutejszego Mistrza to byłaby zbyt wielka pokusa...

– Nie musiał wspominać, dlaczego tak bardzo chce złapać chłopaka. Wystarczy, że oskarżył go o pomaganie czarownicy.

– Więc na co jeszcze czekasz, skręcaj do drugiego brzegu! Musimy się ukryć.

– I co dalej? Chcesz uciekać na jednej nodze, z nieprzytomną dziewczyną na plecach? Cała okolica będzie o tobie gadać. Tutaj nie tak łatwo zejść ludziom z oczu, to nie podgórskie pustkowia.

– Wszystko jedno! Nie mam zamiaru wracać na Skałę w worku na głowie i ze sznurem na szyi. Nie dostaną mnie żywego.

– Może najpierw spytasz tych dwoje dzieciaków, czy mają ochotę umierać razem z tobą.

Cabaj zasapał się z gniewu, ale zachował tyle przytomności umysłu, aby nie wszczynać teraz kłótni. Nie mógł zmusić do niczego upartego drwala. Gdyby nawet zepchnął go do wody, nie udałoby mu się chyba zapanować nad zaprzęgiem. Zresztą – za późno było na odwrót. Z wieży na pewno dostrzeżono już krypę, każdy nagły zwrot musiałby wzbudzić podejrzenia.

– Jeśli miejscowy dowódca straży jest choć trochę podobny do Gurgula, może teraz leży gdzieś pijany. – Zastanowił się na głos, szukając

uzasadnienia dla jakiegokolwiek nadziei. – Zanim go dobudzą, jakoś się przemkniemy.

Wzdrenga dopiero teraz podniósł się na nogi, pewniej ujął żerdź.

– Nie licz na to. Nie przesiaduje po gospodarach, lubi służbę i kocha pieniądze.

Cabaj ożywił się wyraźnie.

– Chyba domyślam się, skąd drwale znają go tak dobrze!

– To nie twoja sprawa.

– No, nie ma się o co obrażać. Właśnie odzyskałem wiarę w twój zdrowy rozsądek. – Sięgnął do sakwy, wydobył wypchany trzos i rzucił mu. – Nie musisz targować się zbyt ostro, stać nas.

– Skąd to masz?

– To małej. Wcale nie jest taka biedna, na jaką wygląda, przez lata sprzedawała swoje trutki na całym pogórze.

– Powierzyła ci swoje pieniądze? – Wzdrenga zważył trzosik w dłoni, marszcząc nieufnie czoło.

– Gdzie tam! Poszła do jaskini, jak stała, nie wzięła ze sobą niczego. Na szczęście mam nosa do takich spraw, przeszukałem szafas i znalazłem skrytkę pod progiem. Oprócz trzосу był tam też bukłak z olejem skalnym. Może kiedyś się przyda, a jak nie, sprzedamy w mieście z dużym zyskiem. – Zaperzył się nagle, gdy spostrzegł, że fałda na czole flisaka nie wygładziła się ani trochę. – O co chodzi tym razem? Przecież nie ukradłem, wziąłem tylko na przechowanie. Chciałem oddać, kiedy tylko dziewczynie rozjaśni się trochę w głowie.

Drwal wcisnął trzosik za pas i odwrócił się do niego plecami. Gwizdnął z cicha; krypa zwolniła, foki wystawiły łby ponad nurt i z głośnym sykiem nabrały powietrza.

– Kładź się obok niej i naciągnij kozuch, tak żeby nie było was widać – polecił Najdkowi.

Chłopak bez sprzeciwu ukrył Zoję i siebie, ale Cabaj roześmiał się kpiąco:

– To nam niewiele pomoże. Na pewno przeszukają krypę.

– Dość! – Wzdrenga wymierzył w niego kosmaty paluch. – Od tej chwili masz siedzieć cicho, dopóki nie miniemy klasztoru. Ja będę rozmawiać.

Odźwiernemu znowu zrobiło się cieplej ze złości, ale opanował się, zacisnął zęby i zmilczał.

Powolutku wpłynęli na szerokie zakole, rozmigotane słonecznymi blaskami. Wzdłuż wewnętrznego brzegu, grzbietem skarpy, biegł szary klasztorny mur. Wieża, choć niezbyt wysoka, w równinnej okolicy wyglądała całkiem okazałą. Poniżej woda omywała umocnione kamieniami nabrzeże, gdzie uwiązano kilkanaście łodzi i kryp. Obok, za ogrodzeniem z wbitych w dno bali, pluskały się morsy pod wierzch. Nikogo nie było widać na przystani ani na murach, nikt nie ukazał się w żadnym z wąskich okien wieży. Było cicho, tylko na płaskich łęgach drugiego brzegu muczały krowy, jakiś pastuch przygrywał na fujarce.

Trzymając się środka nurtu, bez przeszkód dopłynęli niemal do połowy zakola. Cabaj zaczynał już wierzyć, że skończy się na próżnych obawach, gdy naraz skrzypnęła furtka w murze i brukowaną ścieżką zbiegł nad wodę człowiek z mieczem przytroczonym na ukos do pleców, w skórzanych nogawicach do pływania w siodle. Podniósł zastawę w ogrodzeniu, gwizdnął, a gdy jeden z wierzchowców podpłynął ochoczo i wyciągnął ku niemu pysk, rzucił mu jakiś rozkaz, a potem dosiadł go wprost z pomostu.

– To ciężki bojowy mors – mruknął zasepiony Cabaj. – Widziałeś jego kły? Właśnie taki kiedyś jednym ciosem zmiażdżył mi nogę.

– Nie obawiam się morsa, tylko człowieka.

– Płynie sam. Widać, że chce załatwić sprawę bez świadków.

– Pamiętaj, ani słowa – przypomniał Wzdrenga.

Uwolniony z zagrody mors rozbryzgał tylnymi płetwami wodę na płyciźnie, lecz strażnik okiełznał go natychmiast, ciągnąc za uszy i ściskając mu kark kolanami. Ruszył na głębiej. Już po paru chwilach dogonił krypę i okrążył ją kilkakrotnie, zataczając coraz mniejsze koła.

– Stój! – Siedzący na grzbiecie morsa człowiek podpłynął z boku, łapiąc jedną ręką za burzę.

Wzdrenga powstrzymał zaprzęg; teraz znosił ich już tylko leniwy prąd. Strażnik jednym skokiem przesadził burzę, rzucił okiem na rozpostarty kozuch, nieco dłużej zatrzymał spojrzenie na Cabaju, w końcu zwrócił się do drwala:

– Twoja krypa?

- Moja.
- Kto jesteś?
- Flisak z gór.

Strażnik – nieduży, krępy, o wysuniętej dolnej szczęce i spłaszczonym nosie – milczał przez chwilę, założywszy ręce na piersi.

– Myślałem, że znam was wszystkich, ale ciebie widzę pierwszy raz. – Zrobił parę kroków, zostawiając na deskach mokre ślady.

– Nie było okazji. Dotąd pływałem tylko z drewnem.

– A teraz co wiesz?

Wzdrenga wsparł się na żerdzi, odsłonił w uśmiechu żółtawe zęby.

– To, co najbardziej się opłaca.

– Tak właśnie pomyślałem sobie, kiedy zobaczyłem was z wieży. – Strażnik swobodnie opuścił ręce, zadowolony, że rozmowa przybiera taki obrót, jakiego oczekiwał. – Pokaż, kogo tam ukrywasz pod kożuchem.

Cabaj znieruchomiał, ale Wzdrenga tylko lekceważąco machnął ręką.

– Nie warto. Dwoje nieboraków, nawet nie wiem, czy jeszcze żywi, bo w ogóle do nich nie zaglądam. Nie mieli sił, żeby wspiąć się na szczyt Rogacza do pustelni. To chyba zaraza.

– Tak myślisz? – Strażnik pobladł nieco, mocniej wysunął szczękę. – Lepiej spal tę krypę, człowieku, kiedy już ich wysadzisz.

– Tak zrobię.

– A ten kto? – wskazał kciukiem Cabaja.

– Niemowa, kaleka i głupek. Przywłókł się pod klasztorną skałę z pielgrzymami i potem nie wiedział, jak wrócić. Zabrałem go z litości.

Odźwierny zakrztusił się, splunął za burtę i schłodził wodą twarz. Strażnik więcej nie zwracał na niego uwagi.

– Czy nie spotkaliście po drodze żadnej podejrzaney baby?

– Podejrzaney o co? – Wzdrenga udał, że nie rozumie.

– O przywoływanie demonów. Są wieści o czarownicy, która wymknęła się z obławy w górach. Podobno nocą słyszano jej krzyki na rzece.

– Wczoraj popiliśmy w gospodzie i spaliśmy potem twardo. Ale gdybym naprawdę spotkał czarownicę, wiedziałbym, co z nią robić.

– Prawda, mówią o was, drwalach, żeście na nie bardzo cięci. Tak czy siak, uważaj na siebie, zwłaszcza po zmierzchu. – Odchrząknął, oddzielając w ten

sposób sprawy błahe od ważnych. – Znasz stawkę?

– Mówiono mi, że bierzesz sześć srebrników od krypy.

– Ty zapłacisz osiem, bo jesteś na tyle nierozsądny, żeby płynąć w dzień. I ciesz się, że w ogóle załapałeś się na zarobek, bo na tym chyba koniec. Podobno pustelnik zniknął, więc wasz Mistrz cofnie pewnie zakaz podróżowania w góry i pomoc drwali nie będzie już nikomu potrzebna.

Wzdreęga wydobyl z sakiewki Zoi monety, tamten przyjął zapłatę i bez przeliczania wrzucił do kieszeni. Wychylił się, klepnął dłonią w wodę; już po chwili pod powierzchnią ukazał się ciemny kształt morsa.

Przełożył jedną nogę za burtę, gdy spod kozucha dobiegł cichy jęk. Spojrzał w tamtą stronę, marszcząc brwi.

– Dziewczyna? – Nie czekając na odpowiedź, cofnął nogę i pobrękując ostrogami, ruszył na tył krypy. – Chciałbym jednak ją zobaczyć.

Złapał za róg kozucha i jednym szarpnięciem odrzucił go na bok. Błady, przestraszony Najdek usiadł natychmiast, mrużąc powieki z powodu nagłej jasności, ale strażnik nawet nie zwrócił na niego uwagi. Trącił nogą Zoję, która leżała na wznak, oddychając nierówno przez półotwarte usta.

– Ty! Spójrz na mnie.

Poruszyła się nieznacznie, zwracając twarz do Słońca, ale nie otworzyła oczu. Znów jęknęła niewyraźnie, jakby przez sen.

– Mówię do ciebie, dziewucho! – Kopnął mocniej bezwładne ciało.

– Ona nie słyszy, jest bardzo chora... – Najdek próbował wstać, ale upadł zaraz, odepchnięty.

– Jeszcze słowo, a w dalszą podróż wyruszysz wpław – ostrzegł dowódca klasztornej straży, rozdymając wściekle nozdrza.

Pochylił się nad Zoją, szarpnięciem za włosy obrócił ku sobie jej twarz i kciukiem uniósł powiekę.

Wyprostował się gwałtownie i odskoczył, sięgając do sterczącej nad karkiem rękojeści miecza, ale już nie zdołał go wydobyć.

Jedna z fok, dźgnięta bez ostrzeżenia żerdzią przez Wzdreęgę, zakwiczała przeraźliwie i rzuciła się naprzód, pociągając za sobą krypę. Przygotowany na wstrząs drwal przyklęknął na jedno kolano, Cabaj z łomotem zwałił się na deski, a strażnik, rozłożywszy ramiona, wypadł przez rufę i zniknął pod wodą. Wzdreęga potrzebował jeszcze paru chwil, aby zaprowadzić ład w

zaprzęgu, lecz gdy pobudzone foki pociągnęły zgodnie, krypa od razu pomknęła z największą szybkością, pchając przed sobą wygięty wał wodny.

Cabaj zbierał się z trudem, klnąc i postępując. Nie odważył się podnieść na nogi; podpierając się rękami, poczłapał na tył krypy i spojrzał wzdłuż spienionego śladu na rzece.

– Nie topi się, bydlak! – zawołał ze złością, gdy dostrzegł na powierzchni ciemnowłosą głowę, a zaraz potem, tuż obok, wąsaty pysk morsa.

Najdek przysunął się do odźwiernego. Patrzył z niepokojem, jak strażnik wydobył się z topieli, dosiadł wierzchowca i mocno uderzył ostrogami.

– Dogoni nas... – szepnął.

– Może nie. Jeździec zawsze płynie szybciej od krypy, ale nasze foki są bardzo wytrzymałe. Jeśli nie dopadnie nas od razu, osłabnie.

Z trwogą mierzyli wzrokiem malejącą nieubłaganie odległość, jaka dzieliła ich od strażnika. Coraz wyraźniej widzieli jego wykrzywioną wściekłością twarz, nisko pochyloną nad karkiem morsa. Wypoczęty wierzchowiec przeżył się pod nim, równo prując pyskiem wodę.

Cabaj zdał ze stopy ciężki, podkuty gwoździami bucior i cisnął z całych sił w jeźdźca. Byłby trafił, lecz tamten uchylił się w porę. Znów zbliżył się o kilka łokci. Słyszeli, jak występuje pod nosem groźby. Wyciągnął miecz, uniósł się nieco w siodle i jeszcze mocniej wbił ostrogi w boki zwierzęcia.

– To chyba nie skończy się na ciemnicy. – Odźwierny obejrzał się bezradnie na Wzdregę, który zachrypl od pokrzykiwania na foki. – Jak już będzie bardzo źle, mały, skacz do wody i staraj się dopłynąć do brzegu.

– A wy?

– Drwal sam o siebie zadba, może nawet spróbuje postawić się strażnikowi z tym swoim kijaszkiem. Twoja panna jest ledwie żywa, a ja nie umiem pływać.

– Zostanę.

– Nie bądź głupcem! Może chociaż ty się uratujesz z tej jatki.

Zoja niepostrzeżenie wsunęła się między nich. Pod wpływem wstrząsów i bryzgającej zewsząd wody zbudziła się wreszcie ze swojego ciężkiego snu. Z trudem podciągnęła się wyżej i spoza opuszczonych rzęs spojrzała na rzekę. Gdy tylko strażnik dostrzegł jej rozwiane włosy, ryknął wściekle, rzucił się

całym ciałem naprzód i zadał cios, sięgając rufy końcem ostrza. Tuż pod nosem Zoi pozostał na desce jasny ślad po odłupanej drzazdze.

– Bierz ją stąd, następnym razem roztrzaska jej głowę! – krzyknął Cabaj, wycofując się przezornie poza zasięg miecza.

Najdek spróbował odciągnąć dziewczynę, ale oparła mu się, zaciskając palce na desce. Strażnik zachwiał się po uderzeniu i nim odzyskał równowagę, pozostał nieco w tyle, ale już odzyskiwał stracony dystans, zmuszając morsa do jeszcze większego wysiłku.

– Proszę, Zoja! – zrozpaczony Najdek wcisnął głowę w ramiona, ale nie cofnął się.

Nie usłuchała. Wychyliła się nawet jeszcze bardziej, jakby chciała rzucić jeźdźcowi milczące wyzwanie. Tamten znów był blisko. Wierzchowiec świszczał ciężko nozdrzami, ruchy płetw nie były już tak gibkie, lecz utrzymywał szybkość.

– Co ona wyprawia? – zżymał się z tyłu Cabaj. – Dobrze, że wrócił jej wzrok, ale po co tam sterczy?

Wzburzony, złapał dziewczynę za kostkę, żeby odciągnąć ją od rufy, ale wtedy wierzgnęła mocno drugą nogą, trafiając go piętą w nos, aż w oczach stanęły mu świece. Puścił ją natychmiast, zaklął jeszcze raz z głębi duszy i umilkł, oczekując najgorszego.

Strażnik uniósł się w strzemionach, wziął szeroki zamach. Gdy ostrze zabłysło w słońcu, Najdek zamknął oczy.

Cios nie padł. Zoja zakląskała bardzo szybko, woda za krypą wzburzyła się nagle i wyteżone sapanie morsa umilkło. Chłopak jeszcze przez parę chwil nie odważył się poruszyć; błysk miecza pozostawił pod jego zaciśniętymi powiekami czerwoną pręgę, która nie chciała zniknąć.

– Kazała bydlęciu zanurkować! – Cabaj pierwszy zrozumiał, co zaszło. – Niech mróz Otchłani wlezie mi w kości, jeśli widziałem kiedyś coś podobnego.

Teraz i Najdek ostrożnie wyjrzał za burtę; rzeka była pusta, jeździec przepadł.

– Ha! Warto było wybrać się na tę wycieczkę, choćby tylko po to, żeby zobaczyć coś takiego! – Rozradowany kuternoga próbował wstać, lecz krypa wciąż jeszcze kołysała się zbyt mocno. – Łajdak mało nie wydźgał sobie oka

własnym mieczem, kiedy mors poszedł w głębię. Musisz nauczyć mnie tej sztuczki, dziewczyno!

Najdek usłyszał jakiś dziwny, urywany gulgot. Wychylił się bardziej i wtedy dostrzegł strażnika, który uczepiwszy się jedną ręką krypy, wciąż trzymał się na powierzchni, choć zniknął co rusz w strudze białej piany, walcząc rozpaczliwie o każdy oddech.

– On ciągle tu jest... – Chłopak mimo woli ściszył głos, lecz zaraz zrozumiał, że zawzięty prześladowca nie mógł już im zagrozić. Zgubił miecz i nie był w stanie podciągnąć się do pędzącej krypy. Podtopiony i przemarznięty, słabł z każdą chwilą.

Wzdrenga podszedł spokojnie, stąpając szeroko, na ugiętych kolanach, z flisacką wprawą. Czochrając pokryty nierównymi odrostami policzek o drzewce żerdzi, przyjrzał się strażnikowi, który bez powodzenia usiłował wykręcić szyję w ten sposób, aby woda nie zalewała mu twarzy.

– Przekłuj go tym swoim żądłem i sprawie – zachęcił Cabaj.

Wzdrenga poświęcił mu tylko jedno przelotne spojrzenie, wzruszył ramionami, a potem podniósł nogę i przygniótł piętą cztery białe, zaczezione na desce palce. Strażnik charknął głośniejszym głosem, puścił krypę i zniknął od razu, jakby szarpnięty w dół.

– Co za głupota! – oburzył się Cabaj. – Trzeba go było zabić. Jeszcze dotapla się jakoś do brzegu i wtedy wszyscy się dowiedzą, że mamy tutaj czarownicę.

– Zoja nie jest – zaczął Najdek, ale wściekły odźwierny nie pozwolił mu skończyć.

– Nie obchodzi mnie, za kogo ją uważasz! Ma w oczach Otchłan, rozkazuje zwierzętom i wyje po nocach, aż bolą zęby. Możesz tłumaczyć wszystkim naokoło, że taka jej uroda, ale raczej nikogo nie przekonasz. Zwłaszcza po tym, jak tamten narwaniec, którego twój przyjaciel tak łaskawie oszczędził, narobi krzyku na oba brzegi.

Wzdrenga wrócił do zaprzęgu. Wreszcie pozwolił odetchnąć fokom, których napięte grzbiety czerniały pod powierzchnią, i dopiero wówczas, gdy krypa przestała trząść się i podskakiwać na drobnej fali, odburknął w odpowiedzi na zaczepkę kuternogi:

– Nie zabijam, jeśli nie muszę. Powiedziałem, że dowiozę was wszystkich do Przymorza i tak będzie. Tam zrobisz, co zechcesz.

– Wiem już nawet, od czego zacznę, kiedy tylko postawię kulasa na brzegu. Poszukam pierwszej lepszej karczmy i przez trzy dni będę pił z radości, że mam to już za sobą.

Najdek z roztargnieniem przysłuchiwał się sprzeczce, jednocześnie spozierając z troską na Zoję. Dziewczyna wyglądała nieco lepiej. Przytroczyła do pasa trzos, który zwrócił jej Wzdreęga, oparła łokcie na zadraśniętej mieczem desce i milcząc, patrzyła na warkocze jasnej piany, które wlokła za sobą krypa. Wydawało się, że przygoda pod klasztorem nie wykrzesła z niej żadnych żywszych uczuć. Pozostała smutna i zamyślona; czasem tylko, gdy zwracała ku Słońcu oczy, jej twarz wypogadzała się na chwilę, uśmiechała się nawet, ale jakoś tak dziwnie, nie po swojemu, i Najdek nie miał śmiałości zapytać ją, czy czuje się już lepiej.

Reszta dnia upłynęła spokojnie, nikt ich nie zaczepiał. Znowu mijali jedynie rybackie przystanie i pastwiska, czasem musieli schylać głowy pod rozpiętymi między brzegami linami promów. Płynęli z wolna, aby zbytnim pośpiechem nie zwracać na siebie uwagi, jednak Wzdreęga pozostawił w zaprzęgu obie foki, aby w razie potrzeby łatwo przyspieszyć. Aż do wieczora spojerali często w tył, żeby zawczasu wypatrzeć pościg, lecz zawziętość strażnika najwyraźniej ostygła w topieli, a może ciężkie skórznie z ostrogami pociągnęły go jednak na dno.

O zmierzchu Wzdreęga sprawił im niespodziankę. Skierował krypę ku prawemu brzegowi, niedostępnemu na pozór, błotnistemu i zarosłemu sitowiem. Nastroszone brwi Cabaja zwiastowały nowy wybuch gniewu, ale nim zdążył wymruczeć pierwsze przekleństwo, drwał wychylił się za burtę i rozgarnął żerdzią grube łodygi, odsłaniając ujście wąskiego dopływu. Foki wpłynęły tam śmiało, jakby dobrze znały to miejsce. Szorując niemal brzuchami po płytkim dnie, pociągnęły krypę na jakieś dwieście kroków od rzeki, cały czas wśród podmokłej gęstwy, która napierała z obu stron. W końcu, już prawie w całkowitych ciemnościach, burta otarła się o deski niskiego pomostu.

– Tu zanocujemy – powiadomił zwięźle Wzdreęga.

W gąszczu, na wbitych w dno mokradła palach, stała niewielka chatka bez okien, kryta strzechą z sitowia. Cabaj wygramolił się z krypy i zajrzał do środka, garbiąc się w niskim wejściu.

– Nic nie widać, ale chyba będzie nam tu nie najgorzej.

Zajęty wyprzęganiem fok drwał obejrzał się za siebie.

– Na belce pod powalą wisi trochę wędzonych ryb, w kącie stoi dzban z piwem. Pośrodku jest palenisko, możesz skrzesać ogień.

– To ukryta dziupla na waszym tajnym pielgrzymim szlaku, zgadłem? – Odźwierny pokręcił głową z mimowolnym uznaniem. – Nieźle to wszystko pomyślane. Aż szkoda, że urwało się tak szybko.

– Mnie nie szkoda. Drwał powinien rąbać drzewa i spławiać je rzeką. Inaczej przestaje być drwalem.

– A twoim zdaniem kto raz zacznie machać siekierą, koniecznie musi robić to do końca życia?

– Góry są zazdrosne. Kogo żywią, od tego żądają wierności.

– Daj spokój! – Machnął ręką Cabaj. – Takim gadaniem możesz tumanić dzieciaka, ale nie mnie.

Gdy Najdek wprowadził do chatki słaniającą się na nogach Zoję, odźwierny już pochylał się nad paleniskiem, rozdmuchując ogień. W ciepłym blasku wszyscy poczuli się lepiej. Izdebka była ciasna, w szparach byle jak uszczelnionych ścian świstał wiatr, a poprzez deski podłogi od mokradła ciągnął ziąb – lecz wobec świeżego wspomnienia ostatniej nocy wszystkie niedogodności traciły na znaczeniu. Zjedli obfity, choć niewyszukany posiłek – tylko Zoja nie uszczknęła ani odrobiny ryby – a potem owinięci w płaszcze porozkładali się wokół ognia. Cabaj zachrapał prawie od razu, Wzdrega kilka razy jeszcze podniósł głowę, gdy z zewnątrz dobiegały odgłosy buszujących w sitowiu fok, ale i on niebawem obrócił się na drugi bok i zaczął miarowo poświstywać przez nos.

Najdek długo opierał się senności. Patrzył na żarzące się palenisko, wsłuchany czujnie w szmer oddechu dziewczyny. Wiedział, że ona także nie śpi. Nie krzyczała wprawdzie, leżała cicho, nieruchomo, ale Najdek czuł, że jest równie samotna i bezradna wobec ciemności jak poprzedniej nocy. Nie miał pojęcia, jak jej pomóc, czym dodać otuchy; wyraźniej niż kiedykolwiek

przedtem uświadomił sobie, że choć góry zostały daleko za nimi, Zoja nie posunęła się jeszcze w ucieczce nawet o krok.

Nie potrafił otrząsnąć się z tych niewesołych rozmyślań, choć przecież jak dotąd Wzdrenga potrafił zaradzić wszelkim przeciwnościom, nawet pomimo nieustannych sprzeczek z Cabajem. Przeczuwał mgliście, że największe zagrożenie wcale nie musi przyjść z zewnątrz, a nawet więcej – że ono już tutaj jest, jeszcze nierozpoznane, przyczajone, rozsnuwające w mroku lepką pajęczynę strachu. Nie miało nazwy, barwy ani kształtu, lecz było blisko, tuczając się każdą godziną nocy.

Myśli stopniowo rozprzęgały się i zacierały, w końcu zaczynało brać górę wielkie zmęczenie. Najdek z ulgą przyjął nadchodzący sen; to był jedyny sposób, żeby choć na parę godzin umknąć przed dręczącymi obawami.

A jednak nie zdryfował w nieświadomość, coś przeszkadzało mu zasnąć. Po chwili już wiedział – to było zimno. Przyciągnął kolana do piersi i szczelniej owinął się płaszczem, ale to niewiele pomogło. Niebawem przemarzł tak bardzo, że usłyszał szczekanie własnych zębów. Otworzył oczy i usiadł. Chciał rozgrzebać przyprószony popiołem żar paleniska i dorzucić drewna, lecz wokół kłębił się tak nieprzenikniony mrok, że nie wiedział nawet, w którą obrócić się stronę. Drżąc, wyciągnął przed siebie grabią dłoń, dotknął ściany, na której osiadła śliska warstewka szadzi.

Ukryty w zanadrzu diament rozbłysnął nagle. Tym razem jasność ledwie zatliła się w wycięciu koszuli, lecz za to ożywcze ciepło pobudziło serce do szybszego bicia, a potem rozeszło się przyjemnym dreszczem po całym ciele.

Oprzytomniał teraz na dobre. O tej porze roku nie zdarzały się nocne przymrozki; zresztą – ten chłód był dotkliwszy, przenikał na wskroś całe ciało i utrudniał oddech. Drewniane ściany zaczęły skrzypieć i trzaskać na tężejącym mrozie, wilgoć ścinała się w drobinki lodu, które sypały się bezszelestnie spod strzechy.

Zrozumiał, że musi natychmiast ostrzec pozostałych, inaczej zamarzną we śnie. Spróbował krzyknąć, ale nic z tego nie wyszło; w ściśniętym gardle zachrobotał tylko suchy kaszel. Bezwiednie odrzucił głowę do tyłu – i wtedy poprzez łyżę dostrzegł okrągły otwór dymnika, który odcinał się głęboką, nieskazitelną czernią nawet od ciemności w izbie. Zapomniał o mrozie,

płaszcz zsunął mu się z ramion. Mroczny krąg był niczym żywa źrenica, wpatrzona nieruchomo w uszpionych zbiegów.

Zerwał się na nogi, zatoczył, przytrzymał jakiejś belki; usłyszał chlupotanie tuż koło ucha. W nagłym olśnieniu pojął, że to był bukłaczek z olejem skalnym, który Wzdrenga powiesił wieczorem na haku wbitym w ścianę. Złapał go oburącz, wyrwał zębami zatyczkę i chlusnął gęstą cieczą wprost pod dymnik, gdzie powinno być palenisko. Miał szczęście, że nie wygasł jeszcze do końca i jasny płomień od razu buchnął wysoko, rozświetlając izdebkę.

Gdy tylko ciemność czmychnęła pod ławy, chłopak otrząsnął się z niemocy. Przyskoczył do Wzdrengi i zdarł z niego płaszcz. Drwal podniósł się natychmiast. Przez chwilę jeszcze mrugał półprzytomnie oczami, ale gdy zobaczył przed sobą twarz Najdka o brwiach i rzęsach ubielonych szronem, bez słowa ruszył w stronę Zoi, która leżała po drugiej stronie paleniska. Nie pochylił się nad nią nawet, trącił nogą, a gdy nie poruszyła się, kopnął znowu, mocniej.

– Zostaw ją! – Najdek ruszył pasterce na pomoc, ale Wzdrenga odepchnął go szorstko jedną ręką.

– Podaj mi płonąca głownię – rozkazał.

– Co się z tobą dzieje? – jęknął chłopak, bardziej zatrwożony tym niespodziewanym zachowaniem opiekuna niż cymkolwiek innym.

– Rób, co mówię, szybko! – Drwal po raz trzeci kopnął Zoję w żebra, z taką siłą, że przetoczyła się na drugi bok. – Za chwilę będzie za późno.

Zaciskając zęby, Najdek spełnił polecenie. Drwal szarpnął za róg płaszcza, odsłaniając sine stopy dziewczyny; bez wahania zbliżył płomień do jej bosych pięt. Zmartwiały ze zgrozy Najdek zamknął oczy. Musiała minąć jeszcze nieskończenie długa chwila, nim wreszcie usłyszał ciche, bolesne westchnienie.

Raptem w chatkę uderzył porywisty wicher, który przekrzywił strzechę, wcisnął się do izby przez szpary w ścianach i rozdmuchał popiół z paleniska. Na pomoście zadudnił grad. Wszystko trwało bardzo krótko. Nim szara kurzawa opadła na podłogę, wycie wiatru ucichło w oddali.

Diament zgasł.

Wzdreęga cisnął głownię na palenisko i pozbierał kilka innych, które wiatr rozrzucił po izbie. W kącie poruszył się jakiś cień – to Cabaj wygrzebywał się spod przykrycia, postępując i wyczesując palcami z brody kawałki siana. Usiadł, ziewnął głośno i spojrzał nieprzyjaźnie spod nabrzmiątych od snu powiek.

– Czego tak hałasujecie? Stało się coś?

Drwał w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Mocnym szarpnięciem zdał zasłonę wiszącą u wejścia, przez chwilę nasłuchiwał nocnej ciszy, potem rzucił przez ramię w stronę Najdka:

– Wyprowadź ją. Do świtu posiedzicie na pomoście.

– Dlaczego nas wyrzucasz? – Oburzony chłopiec zacisnął pięści. – Tak ma wyglądać twoja opieka?

Wzdreęga odsunął się na bok, robiąc wolne przejście; ruchem głowy wskazał wyjście.

– Dalej.

– Rozumiem... Jest trudniej, niż się spodziewałeś, więc zacznasz myśleć o własnej skórze. Rankiem pewnie odpłyniesz bez pożegnania.

Drwał uniósł brwi, jakby zdumiony jego hardością, ale zanim zdołał powiedzieć cokolwiek, Zoja podniosła się cicho, ujmując Najdka pod rękę.

– On ma rację... – szepnęła mu do ucha. – Tak będzie lepiej.

Podreptał za nią bezwolnie, zamroczony gniewem i rozpaczą. Dopiero na pomoście oprzytomniał nieco pod wpływem chłodu i wilgotnej mgły, która skraplała się na twarzy. Wzdrygnął się, rozejrzał uważniej w słabym świetle ognia, padającym od chatki. Krótkotrwałe, ale potężne tchnienie mrozu zeszkliło powierzchnię mokradła cienkim lodem, który teraz zaczynał topnieć i pękać. Cały pomost usiany był wielkimi jak kurze jaja bryłami gradu; sitowie przypominało łań zżętego zboża. Wicher odrzucił krypę znacznie dalej, ugrzęzła na błotnistej płyciźnie, mocno przechylona, na wpół zalana wodą.

– Nigdy nie widziałem takiej burzy, nawet w górach. – Omiótł niespokojnym wzrokiem zachmurzone niebo. – Mam nadzieję, że to się nie powtórzy.

Zoja usiadła na skraju pomostu, skruszyła nogami lodową skorupkę na wodzie i z widoczną ulgą zanurzyła sparzone pięty.

– To nie była burza – powiedziała, nie podnosząc głowy.

– A co?

– Demon.

Najdek przykucnął obok niej, chuchając w zmarznięte dłonie. Teraz, kiedy bezimienna groza została nazwana, niespodziewanie odzyskał spokój.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Był bardzo blisko. Mało brakowało, a dostałby się przez dymnik do izby.

Najdek na chwilę znieruchomiał, z wolna nabrał oddechu. W ciemnościach zatrzepotał jakiś ptak, który przetrwał najgorsze ukryty w kępie sitowia.

– Przecież demony zamieszkują Otchłań...

– Nie musisz mi tego mówić, wiem o nich co nieco. – Zniecierpliwiona, zachlupotała stopami w wodzie. – To był ten sam, którego przywołała czarownica.

Chmury rozsuwały się, mokradło parowało w gwiazdnej poświacie. Robiło się coraz cieplej, ale chłopak wciąż czuł na plecach liźnięcia chłodu.

– Dlaczego nie wrócił do studni?

– Bo czarownica rozkazała mu odszukać mnie i zabrać tam ze sobą.

Najdek wiercił się przez jakiś czas w milczeniu, jakby uwierał go sęk w desce. Raptem wyprostował się, tknięty nagłą myślą.

– Teraz rozumiem, o co chodzi Wzdrędze! – Obejrzał się gniewnie za siebie, gdzie jarzył się prostokąt odsłoniętego wejścia. – Wystawił nas demonowi. Chce naszym kosztem kupić sobie spokój.

Przyjrzała mu się z ukosa, odrzuciwszy warkocz na bok.

– Łatwo tracisz zaufanie do przyjaciół, a przecież nie masz ich zbyt wielu – stwierdziła ze smutkiem.

– Żartujesz? On skopał cię jak psa, przypalał ci pięty!

– Gdyby tego nie zrobił, byłoby już po mnie. – Łagodnie położyła mu dłoń na kolanie. – Dopóki czuwam, demon mnie nie znajdzie. Widzi mnie, dopiero kiedy zasypiam. Jestem wtedy całkiem bezbronna, jak ślimak bez skorupki, rozumiesz? We śnie może zrobić ze mną wszystko.

Najdek zgarbił się, przytłoczony ciężarem tych pogmatwanych, ciemnych spraw.

– Czy to znaczy, że Wzdręga chciał cię po prostu obudzić?

– To mądry człowiek. Dużo wie o demonach, jak większość drwali.

– Nie mógł zrobić tego łagodniej?

Ukradkiem dotknęła posiniaczonego boku.

– Liczyła się każda chwila, a ja byłam pogrążona w głębokim, złym śnie, podobnym do omdlenia. Śniłam o Otchłani. Gdyby spóźnił się choć trochę... Lepiej nie myśleć.

Najdek poczuł, że policzki rozgrzał mu wstyd.

– Mógł mi o tym powiedzieć!

– On chyba w ogóle niewiele mówi, o ile mogłam zauważyć.

Przypomniał sobie teraz każde z krzywdzących słów, które wykrzyczał w izbie. Fala ciepła rozlała mu się na całą twarz.

– A więc kazał ci siedzieć tutaj, w chłodzie, żebyś znowu nie zasnęła... – Łatwo domyślił się reszty, westchnął. – Źle wyszło. Nagadałem mu trochę.

Klepnęła go pocieszająco w ramię i przeciągnęła się, ziewając.

– Nie martw się. Zrozumie i wybaczy. Przecież jest twoim przyjacielem.

Światło przesłonił chwiejny cień. Cabaj przykuśtykał ostrożnie, uważając, żeby nie poślizgnąć się na mokrych deskach.

– Wzdrgęga powiedział mi, co się stało. – Rozgniótł piętą bryłę lodu, krzywiąc się przy tym ze wstrętem, jakby miażdżył łeb żmii. – Cóż, wygląda na to, że nie tylko Mistrz bardzo chciałby nas dopaść.

W zważonym przez mróz listowiu zaszeleścił łagodny, ciepły wietrzyk, płytki lodu zakołysały się na zmarszczonej powierzchni wody. Chmury rozstępowały się, na niebie mrugało coraz więcej gwiazd.

– Paskudna sprawa – ciągnął dalej odźwierny, niezrażony brakiem odpowiedzi. – Właściwie należało się spodziewać, że starucha przygotuje na pożegnanie jakąś niespodziankę. – Przeszedł się po pomoście tam i z powrotem, gładząc lśniąca przy wschodzącym księżycu łysinę. Odchrząknął, jakby zakłopotany. – Trzeba wyciągnąć z tego wnioski.

Najdek spojrział na niego czujnie.

– Jakie wnioski?

– Następnego spotkania z demonem możemy nie przetrwać.

– Chyba jednak nie było tak strasznie, skoro obudziłeś się dopiero po wszystkim.

– Bardzo niewiele brakowało, żebyśmy nie obudził się już wcale.

– O co ci chodzi? Przecież wszystko dobrze się skończyło...

– Nieprawda, dopiero się zaczęło. Jeśli Wzdrenga się nie myli, a w tych sprawach raczej mu wierzę, demon wróci, kiedy tylko dziewczyna znowu zaśnie. Prędzej czy później to się musi stać.

Najdek spuścił głowę. Nie wiedział, co na to powiedzieć; w gruncie rzeczy ta myśl gnębiła także i jego, choć bardzo starał się ją odsunąć.

– Co ty na to, moja panno? – Cabaj nie ustąpił.

Zoja pochyliła się, zamoczyła w zimnej wodzie końce palców i zwilżyła skronie.

– Będę sypiać tylko w dzień – odpowiedziała po dłuższej chwili ciszy. – W słonecznym świetle demon nie przyjdzie.

– W porządku, też mi to przyszło do głowy. – Cabaj wzruszył ramionami. – To na pozór wydaje się łatwe, ale kiedy przyjrzeć się lepiej, wcale takie nie jest. Zawsze może przytrafić ci się jakaś mała drzemka, kiedy będziesz zmęczona albo chora. Zamyślisz się, na chwilkę zamkniesz oczy, przestaniesz na siebie uważać i już masz na karku demona.

– Dam sobie radę.

– Tej nocy nie za bardzo ci się udało.

– To był pierwszy i ostatni raz.

– Założmy. – Głos Cabaja zdradzał jawną niewiarę. – I co dalej? Resztę życia spędzisz w ciemnościach, jak jakiś pijawiec? To już lepiej było zostać przy studni. Dla ciebie żadna różnica, a dla innych święty spokój.

Zoja wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

– Może i lepiej – przyznała spokojnie. – Wiesz dobrze, że to nie był mój pomysł.

Cabaj nawet nie próbował wytrzymać jej wzroku. Okręcił się na kulasie, ale nie odszedł.

– Jeszcze nie jest za późno, żeby to naprawić – odpowiedział twardo. – Czeka cię podły los, to pewne, ale wcale nie musisz skazywać na to innych. Rozdzielmy się.

Blady z gniewu Najdek stanął obok dziewczyny.

– Nie wtrącaj się do tego! – zawołał.

– Zastępowałem ci ojca, którego nigdy nie miałeś, więc nie podnoś na mnie głosu, chłopcze. Nie jestem potworem. Wiem, że się lubicie i to nie

będzie łatwe dla żadnego z was, ale musicie zrozumieć, że tylko osobno macie jakieś szanse na ucieczkę. Strażnicy i demon to za wiele naraz.

Najdek zacisnął pięści, lecz po chwili zwiesił bezwładnie ręce. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Cabaj ma sporo racji i Zoja mogłaby nawet zgodzić się z odźwiernym – a wtedy on sam nie znalazłby chyba w sobie dość sił na sprzeciw.

– Ona potrzebuje opieki, nie może zostać sama... – wydukał bezradnie.

– Wzdreęga zawdzięcza jej życie. Obiecał, że zajmie się nią i pewno dotrzyma słowa. Wyszuka jakąś kryjówkę na odludziu. Tak będzie dla niej lepiej niż tułać się z nami w nieznane.

Zapadła przykra cisza. Najdek zerkał na Zoję. Jeśli naprawdę mieli się rozstać, wolałby, żeby to ona podjęła tę trudną decyzję. Ale dziewczyna milczała, żadnym gestem czy grymasem nie zdradziła swoich uczuć.

Zniecierpliwiony Cabaj odchrząknął.

– Do świtu niedaleko, więc lepiej nie zwlekajcie z pożegnaniem – ponaglił ich. – I głowy do góry, nie rozchodźcie się przecież na zawsze. Kiedy wszystko trochę przyschnie, znowu będziecie mogli się spotkać.

Nikt mu nie odpowiedział. Zamiast tego rozległo się kłaśnięcie w dłonie, głośnie w tej ciszy jak trzask bicz.

Dopiero teraz zauważyli Wzdreęgę, który stał w progu chatki. Postąpił parę kroków naprzód, znów klasnął dwukrotnie, a gdy pogłos dobrzmiał gdzieś nad podmokłymi łąkami, opuścił ramiona.

– Foki uciekły – powiadomił beznamiętnie.

Cabaj schylił się po bryłkę lodu i rzucił w największą z ocalałych kęp sitowia, lecz nie wypłoszył stamtąd choćby żaby.

– Może niech Zoja spróbuje je przywołać – podsunął.

– To na nic. Są już daleko.

– Trzeba było uwiązać je na noc! Widać nie bardzo cię lubiły, skoro wyniosły się przy pierwszej okazji.

– Nawet pijawce płoszą się, kiedy słyszą wycie demona.

Odźwierny sapnął ze złości, wsunął dłonie za pas. Najdek potrząsnął głową, usiłując oswoić się jakoś z kolejną klęską.

– Czy to znaczy, że nie popłyniemy dalej?

– Jeśli krypa jest cała i uda się wydobyć ją z grzędawiska, będzie można płynąć z prądem. – Drwał wzruszył ramionami. – Ale do tego trzeba co najmniej dwóch ludzi z długimi żerdziami, żeby nie osiąść na mieliznach.

Chłopak odetchnął głęboko, jakby wreszcie zrzucił z barków ciężar ponad siły.

– A więc nie mamy wyboru, wsiadamy do krypy wszyscy razem. – W tej chwili był niemal wdzięczny fokom za ich nocne zniknięcie.

– Hola, nie tak szybko! – Cabaj natarł na chłopca swoim wielkim brzuchem, prawie spychając go z pomostu. – Przecież to samobójstwo. Bez zaprzęgu nie uciekniemy nawet przed dziurawą dłubanką.

Najdek rozpaczliwie szukał wzrokiem pomocy u Wzdreği, lecz ten nie zamierzał niczego mu ułatwiać.

– To prawda, nie uciekniemy – odpowiedział nieśpiesznie – ale jeśli strażnicy w dole rzeki wiedzą już o nas, urządzą taką obławę, że nie pomogłby nam nawet tuzin fok w zaprzęgu.

– Wiedzą, na pewno wiedzą! – podchwycił natychmiast Cabaj. – Doniósł im nasz Mistrz albo ten drugi, znad rzeki.

– Wątpię. Skoro mnisi chcą tylko zdobyć Łaskę, muszą unikać rozgłosu. Nie ucieszyliby się, gdybyśmy wpadli w ręce księcia.

– To tylko przypuszczenia...

– Zgadza się – przyznał Wzdreğa bez wahania. – Dlatego nie namawiam nikogo do spływu. Masz słuszność, że we dwójkę łatwiej będzie wam przemknąć się polami i lasami.

– Nareszcie jakieś rozsądne słowa! – Zadowolony Cabaj cmoknął pod wąsem, skinął na Najdka. – Dalej, mały, zbieraj się. Świt blisko.

– Przecież ty nie możesz maszerować!

– Powolutku, bocznym drózkami, ale dokuśtykam wszędzie.

Chłopak zadreptał w miejscu, złapał drwala za rękaw.

– Mówiłeś przecież, że krypa nie przepłynie bez nas przez mielizny.

Wzdreğa potwierdził, milcząc.

– A co z Zoją? Jest za słaba, żeby iść.

Aż do tej pory wydawało się, że dziewczyna słucha tej rozmowy obojętnie, ale teraz drgnęła na dźwięk swego imienia.

- Dam radę – rzuciła.
- Co?
- Słyszałeś. Czuję się o wiele lepiej.
- Ale... Nie możesz pokazywać się ludziom!
- Będę szła nocami.
- Zawsze może trafić się jakiś włóczęga.
- Wtedy kupię jego milczenie.
- Dlaczego tak mówisz? Myślałem, że...
- Ułatwiam ci życie. – Nie pozwoliła mu dokończyć. – Skoro masz tyle wątpliwości, to znaczy, że nie jestem już tą samą dziewczyną, z którą kiedyś chciałeś iść na koniec świata.

Najdek odwrócił się bez słowa, zeskoczył z pomostu do płytkiej wody i ruszył w stronę krypy. Po chwili usłyszał za sobą chlupot kroków Wzdreği, a wreszcie i kuśtykanie Cabaja do wtóru przekleństw.



Długo mozolili się z wydobyciem krypy z grzędawiska i z naprawą połamanej burty. Gdy powrócili wreszcie na rzeczny szlak, Słońce stało już wysoko.

Zoja położyła się wprost na ubłoconych deskach, opierając głowę na zwiniętym płaszczu, i zasnęła prawie od razu. Najdek, choć wyczerpany nocnymi przeżyciami i kilkugodzinną ciężką pracą, nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Wzdreğa nakazał mu stanąć przy prawej burcie z długą żerdzią w rękach i sprawdzać nieustannie, czy toń nie robi się zbyt płytka, a w razie potrzeby mocno odpychać się od dna, aby nadać niesionej prądem krypie właściwy kierunek. Przy drugiej burcie to samo robił Cabaj. Zadanie nie było łatwe, wymagało ciągłej czujności i natężenia wszystkich sił, bo ten odcinek rzeki, szeroko meandrującej wśród pól, pełen był piaszczystych mielizn. Ciężka żerdź ślizgała się w spotniałych palcach, na obu dłoniach porobiły się pęcherze, bolały spracowane barki i ramiona. Na domiar złego słońce przypiekało mocno, nie było przed nim ucieczki. Chwilami Najdkowi robiło się ciemno przed oczami, wspierał się na żerdzi, żeby nie upaść – ale rozumiał dobrze, że nie może liczyć nawet na parę chwil wytchnienia. Musieli dotrzeć do Przymorza jak najszybciej; rzucali

wyzwanie lodowi, płynąc bez zaprzęgu, odprowadzani ciekawskimi spojrzzeniami z obu brzegów.

Wzdreęga jak przedtem stał na przedzie krypy, wypatrując sterczących z dna pni i głazów, a przede wszystkim jaśniejszych płycizn. Co rusz pokrzykiwał przez lewe albo prawe ramię, gdy trzeba było wbić w piach którąś z żerdzi.

Cabaj, zaparty kulasem w szparę między deskami, nieodmiennie przyjmował te polecenia z głuchym pomrukiem gniewu.

– Może czas zamienić się miejscami? – odkrzyknął w końcu, zasapany. – Teraz ty się trochę pomęcz.

– Żaden z was nie zna rzeki. Nie przeprowadzicie krypy między mieliznami.

– A co w tym trudnego? Mam dobre oczy.

– Trzeba wiedzieć, który szlak wybrać. Nie wszystkie są spławne. Nie wolno się pomylić, bez zaprzęgu nie będziemy mogli zawrócić.

Odźwierny nie dał się tak łatwo przekonać; sarkał jeszcze długo i złorzeczył, a w końcu zaciął się w gniewnym milczeniu.

Niedługo przed zmierzchem rzeka znowu zaczęła się zmieniać. Porośnięte zakola i płycizny zostały z tyłu, prąd przybrał na sile, a ciemna smuga wody pośrodku koryta pozwalała domyślać się głębi. Aby sięgnąć dna, Najdek musiał teraz przyklęknąć na jedno kolano, aż wreszcie, gdy krypa zakołysała się, szarpnięta mocniejszym nurtem, żerdź wypadła mu ze słabnących dłoni.

– Najtrudniejsze za nami, teraz możecie odpocząć. – Wzdreęga przeciągnął się, aż trzasnęło w jego szerokich barkach.

Chłopak ciężko opadł na ławkę. Cabaj z łomotem rzucił drąg na dno krypy i rozejrzał się, wyraźnie zaniepokojony.

– Myślałem, że odpoczniemy na brzegu. Zaraz zaczniesz się ściemniać.

– Popłyniemy w nocy – oznajmił Wzdreęga.

– Bez zaprzęgu nie da się płynąć po ciemku! Rozbijemy się na pierwszej skale.

– Tutaj nie ma żadnych skał. Prąd jest równy i mocny, bez wirów. Można zaufać rzece. – Spojrzał na poczerwieniałe słońce, które wisało bardzo już nisko, rozplamieniając wodę. Skinął ręką na Najdka. – Obudź dziewczynę, już czas.

Zoja, choć wydawało się, że śpi bardzo głęboko, podniosła się od razu, gdy tylko padł na nią długi cień Najdka. Strzepnęła płaszcz i zarzuciła go na plecy; robiło się chłodno, wieczorny wiatr marszczył powierzchnię rzeki.

– Wszystko w porządku. Teraz wy się kładźcie, ja będę czuwać.

– Sama? – Cabaj, który już zaczynał mościć sobie legowisko w narożniku z tyłu krypy, spojrzał na nią krzywo. – Równie dobrze moglibyśmy postawić na straży stracha na wróble.

– Umiałam ustrzec owieczki przed wilkami, i to w górach, gdzie ty bałbyś się przespać nawet jedną noc – odcięła się.

– Wtedy miałaś demony po swojej stronie, teraz jest odwrotnie. A w samotności czas się wlecze, łatwo zasnąć.

– Ja z nią posiedzę – wtrącił Najdek, aby zażegnać kłótnię.

– Ty? – parsknął odźwierny. – Oczywiście masz jak szparki. Wystarczy dmuchnąć, a padniesz na nos.

Wzdrenga, który aż do tej pory obojętnie przeżuwał suchara, teraz strzepał okruchy z kolan i wstał.

– Każdy z nas musi spać, ale ona nie może zostać sama. To zbyt niebezpieczne. Będziemy z nią po kolei. Ja pierwszy.

To postanowienie przecięło spory. Zoja przysiadła na przedzie krypy. Drwał, skrzyżowawszy ramiona na piersi, przebiegał spojrzeniem wzdłuż ciemniejących brzegów, a Cabaj zwałił się ciężko na deski i zasnął od razu, poświstując cicho spod wąsa. Najdek, choć głowa mu ciążyła i ziewał raz po raz, opierał się jeszcze przez jakiś czas senności. Chciał być pewien, że Zoja dobrze zniesie zachód Słońca. Wydawało się, że wszystko jest w porządku – zapadła cisza, tylko głęboka ton szumiała w mroku i od czasu do czasu pluskały ryby – więc wczuł się wreszcie pod ławę i zamknął swędzące z niewyspania powieki.

Miał wrażenie, że minęło ledwie parę chwil, gdy ktoś wywlókł go stamtąd bezlitośnie za nogę.

– Co się stało? – wykrztusił, wodząc półprzytomnym spojrzeniem za słabym płomyczkiem kaganka, który zdawał się unosić swobodnie w ciemnościach.

– Nic się nie stało – odpowiedział zagniewany głos Cabaja. – Teraz twoja kolej zabawiania małej. Powodzenia.

Płomyk zachwiał się mocniej. Odźwierny odstawił kaganek na ławę, odszedł na drugą stronę krypy i legł z westchnieniem ulgi na swoim legowisku.

Najdek stanął niepewnie na nogach, zabijając dłonie. Było tak zimno, że przez chwilę obawiał się nawet, czy gdzieś w mroku nie zbliża się bezszelestnie demon.

– Zoja! – zawołał z cicha.

– Tutaj – odpowiedziała tak spokojnie, że od razu pozbył się lęku.

Z trudem ujął kaganek w zdrętwiałe palce, pociągając nosem przedreptał na przód krypy. W nikłym świetle dostrzegł pasterkę – siedziała ze skrzyżowanymi nogami dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zostawił ją wieczorem.

– Jak tam? – zagadnął, przyklękawszy obok. – Trzymasz się?

– Wyspałam się dobrze za dnia.

Postawił kaganek przed sobą, roztarł pięściami oczy i zwrócił twarz na podmuchy wilgotnego wiatru.

– Dobrze przynajmniej, że nie musisz siedzieć tutaj sama.

– Obyłoby się bez tamtych dwóch. Pierwszy przez cały czas nie odezwał się ani słowem, drugi za to gadał bez przerwy i ciągle szturchał mnie kulasem, żeby sprawdzić, czy nie zasypiam.

– Wiem, Cabaj bywa nieznośny, ale można się do niego przyzwyczać.

– Nie cierpi mnie.

– Co ty opowiadasz? Przecież wyniósł cię z jaskini na rękach.

– A teraz robi wszystko, żeby się mnie pozbyć.

Najdek sposepniał; złościło go wspomnienie wczorajszej rady odźwiernego, ale jeszcze bardziej gnębiła świadomość, że tak niewiele brakowało, aby ją przyjął.

– Z czasem wszystko jakoś się ułoży. – Spróbował przekonać Zoję do czegoś, w co sam wierzył coraz słabiej, lecz ona miała więcej czasu na przemyślenia i pozbycie się złudzeń.

– Nic się nie ułoży – odpowiedziała sucho. – Nie chodzi tylko o Wzdręgę. Od samego początku jakoś nie jest nam ze sobą po drodze.

– Nie rozumiem cię! Jeszcze wczoraj mówiłaś, że...

– Cicho.

– Ale ja muszę wiedzieć, czy ty w ogóle...

– Cicho! – złapała go za nadgarstek i bardzo mocno zacisnęła palce. – Słyszałeś to?

Najdek na chwilę znieruchomiał, lecz żaden podejrzany dźwięk nie zakłócił głębokiego szumu rzeki. Chciał powiedzieć coś uspokajającego, ale Zoja uprzedziła go, kładąc palec na wargach.

Nagle i on to usłyszał – lekkie skrobnięcie gdzieś w dole, jakby coś otarło się od spodu o krypę. Gdyby był sam, pewnie w ogóle nie zwróciłby na to uwagi, jednak przekonał się już nieraz, że przeczuć Zoi nie należy lekceważyć.

– To ryba... – Spróbował mimo wszystko ująć złe przeczucia w karby rozsądku.

Pokręciła głową; na jej twarzy drżały cienie od kaganka.

– Nie, to coś większego.

– Może wróciły foki?

– Pokazałyby się nam. – Zdmuchnęła kaganek. Tylko poświata księżyca rozpraszała teraz ciemność.

– Więc może to...

– Pst! – uciszyła go znowu i ostrożnie wychyliła się za burtę, jakby spodziewała się dostrzec coś w czarnej wodzie.

Patrząc na nią, Najdek po raz pierwszy bardzo wyraźnie zdał sobie sprawę, jak głębokie zmiany zaszły w niej przez parę ostatnich dni. Przywykł już do smolistych tęczówek, które nadawały jej oczom ten szczególny, niepokojący wyraz; teraz dostrzegł, że na jej bladym czole, skroniach i szyi uwidoczniły się ciemne, zgrubiałe żyły. Zwycięsko zniosła wszystkie ciężkie, mroczne próby, ale takie przeżycia musiały przecież pozostawić w niej trwałe ślady. Obawiał się nawet, że dziewczyna już nigdy nie odzyska swego dawnego, pogodnego spokoju. Pomyślał o tym ze smutkiem, ale i z tkliwością. Mocniej niż kiedykolwiek przedtem postanowił wytrwać przy niej, właśnie teraz, kiedy było tak trudno.

Szarpnęła się raptem do tyłu, poczuł na policzku jej szybki oddech.

– Coś tam jest!

– Wzdrenga powiedział, że nic nam tutaj nie grozi. – Musiał ją uspokoić. Gdyby Cabaj obudził się teraz, złośliwym docinkom nie byłoby końca. –

Dużo ostatnio przeszłaś, jeszcze nie całkiem odzyskałaś siły. Nie powinnaś się tak przejmować byle czym.

Niespodziewanie ta jego serdeczna wyrozumiałość doprowadziła ją do wybuchu.

– Myślisz, że pomieszało mi się w głowie, prawda? – Odsunęła się od niego.

– Nie, po prostu wydaje mi się, że... – Urwał naraz, wpatrując się ponad jej ramieniem w czarną skarpe brzegu.

Już wcześniej dostrzegł małe światełko lampy, takie, jakie zwykle wieszano nocami dla oznaczenia ważniejszych przystani. Ponieważ był to jedyny jasny punkt w mroku, co chwilę przyciągał jego wzrok, nawet wówczas, gdy zajęty był Zoją i jej dziwacznym zachowaniem. Prąd unosił krypę, a światełko zbliżało się z wolna, przymglone nieco oparem, podwojone odbiciem w wodzie. Teraz, gdy znaleźli się już na wysokości przystani, samotny ognik zwolnił, a zaraz potem zawisł nieruchomo w mroku.

To było tak niespodziewane, że podziałało na Najdka niczym zimna woda chluśnięta za kołnierz.

– Co się dzieje? – Z niedowierzaniem zamrugął powiekami.

– Stoimy. – Złość Zoi przerodziła się w ponury spokój.

– Ale dlaczego? Mielizna?

– Poczulibyśmy wstrząs. A tutaj rzeka jest głęboka.

– Więc o co chodzi? – Przerwał, nasłuchując plusku wody przy burtach. – Przecież krypa nie może tak po prostu zatrzymać się pośrodku rzeki!

Odwrócił się gwałtownie, gdy naraz poczuł, że ktoś stoi za jego plecami.

– Może. – Wzdrgęga rozstawił szeroko nogi, jakby w każdej chwili spodziewał się wstrząsu. – Jeśli złapią ją topieluchy.

– Co to takiego? Nie podoba mi się ta nazwa!

– I słusznie. To rodzaj wodorostów o bardzo długich, mocnych pędach. Dawniej pleniły się w całej rzece, od źródła po ujście, ale z czasem rybacy wytrzebili je prawie wszędzie. Utrzymały się tylko w największych głębinach.

– Wodorosty... – Słuchając tych wyjaśnień, Najdek wstrzymał oddech; teraz powoli wypuścił powietrze. – To znaczy, że po prostu zaplątaliśmy się w jakieś zielsko?

- Mniej więcej.
- W takim razie zanurkuje i powycinam wszystko.
- Nie radzę.
- Sam wiesz, jak dobrze pływam!
- Topieluchy wciągną cię na dno, zanim zdążysz wierzgnąć.

Spod krypy znowu dobiegły jakieś szmery, przy prawej burcie z cichym sykiem spieniła się woda. Najdek powolutku rozsunął stopy, naśladowując postawę drwala.

- Czy one są...

Zawahał się nad ostatnim słowem, więc Wzdreğa dokończył za niego:

– Drapieżne. Jedzą wszystko, co uda im się schwytać – duże ryby, foki, żółwie.

- A... ludzi?

– Jeśli tylko trafi się jakiś szaleniec, któremu przyjdzie ochota pluskać się na głębinie.

– Jak bronią się przed nimi rybacy? Za dnia widziałem porozwieszane na brzegach sieci!

– Nic im nie grozi. Topieluchy nie potrafią odróżnić łodzi od płynącego pnia. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby niepokoiły rybaków, kupców czy podróżnych.

Krypa obróciła się powoli w miejscu, ustawiając się w poprzek nurtu. Przy prawej burcie zakipiała spieniona woda, lewa uniosła się nieco nad powierzchnię.

– Więc dlaczego uwzięły się właśnie na nas? – Najdek rozejrzał się bezradnie po pustej, ciemnej rzece, z lekka tylko muśniętej pasmem księżycowej poświaty. – Może rozdrażnił je Cabaj swoim chrapaniem?

Odzwierny spał twardo. Chłopak chciał go budzić, ale Wzdreğa zastąpił mu drogę.

– Zostaw, niech śpi. Nie chcę teraz wysłuchiwać jego narzekań. Zresztą nie chodzi o niego ani w ogóle o nikogo z nas.

Lewa burta dzwignęła się jeszcze wyżej, ponad prawą zaczęła wlewać się do krypy woda. Najdkowi zdawało się, że między bełkocącymi wirami dostrzegł ciemne, ruchliwe pędy, grube jak ramię dorosłego mężczyzny.

– Więc co je tutaj zwabiło? – Wspiął się do lewej burty, aby własnym ciężarem zrównoważyć przechył, jednak nie zdało się to na nic; na dnie krypy chlupotało coraz więcej czarnej wody.

– Żyją w mroku, gdzie prawie nie przenika światło Słońca. Niebiańska Łaska musi być dla nich pokusą.

Najdek zebrał w dłoni rozchełstaną na piersi koszulę, jakby tym gestem chciał uchronić woreczek z bezcenną zawartością.

– Powinieneś ostrzec mnie wcześniej!

– Gdybym spodziewał się kłopotów, nie wypłynęlibyśmy na głębię. O ile wiem, nikt wcześniej nie podróżował z diamentem za pazuchą. Jesteś pierwszy, musisz być gotów na różne niespodzianki.

Przechył zwiększył się, Najdek z trudem utrzymywał równowagę na śliskich deskach. Zoja przycupnęła nieopodal, uczepiona wzniesionej burty, Wzdrenga zaparł się kolanem o ławkę, Cabaj zamruczał przez sen.

– Musimy coś zrobić, krypa zaraz się przewróci! – krzyknął chłopak.

Drwał nie odpowiedział od razu – i właśnie ta krótka zwłoka pozwoliła Najdkowi zrozumieć, że tym razem nie znajdzie u Wzdrengi wsparcia, jakiego oczekiwał.

– Jest tylko jedna rzecz, która mogłaby skłonić topieluchy do wypuszczenia krypy.

W słabym świetle twarz Najdka wyglądała teraz jak biała, sztywna maska.

– Nie mogę... Nie wolno mi! Wymyśl coś innego.

– Chciałbym, ale nie jestem cudotwórcą.

– Nie oddam im Łaski, jasne? – Chłopak po omacku szukał pewniejszego oparcia dla stóp, jakby obawiał się, że drwał zechce odebrać mu woreczek siłą, lecz tamten nie ruszył się z miejsca.

– Jasne. – Skinieniem głowy pochwalił ten wybór.

Zbity z tropu Najdek przez chwilę tylko mrugał powiekami, jakby nie dowierzał, że Wzdrenga tak beznamietnie przyjął do wiadomości coś, czego on sam nie ogarniał jeszcze do końca.

Przestał nad tym dumać, gdy burta znów podniosła się o pół łokcia i nowa fala wdarła się do krypy.

– Co teraz będzie? – wyskomlał pytanie, choć w gruncie rzeczy wcale nie pragnął usłyszeć odpowiedzi.

Drwal usiadł na przekrzywionej ławce, przytrzymując się, żeby nie zjechać do wody.

– Masz przy sobie Łaskę, więc umrzesz pierwszy. Tak lepiej, nie będziesz długo cierpieć. Dopiero później, kiedy już wydrą ci diament i zagrzebią go w mule na dnie, zabiorą się po kolei do nas.

Najdek rzucił krótkie spojrzenie w dół, na szumiącą czarną kipieli.

Nie wiedział, kiedy Zoja przysunęła się; nagle usłyszał jej szept tuż przy uchu:

– Ufasz mi?

Nie był w stanie odpowiedzieć, szybko pokiwał głową.

– Daj mi Łaskę.

Miał dziwne wrażenie, że raptem wokół zrobiło się całkiem cicho. Zdjął przez głowę rzemień, ale zawahał się jeszcze. Tak trudno było mu rozstać się z sakiewką, że po prostu zamknął oczy i pozwolił wyjąć ją sobie z rąk.

Przemknęło mu jeszcze przez głowę straszne podejrzenie, gdy Zoja przechyliła się za burtę, ale zaraz potem wszystko potoczyło się tak szybko, że i tak nie zdołałby już niczego zmienić.

Dziewczyna zakląkała po swojemu – w nierzeczywistej ciszy tej odgłos zdawał się budzić echa aż gdzieś nad odległym brzegiem. Wychyliła się jeszcze mocniej i wyciągnęła przed siebie rękę; rzemyk z woreczkiem wisiał na jednym palcu. Ponad powierzchnię rzeki natychmiast wysunęło się kilkanaście giętkich pędów o haczykowatych wypustkach na zwężonych końcach.

Dmuchał wiatr, sakiewka zakolebała się mocniej. Topieluchy prężyły się w oczekiwaniu bliskiego żeru – gdy niespodziewanie gdzieś z zasnutych oparem łęgów śmignął skrzydlaty cień. Rozbrzmiał ostrzy krzyk rybitwy, woreczek z Łaską zniknął.

Pędy zwiotczały i zatonęły, jakby wessane przez głębię. Krypa opadła z chlupotem i kołysząc się mocno, ruszyła wreszcie z nurtem w dół rzeki.

Przez parę chwil nikt się nie odzywał. Zoja skuliła się u burty, roztrzęsiony Najdek patrzył w nocne niebo, gdzie przepadł ptak z diamentem. Wzdrga nie ruszył się z ławki. Dopiero parskanie podtopionego Cabaja, który nieporadnie usiłował wypłatać się z płaszcza, przerwało ciszę.

– Co wy tu, do ciężkiej zarazy, wyrabiacie?



Trzeba było wybierać wodę z krypy gołymi rękami, więc choć wszyscy pracowali zgodnie, zanim uporali się z tym wreszcie, mgłę nad sitowiami przyżółcił już pierwszy blask.

Pomimo tego, że Cabaj zdołał wyrobić sobie tylko niejasny obraz nocnych wypadków, bo Wzdrenga milczał, chłopak odpowiadał półsłówkami, a pasterki nie chciał pytać – łatwo wyciągnął właściwy wniosek.

– To się nigdy nie skończy. Kłopoty lecą do nas jak muchy do gówna.

Zoja z Najdkiem siedzieli obok siebie na ławeczce za spuszczoneymi głowami, niczym para winowajców. Wzdrenga znów badał żerdzią głębokość rzeki; coraz częściej zdarzało się, że sięgał dna.

– To moja wina – przyznał drwał zgaszonym, nieswoim głosem. – Powiniennem był przewidzieć, że topieluchy połaszają się na Łaskę.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś czasem posłuchał kogoś obytego w świecie. – Cabaj niewiele miewał w ostatnich dniach przyjemnych chwil, więc zrobił krótką przerwę, aby nacieszyć się tą, która niespodziewanie mu się trafiła. – Dobrze, dajmy temu spokój. Nie jestem pamiętliwy.

Wzdrenga nie odpowiedział. Znów zanurzył żerdź, tym razem tylko do trzech czwartych długości.

Najdek, który spod schylonego czoła nie przestawał wodzić spojrzeniem za każdym ruchem drwala, zapytał szybko:

– Czy tutaj też są topieluchy?

– Za płytko.

– Wołaj rybitwę! – Z nagłym ożywieniem trącił łokciem Zoję, jakby przez cały czas czekał tylko na tę wiadomość. – Niech odda diament.

– Nie mogę jej przywołać. Odpłynęliśmy za daleko.

– Co? – Zerwał się na nogi tak gwałtownie, że ciężka krypa zakołysała się. – Do brzegu, szybko! Musimy tam wrócić.

– Nie martw się. Rybitwa sama nas odnajdzie, potrzebuje tylko trochę czasu.

– A jeśli upuści woreczek? Albo ktoś ją ustrzeli? – gorączkował się. – Chodzi o duszę pustelnika! Nie można powierzać jej losu głupiemu ptakowi.

– Ten głupi ptak uratował nam wszystkim życie. – Zoja podniosła na niego smutne, zmęczone oczy.

Pod wpływem tego spojrzenia Najdek zawstydział się i opamiętał trochę, lecz nie opuścił go niepokój, ćmiący nieustannie jak uporczywy ból zęba.

Woda wypłukała z krypy wszystkie zapasy. Przy słabym słońcu, które co rusz znikało za chmurami, ubrania schły bardzo powoli, a zbyt krótki sen nikogo nie pokrzepił należycie, więc przez większość dnia siedzieli osowiali, obojętni na zmieniający się nieustannie krajobraz. Na obu brzegach, często podmurowanych albo umocnionych drewnianymi palami, domy stały teraz płot w płot, do każdej przystani prowadziły brukowane drogi, nad śmietniskami i zagrodami dla fok i morsów unosiły się hałaśliwe stada rybitw. Czuć był woń dymu z licznych wędzarni, metalicznie brzęczały kuźnie, pokrzykiwania przewoźników promowych niosły się daleko po rzece. Łódki rybaków kołysały się na drobnej fali. Było ich tak wiele, że Cabaj z Wzdregą coraz częściej musieli chwytać za żerdzie, żeby uniknąć zderzenia.

Dopiero około południa wiatr rozpędził chmury i zrobiło się trochę cieplej. Wilgotne koszule zaczęły parować w słońcu. Kilkakroć mijali burta w burtę kupieckie krypy; za pieniądze Zoi Cabaj wytargował bochen chleba, koszyk cukrowanych owoców, pęto kiełbasy i beczułkę wina. Wzdregą krzywił się na to – bezpieczniej było udawać ubogich pielgrzymów żyjących z jałmużny – ale rozumiał też, że w tej drażliwej sprawie odźwierny nie ustąpiłby łatwo, a głośny spór pośród tylu świadków mógłby przynieść jeszcze więcej szkody, ściągając na nich powszechną uwagę.

Po tym skromnym posiłku Zoja zasnęła, Cabaj z Najdkiem także wyciągnęli się na obeschłych deskach, tylko drwał, przykucnąwszy z żerdzią na ramieniu, patrzył spod przymrużonych rzęs na roziskrzoną wodę.

Chłopak ocknął się z krótkiej drzemki, szturchnięty kulasem.

– Nie śpij teraz, mały, bo przegapisz najciekawsze widoki.

Niechętnie podniósł głowę. Odgłosy gorączkowej krzątaniny na brzegach, które z początku budziły ciekawość, szybko zaczęły go nużyć; wołał leżeć z zamkniętymi oczami, przywołując wspomnienie cichego majestatu gór.

Teraz jednak zamarł z otwartymi ustami.

Ogromny, masywny, wsparty na kilkunastu grubych filarach most spinał oba brzegi, rzucając na wodę szeroki pas cienia. Choć byli jeszcze daleko, potęga tej zadziwiającej budowli robiła większe nawet wrażenie niż górski klasztor. Trudno było dać wiarę, że wzniosły ją ludzkie ręce.

– To pierwszy most na rzece. Po drodze do Przymorza zobaczysz jeszcze trzy inne, każdy większy od poprzedniego. – Cabaj z zadowoleniem pokiwał głową. – To moja młodość, mały. Przeżywałem tędy wiele razy.

Gdy zbliżyli się nieco, Najdek dostrzegł przetaczające się górą ciężkie ładowne wozy, każdy zaprzężony w dwójkę rogatych wołów; wielkie koła wzbijały kłęby kurzu.

– Dlaczego nie płyną, jak inni kupcy? – zaciekał się.

– Wiele towarów, które sprowadza się z gorących krain na południu albo z dalekiej północy, gdzie śnieg nie topnieje nawet latem, trzeba przewieźć lądem.

Aż do tej chwili Najdek sądził, że można podróżować jedynie od źródeł rzeki do ujścia albo w przeciwną stronę. Teraz nagle świat nabrał w jego wyobraźni nowych, oszałamiających wymiarów.

– To musi być piękne, tak jechać i jechać... – rozmarzył się.

– Nie ma w tym nic pięknego. Łykasz kurz, boli cię dupa i zamartwiasz się, żeby cię nie obrabowali gdzieś na pustkowiu. – Odźwierny nagle znowu wpadł w zły humor. – Nie zawsze tam, gdzie cię nie ma, musi być lepiej. Przekonałeś się już o tym.

Najdek nie zważał na te utyskiwania, całkowicie pochłonięty niesamowitym widokiem. Słychać już było turkot obitych blachą kół na bruku i przekleństwa woźniców. Raptem opuścił wzrok niżej, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Co tam się dzieje? – spytał, zaniepokojony.

Między filarami wisiały opuszczone z góry na łańcuchach drewniane kraty, dolnymi krawędziami zanurzone w wodzie; jedynie środkowy, największy łuk pozostał otwarty. Po obu jego stronach ponad linią wody obudowano filary drewnianymi pomostami, po których kręcili się jacyś ludzie. Przed wąskim przepustem tłoczyło się tam kilkadziesiąt łodzi i kryp. Plątały się zaprzęgi, przestraszone foki kwiczały, ludzie wygrażali sobie pięściami i starali się jedni drugich odepchnąć żerdziami na bok.

– Wszystkie kraty podnoszą tylko wiosną, kiedy idzie największy spław drewna. Teraz przepuszczają kupców pojedynczo, żeby ułatwić sobie zdzieranie myta. – Cabaj uśmiechnął się złośliwie. – To jedna z wielu przyjemności, na których upływa kupieckie życie.

– Dużo trzeba zapłacić?

– Zależy, co się wiezie. – Potarł pięścią nos, mrużąc chytre oczy. – Można też dobić do brzegu i wynająć miejscowych tragarzy, którzy nocą przeniosą cały towar na grzbietach swoimi przemytniczymi ścieżkami w szuwarach, a potem załadują znowu na krypę daleko poniżej mostu, ale to się opłaca tylko wtedy, kiedy masz coś naprawdę cennego.

– Na przykład bursztyn?

– Na przykład.

– A co z nami? Nic nie wieziemy, powinni nas puścić.

– Nigdy nie zatrzymują żebraków, mały. Przynajmniej dopóki skarbnik księcia nie wymyśli myta na wszy.

Ledwie wpłynęli w cień mostu, Zoja zbudziła się i usiadła. Wzdrgęga, który krążył od burty do burty i napierając całym ciałem na żerdź, spowalniał krypę, natychmiast skinął na Najdka.

– Pilnuj, żeby miała zasłonięte oczy.

W przeciwieństwie do Cabaja drwał wydawał się zaniepokojony. Puścił przodem kilka innych kryp, zagadnął z cicha tego czy tamtego flisaka, a wreszcie, gdy nie mógł już dłużej zwlekać bez wzbudzania podejrzeń, wpłynął między nędzne rybackie dłubanki, które na uboczu oczekiwały na swoją kolej. Na płyciźnie sterczały wbite w dno pale. Do jednego z nich zacumował krypę.

– Podobno nam się śpieszy. – Naburmuszony Cabaj odprowadził spojrzeniem kolejną krypę, która ich wyprzedziła. – Tam, pod mostem, skaczą sobie do oczu o lepsze miejsce, a ty puszczasz wszystkich jak leci. W ten sposób nie zdążymy przed nocą.

– O to właśnie mi chodzi.

– Oszalałeś? – Odźwierny aż zatchnął się z oburzenia. – O zmroku opuszczą kratę, utkniemy tu do rana!

– Lepiej tu niż w lochu. – Wzdrgęga mocniej zaciągnął węzeł sznura, odłożył żerdź, przeciągnął spracowane ramiona i dopiero na końcu

niedbałym ruchem głowy wskazał łuk mostu, pod którego kamiennym sklepieniem wciąż huczał gwar podniesionych głosów. – To nie jest zwykłe zamieszanie na mycie. Oni kogoś szukają.

Cabaj szybko odwrócił się plecami do mostu i narzucił na głowę kaptur płaszcz.

– Jesteś pewien? – zapytał o wiele ciszej, rzucając jednocześnie nieufne spojrzenia na rybaków, którzy nie śmieli wciskać się ze swymi dłubankami między ciężkie krypy i pogodzeni z losem czekali, aż pod łukiem zrobi się luźniej.

– Oprócz zwykłych strażników mostowych są tam piechurzy księcia.

Cabaj pozwolił sobie na jedno szybkie spojrzenie w tył; pomimo sporej odległości dostrzegł błysk słońca na żelaznym hełmie.

– Masz dobre oczy – wydusił półgębkiem pochwałę, ale zaraz powrócił do poprzedniego, napastliwego tonu: – Czego mielibyśmy się obawiać? Pewnie chcą złapać jakiegoś zbiegłego więźnia albo zbója, albo bluźniercę, albo... – Zaciął się, gdy nagle pod mostem wzburzyły się krzyki.

Nawet z oddali widać było, jak dwóch żołnierzy wywlekło z łodzi na pomost jakąś kobietę, chyba młodą, bo opierała się z całych sił, kopała i gryzła. Przewrócili ją wreszcie na deski i szarpiąc za włosy, pociągnęli w górę bardzo wąskich i stromych schodów.

– ...albo zbiegłą czarownicę – dokończył Wzdrega rozpoczętą przez odzwierne myśl. – Dowiedziałem się od ludzi, że piechurzy wszystkim dziewczynom zaglądają w oczy, a niektóre zabierają na górę do strażnicy i przepytują dokładnie. Nie możemy liczyć na to, że jakoś się prześlizgniemy.

Cabaj zaklął tak głośno, że parę głów odwróciło się w ich stronę. Zacerpnął wody i ochlapał sobie twarz, żeby trochę ochłonać.

– A jednak Mistrz doniósł na nas!

– Nie, to nie on. Nie wydałby nas ludziom księcia, bo wtedy nigdy już nie zobaczyłby diamentu.

– Więc kto?

– Teraz to nieważne.

– Dla mnie ważne. Chciałbym wiedzieć, komu podziękować. – Cabaj przez chwilę w milczeniu przeżuwał gniew, szczęka chodziła mu w przód i

w tył. Zerknął ostrożnie w bok, ku nagiemu, błotnistemu brzegowi. – Trzeba zmykać.

– Piechurzy są też na górze. Jeśli teraz podpłyniemy do brzegu, na pewno zwrócą na nas uwagę.

– Może spróbujemy dłubanką? Możemy odkupić którąś od tych tu obszarpańców. Nie musimy wszyscy się przesiadać, wystarczy, jeśli z krypy zniknie dziewczyna... – Nie zdążył zapalić się do tego pomysłu, gdy napotkał ponury wzrok Najdka; zrezygnowany machnął ręką. – Dobrze już, dobrze. Zapomniałem, jak trudno odciągnąć was jedno od drugiego, chociaż co dzień skaczecie sobie do oczu. Nie obchodzi was, że mnie, starego, przez resztę życia będą karmić w ciemnicy spleśniałym chlebem.

Najdek, choć nie opuścił wyzywająco zadartej brody, mimo wszystko zmieszał się nieco. Z rosnącą niecierpliwością czekał na to, co powie Wzdrenga.

Jednak drwał tylko skręcał w palcach kłaczek rzadkiego zarostu, błędził wzrokiem po szczycie mostu i milczał.

Przez resztę dnia niewiele się zmieniło. To wzmagał się, to przycichał zmieszany gwar kłótni, błagań i gróźb, plątały się zaprzęgi, na deskach pomostu dudniły podkute buciory piechurów. Książęcy wojacy obojętnie patrzyli na towary kupców, za to bacznie przyglądali się twarzom kobiet, wyluskując od czasu do czasu z tego rozgardiaszu jakąś przestraszoną dziewczynę, której spojrzenie wydało im się podejrzanym. Choć poborcy także nie próżnowali, po tej stronie mostu łodzi prawie nie ubywało, bo na miejsce odprawianych wciąż przybywały nowe.

Zoja spała, Wzdrenga też drzemał na siedząco, opuściwszy brodę na piersi. Najdek, choć przeczuwał, że być może nieprędko trafi się znów sposobność do dłuższego wypoczynku, nie potrafił jakoś usnąć. Przeszkadzały mu hałasy pod mostem i własne niespokojne myśli. Także Cabaj nie usiadł na miejscu dłużej niż przez parę chwil. Wstawał, kwitował nieprzyjaznym burczeniem każdą przepływającą obok krypę, butnie podpierał się pod boki, gdy miał wrażenie, że któryś z piechurów patrzy na niego z daleka, a nade wszystko pomstował nieustannie na przedłużający się postój.

Tuż przed zachodem Słońca jedyny otwarty łuk mostu przegrodziła ciężka krata, zsuwając się z góry ze zgrzytem łańcuchów. O sklepienie uderzył

zgodny krzyk sprzeciwu kupców i rybaków, ale nie zdał się na nic. Pomost szybko opustoszał, na dole pozostało tylko dwóch znudzonych żołnierzy.

Najdek obudził Zoję; Cabaj ciężkim krokiem przeszedł na przód krypy, do Wzdreği.

– Zdaje się, że utknęliśmy na dobre – zagaił, starając się okiełznać złość. – Bardzo jestem ciekaw, jaki widzisz w tym pożytek.

Z pomarszczonej wody szybko spelzał miedziany odbłask; w górze, na moście, zapłonęły porozwieszane w równych odstępach latarnie. Ostatni wóz z turkotem zjechał na brzeg.

– Nie złapali nas – odpowiedział drwał, wstając. – To mało?

– Niby racja, ale kiedy pomyśleć nad tym lepiej, to okaże się, że nie zbliżyliśmy się do celu ani odrobinę. Jeśli na jutro obmyśliłeś równie chytry podstęp, to ja dziękuję i wysiadam.

– Jutro będziemy już daleko stąd.

Cabaj od razu porzucił ton zjadliwej kpiny.

– Wreszcie zaczynasz mówić do rzeczy. – Przysunął się bliżej, ściszył głos.

– Znasz kogoś tam na moście, kto nam pomoże?

– Nie.

– Przekradniemy się brzegiem, jak przemytnicy?

– To na nic. Nie mamy drugiej krypy.

– Możemy kupić, kiedy już będziemy po drugiej stronie! Albo ukraść.

– Skoro piechurzy obsadzili most, na pewno są też na wszystkich przystaniach.

– Więc co? Mówże, człowieku!

Wzdreğa zdjął buty, odpiął pas, zrzucił koszulę.

– Podniosę kratę.

– Przecież pilnują!

– Tylko tutaj, pośrodku. Przy bocznych nikogo nie ma.

Cabaj przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami rozważał ten pomysł. Zmarkotniał, nie doszedłszy do krzepiących wniosków.

– U wylotów mostu na pewno są strażę. Nie puszczą cię tam.

– Podpłynę wpław i wdrapię się po filarze do kołowrotu.

– Jak? To kamienny mur!

– Jestem drwalem, umiem wspinać się po urwiskach.

– No dobrze... Powiedzmy, że nikt cię nie zobaczy i nie skręcisz karku. Co dalej? Do kołowrotu trzeba chyba ze czterech ludzi.

– O to się nie martw, dam radę. Podniosę kratę tylko trochę, żeby narobić jak najmniej hałasu.

– Wypatrzą krypę z góry!

– Nie, jeśli uwiniemy się ze wszystkim przed wschodem księżyca.

– Więc podpłynmy tam od razu, będzie szybciej.

– Nie! Ruszysz dopiero wtedy, gdy będziesz pewien, że krata jest w górze. Gdyby mnie wcześniej złapali, nikt nie będzie was podejrzewał.

Drwal nie czekał już na odpowiedź. Cicho, bez plusku zniknął za burtą.

Odrętwiały, znużony beczynnością Najdek przyczłapał ze swojego kąta krypy.

– Wzdrega się kąpie? – zapytał bez zaciekawienia, czochrając się po głowie.

– Znasz drwali. Powinieneś wiedzieć, że kąpiel to u nich raczej odświętna rozrywka.

Najdek wspiał się na palce, szukając wzrokiem zwalistej sylwetki Wzdregi na uwiązanych w pobliżu krypach i łodziach.

– Szuka jedzenia?

– Niestety. – Odźwierny westchnął, próbując przypomnieć sobie swój ostatni ciepły posiłek. – Twój przyjaciel mało dba o nasze żołądki. Sam w razie potrzeby mógłby zeżreć choćby własne zelówki i nawet by się nie skrzywił.

– A więc co się stało? – Chłopak przestał ziewać. Wyczuł, że mimo niefrasobliwej gadaniny Cabaj jest skupiony i czujny.

– Chyba doskwierało mu za mocno, że tak pokpił sprawę z topieluchami. Postanowił zostać bohaterem. – Kuternoga wyciągniętym ramieniem wskazał skrajny filar mostu. – Tam go masz.

Na wodzie pod przęsłem ślizgały się czerwone odbłaski latarni; w tym słabym świetle coś poruszyło się u podnóża filaru, mącąc jaśniejszy deseń piany na powierzchni. Najdek wyteżył wzrok. Jakiś cień przylgnał do muru, znieruchomiał na chwilę, a potem z wolna zaczął sunąć w górę.

– To on? – tchnął szeptem, jakby w obawie, że każde zbyt głośne słowo mogłoby strącić drwała w topiel. – Spadnie!

– Filar tylko z daleka wydaje się taki gładki. Między kamieniami są szczeliny, gdzie można zaczepić palce. – Cabaj ogarnął spojrzeniem stłoczone w pobliżu środkowego łuku krypy. Gdzieniegdzie błyskały małe lampki, sennie szemrały przyciszone rozmowy. – Jeśli tylko nikt go nie wypatrzy, wlezie na most.

Drwal dotarł do połowy wysokości filaru i zatrzymał się na dłuższą chwilę, chyba odpoczywał. Najdkowi tak mocno waliło serce, że zląkł się, czy nie usłyszą tego inni.

– Co on chce zrobić?

– Sam zobaczysz... jeśli mu się uda. – Cabaj podniósł żerdź, bardzo ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, i podbródkiem wskazał chłopcu drugą. – Bądź gotów.

Wzdrenga podjął wspinaczkę. Jedną z latarni zatknęto u samego wylotu mostu, oświetlając górną część filaru – w tym miejscu drwała widać było z daleka, niczym chrabąszcza na jasnej ścianie. Wystarczyłoby, żeby ktoś z oczekujących na dole zadarł głowę albo jakiś piechur wychylił się za poręcz. Wzdrenga się śpieszył, jego ruchy nie były już tak płynne jak na początku. Raz i drugi zdawało się nawet, że źle obliczył uchwyt i lada chwila odpadnie od muru, jednak dzięki sile i zręczności potrafił znaleźć oparcie. Wreszcie podciągnął się po raz ostatni, sięgnął poręczy i szybko prześlizgnął się na tamtą stronę.

Najdek zdążył odliczyć trzy głuche uderzenia serca, gdy zabrzęczały łańcuchy – niegłośnie, jakby trącone wiatrem – i krata uniosła się nad powierzchnię, ociekając wodą. Szpara u dołu nie była szersza nad łokieć, z daleka trudno było w ogóle ją dostrzec. Krótki zgrzyt żelaza nie zwrócił chyba niczyjej uwagi na rzece ani na moście.

– Teraz, mały! – Cabaj szybko rozsupłał sznur. – Tylko spokojnie.

Gdy ruszyli, paru rybaków podniosło głowy, ale nikt się nie dziwił. Już przedtem parę kryp podpłynęło do brzegu – niektórzy kupcy woleli przenocować wygodnie w gospodzie, nawet kosztem utraconego miejsca w kolejce do odprawy. Wzdrenga z Najdkiem na przemian zapierali żerdzie w dno, starając się robić to jak najciszej. Niebawem znaleźli się na wysokości ostatniego łuku. Odłożyli drągi i sami rozciągnęli się na dnie krypy, zdając się na leniwy w tym miejscu nurt.

Najdek leżał na plecach, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wrzynały się w spocone dłonie. Wciąż było cicho. Zobaczył odbłask latarni na poręczy mostu, kamienne sklepienie między filarami, zębatą dolną krawędź kraty, a kiedy rozsypały się nad nim przymglone gwiazdy, ze szczęścia zapiekły go uszy.

– Udało się... – wykrztusił. Gdy wpłynęli na ciemniejsze wody, gdzie nie docierało światło z mostu, usiadł, tknięty nagłym niepokojem. – A co z Wzdregą? Jak nas dogoni?

Cabaj podniósł się także, sapiąc głośno, jakby aż do tej pory wstrzymywał oddech.

– Tego nie powiedział.

Nagle w górze rozległ się ostry krzyk, załomotały w biegu podkute buty. Słuchać było furkotanie puszczanej luzem korby kołowrotu, krata opadła z hukiem. Na moście buchnął wielki płomień, zaraz potem drugi, trzeci i następne, rozświecając kamienną budowlę od krańca do krańca.

– Podpalili beczki ze smołą! – zawołał Cabaj.

Niebawem na tle dymiącej ognistej grzywy zaczerniły się ruchliwe cienie piechurów. Coś zawarczało w powietrzu i z pluskiem wpadło do wody tuż obok krypy.

– Jesteśmy w zasięgu proc, wybiją nas jak zające...

Znów plusnęło, kolejny kamień odbił się od burty, parę innych zadudniło na deskach. Przycupnęli, chroniąc głowy w ramionach, ale nic więcej nie mogli zrobić. Na rozświetlonej rzece byli łatwym celem. Bezradnie oczekiwali śmiertelnego gradu pocisków, jednak świst proc ucichł niespodziewanie, jakby na rozkaz.

Czas mijał nieznośnie powoli, lecz sylwetki żołnierzy malały w oddali, a nurt unosił ich w zbawczy mrok. Najdek pierwszy podniósł się, złapał żerdź i wyteżając rozpaczliwie wszystkie siły, próbował zepchnąć krypę do brzegu.

– Przestań! – Cabaj przyskoczył tak żwawo, jakby ubyło mu sadła i lat.

– Mają Wzdregę... Nie możemy go tak zostawić.

– Opamiętaj się, na wszystkie chóry Niebios! – Odźwierny wydarł mu żerdź z rąk. – Najlepsze, co możesz teraz dla niego zrobić, to nie dać się złapać, inaczej cały jego wysiłek pójdzie na marne. Zakują was do jednego

łańcucha i wtedy na pewno już nigdy się nie rozstaniecie, ale wątpię, czy będzie ci wdzięczny za taki dowód przywiązania.

Krypa wślizgnęła się cicho na czarne wody, ale Najdek nie odrywał łzawego spojrzenia od rozplómonionego mostu.

– Wytłumaczę im, że się mylą... że tutaj nie ma żadnej czarownicy – zachlipał.

– I czego się spodziewasz? Przepraszam? – zaśmiał się Cabaj ponuro. – Mała wygląda jak czarownica, zachowuje się jak czarownica i pewnie skończy jak czarownica, jeśli nadal będą ci przychodzić do głowy takie głupie pomysły.

– Ci piechurzy na pewno nie są tacy straszni! Nie skrzywdziliby dzieci.

– Nie rozśmieszaj mnie, bo dostanę kolki.

– Sam mówiłeś, że mogli wytłuc nas kamieniami, a nie zrobili tego...

– Wcale nie jestem pewien, czy to jest powód do zadowolenia.

– Jak to? – Zdumiony chłopak dopiero teraz odwrócił się do Cabaja.

– Ośmiesziliśmy ich, a jednak wypuścili nas żywych. Dawniej miałem sporo do czynienia z piechurami, znam ich dobrze. Zwykle tak się nie zachowują. – Sapał w ciemnościach, szarpiąc w zamyśleniu wąsa. – Potrafię sobie wyobrazić tylko jeden powód, dla którego nas oszczędzili.

– Jaki?

– Łaska. Bali się, żeby nie poszła na dno razem z nami.

Najdek bezwiednie położył rękę na piersi w miejscu, gdzie wcześniej ukrywał woreczek.

– Mówiłeś, że Mistrz nas nie wyda... – przypomniał niepewnym głosem.

– Nadal tak myślę. Mistrz nic by nie zyskał, gdyby złapali nas piechurzy, bo księżę na pewno nie oddałby mu takiego skarbu.

– Więc kto?

– Dowiemy się, kiedy już wpadniemy w jego łapy.

Najdek po raz ostatni pociągnął nosem, odetchnął głębiej wilgotnym, czystym powietrzem i nieco przytomniej rozejrzał się dookoła.

– Myślisz, że będą nas ścigać?

– Piechurzy nie dosiadają morsów. Poborcy pewnie mają kilka zaprzęgów, ale wątpię, czy odważą się płynąć w nocy za czarow... – Odkaslnął, dokończył gładko: – Za kimś, kogo uważają za czarownicę.

– Jeśli ruszą dopiero o świcie, chyba już nas nie dogonią?

– Nie dogonią, chyba że wpadniemy na jakąś skałę albo mieliznę. Ale to i tak niewiele nam pomoże. Na pewno obstawili też następny most, tam nas zatrzymają. A jeśli spróbujemy wyjść na brzeg, urządzą na nas obławę z psami.

– I nie ma na to żadnej rady?

– Jest jedna. Liczyć na to, że jutro wydarzy się cud. – Cabaj legł ciężko tam, gdzie stał, podłożył pod głowę zgięte ramię. Wymamrotał jeszcze niewyraźnie: – Spróbuję przynajmniej się wyspać. Nie zapominaj zagadywać małej, żeby nie sprzykrzyło się jej czuwanie. Obudź mnie o północy, zmienię cię.

Ciemności były tak gęste, że chłopak nie mógł dostrzec Zoi. Zawołał z cicha, ale nie odpowiedziała. Przestraszył się nawet, że w zamieszaniu mogła wypaść za burtę. Po omacku ruszył na tył krypy i potknął się o nią wreszcie, skuloną w narożniku. Usiadł obok niej w milczeniu, rozprostował nogi i zwiesił głowę.

Patrzyła na niego z bliska.

– Nie złapali go – szepnęła. – Skoczył z mostu.

Przez chwilę sądził, że źle zrozumiał albo że zasnął i przyśniły mu się te słowa – a jednak krypa kołysała się lekko, chlupotała woda, a oddech Zoi wciąż szemrał przy jego uchu.

– Skąd wiesz? – zapytał bez tchu.

– Od czasu gdy moje oczy... zmieniły się, widzę w ciemnościach lepiej niż za dnia.

Krew uderzyła mu do głowy, z radości aż zrobiło się ciepło. Zasytał Zoję pytaniami, ale nie chciała powiedzieć nic więcej albo po prostu nie mogła. Gdy to wreszcie zrozumiał, ochłonął nieco, umilkł i zaczął rozważać tę nowinę spokojniej. Nie było przecież wcale pewne, czy Wzdzędze naprawdę udało się uciec. Mógł utopić się po skoku z tak dużej wysokości, mógł wpaść w ręce żołnierzy już na brzegu, mógł zostać trafiony kamieniem z procy – ale mimo wszystko Najdek nie pozwolił zagasnąć tej odrobinie otuchy, jaką rozbudziły w nim słowa Zoi. Tyle musiało mu wystarczyć w czasie tego smutnego spływu przez mrok, w nieznane.

To była najtrudniejsza noc ze wszystkich od początku tułaczki. Nurt odepchnął krypę daleko od brzegu. Znaleźli się całkowicie w mocy rzeki,

która oddalała ich od jednego niebezpieczeństwa, aby rzucić w inne. Najdek widział światła przystani, czasem słyszał szczekające psy, ale nawet te oznaki zwyczajnego, codziennego życia budziły strach – nigdzie przecież nie mogli spodziewać się gościnnego przyjęcia. Czuł się samotny i nieszczęśliwy. Dopiero teraz okazało się, jak wiele znaczyła dla niego krzepiąca obecność zawsze spokojnego drwała. Cabaj chrapał głośno, Zoja nie odzywała się. Gdyby zasnęła, pewnie nie zauważyłby tego nawet. Choć starał się nie roztkliwiać nad sobą, co jakiś czas musiał zlizać z wargi słoną łzę.

Spoza postrzępionych chmur przebłyskiwał księżyc, na wodzie tu i tam rozlewały się plamy poświaty, niekiedy zrywał się chłodny wiatr i szumiał w sitowiu. Minęła już chyba północ, ale chłopak nie poszedł budzić odzwiernego. Musiałby zmusić do ruchu znużone ciało, a poza tym czuł, że i tak nie zaśnie. Wolał już pozostać w tym cichym odrętwieniu, nie ocierając nawet wilgotnych policzków.

Dostrzegł wreszcie daleko przed krypą odbłask światła na wodzie. To nie mógł być wytęskniony brzask – Słońce powinno ukazać się po przeciwnej stronie nieba – ale mimo to żywiej zabiło mu serce. Nawet nie pomyślał o tym, że może to być zasadzka. Łagodna, zwiewna jasność w niczym nie przypominała krwawej pożogi płonących beczek ze smołą. Podniósł się na kolana, żeby widzieć lepiej. Niebawem mógł już wypatrzeć czarną krechę liny promowej, rozpiętej w poprzek rzeki. Źródło blasku jaśniało tuż pod nią, mniej więcej w połowie długości, rozsiewając na toni wielobarwnie rozszczepione lśnienia. Czekał z ufnością, coraz mocniej przekonany, że właśnie zdarzył się cud.

Prąd poniósł krypę w sam środek blasku. Najdek złapał oburącz grubą, szorstką linę, zaparł się nogą o ławkę, a potem szybko przywiązał sznur. Dopiero teraz spojrzął na rybitwę, która siedziała na linie tuż obok, rozłożywszy skrzydła, jakby każdej chwili gotowa do ucieczki. Pazurami przytrzymała rzemyk woreczka; Łaska przeświecała ze środka niczym przez cienki jedwab.

– Dziękuję... – Ostrożnie, aby nie spłoszyć ptaka, wyciągnął rękę.

Nastroszona rybitwa przyglądała mu się przez chwilę jednym okiem, a potem krzyknęła przenikliwie i zerwała się nagle do lotu. Woreczek opadł w nadstawioną dłoń; Łaska natychmiast przygasła.

Chłopak wzdrygnął się, jakby obudzony z cudownego snu. Przez jakiś czas nic nie widział, wypieszczone światłem oczy z trudem przywykały do mroku.

– Niepotrzebnie się martwiłeś, rybitwa nie zawiodła – odezwała się cicho Zoja za jego plecami.

Najdek zawiesił sakiewkę na szyi i ukrył pod koszulą. Fala radosnego podniecenia opadła gwałtownie, pozostała po niej tylko suchość w ustach i tępy ucisk w skroniach. Długo poprawiał kołnierzyk, usiłując dzięki tej chwili zwłoki ocalić dla siebie choć odrobinę tej nietrwałej nadziei, która teraz mogła się wydawać zaledwie złudzeniem opromienionych Łaską zmysłów.

– Chyba powinniśmy się bać, kiedy diament świeci – mruknął w końcu zniechęcony. – To zwiastuje nieszczęście.

– Co ty wygadujesz?

– Przedtem, kiedy tak się działo, przychodził demon.

– Tym razem to coś innego. Wyczułabym demona. Łaska zaświeciła nie po to, żeby cię ostrzec, ale żebyś ją znalazł.

– Tak sądzisz? – Zrobiło mu się trochę różniej.

– Nie znam się dobrze na tych sprawach, ale coś niecoś wiem od czarownicy. Łaska zawsze chroni tego, kto z nią współdziała. A to chyba znaczy, że jesteś na dobrej drodze. Robisz to, czego chciał od ciebie twój nauczyciel.

– To się tylko tak ładnie mówi! – Machnął ręką, na nowo rozdrażniony. – A przecież on obarczył mnie tym wszystkim, bo bał się o siebie.

– Nie znałam go tak dobrze jak ty, ale tego jednego jestem pewna, że troszczył się o siebie mniej niż o pierwszego lepszego żebraka.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć! Był moim nauczycielem, ty nigdy go nie szanowałaś.

Natychmiast pożałował zbyt prędkich słów, ale Zoja odpowiedziała bez gniewu:

– Nawet nie wiesz, ile rzeczy można sobie przemyśleć, kiedy się tak siedzi noc po nocy i nie wolno spać.

Najdek czuł na sobie jej uważne spojrzenie; odwrócił się, aby ukryć zmieszanie. Ostatnio coraz częściej przyłapywał się na tym, że nie potrafi

już rozmawiać z nią tak swobodnie jak dawniej. Zmieniła się bardzo po ucieczce z jaskini. Miał wrażenie, że musi minąć dużo czasu, zanim uda mu się poznać ją na nowo.

Chciał odwiązać sznur, lecz gdy położył dłoń na linie promowej, wyczuł wyraźne drżenie, chociaż było bezwietrznie i welon oparu wisiał nieruchomo nad rzeką.

– Myślałem, że promy nie pływają w nocy... – szepnął zdumiony.

– To coś innego. – Zoja podeszła do lewej burty, przez chwilę z natężeniem wpatrywała się w mrok. – Ktoś idzie do nas po linie.

Najdek złapał za sznur, jednak w popłochu nie mógł poradzić sobie z węzłem.

– Pomóż mi, szybko! – syknął.

Zoja nie poruszyła się, chyba nawet nie odwróciła głowy w jego stronę.

– Powinniśmy zaczekać i dowiedzieć się, kto to jest.

– Wszystko jedno! Ktoś zobaczył z brzegu światło Łaski. Musimy uciekać!

– Na to zawsze będzie czas. On nas przecież nie ściga.

Lina zatrzęsała się mocniej, po paru chwilach zamajaczył w mroku cień, który pełzał po niej z wolna uczepiony rękami i nogami, wisząc głową w dół; długie, skudłone włosy muskały toń. Gdy od krypy dzieliło go ledwie parę łokci, zatrzymał się jeszcze, jakby chciał się przekonać, czy nikt nie odpędzi go krzykiem albo pięścią, lecz ponieważ Najdek i Zoja milczeli, podciągnął się szybko i zwinnie zeskoczył na pokład, przykucając natychmiast.

– Zapalcie znowu wasze cudowne światelko – zaseplenił nieprzyjemnie.

– Po co? – spytał zalękniony Najdek.

– Chcę wam się przyjrzeć. Muszę wiedzieć, czy jesteście tymi, których szukam.

– A... kogo szukasz?

Tamten syknął zniecierpliwiony, podniósł się, ale pozostał na miejscu.

– Szukam czarownicy, małego świętokradcy i grubego kaleki, którzy płyną prosto w łapy kata.

Najdek struchlał, przekonany, że wpadli w pułapkę i lada chwila rozlegną się w ciemnościach pochrząkiwania morsów – jednak zamiast tego napiętą ciszę przerwały niespodziewanie słowa odźwiernego:

– To właśnie my, dobry człowieku. – Najpierw przyciągnął do siebie żerdź, dopiero potem wstał. – Miło będzie, jeśli ty także się przedstawisz.

Przybysz czujnie zwrócił się w stronę głosu.

– Nie ma czasu. Chodźcie za mną.

Deski zaskrzypiały po ciężarem Cabaja, który zbliżył się o parę kroków.

– Nalegam.

Tamten zrozumiał, że nie ma do czynienia z bezsilnym starcem. Wahał się przez chwilę, jakby rozważał odwrót, ale potem odpowiedział gładko:

– Jestem przewoźnikiem. Mieszkam na przystani.

– Ciekawe, jakim cudem wieści o nas dotarły do takiej, bez urazy, dziury, skoro my sami wcale nie zabiegamy o rozgłos. – Cabaj ujął żerdź oburącz i podszedł jeszcze bliżej. – Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mocniej podejrzewam, że mogłeś usłyszeć o nas tylko od żołnierzy.

– Trafiłeś, myślicielu. – Przewoźnik zachichotał podobnym do czkawki śmiechem, który urwał się nagle. – Powiem ci nawet, co jeszcze mi mówili. O pięć mil stąd, na moście, czekają na was piechurzy z wielką siecią, którą zarzucą na krypę. W szuwarach przyczaili się jeźdźcy, a wami płyną bojowe zaprzęgi. Nie śpieszą się, żeby nie spłoszyć was przedwcześnie i nie zepsuć sobie połowu, ale bądźcie pewni, że to wasz ostatni nocleg pod gołym niebem. – Uwiesił się na linie i oplótł ją nogami. – Tylko ja mogę wam pomóc. Pomyślcie o tym, ale niezbyt długo, bo z tyłu widać już światła.

Obejrzelisi się wszyscy naraz – maleńkie płomyki łuczyw jeden po drugim wysuwały się z za niskiego cypla na łuku rzeki, podobne do ognistego robaka, który wiję się na czarnej wodzie.

Lina zakołysała się, przewoźnik zniknął w ciemnościach.

– Nie kłamał, naprawdę za nami płyną! – Najdek niespokojnie zatarł dłonie. – Co robimy?

Cabaj obmacał w ciemnościach węzeł, fuknął ze złością i tak mocno szarpnął za sznur, że wyrwał z deski dziobowej żelazny uchwyt, ale nie wypuścił go z dłoni.

– Chcą łowić krypę, niech łowią... – mruknął.

– Płyniemy dalej?

– Do brzegu. – Wolną ręką machnął na Zoję. – Ty też.

Chłopak uczeplił się kurczowo grubej liny, przylgnął do niej policzkiem i oplótl nogami. Kiedy ostrożnie posunął się dalej, poczuł lekki wstrząs, spowodowany przez wspinającą się Zoję, a potem drugi, o wiele mocniejszy, który niemal strącił go do wody.

– Jestem za stary na udawanie małpy – wydusił kuternoga z trudem. – Naprzód, małpy.

Przeprawa nie była łatwa, bo lina chwiała się mocno, a mokre sploty wyslizgiwały się z palców, ale Najdek pełzał wytrwale z głową odrzuconą do tyłu, zerkając raz po raz na światła zaprzęgów, które rosły w oczach. Zoja nadażała za nim, lecz Cabaj radził sobie o wiele gorzej. Stękał, kłął na głos, wierzgał drewnianą nogą, a w końcu, kiedy tamci dwoje już czekali na brzegu skuleni pod przegniłym pomostem – gruchnął całym ciężarem do rzeki. Na szczęście w tym miejscu nie było już głęboko, więc dobrnął jakoś do brzegu, potykając się i wydmuchując wodę z nosa.

Czas był ku temu najwyższy, bo pierwszy z zaprzęgów zbliżał się już z wolna do przeciągniętej nad wodą liny. Rozmazane we mgle płomienie łuczyw oświetlały łby morsów, wysokie dzioby łodzi i sylwetki siedzących na nich żołnierzy.

– Będą płynąć za pustą krypą, dopóki się nie rozwidni – wyzijał grubas, leżąc na brzuchu w przybrzeżnym grzędawisku. – Zyskaliśmy trochę czasu.

Wdrapali się na pomost dopiero wtedy, gdy ostatni z zaprzęgów minął przystań. Wciąż było pochmurno i bardzo ciemno, dostrzegali tylko spadzisty dach chaty, kępy drzew i zabudowania jakiejś wioski w oddali.

– Teraz czas na szczerą rozmowę z naszym nowym znajomym – burknął Cabaj gniewnie.

– Chyba go tu nie ma. – Najdek postawił parę niepewnych kroków na rozchwianych deskach. – Ufasz mu?

– Ani trochę. Na pewno nie ściągnął nas tutaj z dobroci serca.

Z drugiej strony pomostu zabulgotała woda, na płyciźnie klasnęła płetwa morsa. Cabaj z Najdkiem wstrzymali oddechy, lecz Zoja po chwili uspokoiła ich szeptem:

– Są tu dwa morsy, za grube na wierzchowce. Dalej, przy nabrzeżu, stoi duża krypa ze stosem beczek. Na brzegu śpi pięciu ludzi. Dwóch to chyba żołnierze, mają takie same skórzane kubraki jak tamci na moście.

Najdkowi znów błysnęło w głowie podejrzenie zdrady. Najchętniej uciekłyby stąd od razu, na przelaj przez pola, byle dalej od rzeki, jednak Cabaj złapał do za kołnierz i osadził na miejscu.

– Śpią na służbie? – pokręcił głową. – Dziwne.

– Tak to bywa, kiedy młodzi piechurzy spotkają się z dostawcami wina dla książęcych piwnic. – Przewodnik odezwał się gdzieś od strony nabrzeża, niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem Zoi. Zachowywał się zupełnie swobodnie, nawet nie ściszył głosu. – Najpierw wypili po kubku, tak na chłodny wieczór, potem po drugim, a kiedy uznali się już za dobrych przyjaciół... Sam wiesz, jak to jest. – Trącił stopą któregoś z leżących, odpowiedział mu pijacki bełkot. – Cóż, młode wino bywa zdradliwe. Jutro czeka ich trudny poranek.

– Podczaszy księcia nie pourywa im za to głów? – zaciekał się odźwierny.

– Doleją wody, jak zawsze. Książę pija najpodlejsze wino w całym Przymorzu, ale nawet o tym nie wie, bo nie zna innego.

Zarechotali zgodnie, jak starzy znajomi. Cabaj umilkł pierwszy, odchrząknął.

– A ty czemu nie piłeś razem z nimi? Nie zaprosili cię czy może złożyłeś ślub wstrzemięźliwości?

– Z początku piłem, ale kiedy rozwiązały im się języki, już tylko słuchałem. Podejrzewam, że połowę zełgali, bo trudno było uwierzyć, że to całe zamieszanie na rzece wybuchło tylko z waszego powodu, ale kiedy zobaczyłem, że z nieba spłynęła cudowna jasność, jakby na skrzydłach, uwierzyłem we wszystko.

– Taak... – Cabaj przeciągnął lekko, jakby myślał już o czymś innym. – Zadałeś sobie dla nas sporo trudu. Mogę wiedzieć dlaczego?

– Zawsze trzymam z ciemżonami, sam w życiu nie miałem lekko. A poza tym... – zawiesił głos.

– Co?

– Liczę na waszą wdzięczność.

Cabaj podszedł powoli do samej krawędzi pomostu.

– Ile? – zapytał sucho.

– Sakiewka dziewczyny.

– Ach, więc wiesz i o sakiewce. – Zaskoczenie odźwiernego trwało tylko mgnienie oka.

– Żołnierze chwalili się, że dowódca obiecał ją temu, kto pierwszy przyniesie mu wasze świecidełko. Podobno jest duża i ciężka... – przerwał, jakby oczekiwał na potwierdzenie, ale wobec milczenia Cabaja ciągnął beznamyślnie: – Pomyślałem sobie, że skoro tak czy siak musicie stracić sakiewkę, najlepiej będzie, jeśli dacie ją mnie.

– Kto wie, może na twoim miejscu pomyślałbym podobnie, ale dla nas sprawa wcale nie jest taka prosta. To cały nasz majątek. Musimy jakoś urządzić się w Przymorzu.

– Dacie sobie radę. W najgorszym razie będzie zarabiać na was ta mała. Dziewczyna z ładną buzią na pewno w stolicy nie zginie.

Najdek wyraźnie usłyszał, jak odźwierny zazgrzytał zębami, z trudem tłumiąc gniew.

– Każesz sobie sporo zapłacić, a my nawet nie wiemy jeszcze za co.

– Po pierwsze za to, że nie obudzę żołnierzy.

– To zwykły rozbój, nie żadna pomoc!

– Znam sposób, jak wyrwać się z obławy.

– Mów.

Przewoźnik zaszurał i splunął do wody.

– Najpierw sakiewka.

Cabaj kilka razy głęboko odetchnął, nim znowu się odezwał.

– Cieszę się, że nie muszę oglądać twojej gęby, sukinsynu – wycedził przez zęby. – Połowa tego, co w sakiewce.

– Nic z tego, przyjacielu. Jeśli wam pomogę, będę musiał zniknąć stąd na zawsze. Nie chcę za was zgnić w lochu.

– Zostaw nam chociaż ćwiartkę.

– Dawajcie wszystko albo wyleję każdemu z tych pijaków wiadro wody na łeb.

Cabaj mocno zacisnął pięści, ale zanim wycharczał z siebie wściekłość, coś plasnęło na kamienne nabrzeże, brzęcząc metalicznie.

– Rozsądna dziewczyna. – Tamten schylił się szybko. – Żołnierze nie przesadzili, naprawdę jest ciężka.

– Gadaj! – warknął głucho kuternoga.

– Och, to bardzo proste. Zabierzcie się z flisakami.

– Kpisz, łotrze?

– Nigdy nie kpię z cudzego nieszczęścia. Krypa z winem dla księcia ma wolną drogę, nie zatrzymają jej przy moście.

– Nie zgodzą się nas zabrać! Z daleka widać, że z dziewczyną jest coś nie tak.

– Wcale nie muszą wiedzieć, że z nimi płyniecie.

Zaszeleściły krzewy na brzegu. Po chwili nisko u podstawy chmur ukazał się sierp księżycy, srebrząc leciutko puste nabrzeże. Przewoźnik zniknął w ciemnościach.

– Znajdę cię kiedyś, wszarzu! – huknął Cabaj, nie dbając już o spokojny sen żołnierzy i flisaków. – Znajdę i wsadzę ci kulasa głęboko w... – Zmełł ostatnie słowo w zębach, z ukosa rzucił gniewne spojrzenie na Zoję. Po chwili dodał ostro: – A ty czemuś tak się pośpieszyła z tą sakiewką? Teraz oszust przez pół roku będzie chlał na nasz koszt i opowiadał po gospodach, jak to oskubał nad rzeką głupich kmiotów.

Dziewczyna zeszła z pomostu na nabrzeże, uspokoiła szeptem morsy, które odpowiedziały przyjaznym parskaniem, rzuciła okiem na śpiących i zeskoczyła na krypę.

– Na mój koszt, nie nasz – przypomniała. Poświata wydobyła z mroku jasną plamę jej twarzy.

– Na jedno wychodzi! Zostaliśmy z niczym.

Zoja rozejrzała się po krypie. Podniosła wieko schowka na narzędzia, pogrzebała przez chwilę wśród żelastwa, nim wydobyła ciężki młot. Zarzuciła go na ramię i wspięła się ostrożnie na sam wierzchołek piramidy beczek, przytrzymując się jedną ręką mocujących je sznurów. Usiadła w końcu okrakiem na jednej z nich, przysunęła się do krawędzi.

– Wcale nas nie oszukał.

Pochyliła się, wzięła duży zamach i jednym celnym uderzeniem młota odszpunktowała beczkę. Wino chlusnęło ciemną strugą wprost do rzeki.

Wściekły Cabaj zbiegł z pomostu, nie zważając na rozchwiane deski. Gdy wpadł na kamienne nabrzeże, spod okucia kulasa sypnęły się iskry. Wydawało się, że z rozpędu wskoczy na krypę, jednak zwolnił i zatrzymał się.

– Gdzieś ty, dziewucho, taka chytra wyrosła, bo chyba nie na pastwisku. – W zdumieniu pokręcił głową. – Może jednak jakiś demon siedzi ci na karku i szeptem do ucha.

Najdek zrozumiał jej zamiar chwilę później niż odźwierny. Prostota pomysłu olśniła go i jednocześnie wzbudziła nieufność.

– Nie znajdą nas? – Bez przekonania podreptał za Cabajem, który już wkroczył na krypę.

– Tutaj na pewno nie będą szukać.

Odźwierny, gdy raz już uznał, że przedsięwzięcie ma widoki powodzenia, zakrzętnął się żwawo. Wybił szpunt drugiej beczki, podstawił dłoń pod strugę i siorbnął głośno.

– Wystarczy, że ktoś zastuka w beczkę... – Najdek wciąż nie był przekonany.

– Czemu mieliby włożyć tak wysoko i stukać? Jeśli zechcą się napić, upuszczą z którejś z beczek na dole.

– A żołnierze na moście?

– Nawet nie spojrzą na książęcą krypę. Zresztą większość z nich będzie uganiać się za nami po polach i zagajnikach, jak już złapią w sieć pustą łódź.

Gdy pierwsza z beczek opróżniła się, Cabaj odbił wieko. Zoja bez wahania wślizgnęła się do ciemnego wnętrza, pomachawszy przedtem Najdkowi ręką. Chłopak chciał wierzyć, że na jej twarzy dostrzegł pierwszy od dawna, przelotny uśmiech – ale równie dobrze to mogła być łudzająca gra księżycowych cieni.

Odźwierny starannie zamknął beczkę, zadowolony skinął głową.

– Pewnie mają tam wśród narzędzi jakiś świder, wywiercę potem kilka otworów, żeby miała czym oddychać. – Otworzył sąsiednią beczkę, a gdy reszta wina bluznęła za burtę, zapraszającym gestem przynaglił chłopca.

Najdek z ciężkim sercem wdrapał się na górę. Dręczyła go myśl, że od tej chwili aż do końca podróży będzie mógł już tylko czekać, bez żadnego wpływu na to, co się wydarzy. Wsunął się do beczki nogami naprzód. Było mokro, w zagłębieniu na dole zalegała gruba warstwa osadu. Wzdrygnął się, gdy wilgoć przeniknęła mu przez koszulę do gołej skóry.

– Jak długo to potrwa? – zapytał, usiłując ułożyć się jakoś w ciasnej przestrzeni.

– Pojutrze powinniśmy być na miejscu. Wytrzymasz.

Ciemny krąg wieka prawie zasłonił już otwór. Najdek wcisnął w szparę palce.

– A ty? – Głos zabrzmiał głucho. – Kto ciebie zamknie?

– Chyba nie wyobrażałeś sobie, mały, że wtłoczę się do czegoś takiego. To nie dla mnie.

– Nie możesz tu zostać!

– Nie zamierzam. Kiedy flisacy wytrzeźwieją, wproszę się na krypę.

– Zabiorą cię?

– Mam dar zjednywania sobie ludzi. A jeśli będą kręcić nosem, zapłacę.

– Czym?

– Przewidujący człowiek zawsze ma coś zaszyte w pasie na czarną godzinę.

– Zatrzymają cię żołnierze na moście...

– Nie martw się o to. Szukają trójki zbiegów, a poza tym najbardziej zależy im na dziewczynie i tobie. Pośród flisaków bez trudu mogę uchodzić za jednego z nich. Mają kapoty długie do samej ziemi, kiedy założę taką, nikt nie musi nawet widzieć mojego kulasa.

Najdek chciał jeszcze o coś pytać, ale odzwierny odgiął kolejno każdy z jego palców i uderzeniem łokcia dopchnął wieko.

Wokół stężała ciemność.

Szybko zrobiło się gorąco i bardzo duszno. Cabaj wprawdzie spełnił obietnicę i wydrążył u góry kilka otworów, ale opary wina były tak gęste, że chłopak rychło utracił poczucie rzeczywistości. W głowie mu szumiało, pocił się obficie, od czasu do czasu przenikały go lodowate dreszcze. Parę razy mdlał chyba, odzyskiwał przytomność i w popłochu usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest i dlaczego pozwolił zamknąć się w tym okropnym miejscu. Za każdym razem długo trwało, nim roztrzepotane serce uspokajało się z wolna.

Zmusił się do czujności, gdy przez otwory do beczki przeniknęły prążki bladego światła i dobiegły z zewnątrz pierwsze odgłosy niemrawej krzątaczki. Wiedział, że w ciszy poranka mógłby zdradzić go każdy szmer czy stukot, więc leżał nieruchomo, na boku, ze zgiętym ramieniem pod głową, próbując zapanować nad zbyt szybkim oddechem.

Tamci budzili się tymczasem – słyszał ich zachrypłe z przepicia głosy, czasem swarliwe albo gniewne, ale zdołał zrozumieć tylko pojedyncze słowa. Nie dostrzegli chyba nic podejrzanego, ospale szykowali się do drogi. Wreszcie na pokładzie zadudniły kroki, ktoś kłaśnięciem przywołał morsy, krypa zachwiała się lekko.

Najdek drgnął, gdy nagle rozpoznał beztroski śmiech odźwiernego, który wdał się w pogawędkę z żołnierzami na nabrzeżu. Zapewne łatwo zdobył ich zaufanie jakimś sprośnym dowcipem, bo zachichotali wszyscy, a niebawem do wesołej rozmowy przyłączyli się i flisacy. Targ o cenę za przewóz poszedł gładko. Po paru chwilach krypa przechyliła się mocniej, zachlupotała woda u burt, powożący zaprzęgiem gwizdnął przeciągle.

Najdek zapadł w niespokojny półsen, który przytępił poczucie dłużącego się nieznośnie czasu. Docierał do niego szum rzeki, skrzywienie lin, parskanie morsów, czasem jakiś krzyk albo przekleństwo, a jednocześnie szemrał mu w głowie gwar zmieszanych wspomnień: beczały owce, szczekał Wilk, śmiała się Zoja. Starał się wytrwać jak najdłużej w tym świecie złud, bo nie czuł wtedy dokuczliwego drętwienia nóg, których nie mógł rozprostować, szczypania oczu i nawracającego falami bólu głowy. Dręczyło go pragnienie, wysysał więc wilgoć z rękawa koszuli, ale potem robiło mu się niedobrze. Przy każdym przechyle krypy miał wrażenie, że spada gdzieś gwałtownie z wysoka.

Dwukrotnie tylko oprzytomniał całkowicie, zmrożony nagłym przerażeniem. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy niespodziewanie krypa wpłynęła w sam środek głośnego zamieszania; ludzie krzyczeli, morsy ryczały, burty łomotały o burty. Chciał zerwać się, uderzył czołem w górną ścianę beczki i padł oszołomiony z powrotem na plecy. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że w wywierconych otworach zgasł nagle błękit; wówczas zrozumiał, że krypa znalazła się pod mostem.

Ktoś wskoczył na pokład, padł jakiś ostry rozkaz – Najdek mocno zacisnął zęby, aby nie krzyknąć ze strachu. Znał ten głos, nie mógł się mylić; wszystkie jego najgorsze wspomnienia były z nim związane. Był pewien, że to koniec, że lada chwila odbiją wieko i wywleką go z beczki, jednak któryś z flisaków odpowiedział śmiało. Wywiązała się krótka sprzeczka, a potem

znów napięły się liny zaprzęgu, krypa drgnęła i otwory na powrót rozjaśniły się słonecznym blaskiem.

Długo jeszcze nie mógł ochłonąć po tym, co usłyszał, ale w końcu z wolna znowu zapadł w drzemkę, a potem w twarde, ciężki sen, z którego wyrwała go dopiero dzwoniąca w uszach nocna cisza.

Natychmiast pomyślał o Zoi; ona nie mogła przecież pozwolić sobie po zachodzie słońca nawet na odrobinę słabości. Ten całkowity bezruch i spokój wydał mu się złowieszczy. Podniósł zeszywniałą rękę i przewyciężając obawę, że mógłby to usłyszeć któryś z flisaków, zastukał cichutko w to miejsce, do którego powinna przylegać sąsiednia beczka.

Serce zatrzepotało w nim jeszcze kilkakrotnie i zamarło, a potem, w miarę przedłużającej się ciszy, stopy i dłonie zrobiły się zimne jak lód. Był przekonany, że gdzieś głęboko pod ziemią już zaczyna burzyć się pustka, niczym mroczny ocean. Jeszcze chwila, a byłby kopniakiem wybił wieko i obudził krzykiem wszystkich na krypie – gdy w końcu usłyszał lekkie skrobnięcie z tamtej strony, jedno jedyne. A potem już nic.

Do świtu przeleżał skulony, z twarzą ukrytą w dłoniach, obolały i spragniony, ale już spokojniejszy.

Z dalszej podróży nie zapamiętał wiele poza gorącą, lepką ciemnością, która całkowicie obezwładniła ciało i ducha. Nie docierały do niego żadne odgłosy, nie odczuwał wstrząsów; wydawało mu się nawet, że tam, na zewnątrz, zagarnęła wszystko bezmierna, głucha Otchłań, a obrazki wspomnień, które coraz rzadziej migotały pod zamkniętymi powiekami, były jedynie odpryskami jego gorączkowych snów.

Gdy w końcu w ten gęsty jak smoła mrok niespodziewanie wdarło się światło, nie potrafił nawet się tym ucieszyć. Mrużył zapuchnięte oczy i dławił się świeżym powietrzem.

– Dalej, mały, koniec odpoczynku! – Cabaj siłą wydobył go z beczki. – Musisz się trochę przewietrzyć, cuchniesz jak zdechły kocur.

Najdek zsunął się jakoś na pokład krypy, ale nie potrafił utrzymać się na nogach. Byłby wypadł za burtę, gdyby nie mocne ramię odźwiernego.

– Uch, na dodatek jesteś pijany! – Cabaj nabrał w stuloną dłoń wody, ochlapał mu twarz. – Bierz się w garść, nie mamy wiele czasu.

Chłopak chciwie zlizwał ściekającą po wargach wilgoć. Po pierwszym głębszym oddechu znów zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach, ale na szczęście po chwili poczuł się lepiej.

– Dopłynęliśmy? – zapytał słabo.

– Witaj w Przymorzu, mały. Najgorsze za nami.

Rozejrzał się przytomniej.

Krypa stała uwiązana do pala przy zmurszałym drewnianym nabrzeżu jakiegoś wąskiego kanału. Tafla rzeki przeblyskiwała gdzieś z dala, zza wyszczerbionego płotu. Woda tutaj była mętna i śmierdząca, na powierzchni unosiły się śmieci i gnijące rybie resztki. Oba brzegi porastały chaszczce i pokrzywy, gdzieniegdzie sterczał jakiś ułomek ceglanego muru. Nigdzie nie widać było ludzi, chyłkiem przemknął jakiś kundel z podkulonym ogonem.

– To ma być Przymorze? – Rozczarowany Najdek zmarszczył brwi. – Pusto jakoś...

– I dobrze. Mamy szczęście, że flisacy wpłynęli do bocznego kanału na przedmieściu, a nie do przystani rzecznej. Podobno znają tu w pobliżu gospodę, gdzie można tanio zjeść. Zostawili mnie do pilnowania krypy, odpracowuję podróż. Niedługo wieczór, na pewno wrócą na noc. Lepiej, żeby nas tutaj nie było, kiedy odkryją puste beczki. Takiej straty nie uzupełnią wodą.

– Narobiliśmy im dużych kłopotów – zafrasował się Najdek.

– Nie użalaj się nad nimi. Znam dobrze takich jak oni. Bez wahania sprzedaliby nas nie tylko za pełną sakiewkę, ale też nawet za garść miedziaków.

– Dobrze, chodźmy stąd... Gdzie Zoja?

– Po kolei. Mam tylko dwie ręce.

Cabaj wspiął się z powrotem na górę, uderzył pięścią w drugą z opróżnionych beczek. Przyłożył ucho i nasłuchiwał przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

– Cisza – mruknął. – Śpi chyba?

– Otwórz.

Odźwierny dotknął wieka, ale natychmiast cofnął rękę.

– Tu jest szron. Dziwne, noc przecież była ciepła.

– Otwieraj, prędzaj!

Cabaj pochuchał w dłonie. Mocował się przez jakiś czas z wiekiem, ale nie udało mu się poruszyć go ani odrobinę.

– Przymarzło na dobre! – sapnął. – Może lepiej tego nie ruszać? Nie wiadomo, co za lichy tam siedzi.

Najdek przyskoczył do schowka na narzędzia, znalazł łom i szybko wdrapał się na stos, choć ugiwały się pod nim osłabione długim bezruchem nogi.

– Daj mi to, zrobisz sobie krzywdę. – Cabaj wyjął mu z rąk ciężkie żelazo.

Strzaskał wieko kilkoma uderzeniami, wyłamał oblodzone deski; w otworze zawirował siwy opar.

– Zimno jak w przerębli. – Pochylił się, ostrożnie zaglądając do środka, ale nie odważył się włożyć tam ręki.

Najdek przepchnął się bliżej i wsunął ramię w mroźną ciemność. Natrafił palcami na włosy Zoi, dotknął wychłodzonego policzka, odnalazł przyciśniętą do oczu dłoń. Ujął ją niezgrabnie.

– Zostaw, mały – odezwał się Cabaj zmienionym głosem. – Nic już nie możesz dla niej zrobić. Ta beczka to jej trumna.

– Nie! Ona żyje, tylko zbyt długo była w ciemności. Potrzebuje Słońca.

Wspólnie wydobyli ją z beczki, znieśli na pokład i ułożyli w jedynym zakątku krypy, gdzie nie sięgał jeszcze wieczorny cień.

Mogło się wydawać, że odźwierny miał słuszość – Zoja leżała bez przytomności, z zaciśniętymi powiekami i półotwartymi, sinymi ustami. Z powodu białych od szronu brwi, rzęs i włosów sprawiała wrażenie staruszki, jakby ta podróż kosztowała ją kilkadziesiąt lat życia. Czerwone światła zmierzchu roziskrzyły kryształki lodu, które topniały z wolna w fałdach płaszcza. Deski pokładu wokół niej pociemniały od wilgoci.

– To musiało tak się skończyć. – Kuternoga położył Najdkowi dłoń na ramieniu. – Wiedziałem, że prędzaj czy później dosięgnie ją demon.

– Nie było żadnego demona, diament ostrzegłby mnie!

Najdek przyklęknął, wsunął rękę pod plecy dziewczyny i podsadził ją. Drugą dłonią podtrzymał jej brodę, żeby zwrócić twarz w stronę Słońca, którego spłaszczony krąg czerwieniał gdzieś nad niewidocznym ujściem rzeki.

- Unieś jej powieki – poprosił.
- To nic nie da! Jest martwa, nawet nie oddycha.
- Potrzebuje tylko odrobiny Łaski.

Cabaj z ociąganiem uchylił kciukiem lewą powiekę Zoi. Odwrócił wzrok, gdy zobaczył, że biało nabrało barwy popiołu. Spoglądał w tę stronę, skąd lada chwila mogli nadejść flisacy, gdy nagle wyczuł pod palcem leciutkie pulsowanie ciepła. Znów popatrzył na dziewczynę; rzęsy drugiego oka drgnęły wyraźnie, spod powieki wypłynęła łza.

– Żyje! – wykrztusił.

Cofnął rękę, ale Zoja nie potrzebowała już pomocy. Zachłannie zaczerpnęła powietrza, jakby po długim wstrzymywaniu oddechu, a potem wpatrywała się nieruchomo w gasnącą na zachodzie słoneczną pożogę, dopóki ostatnie krwawe krople nie ściekły z nieba do morza.

Gdzieś w oddali rozbrzmiał nierówny śpiew na trzy głosy.

– Wracają! – Cabaj z trudem wgramolił się po ciemku na nabrzeże. – Za mną.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Krawędź: Otchłań
Copyright © Piotr Patykiewicz
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Krzysztof Zarzycki
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2019 r.

druk ISBN 978-83-7995-226-7

epub ISBN 978-83-7995-227-4

mobi ISBN 978-83-7995-228-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Marta Kładź-Kocot

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Ilustracja na okładce: Krzysztof Zarzycki

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl